

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Henryk Sienkiewicz

Na polu chwały

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Rozdział pierwszy

Zima z roku 1682 na 1683 była tak mroźna, że nawet bardzo starzy ludzie nie pamiętali podobnej. Jesienią padały długie deszcze, a w połowie listopada przyszedł pierwszy mróz, który spętał wody i powlókł drzewa jakby szklaną skorupą. W borach złódź osiadła na sosnach i poczęła łamać gałęzie. W pierwszych dniach grudnia ptactwo po ponownych mrozach jęło się zlatywać do wsi i miasteczek, a nawet leśny zwierz wychylał się z gęstwiny i zbliżał do mieszkań ludzkich. Jednakże koło św. Damazego niebo zaciągnęło się chmurami, a następnie śnieg walił przez dziesięć dni nieustannie. Pokrył krainę na parę łokci grubo, pozasypywał drogi leśne i opłotki, a nawet okna w chałupach. Ludzie rozgarniali łopatomi zaspy, aby z domu dostać się do stajen i obór, a gdy wreszcie śnieg ustał, chwycił znów trzaskający mróz, od którego drzewa strzelały w lesie jak rusznice.

Wówczas to chłopci, skoro im wypadło jechać do puszczy po drzewo, jeździli dla bezpieczeństwa nie inaczej jak gromadnie, a i to bacząc, by noc ich nie zaskoczyła z dala ode wsi. Po zachodzie słońca żaden nie śmiał wyjść na własne podwórze bez wideł lub siekiery, a psy poszczekiwały do rana krótkim i przerażonym szczekaniem, jak zwykle na wilki.

Jednakże w taką to noc i mróz okrutny sunął puszczańskim gościńcem wielki brozek na saniach, zaprzężony w cztery konie i otoczony ludźmi. Przed końmi jechał na krępej szkapie czeladnik z kafarkiem, to jest z żelaznym koszykiem osadzonym na długiej tyczce, w którym płonęło smolne łuczywo – nie dla rozświecenia drogi, bo widno było od księżyca, ale dla straszenia wilków. Na koźle siedział woźnica, na siodłowym koniu foryś, a po bokach karocy cłapało na podjezdkach dwóch pacholków zbrojnych w garłacze i kiścienie.

Cały ten orszak posuwał się bardzo wolno z powodu mało przetartej drogi i zasp śnieżnych, które gdzieniegdzie, zwłaszcza na zakrętach, wznosiły się na kształt wałów w poprzek drogi.

Powolność ta niecierpliwiła, a zarazem niepokoiła Gedeona Pągowskiego, który dufając w liczbę i dobre uzbrojenie czeladzi, postanowił był puścić się w drogę, chociaż w Radomiu ostrzegano go o niebezpieczeństwie, a to tym bardziej, że do Bełczączki trzeba było jechać przez Puszcze Kozienicką.

Ogromne te bory rozpoczynały się w owych czasach znacznie jeszcze przed Jedlnią, a szły daleko aż za Kozienice, do Wisły, w stronę leżącej na tamtym brzegu Stężycy, a na północ aż do Ryczywoła.

Zdawało się panu Gedeonowi, że wyjechawszy przed południem z Radomia, stanie jak nic na zachód słońca w domu. Tymczasem w kilku miejscach trzeba było rozkopywać drogę w opłotkach, na czym schodziło po kilka godzin, tak że Jedlnię przejechali już o zorzy wieczornej. Tam ostrzegano ich jeszcze raz, że lepiej zostać na nocleg, ale że u kowala znalazło się łuczywo, którym można było sobie świecić w drodze, kazał pan Pągowski ruszać dalej.

I oto noc zaskoczyła ich w puszczy.

Trudno było jechać prędzej z przyczyny zasp coraz większych, więc pan Gedeon niepokoił się coraz bardziej, a wreszcie począł kląć, ale po łacinie, aby nie przstraszyć swej krewnej, pani

Winnickiej, i swej przybranej córki, panny Sienińskiej, które jechały z nim razem.

Panna Sienińska była młoda, niefrasobliwa, więc nie bardzo się bała. Owszem, odsunawszy skórzaną firankę w oknie karocy i rozkazawszy jadącemu w pobok pachołkowi, by nie przesłaniał widoku, wesoło patrzyła na zasy i na pnie sosen pokrytych długimi rzutami śniegu, po których pełgały czerwone blaski łuczywa czyniąc wraz z zielonym światłem księżyca miłą dla oczu igraszkę. Wyciągnawszy następnie usta na kształt dzióbka, poczęła chuchać i bawiło ją to, że oddech jej był widzialny i od ognia różowy.

Lecz bojaźliwa i wiekowa pani Winnicka poczęła biadać:

– Dlaczego było wyjeżdżać z Radomia albo przynajmniej nie zanocować w Jedlni, gdzie ostrzegano ich o niebezpieczeństwie? Wszystko przez czyjś upór. Do Bełczączki jeszcze kawał drogi i samym borem, więc wilcy zastąpią im niezawodnie, chyba archanioł Rafał, patron podróżnych, zmiłował się nad zbłąkanymi, czego na nieszczęście nie są wcale godni.

Słyszając to pan Pągowski zniecierpliwiał się do ostatka. Tego tylko brakło, by o zbłąkaniu gadać.

Gościniec przecie jak strzełił, a co do wilków, zastąpią albo i nie zastąpią. Pachołków jest kilku dobrych, a przy tym wilk nierad zastępuje żołnierzowi – i nie tylko dlatego, że się go boi więcej od pospolitego człeka, ale i z jakowegoś afektu, i jako bestia mająca bystry dowcip.

Rozumie wilk dobrze, że ni mieszczanin, ni chłop nic mu darmo nie da i tylko żołnierz nieraz godnie go pożywi, albowiem wojnę nie na próżno ludzie wilczym żniwem nazywają.

Jednakże pan Pągowski mówiąc tak, a zarazem schlebając po trochu wilkom, niezupełnie był ich afektów pewny; zamyślił się więc, czyby nie kazać jednemu z czeladników zleźć z konia i usiąść koło panienki. W takim razie on sam broniłby jednych drzwiczek karocy, a pachołk drugich, nie mówiąc o tym, że pozostawiony koń pomknąłby prawdopodobnie w tył lub naprzód i mógłby pociągnąć za sobą wilki.

Ale zdawało się panu Gedeonowi, że na to jeszcze czas.

Tymczasem położył na przednim siedzeniu, koło panny Sienińskiej, parę krócić i nóż, które chciał mieć na podorędziu, albowiem nie mając lewej ręki, mógł się posługiwać tylko prawą.

Przejechali wszelako spokojnie kilka stajañ.

Gościniec począł się rozszerzać.

Pągowski, który znał tę drogę doskonale, odetchnął jakby z poczuciem ulgi i rzekł:

– Niedaleko Malikowa polana.

Spodziewał się bowiem, że na otwartym miejscu bądź co bądź bezpieczniej jest niż w borze.

Ale właśnie w tej chwili pachołek jadący na przedzie z kafarkiem zawrócił nagle konia, poskoczył ku karocy i począł mówić coś szybko do woźnicy i do czeladników, którzy odpowiadali mu urywanymi słowy, jak się mówi w chwilach, w których nie ma czasu do stracenia.

– Co tam? – zapytał pan Pągowski.

– Cości słyhać, panie, od polany.

– Wilki?

– Jakowys hałas. Bóg wie co!

Pan Pągowski już miał dać rozkaz, aby czeladnik jadący z kafarkiem skoczył naprzód i zobaczył, co się dzieje, ale pomyślał, że w takich razach lepiej nie zostawać bez ognia i trzymać się kupy, a dalej, że na widnej polanie obrona łatwiejsza niż wśród boru, więc kazał jechać dalej.

Po chwili jednak pachołek znów pojawił się przy oknie karocy.

– Dziki, panie – rzekł.

– Dziki?

– Słyhać okrutne rechtanie na prawo od drogi.

- To chwała Bogu!
- Ale może je wilcy napadli.
- To też chwała Bogu. Przejedziem mimo bez zaczepki. Ruszać!

Jakoż przypuszczenie czeladnika okazało się słuszne.

Wyjechawszy na polanę ujrzeli na jakie dwa lub trzy strzelania z łuku przed sobą, na prawo od drogi, zbitą kupę dzików, którą otaczał ruchliwy wieniec wilków. Straszliwe rechtanie, w którym nie było trwogi, ale wściekłość, rozlegało się coraz potężniej. Gdy karoca posunęła się ku środkowi polany, pachołkowie, poglądając z koni, dostrzegli, że wilki nie śmiały jeszcze rzucić się na stado, naciskały je tylko coraz mocniej.

Dziki ustawiły się w okrągłą kupę, jarczaki w środku, tęgie sztuki na obwodzie, tworząc jakby ruchomą fortecę, groźną, połyskującą białymi kłami, nieprzełamana i nieustraszona.

Toteż między wieńcem wilków a ową ścianą kłów i ryjów widać było białe, śnieżne kolisko, oświecone, jak i cała polana, jasnym światłem księżyca.

Niektóre tylko wilki doskakiwały do stada, ale wnet cofały się, jakby przerażone kłapaniem szabel i jeszcze groźniejszymi wybuchami rechtanca.

Gdyby wilki były się już związały ze stadem, walka pochłonięłaby je całkowicie i karoca mogła przejechać wówczas nie zaczepiona; skoro jednak się to nie stało, była obawa, że porzucą niebezpieczny atak, aby popróbować innego.

Jakoż po chwili niektóre poczęły odrywać się od gromady i biec ku karocy. Za nimi poszły inne. Ale widok zbrojnych ludzi stropił je.

Jedne poczęły się zbierać za orszakiem, inne osadzały się na kilkanaście kroków lub też obiegały naokoło w szalonym pędzie, jakby chcąc się przez to podniecić.

Pachołkowie chcieli strzelać, lecz pan Pągowski zabronił w obawie, aby strzały nie ściągnęły całej gromady.

Tymczasem konie, lubo zwyczajne wilków, poczęły wspierać się bokami i wykręcać w bok głowy z głośnym chrapaniem, a po chwili zaszedł gorszy wypadek, który stokrotnie powiększył niebezpieczeństwo.

Oto młody podjezdek, na którym siedział pachołek z kafarkiem, wspiął się nagle raz i drugi, a potem rzucił w bok.

Czeladnik rozumiejąc, że gdyby spadł, zostanie natychmiast rozszarpany, chwycił się łąku, ale jednocześnie upuścił tyczkę z kafarkiem, który pograżył się głęboko w śnieg.

Łuczywo zaiskrzyło się, po czym zgasło, i tylko światło księżyca zalewało teraz polanę.

Woźnica, rodem Rusin spod pomorzańskiego zamku, począł się modlić, pachołcy— Mazurowie – kłąć.

Ośmielone ciemnością wilki nacierały zuchwalej, a od strony walki z dzikami nadbiegały inne. Niektóre przypadały dość blisko, kłapiąc zębami, ze zjeżoną szczecina na karkach. Ślepią ich połyskiwały krwawo i zielono.

Nastała chwila po prostu straszna.

– Strzelać, panie? – zapytał jeden z pachołków.

– Krzykiem straszyc – odrzekł pan Pągowski.

Rozległo się wnet przeraźliwe: „a hu! a hu!” Koniom przybyło serca, a wilki, na których głos ludzki robi wrażenie, cofnęły się o kilkanaście kroków.

Ale stała się rzecz jeszcze dziwniejsza.

Oto nagle echa leśne powtórzyły za karocą krzyk czeladzi, lecz z większą mocą, potężniej; rozległy się przy tym jakby wybuchy dzikiego śmiechu, a w chwilę później gromada konnych zaczerpnęła po obu stronach brożka i skoczyła całym pędem koni ku stadu dzików i otaczającym je wilkom.

W mgnieniu oka i jedne, i drugie nie dotrzymawszy pola rozproszyły się po polanie, jakby je wichur rozegnał. Rozległy się strzały, krzyki i znów owe dziwne wybuchy śmiechu. Pacholkiwie pana Pągowskiego skoczyli także za jeźdźcami, tak że przy karocy został tylko woźnica i pacholek siedzący na lejcowym koniu.

W karocy zapanowało tak wielkie zdumienie, że przez pewien czas nikt nie śmiał ust otworzyć.

– A słowo stało się ciałem! – zawołała wreszcie pani Winnicka. – Z nieba to chyba pomoc.

– Niech się święci, skądkolwiek jest – odrzekł pan Pągowski. – Źle już było z nami.

Panna Sienińska zaś, chcąc także wtrącić słówko, dodała:

– Bóg zesłał tych młodych rycerzy!

Z czego panna Sienińska mogła pomiarkować, że to byli rycerze, a do tego jeszcze młodzi— trudno było odgadnąć, gdyż jeźdźcy przesunęli się jak wichur koło sani; ale nikt jej o to nie zapytał, bo oboje starsi zbyt byli przejęci tym, co zaszło.

Tymczasem na polanie brzmiały jeszcze przez kilka pacierzy odgłosy pościgu, a niezbyt daleko od karety jeden wilk, mający widocznie złamany grzbiet od uderzenia kiścienia, siedział na zadzie i wył z bólu tak straszonym głosem, że aż mrowie przechodziło po skórze.

Foryś zeskoczył na ziemię i poszedł go dobić, bo konie poczęły się rzucać tak, że aż dyszel chrupnął.

Ale po pewnym czasie oddział jezdnych zaczerniał znów na śnieżnej równinie.

Szli kupą beładną we mgle, bo choć noc była jasna i przejrzysta, zmachane konie dymiły na mrozie jak kominy.

Jeźdźcy zbliżali się ze śmiechem i śpiewaniem, a gdy byli już blisko, jeden z nich poskoczył ku brożkowi i zapytał dzwięcznym, wesołym głosem:

– Kto jedzie?

– Pągowski z Bełczączi. Komu ratunek zawdzięczam?

– Cyprianowicz z Jedlinki!

– Bukojemscy!

– Dzięki waszmościom! W porę was Bóg zesłał. Dzięki!

– Dzięki! – powtórzył młody niewieści głos.

– Chwalić Boga, że w porę! – odrzekł Cyprianowicz uchylając futrzanej czapki.

– Skądżeście się waszmościowie o nas dowiedzieli?

Nie mówił nam nikt, jeno wilki że zbiły się w kupy, wyjechaliśmy ludzi ratować, między którymi że tak znamienita persona się znalazła, tym większa nasza radość i przed Bogiem zasługa – rzekł grzecznie Cyprianowicz.

A jeden z panów Bukojemskich dodał:

– Nie licząc skór.

– Prawdziwie kawalerska to robota – odpowiedział pan Gedeon – i piękny uczynek, za który, daj Bóg, jak najprędzej się wywdzięczyc. Myślę też, że i wilkom odeszła ochota na ludzkie mięso i że bezpiecznie dojedziemy do domu.

Nie całkiem to pewne. Zwabią się znów wilcy niebawem i mogliby powtórnie zastąpić.

– To i nie ma rady. Nie damy się!

– Jest rada, a mianowicie ta, abyśmy waszmości do samego domu odprowadzili. Zdarzy się też może uratować jeszcze kogo na gościńcu.

– Nie śmiałem o to prosić, ale skoro łaska waszmościów, to niechże już tak będzie, bo i moje niewiasty będą się mniej bały.

– Ja się i tak nie boję, alem z całej duszy wdzięczna! – ozwała się panna Sienińska.

Pan Pągowski dał rozkaz i ruszono. Ale ledwie przejechali kilkanaście kroków, nadłamanym dyszlem pękł do reszty i karoca stanęła.

Nastąpiła nowa mitręga.

Pachołkowie mieli wprawdzie powrozy i poczęli zaraz naprawiać połamane części, ale nie wiadomo było, czy taka dorywcza robota nie popsuje się znowu po ujechaniu kilku staj.

Więc młody Cyprianowicz zastanowił się nieco, po czym uchyliwszy znów kołpaka, rzekł:

– Do Jedlinki przez pół bliżej niż do Bełczączki. Uczyńże wasza mość naszemu domowi tę łaskę i zajedź na nocleg do nas. Nie wiem, co by nas w głębi boru spotkać mogło – i czy nie okazałoby się, że jeszcze nas za mało przeciw tym wszystkim bestiom, które się z całej puszczy na gościniec pewnikiem zbiegną. Karocę jakoś zaciągniem, a im bliżej, tym łatwiej. Po prawdzie, zaszczyt będzie nad zasługę, ale to prawie dura necessitas, więc zbyt w pychę nie urośnięm.

Pan Pągowski nie odpowiedział od razu na te słowa, albowiem poczuł w nich wymówkę.

Przypomniał sobie, że gdy stary Cyprianowicz przyjechał przed dwoma laty pokłonić mu się w Bełczączce, przyjął go wprawdzie grzecznie, ale z pewną dumą – i wzajem w odwiedziny do niego wcale nie pojechał, a to z tego powodu, że to był homo novus – z rodu uszlachconego dopiero w drugim pokoleniu – i z pochodzenia Ormianin, którego dziad jeszcze kupczył bławatami w Kamieńcu.

Syn tego bławatnika Jakub służył już pod wielkim Chodkiewiczem w artylerii i pod Chocimiem tak znaczne oddał usługi, że za protekcją Stanisława Lubomirskiego otrzymał szlachectwo i królewską Jedlinkę w dożywocie. Dożywocie owo zmieniono następnie w zastaw jego następcy, Serafinowi, za pożyczkę udzieloną po inkursji szwedzkiej skarbowi Rzeczypospolitej.

Młodzian, który przybył z tak skuteczną pomocą podróżnym, był właśnie synem Serafina.

Poczuł więc pan Pągowski wymówkę tym łatwiej, że słowa „zbyt w pychę nie urośnięm” wypowiedział młody Cyprianowicz nieco hardo i z umyślnym naciskiem.

Ale właśnie ta kawalerska fantazja podobała się staremu szlachcicowi, a że przy tym trudno było odmówić swemu zbawcy i że do Bełczączki droga była istotnie długa i niebezpieczna, więc nie wahając się już dłużej, rzekł:

– Bez waścinej pomocy wilcy by się teraz może o nasze kości gryzli – niechże choć dobrą wolą odpłacę... Jedźmy!

Cyprianowicz kazał wiązać karocę.

Dyszlem złamany był, jakby kto toporem obciął, więc poprzywiązywano powrozy jednym końcem do płozów, drugim do kulbak – i ruszono rażno w dużej a wesołej kupie, przy okrzykach jeźdźców i śpiewach panów Bukojemskich.

Do Jedlinki, która była więcej osadą leśną niż wsią, nie było zbyt daleko. Wkrótce więc otworzyła się przed podróżnymi obszerna, kilkadziesiąt stajen licząca polana, a raczej przestronne, zamknięte z czterech stron borem pole, a na nim kilkanaście domostw, których dachy, pokryte śniegiem, błyszcząły i iskrzyły się w świetle księżyca.

Nieco dalej, za chłopskimi chatami, widać było zabudowania folwarczne, kręgiem wokół dziedzińca stojące, a w głębi dwór, bardzo niekształtny, bo przerobiony przez Cyprianowiczów z dworku, w którym niegdyś mieszkali leśnicy królewscy, ale obszerny, jak na tak małą osadę.

Z okien jego biło jasne światło różowiejąc śniegi przed przyzbą, krzewy rosnące przed domem i żurawie studzienne sterczące po prawej stronie obejścia.

Widać stary Cyprianowicz oczekiwał syna, a może i gości z gościńca, którzy wraz z nim przybyć mogli, zaledwie bowiem karoca dotarła do bramy, na ganek wybiegło kilku pachołków z pochodniami, a za służbą i sam gospodarz w kunim tołubie i łasiczym kołpaku, który zdjął zaraz na widok karocy.

– Jakichże to miłych gości Bóg nam zesłał na nasze leśne pustkowie? —zapytał zstępując ze schodów ganku.

Młody Cyprianowicz, ucałował rękę ojca, oznajmił, kogo przywiózł, a pan Pągowski, wysiadłszy z karocy, rzekł:

– Dawno chciałem to uczynić, do czego mnie ciężki termin dziś przymusił, więc tym bardziej błogosławię tej niewoli, która tak exquisite się z wolą moją zgodziła.

– Różne wydarzają się ludziom przygody, ale dla mnie szczęśliwa to przygoda, za czym z radością proszę do komnat.

To powiedziawszy pan Serafin skłonił się znów – i podał ramię pani Winnickiej, za którą reszta gromady weszła do domu.

Zaraz na wstępie ogarnęło gości to uczucie zadowolenia, jakie ogarnia zawsze podróżnych, którzy z ciemności i mrozu wchodzą do ciepłych i widnych komnat. Jakoż i w sieni, i w innych pokojach buzował się w przestronnych kafłowych kominach ogień, a prócz tego służba poczęła zapalać tu i owdzie jarzące świece.

Pan Pągowski rozglądał się naokół z pewnym zdziwieniem, albowiem zwykłym dworom szlacheckim daleko było do dostatku, który bił w oczy w domu Cyprianowiczów.

Przy blasku ognia i świec widać było we wszystkich pokojach sprzęty, jakich nie znalazłbyś nawet i w niejednym zameczku: skrzynie i krzesła włoskie z rzeźbionego drzewa, tu i owdzie zegar i szkło weneckie, świeczniki odlane z zacnego mosiądzu, broń wschodnią sadzoną turkusami, a porozwieszaną na dzianych srebrnymi nićmi makatkach. Na podłogach miękkie krymskie kilimy, a na dwóch dłużnych ścianach dwa arras, które by u każdego magnata mogły stanowić ozdobę komnaty.

– Z kupiectwa im to przyszło – pomyślał z pewnym gniewem pan Pągowski – a teraz mogą się nad szlachtę wynosić i puszyć bogactwy zdobytymi nie orężem.

Lecz uprzejmość i szczerą gościnność Cyprianowiczów rozbroiły starego szlachcica, a gdy w chwilę potem usłyszał brzęk naczyń w przyległej stołowni, udobruchał się zupełnie.

Aby rozgrzać przybyłych z mrozu gości, podano tymczasem gorące wino z korzeniem. Rozpoczęła się rozmowa o minionym niebezpieczeństwie. Pan Pągowski chwalił bardzo młodego Cyprianowicza, że zamiast w ciepłej izbie siedzieć, ratował ludzi na gościńcach, nie bacząc na okrutne mrozy, na trud i niebezpieczeństwo.

– Zaprawdę – mówił – tak dawniej czynili owi sławni rycerze, którzy jeżdżąc po świecie, bronili ludzi od smoków, od jędzonów i różnych innych bestii.

– A jeśli zaś udało się któremu wybawić jaką cudną królową – odrzekł młody Cyprianowicz – to taki był szczęśliwy, jako my jesteśmy w tej chwili.

– Prawda! Żaden cudniejszej nie wybawił! Jak mi Bóg miły! Sprawiedliwie mówi! – zawołali z zapalem czterej bracia Bukojemscy.

A panna Sienińska uśmiechnęła się mile, tak że na policzkach utworzyły się jej dwa wdzięczne dołeczki – i spuściła oczy.

Lecz panu Pągowskiemu komplement wydał się trochę za poufały, albowiem panna Sienińska, lubo sierota bez majątku, pochodziła jednak z magnackiego rodu, więc odwrócił rozmowę i zapytał:

– I dawno tak waćpanowie jeździcie po gościńcach?

– Od czasu wielkich śniegów, a będziemy jeździli, póki mrozy nie popuszczą – odpowiedział młody Stanisław Cyprianowicz.

– I siłażęście wilków już nabili?

– Starczy dla wszystkich na wilczury.

Tu panowie Bukojemscy poczęli się śmiać tak rozgłośnie, jakby cztery konie rżały, a gdy się nieco uspokoił, najstarszy, Jan, rzekł:

– Będzie król jegomość rad ze swoich leśników.

– Prawda – odpowiedział pan Pałowski. – A słyszałem, że waćpanowie jesteście nadleśnymi w tutejszej królewskiej puszczy. Ale przecie Bukojemscy pochodzą z Ukrainy?

– My z tych samych.

– Proszę... proszę.... dobry ród, Jeło—Bukojemscy... Są tam koligacje nawet z wielkimi domami...

– I z świętym Piotrem! – zawołał Łukasz Bukojemski.

– He? – spytał pan Pałowski.

I począł spoglądać surowo a podejrzliwie na braci, jakby chcąc zbadać, czy nie pozwalają sobie z niego drwić. Lecz oni mieli oblicza pogodne i z głębokim przekonaniem kiwali głowami, przyświadczając w ten sposób słowom brata. Więc zdumiał się wielce pan Pałowski i powtórzył:

– Krewni świętego Piotra? A to quo modo?

– Przez Przegonowskich!

– Proszę! A zaś Przegonowscy?

– Przez Uświatów!

—A Uświatowie znowu tam przez kogoś—odrzekł już z uśmiechem stary szlachcic – i tak dalej, aż do Pana Chrystusowego narodzenia... Tak!... Dobrze i w ziemskim senacie mieć krewnych, a cóż dopiero w niebieskim... Tym pewniejsza promocja... Ale jakimże sposobem zawędrowaliście waćpanowie z Ukrainy aż do naszej Puszczy Kozienickiej, bo jako słyszałem, to już od kilku lat tu jesteście?

—Od trzech. Ukrainne majątności rebelia dawno już z ziemią zrównała, a potem i granica się tam zmieniła. Nie chcieliśmy w czambułach poganom służyć, więc naprzód służyliśmy wojskowo, potem chodziliśmy dzierzawami, aż wreszcie krewny nasz, pan Malczyński, nadleśniczymi nas tu uczynił.

– Tak – rzekł stary Cyprianowicz. – Aż mi dziwno, żeśmy się tak w tej puszczy obok siebie znaleźli, bo pono wszyscy jesteśmy nietutejsi, jeno nas zmienność ludzkich losów tu przyniosła. Dziedzictwo waszmości pana (tu zwrócił się do Pałowskiego) też, jako mi wiadomo, na Rusi, wedle pomorzańskiego zamku, leży.

Drgnął na to pan Pałowski, jakoby go kto w niezaschłą ranę uraził.

– Miałem i mam tam majątność – rzekł – ale mi obrzydły tamte strony, bo tam jeno nieszczęścia we mnie jako pioruny były.

– Wola boska – odrzekł Cyprianowicz.

– Pewnie, że próżno w grodzie przeciw niej protestować, ale też i żyć ciężko...

– Waszmość, jako wiadomo, dłuższy czas wojskowo służywałeś.

– Pókim ręki nie stracił. Mściłem się krzywd ojczyzny i własnych. A jeśli Pan Jezus odpuści mi jeden grzech za każdą pogańską głowę, to żywię nadzieja, że piekła może nie obaczę.

– Pewnie, pewnie! I służba zasługa, i boleść zasługa. Najlepiej smutnych myśli poniechać.

– Ja bym rad ich poniechał, jeno one nie chcą mnie poniechać. Ale dość o tym. Ostawszy kaleką, a zarazem i opiekunem tej oto panny, przenieśliem się na starość do spokojniejszego kraju, do którego czambuły nie dochodzą, i siedzę, jako waszmość widzisz, w Bełczącce.

– Słusznie, i ja tak samo – rzekł stary Cyprianowicz. – Młodzi, chociaż tam teraz spokojnie, rwią się w nadziei przygód na szlaki, ale przecie okropne i żałobne to strony, w których każdy kogoś oplakuje.

Pan Pałowski przyłożył rękę do czoła i trzymał ją tak przez dłuższą chwilę, po czym ozwał się smutnym głosem:

– Naprawdę to w tamtych stronach może się ostać tylko chłop albo magnat. Chłop dlatego, że gdy przyjdzie nawała pogańska, to umknie w lasy i potrafi tam żyć jako dziki zwierz przez całe miesiące, a magnat, bo ma warowne zamki i własne chorągwie, które go bronią... A i to jeszcze!... Byli Żółkiewscy i wyginęli, byli Daniłowicze i wyginęli. Z Sobieskich zginął brat miłościwie nam dziś panującego króla Jana... A iluż innych!... Jeden z Wiśniowieckich wił się na haku w Stambule... Korecki dragami żelaznymi zabit... Zginęli Kalinowscy, a przedtem płacili daninę krwi Herburtowie i Jazłowieccy. Poległo też w różnych czasach kilku Sienińskich, którzy drzewiej całą prawie tamtejszą krainą władali... Co za cmentarz! Do rana bym nie skończył chcąc wszystkich wymienić... A gdyby nie tylko magnatów, ale i szlachtę cytować, toby i miesiąca nie było dosyć.

– Prawda! prawda! Ale też i to człeku aż dziwno, jak Pan Bóg to plugastwo tatarskie i tureckie rozmnożył. Bo przecie i ich tylu tam nabito, że gdy chłop wiosną orze, to mu co krok czerepy pogańskie pod sochą zgrzytają... Miły Boże! ilu ich tam wygniół choćby dzisiejszy nasz Pan... Na dobrą rzekę by krwi tej starczyło, a oni leżą i leżą!

Była to prawda.

Rzeczpospolita, trawiona nierządem i swawolą, nie mogła zdobyć się na potężne armie, które by zdołały w jednej wielkiej wojnie skończyć raz na zawsze z turecko—tatarską nawałą.

Zresztą na taką armię nie mogła zdobyć się cała Europa.

Ale natomiast tę Rzeczpospolitą zamieszkiwał lud zuchwały, który bynajmniej nie poddawał dobrowolnie gardła pod nóż wschodnich najeźdźców. Owszem, na owo straszne, zjeżone mogiłami i zbroczone krwią pogranicze, więc: na Podole, na Ukrainę i Ruś Czerwoną, napływały coraz nowe fale polskich osadników, których nie tylko nęciła urodzajna ziemia, ale właśnie żądza ustawicznej wojny, bitew i przygód.

„Polacy – pisał stary kronikarz – idą na Ruś dla harców z Tatary.”¹

Płynęli więc chłopci z Mazowsza, płynęła bitna szlachta, której wstyd było „w łożu zwykłą śmiercią umierać”, wyrastali wreszcie na tych Czerwonych Ziemiach potężni magnaci, którzy nie poprzestając na odporze w domu, szli nieraz aż hen – do Krymu lub na Wołoszczyznę, szukać tam władzy, zwycięstw, śmierci, zbawienia i chwały.

Mówiono nawet, iż nie chcą Polacy jednej wielkiej wojny, aby jej ciągle zażywać. Ale chociaż nie była to prawda, niemniej jednak miła była hardemu plemieniu ciągła zawierucha – i najeźdnik krwawo płacił czasem za swą zuchwałość.

Ani ziemie dobrudzkie, ani białogrodzkie, ani zwłaszcza bezpłodne komysze krymskie nie mogły wyżywić swych dzikich mieszkańców, więc głód gnał ich na bujne pogranicze, gdzie czekał ich łup obfity, ale równie często śmierć.

Łuny pożarów oświecały tam nieznane w dziejach pogromy. Pojedyncze pułki roznosiły w puch i proch na szablach i kopytach dziesięćkroć liczniejsze czambuły. Tylko niezmierna szybkość obrotów ratowała najeźdników, w ogóle bowiem każdy czambuł dognany przez regularne wojska Rzeczypospolitej był tym samym zgubiony bez ratunku.

Bywały wyprawy, zwłaszcza mniejsze, z których nie wracał do Krymu nikt. Straszne swego czasu były Tatarom i Turkom imiona Pretwica i Chmieleckiego. Z mniejszych rycerzy krwawo zapisali się w ich pamięci: Wołodyjowski, Pełka i starszy Ruszczyk, którzy od kilkunastu lub kilku już lat spoczywali w mogiłach i w sławie. Lecz nawet i z wielkich żaden nie wytoczył tyle krwi z wyznawców Islamu, ile ówczesny król Jan III Sobieski.

Pod Podhajcami, Kałuszem, Chocimiem i Lwowem leżały dotychczas nie pogrzebione stopy kości pogańskich, od których rozległe pola bielily się jak pod śniegiem.

¹ Kromer

Aż wreszcie postrach padł na wszystkie ordy.

Odetchnęło wówczas pogranicze, a gdy i nienasycona potęga turecka łatwiejszych poczęła szukać podbojów, odetchnęła i cała skołatana Rzeczpospolita.

Zostały tylko bolesne wspomnienia.

Daleko od teraźniejszej siedziby Cyprianowiczów, w sąsiedztwie pomorzańskiego zamku, stał na wzgórzu wysoki krzyż z dwiema włóczniami, który wznosił przed dwudziestu kilku laty pan Pągowski na miejscu spalonego dworu – więc ilekroć pomyślał o tym krzyżu i tych wszystkich drogich sercu głowach, które na tamtym miejscu utracił, skowyczało w nim jeszcze teraz z bólu stare serce.

Ale że to był człowiek twardy dla samego siebie i dla innych i że się przed obcymi łez wstydził i taniej litości nie znosił, więc nie chciał dłużej mówić o swoich nieszczęściach – począł wypytywać gospodarza, jak mu się też żyje na leśnej dziedzinie.

A ów rzekł:

– Ot cisza, cisza! Gdy bór nie szumi i wilcy nie wyją, to ledwie że nie słyszysz, jak śnieg pada. Jest spokój, jest ogień na kominie i dzbaniec grzanego wina wieczorem – starości więcej nie trzeba.

– Pewnie. Ale synowi?

– Młody ptak przedziej, później z gniazda wyleci. A szumią nam tu jakoś drzewa o wielkiej wojnie z pogany!

– Na tę wojnę i siwe sokoły wylecą. Poleciałbym z innymi i ja, gdyby nie to, ot!...

Tu pan Pągowski potrząsnął pustym rękawem, w którym tylko kawałek ramienia przy karku pozostał.

A Cyprianowicz nalał mu wina:

– Za pomyślność chrześcijańskiego oręża!

– Dajże Boże! Do dna.

Tymczasem młody Cyprianowicz częstował z równie dymiącego dzbaną panią Winnicką, pannę Sienińską i czterech braci Bukojemskich. Panie ledwie że dotykały ustami brzegów szklenic, natomiast panowie Bukojemscy nie dali się prosić, skutkiem czego świat wydawał się im coraz weselszy, a panna Sienińska coraz ładniejsza. Więc nie mogąc znaleźć odpowiednich słów na wyrażenie swego zachwytu, poczęły spoglądać na nią ze zdumieniem, sapać i trącać się łokciami.

Na koniec najstarszy, Jan, rzekł:

– Nie dziwować się wilkom, że chciały kosteczek i mięsa waćpanny popróbować, boć nawet i dzika bestia wie, co prawdziwy specjał!...

A trzech inni – Mateusz, Marek i Łukasz – nuż bić się dłońmi po udach:

– Utrafił! w sedno utrafił!

– Specjał! nic innego!

– Marcepan!

Słyszając to panna Sienińska złożyła ręce i udając przestraszona, rzekła do młodego Cyprianowicza:

– Ratujże waćpan, bo widzę, że ichmościowie dlatego jeno mnie od wilków ratowali, aby mnie sami zjedli.

– Mościa panno – odpowiedział wesoło Cyprianowicz – pan Jan Bukojemski mówił: nie dziwować się wilkom! a ja rzeknę: nie dziwować się panom Bukojemskim.

– To już zacznę chyba mówić: „Kto się w opiekę...”

– Jeno nie żartuj z rzeczy świętych! – zawołała pani Winnicka.

– Hej! gotowi ci kawalerowie i ciotuchnę razem ze mną zjeść. Nieprawda?

Ale pytanie to pozostało przez chwilę bez odpowiedzi. Owszem, łatwo było z twarzy panów Bukojemskich wyczytać, że znacznie mniejszą mają do tego ochotę. Jednakże Łukasz, który miał dowcip od braci bystrzejszy, rzekł:

– Niech Jan mówi; on starszy brat.

A Jan zakłopotał się nieco i odrzekł:

– Kto tam wie, co go jutro spotka!

– Roztropna to uwaga – zauważył Cyprianowicz – ale do czego ją waćpan stosujesz?

– Bo co?

– Bo nic: jeno pytam, czemu to o jutrze wspominasz?

– A to wać nie wiesz, że afekt gorszy od wilka, gdyż wilka można zabić, a afektu nie zabijesz?

– Wiem, ale to znów inna materia.

– Byle dowcip dopisał, mniejsza o materię...

– Ha! jeśli tak, to Boże dopomóż dowcipowi.

Panna Sienińska poczęła się śmiać w piąstkę, za nią Cyprianowicz, a w końcu i panowie Bukojemscy. Lecz dalszą rozmowę przerwała służka prosząc na wieczerzę.

Starszy pan Cyprianowicz podał ramię pani Winnickiej, po nich szedł pan Pągowski, młody zaś Cyprianowicz prowadził pannę Sienińską.

– Trudna dysputa z panem Bukojemskim – rzekła rozweselona panienka.

– Bo jego racje są jako narowiste konie, z których każdy ciągnie w inną stronę; wszelako powiedział on dwie prawdy, którym trudno negować.

– Jakaż jest pierwsza?

– Że nikt nie wie, co go jutro spotka, jako i jam na przykład nie wiedział, że oczy moje ujrzą dzisiaj waćpannę.

– A druga?

– Że łatwiej wilka zabić niż afekt... Wielka to prawda. To rzekłszy westchnął młody pan Cyprianowicz, a panienka spuściła na oczy cieniste swe powieki i zamilkła. Po chwili dopiero, gdy już siadali do stołu, rzekła:

– A waćpanowie prędko przyjedźcie do Bełczączki, aby zaś opiekun mógł wam wdzięczność za ratunek i za gościnę okazać.

Posępny humor pana Pągowskiego poprawił się znacznie przy wieczerzy, a gdy gospodarz wniósł w ozdobnych słowach naprzód zdrowie niewiast, a następnie zacnego gościa, stary szlachcic odpowiedział bardzo uprzejmie, dziękując za wybawienie z ciężkich terminów i zapewniając o swej wiekuiestej wdzięczności.

Mówiono potem de publicis: o królu, o jego zwycięstwach, o sejmie, który w kwietniu miał się zebrać, i o wojnie, która groziła cesarstwu niemieckiemu ze strony sułtana tureckiego, a na którą zaciągał już ochotników w Polsce pan Hieronim Lubomirski, kawaler maltański.

Panowie Bukojemscy słuchali z niemałą ciekawością, jako tam w Niemczech przyjmowano z otwartymi rękoma każdego Polaka; albowiem Turcy lekceważyli jazdę niemiecką, polska zaś budziła w nich należyty postrach.

Pan Pągowski ganił nieco dumę kawalera Lubomirskiego, który mawiał o grafach niemieckich: „dziesięciu takich w jedną moją rękawicę wlezie”, ale chwalił jego przewagi rycerskie, niezmierną odwagę i wielką biegłość w sztuce wojennej.

Słyszając to Łukasz Bukojemski oświadczył w imieniu swoim i braci, że niech tylko wiosna uczyni się na świecie, to nie wytrzymają, jeno do pana kawalera podążą, ale póki mrozy mocne, będą jeszcze bili wilki, aby się za pannę Sienińską godnie pomścić. Bo chociaż powiedział Jan, że nie ma co się wilkom dziwować, przecie gdy się pomyśli, że taki gołąbek niewinny stać się

mógł ich pastwą, to aż serce pod szyję podchodzi od wściekłości, a zarazem trudno utrzymać łez.

– Szkoda – mówił – że skóry wilcze takie tanie, iż Żydy za ledwie za trzy talara dają, ale łez trudno utrzymać i nawet lepiej po prostu im pofolgować, gdyż kto by nie pożałował uciśniętej niewinności i cnoty, ten okazałby się barbarusem, niegodnym rycerskiego i szlacheckiego imienia.

To rzekłszy pofolgował istotnie łzom, a za jego przykładem poszli zaraz i inni bracia, chociaż bowiem wilki mogły w najgorszym razie grozić życiu, nie zaś cnotcie panny Sienińskiej, jednakże tak ich wzruszyła wymowa brata, że serca zmiękły w nich jak wosk przygrzany.

Chcieli też po wieczery palić z pistoletów na cześć panienki, ale sprzeciwił się temu gospodarz mówiąc, że ma w domu borowego, człowieka wielkich zasług, którego jest chory i potrzebuje spokoju.

Mniemał pan Pagowski, iż to może jaki zubożały krewny domu, a w najgorszym razie szlachcic z zaścianka, więc przez grzeczność począł się o niego wypytywać; dowiedziawszy się jednakże, iż to jest chłop służebny, wzruszył ramionami i spojrzawszy niechętnym i zdziwionym okiem na starego Cyprianowicza, rzekł:

– A tak! zapominałem, co o waszym zbył ludzkim sercu opowiadają.

– Daj Boże – odpowiedział pan Serafin – aby nie opowiadali nic gorszego. Siła temu człowiekowi zawdzięczam, a może i każdemu się to trafić, gdyż on wybornie zna się na ziołach i każdej chorobie umie zaradzić.

– To już mi tylko to dziwne, że skoro innych tak uzdrawia, siebie nie uzdrowił. Przyślij go waszmość kiedy tej oto mojej krewniaczce, pani Winnickiej, która z ziół rozmaite extracta wyciąga i ludzi nimi morzy; ale tymczasem niech nam wolno będzie pomyśleć o spoczynku, bo mnie droga okrutnie strudziła, a i wino nieco rozebrało, równie jak panów Bukojemskich.

Bukojemskim rzeczywiście kurzyło się z czupryn, a oczy mieli mgliste i rozrzewnione, więc gdy młody Cyprianowicz poprowadził ich do oficyny, gdzie miał razem z nimi nocować, to szli za nim wielce niepewnym krokiem po skrzypiącym od mrozu śniegu, dziwiąc się, że miesiąc śmieje się do nich i siedzi na dachu stodoły, zamiast świecić na niebie.

Lecz panna Sienińska tak głęboko zapadła im w serca, że chciało im się jeszcze o niej mówić.

Młody Cyprianowicz nie czuł także ochoty do snu, kazał więc przynieść gąsior miodu, po czym zasiedli wedle wielkiego komina i przy jaskrawym świetle łuczywa pili z początku w milczeniu, słuchając tylko świerszczów grających w izbie.

Wreszcie najstarszy, Jan, nabrał w piersi powietrza, po czym wydmuchnął je w komin z taką siłą, że aż się płomień pochylił, i rzekł:

– O Jezu! Bracia moi mili, zapłaczcie nade mną, bo przyszedł na mnie termin żalony!

– Jaki termin? mów, nie ukrywaj!

– A to przecie miłuję tak, że aż mi kolana mdleją.

– A ja, to myślisz, nie miłuję? – zawołał Łukasz.

– A ja? – krzyknął Mateusz.

– A ja? – zakończył Marek.

Jan chciał im coś odpowiedzieć, ale zrazu nie mógł, albowiem porwała go czkawka. Wytrzeszczył tylko oczy z wielkiego zdziwienia i począł spoglądać na nich tak, jakby ich pierwszy raz w życiu widział.

Wreszcie gniew odbił się na jego obliczu.

– Jak to, tacy synowie – zawołał – to starszemu bratu chcecie w drogę wchodzić i szczęśliwości go pozbawiać?

– O wa! – odpowiedział Łukasz – to cóż? Zali to panna Sienińska jakowaś ordynacja, że ją

tylko starszy ma brać? Z jednegośmy ojca i matki, przeto jeśli nas takimi synami zowiesz, to rodzicielom w grobie uchybiasz. Każdemu wolno miłować.

– Wolno każdemu, ale wam wara, boście mi oboedientiam powinni.

– Mamy całe życie końskiego łba słuchać? Co?

– Bluźnisz, poganinie, jako pies!

– Ty sam bluźnisz. Bo Jacobus młodszy był od Ezawa, a Józef najmłodszy z braci, więc ty Pismu Świętemu przyganasz i przeciw wierze szczekasz.

Przyciśnięty tymi argumentami do muru, Jan nie umiał na razie znaleźć odpowiedzi, a gdy jeszcze Mateusz wspomniał coś o Kainie, jako starszym bracie, wówczas całkowicie stracił głowę.

Gniew wzbierał się w nim coraz większy, aż na koniec począł prawicą szukać szabli, której zresztą nie miał przy boku.

I nie wiadomo, do czego byłoby doszło, gdyby nie Marek, który trzymając od pewnego czasu palec przy czole, jak gdyby się porał z jakąś myślą, nagle wykrzyknął ogromnym głosem:

– Jam najmłodszy z braci, jam jest Józef, więc dla mnie panna Sienińska!

A inni zaraz zwrócili się do niego, ze wzburzeniem w obliczach i skrami w oczach:

– Co? Dla ciebie? Dla ciebie, ty gęsie jaje, ty słomiana kukło, ty końska zołzo, suszykuflu, ty opoju!... Dla ciebie?

– Stulcie gęby, skoro tak stoi w Piśmie!

– W jakim Piśmie, głąbie?

– Wszystko jedno, ale stoi. Samiście się popili, nie ja! Lecz tu wdał się między nich Stanisław Cyprianowicz.

– Czy wam nie wstyd – mówił – szlachtą i braćmi będąc, kłótnię wszczynać? Tak—że to obserwujecie miłość braterską? I o co kłótnia? Czy to panna Sienińska jest grzyb, który ten do kobiałki schowa, kto go pierwszy w borze zdybie? Zali taki jest między pelikanami obyczaj, którzy to pelikanowie nie będąc ani szlachtą, ani nawet ludźmi, przecie z rodzinnych afektów jedne drugim we wszystkim ustępują, a gdy ryb nie nałowią, to się krwią własną wzajemnie karmią? Wspominacie zmarłych rodziców waszych, ależ oni tam łzami się zalewają widząc niezgodę synów, którym pewnie co innego pod błogosławieństwem nakazywali. Już im tam i pasza niebieska nie smakuje, i oczu nie śmieją podnieść na owych czterech ewangelistów, których imiona na chrzcie świętym wam podawali.

Tak mówił Staszko Cyprianowicz i choć z początku chciało mu się cokolwiek śmiać, jednakże w miarę jak mówił, coraz więcej się własną wymową przejmował, albowiem dla kompanii także był nieco podpił. Atoli panowie Bukojemscy rozrzewnili się w końcu jego przemówienia niezmiernie i zapłakali wreszcie wszyscy czterej, a najstarszy, Jan, zawołał:

– O dla Boga, zabijcie mnie, ale nie nazywajcie mnie Kainem!

Na to Mateusz, który był o Kainie wspomniał, rzucił mu się w objęcia.

– Bracie, katu za to mnie oddać!

– Wybacz, bo się z żalu rozpuknę – wołał Łukasz.

Marek zaś:

– Szczekałem przeciw przykazaniu jako pies.

I poczęli się ścisnąć, lecz Jan uwolniwszy się wreszcie z objęć braci siadł nagle na ławie, rozpiął żupan, rozgarnął koszulę i obnażywszy pierś począł mówić przerywanym głosem:

– Macie! oto jako pelikan!... macie!

A tamci nuż jeszcze bardziej szlochać:

– Pelikan! czysty pelikan!... Jak mi Bóg miły! – pelikan!

– Bierzcie pannę Sienińską!

- Twoja ona! ty ją bierz.
- Młodzi niech biorą...
- Nigdy! Nie może być!
- Jechał ją sęk!
- Jechał ją sęk!
- Nie chcemy jej!

A wtem Łukasz uderzył się dłońmi po udach, aż rozległo się po izbie.

- Wiem! – zakrzyknął.
- Co wiesz? Mów, nie ukrywaj!
- Niech ją Cyprianowicz bierze!

Usłyszawszy to tamci aż zerwali się z ław, tak im trafiła do serca myśl braterska, i otoczyli Cyprianowicza.

- Bierz ją, Staszku.
- Najlepiej nas pogodzisz.
- Jak nas kochasz!
- Dla nas to uczyn!
- Niech ci Bóg błogosławi – wołał Jan wznosząc oczy do nieba i wyciągając nad nim rękę.

A Cyprianowicz splonął na twarzy i stał zdumiony, powtarzając:

- Bójcie się ran boskich!...

Lecz serce drgnęło mu w piersiach na samą myśl, bo siedząc od dwóch lat przy ojcu wśród głębokich lasów i mało ludzi widując, od dawna nie napotkał tak cudnej dziewczyny.

Widywał podobne niegdyś w Brzeżanach, gdy ojciec oddał go na tamtejszy dwór, aby nabrał ogłady i znajomości spraw publicznych. Lecz wówczas był jeszcze pacholęciem – i czas zatarł te dawne wspomnienia.

Aż oto teraz, gdy wśród borów ujrzał znów niespodzianie taki kwiat śliczny, ludzie mówią mu od razu: bierz go!...

Więc zmieszał się okrutnie i raz jeszcze powtórzył:

- Bójcie się Boga! gdzie wam albo mnie do niej!

Lecz oni, jako to zwykle pijany żadnej przeszkody nie widzi, poczęli nalegać:

– Nie będzie żaden z nas drugiemu zazdrościł – mówił Łukasz – a ty ją bierz! Mieliśmy i tak na wojnę iść, bo dość nam tego leśnego stróżowania. Trzydzieści talerów na cały boży rok. Na napitki nie starczy, a coże na ochędostwo? Konie posprzedawaliśmy i na twoich za wilkami jeździmy, rzędy też... Wiadomo, że ciężko sierotom. Lepiej na wojnie zginąć – a ty ją bierz, jak nas kochasz!

– Bierz ją! – wołał Jan – a my do Rakusz, do kawalera Lubomirskiego pociągniemy. Niemiaszkom pomagać pogan łuszczyć.

- Bierz ją zaraz...
- Jutro! Do kościoła!...

Lecz Cyprianowicz ochłonał już ze zdumienia i wytrzeźwiał tak, jakby nic od rana w ustach nie miał.

– Ludzie, zastanówcie się, co mówicie! Zali to tylko waszej albo mojej woli do tego potrzeba? A cóż ona sama? A cóż pan Pałowski, który jest człowiek dumny i nieużyty? Choćby też i panna stała mi się z czasem przyjacielem, wołałby on może, by rutę siała, niż aby została żoną takiego chudopachołka jako ja albo i któren z was.

– O wa! – zawołał Jan. – A cóż to pan Pałowski – kasztelan krakowski czy hetman wielki? Jeśliś dla nas dobry, to i jemu wara nosem kręcić. Za mali mu na swatów Bukojemscy? A wiera! Stary jest, niedługo mu do śmierci, niechże się strzeże, aby mu święty Piotr palców we wrotach

niebieskich nie przyskrzybnał. Ujmijże ty się za nimi, święty Pietrze, i powiedz mu tak: „Nie umiałeś, o taki synu, za życia mojej krwi uszanować, całując psa w nos!” Tak mu po śmierci powiedz! Ale my się i za życia nie pozwolimy spostonować. Jak to? To dlatego, że nie stało fortuny, mają nas poniewierać i jako chłopów traktować?... Taką ma być zapłata za nasze służby ojczyźnie, za naszą krew, za nasze rany? O bracia moi, sieroty wy boże! niejedna krzywda nas w życiu spotkała, ale cięższej nikt nam nigdy nie wyrządził.

– Prawda, prawda! – wołali żałośliwie Łukasz, Marek i Mateusz.

I łzy żalu popłynęły im znów obficie po policzkach, lecz wyplakawszy się poczęli się burzyć, albowiem zdawało im się, iż takiej obrazy nie wolno ludziom urodzonym puszczać w niepamięć.

Marek, który był najbardziej z braci porywczy, pierwszy sobie o tym przypomniał.

– Trudno go na szable pozywać – rzekł – bo stary jest i lewej ręki nie ma, ale jeśliby nam wzgardę jakowąś okazał, trzeba się pomścić. Co mam czynić? pomyslcie!...

– Nogi mi zmarzły na mrozie – odrzekł Łukasz – a teraz mnie palą okrutnie. Żeby nie to, zaraz bym coś obmyślił.

– A mnie łeb pali, nie nogi.

– Z pustego i tak nie nalejesz.

– Kaczan głąbowi przygarnia! – rzekł Jan.

– Będziecie mi tu kłótnię zaczynać, zamiast odpowiedź obmyślać! —zawołał z gniewem Marek. Lecz tu wdał się między nich Cyprianowicz.

– Odpowiedź? – zapytał – a komu?

– Pągowskiemu.

– A na co chcecie odpowiadać?

– Na co? Jak to: na co?

I poczęli na się spoglądać z niemalym zdumieniem, a potem zwrócili się do Marka.

– Czego ty od nas chcesz?

– A czego wy chcecie?...

– Do jutra sesja – zawołał Cyprianowicz. – Ot, i ogień już w grabie przygasa, i północ dawno minęła. Łoża tam pod ścianą gotowe, a spoczynek słusznie nam się należy, bośmy się spracowali na mrozie.

Ogień przygasł istotnie i pociemniało w izbie, więc rada gospodarza trafiła do przekonania panów Bukojemskich.

Chwilę jeszcze trwała rozmowa, ale coraz mniej żywa, a potem zaszemrał w izbie szept pacierzy odmawianych to ciszej, to głośniejsz, a przerywanych głębokimi westchnieniami.

Głównie w kominie poczęły pokrywać się popiołem i czernieć; czasem zapiszczało coś w dogasającym ognisku i świerszcze ozwały się po kątach żalosnym ćwierkaniem, jakby z żalu za światłem.

Rozległ się jeszcze w pomroku stukot butów zrzucanych z nóg na podłogę, po czym krótki czas cisza, a następnie ogromne chrapanie czterech uspiomych braci.

Lecz młody Cyprianowicz nie mógł zasnąć, albowiem wszystkie jego myśli krążyły koło panny Sienińskiej, jak żwawe pszczoły wokół kwiatu.

Gdzie tam spać z takim rojem w głowie!

Przymknął wprawdzie powieki raz i drugi, lecz widząc, że to na nic, pomyślał:

– Pójdę obaczyć, czy się u niej świeci jeszcze.

I wyszedł.

W oknie panny Sienińskiej nie było światła, tylko blask miesiąca drgał na nierównych szybach jak na bieżącej wodzie.

Świat był cichy i uśpiony tak głęboko, że nawet śniegi zdawały się spać w zielonawej topieli księżycowego światła.

Czy ty wiesz, że mi cię rają? – szepnął młody Cyprianowicz patrząc w srebrne okno dziewczyny.

Rozdział drugi

Starszy pan Cyprianowicz i gwoli własnej przyrodzonej mu gościnności, i wedle zwyczaju nie szczędził próśb i zaklęć, aby goście zostali dłużej w Jedlince. Klękał nawet przed panią Winnicką, co z powodu lekkiej jeszcze, ale już nieco dokuczliwej pedogry nie przychodziło mu łatwo. Wszystko to jednak nic nie pomogło. Pan Pągowski uparł się jechać przed południem do domu – i w końcu trzeba się było na to zgodzić, gdyż na jego oświadczenie, że spodziewa się gości, nie było co rzec. Wyruszyli tedy przed południem w dzień jasny, mroźny i w cudną pogodę. Okiść na drzewach i śniegi na polach były obsypane jakby tysiącami iskier, które migotały tak w słońcu, iż ledwie oczy mogły znieść owe blaski bijące z nieba i z ziemi. Konie szły tego ryścią, aż grały w nich śledziony; płozy sanic świstały po twardym śniegu; firanki po bokach były odsunięte – i co chwila to w jednym okienku, to w drugim ukazywała się różowa twarz panny Sienińskiej z wesołymi oczkami i z zaczerwienionym od mrozu noskiem, właśnie jakby wdzięczny obrazek w ramach.

I jechała jakby królewna, bo karocę otaczała „salwa—gwardia” złożona z panów Bukojemskich i młodego Cyprianowicza. Ci siedząc na dzielnych szkapach z jedlinkowskiej stajni (bo swoje posprzedawali lub pozostawiali wraz z lepszymi szablami panowie Bukojemscy), rwali po bokach, to wspinając konie, to puszczając je naprzód takim pędem, że aż wióry śnieżne, wyrwane kopytami ze zmarzłej drogi, warczały w powietrzu jak kamienie.

Może i niekoniecznie rad był z tej przybocznej straży pan Pągowski – i w chwili wyjazdu prosił nawet kawalerów, aby się nie trudzili, bo droga w dzień bezpieczna a o osacznikach w puszczy nie słyhać, ale gdy uparli się, aby stanowczo niewiasty odprowadzić, nie pozostało mu nic innego, jak płacąc grzecznością za grzeczność zaprosić ich do Bełczączki. Uzyskał też i obietnicę starszego pana Cyprianowicza, że go odwiedzi, ale dopiero za kilka dni, albowiem starszemu człowiekowi trudno było tak obcesowo wyrwać się z domu.

Prędko schodziła podróż: kawalerom na konnych popisach, a pannie Sienińskiej na pokazywaniu się w okienkach karocy. Zatrzymali się dopiero w połowie drogi, aby dać odetchnąć koniom, przy puszczańskiej karczmy zwanej dość złowrogo „Rozbój”, obok której była kuźnia i szopa. Kowal kuł konia na dworze przed kuźnią, a wedle karczmy stało kilkoro sani chłopskich zaprzęzonych w poszerzenia i okryte sędzielizną chude szkapięta, z ogonami wtulonymi między zadnie nogi i z wyobroczonymi torbami na głowach.

Ludzie wysunęli się z karczmy patrzeć na karocę otoczoną przez jeźdźców i stanęli opodal. Byli to nie chłopci, tylko mieszczanie—zduni z Kozienic, którzy letnią porą robili garnki, a zimą podczas sanny rozwozili je po wsiach, a szczególnie na odpusty w okolicy. Wydawało się im, że to jakiś wielki dygnitarz musi jechać w tej karocy otoczonej przez tak dorodną szlachtę, więc mimo mrozu pozdejmowali czapki i patrzyli z ciekawością.

Podróźni, przybrani ciepło, nie wysiadali z karocy, jeźdźcy pozostali także na koniach; poszedł tylko pacholek pana Pągowskiego z gąsiorkiem wina i z sagankiem, aby je zagrać dla państwa przy ogniu w karczmy. Tymczasem pan Pągowski kazał się zbliżyć łyczkom i począł ich wypytywać, skąd są, dokąd jadą i czy nie groziło im gdzie „niebezpieczeństwo od zwierza”.

– Gdzie tam nie groziło, wasza miłość – odpowiedział stary mieszczanin —jeno że kupą jedziemy i we dnie. Czekamy tu na naszych od Przytyka i z innych stron. Chłopów może się też coś ściągnie i jeśli się zbierze z piętnaście albo dwadzieścia wozów, to pojedziem na noc – a jeśli nie, to nie, chociaż bez pałek nie jeździmy.

– A z ludźmi nie zdarzył się jakowy wypadek?

– Zagryzły wilki Żyda podobno w biały dzień. Jechał z gęsiami, bo pierze zostało na gościńcu, a z człowieka i z konia jeno gnaty. Tylko po krymce poznali ludzie, że to był Żyd. A dziś rano przyszedł tu piechotą szlachcic, który całą noc na sośnie przesiedział. Powiada, że koń mu padł i wilcy go w jego oczach zarzęli. Skostniał ci tak na drzewie, że ledwie mógł mówić, a teraz śpi.

– Jak się zwał? Nie mówił, skąd jest?

– Nie. Piwa się jeno grzanego napił i zaraz potem padł jak nieżywy na ławę.

Pan Pągowski zwrócił się do kawalerów:

– Słyszycie, waćpanowie?

– Słyszemy.

– Bo trzeba go będzie chyba obudzić i rozpytać. Bez konia został, jakże go tu poniechać. Mógłby pacholek mój na drugiego lejcowego sieść w parze z forysiem, a jemu swego oddać. Powiadają, że szlachcic... Może z daleka?

—I pilno mu musiało być – odrzekł Stanisław Cyprianowicz – skoro nocą jechał, i do tego sam jeden. Pójdę, rozbudzę go i rozpytam.

Lecz chęć ta okazała się zbytęczną, albowiem w tej chwili z karczmy wyszedł pacholek niosąc stolnicę, a na niej dymiące kubki wina – i doszedłszy do karocy rzekł:

– Proszę waszej miłości, pan Taczewski tu jest.

– Pan Taczewski? A on tu co, u licha, robi?

– Pan Taczewski? – powtórzyła panna Sienińska.

– Ogarnie się i zaraz wyjdzie – rzekł pacholek. – Mało mi stolnicy z winem nie wytrącił, jak się dowiedział, że państwo tu są...

– A ciebie kto pyta o stolnicę?...

Pacholek umilkł, jakby głos stracił, a pan Pągowski wziął kubek wina, pociągnął raz i drugi, po czym rzekł do Cyprianowicza jakby z pewną niechęcią:

– To nasz znajomek i niby sąsiad... spod Czarnej... At!... trochę wartogłów i szalawiła. Z tych tutejszych Taczewskich, co to niegdyś w całym pono województwie...

Dalsze objaśnienia przerwało ukazanie się pana Taczewskiego, który wybiegłszy pośpiesznie z karczmy, szedł ku karocy zamaszystym krokiem, ale z pewną nieśmiałością w obliczu. Był to młody szlachcic, średniego wzrostu, z pięknymi, czarnymi oczyma, ale chudy jak trzaska; głowę miał pokrytą magierką pamiętającą bodaj czasy Batorego, na sobie szary kubrak podbity baranem i żółte szwedzkie buty z ogromnymi cholewami zakrywającymi nawet i uda. Nikt takich w Polsce już nie nosił, było więc widoczne, że to jest chyba jaka stara zdobycz wojenna z czasów Jana Kazimierza, wyciągnięta z lamusa z konieczności. Idąc patrzył na przemian to na pana Pągowskiego, to na pannę Sienińską i uśmiechał się pokazując przy tym białe, zdrowe zęby, ale uśmiech miał smutny i twarz zmieszaną, a nawet trochę zawstydzoną.

– Cieszę się okrutnie – rzekł stanąwszy przy karocy i kłaniając się grzecznie magierką – że widzę w dobrym zdrowiu waćpanią, waćpannę i waszmość pana dobrodzieja mego, gdyż droga niebezpieczna, o czym sam miałem sposobność się przekonać.

– Nakryj acan głowę, bo ci uszy zmarzną – rzekł szorstko pan Pągowski. – Dziękuję za troskliwość. A czego to acan włóczysz się po puszczy?

Taczewski spojrział bystro na panienkę, jakby chciał zapytać: „może ty wiesz, dlaczego?” – ale

widząc, że panienka oczy ma spuszczone i zabawia się przygryzaniem wstążek od kapturka, odrzekł nieco twardym głosem:

– At, przyszła mi fantazja popatrzeć na miesiąc nad borem.

– Piękna fantazja. A konia ci wilcy zarżnęli?

– Dorżnęli jeno, bom sam z niego duszę wyparł...

– Wiemy. I przesiedziałeś noc na sośnie, jak wrona. Tu panowie Bukojemscy buchnęli tak ogromnym śmiechem, aż im konie poprzysiadaly na zadach, a Taczewski odwrócił się i począł ich kolejno liczyć oczyma mając w źrenicach błyski zimne jak lód i zarazem ostre jak brzeszczot.. Po czym rzekł do Pągowskiego:

– Nie jak wrona, ale jak szlachcic bez konia, z którego waszmości dobrodziejowi śmiać się wolno, ale komu innemu może być niezdrowo.

– Oho! oho! oho! —jęli powtarzać panowie Bukojemscy przysuwając ku niemu konie. Twarze ich zmierzchły w jednej chwili i wąsy poczęły się poruszać złowrogo, a on znów począł ich liczyć zadzierając w górę głowę.

Lecz pan Pągowski ozwał się tak surowym i rozkazującym głosem, jakby nad wszystkimi miał komendę:

– Proszę mi tu żadnych zwad!... To jest pan Taczewski – rzekł po chwili łagodniej, zwracając się do kawalerów – a to pan Cyprianowicz i panowie Bukojemscy, którym, mogę rzec, iż życie zawdzięczamy, bo i nas wczoraj wilcy napadli. Insperate przyszli nam z pomocą, ale skutecznie i w porę.

– W porę – powtórzyła z naciskiem panna Sienińska wydymając nieco usta i spoglądając wdzięcznie na Cyprianowicza. A Taczewskiemu zakwitły jagody, na twarzy odbiło się jakby upokorzenie, oczy zamgliły się i z niezmiernym żalem w głosie odrzekł:

– W porę! bo ich kupa i szczęśliwi, że na dobrych koniach, a mojemu wołoszynowi wilcy już zębami dzwonią i ostatniego przyjaciela mi zbrakło. – Ale – i tu spojrział życzliwiej na Bukojemskich – niechże się święcą ręce waszmościom, boście uczynili to, co i ja z całej duszy byłbym chciał uczynić, jeno Bóg nie pozwolił...

Panna Sienińska zmienna była widocznie, jak każda białogłowa, a może też żal jej się uczyniło pana Taczewskiego, bo nagle oczki jej stały się słodkie i migotliwe, powieki jęły się mrużyć raz po raz i całkiem już innym głosem zapytała:

– Stary wołoszyn?... Mój Boże, takem go lubiła i on mnie znał. Mój Boże!...

Taczewski spojrział zaraz na nią z wielką wdzięcznością.

– Znał, mościa panno, znał...

– Waćpan, panie Jacku, nie martw się tak okrutnie...

– Martwiłem się już i przedtem, jeno że konno, a teraz się będę martwił na piechotę. Ale Bóg waćpannie zapłaci za dobre słowo...

– Tymczasem siadaj acan na myszatego – rzekł pan Pągowski. – Czeladnik siądzie obok forysia albo stanie z tyłu za karocą. A jest tam i zapaśna burka w trokach, to się odziej, boś marzył całą noc, a teraz znów mróz bierze.

– Nie – odpowiedział. – Umyślniem nie wziął szuby i ciepło mi!

– No, to w drogę!

I po chwili ruszyli. Jacek Taczewski zajął miejsce przy lewym okienku karocy, Stanisław Cyprianowicz przy drugim, tak że siedząca na przedzie panienka mogła, nie obracając głowy, swobodnie na obydwóch spoglądać.

Rozdział trzeci

Lecz panowie Bukojemscy nieradzi byli z Taczewskiego i gniewało ich to, że zajął miejsce przy boku karocy, więc zebrawszy w kupę konie, tak że niemal stykały się łbami, poczęli rozmawiać i radzić.

– Hardo ci na nas spoglądał – mówił Mateusz. – Jak Bóg w niebie, chciał nas spostponować.

– Teraz zaś konia zadem do nas obrócił. Cóż wy na to?

– Jużci łbem nie może obrócić, bo koń tyłem jako rak nie chodzi. Ale że on się ma do tej panny, to pewna – zauważył Marek.

– Toś dobrze rozpoznał. Widzicie, jako się nadstawia i przegina. Żeby się tak puślisko urwało, toby zleciał.

– Nie zleci, taki syn, bo dobrze siedzi i w puśliskach zdrowy rzemień.

– Przeginaj się, przeginaj, póki my cię nie przegniam!

– Obaczcie no! Znów się do niej uśmiecha!

– Cóż, bracia rodzeni? Pozwolim na to?

– Nigdy, jako żywo! Nie dla nas dziewczka, dobrze! ale pamiętacie, cośmy wczoraj uradzili?

– Jakże! Musiał on się tego domyślić, bo chytra widać sztuka – i teraz na złość nam się do niej zaleca. —I na wzgardę naszemu sieroctwu i ubóstwu.

– O wa! wielki mi magnat – na cudzym podjezdku! – Ba! przecież i my nie na swoich.

– Ale jedna szkapa nam została, to jak trzech w domu siedzi, czwarty może jechać choćby na wojnę, a ów i siodła własnego nie ma, bo mu je wilcy zębami porozrywali.

– I nosa jeszcze zadziera. Co on do nas cierpi? powiedzcie!

– To się go spytać.

– Zaraz?

– Zaraz, ale politycznie, by starego Pągowskiego nie urazić. Dopieroż wyrozumiawszy, co odpowie, wyzwąć.

– I wtedy już będzie nasz.

– Któryż ma z nas to uczynić?

– Jużci ja, bom najstarszy. Sople jeno sobie z wąsów wykruszę i nu!

– Jeno zapamiętaj dobrze, co ci rzeknie.

– Jako pacierz wam powtórzę.

To rzekłszy najstarszy z panów Bukojemskich począł wycierać rękawicą grudki lodu osiadłe na wąsach, a potem przysunął konia do podjezdka Taczewskiego i ozwał się:

– Mosanie?

– A co? – zapytał Taczewski odwracając niechętnie głowę od karocy.

– Co waćpan do nas cierpisz?

Taczewski popatrzył na niego przez małą chwilkę ze zdziwieniem, po czym rzekł:

– Nic.

I ruszywszy ramionami, zwrócił się znów ku karocy.

Bukojemski jechał czas jakiś w milczeniu, rozważając, czy ma wrócić i zdać braciom relację z odpowiedzi, czy mówić dalej. Ta ostatnia myśl wydała mu się jednak lepszą, więc ozwał się znowu:

– Bo jeśli myślisz, że co wskórasz, to ja ci rzekę to, co i ty mnie: nic!

Na twarzy Taczewskiego odbiła się nuda i przymus, zrozumiał bowiem, że szukają z nim zaczepki, na którą nie miał najmniejszej ochoty w tej chwili odpowiadać. Jednakże pomyślał, że trzeba coś odpowiedzieć i to coś takiego, co by mogło rozmowę zakończyć.

Więc zapytał:

– A czy tamci bracia także?...

– A jakże! ale co także?

– To się waść domyśl, a teraz nie przerywaj mi miłszego dyskursu.

Bukojemski przejechał jeszcze w pobok kroków dziesięć lub piętnaście, ale wreszcie ściągnął konia.

– Co ci rzekł? mów otwarcie! – pytali bracia.

Starszy powtórzył. Nie byli radzi.

– Boś go nie umiał zażyć – rzekł Łukasz. – Trzeba mu było konia strzemieniem w brzuch połechtąć albo skoroś wiedział, że mu na imię Jacek, powiedziec: naści placek!

– Albo powiedziec mu tak: zjedlić wilcy konia, to kup sobie kozę w Przytyku.

– To nie przepadło, ale co oznaczyło to, co rzekł: czy tamci bracia także?

– Może chciał spytać: czy także kpy?

– Pewnie! Jak mi Bóg miły! – zawołał Marek. – Nic innego nie mógł pomyśleć! A teraz co?

– Jego śmierć albo nasza. Dla Boga, toż to jawne kacerstwo, o którym i Stachowi trzeba powiedziec.

– Nie powiadaj nic, bo skoro Stachowi pannę oddajem, to Stach musiałby go wyzwać, a tu chodzi, żeby my pierwiej.

– Kiedy?

– U Pągowskiego nie idzie. A tu już Bęczałczka.

Rzeczywiście Bęczałczka była już niedaleko. Na skraju lasu stał krzyż fundacji pana Pągowskiego, z blaszanym Zbawicielem wśród dwóch włóczy; na prawo, kędy droga skręcała się za borem, widać było łąki obszerne ze wstęgą olszyn rosnących wzdłuż rzeczki; zza olszyn, po drugiej, wyższej stronie, widać było bezlistne korony wysokich drzew i dymy chat.

Wkrótce orszak znalazł się wśród chat, a gdy minął opłotki i zabudowania folwarczne, przed oczami jeźdźców ukazał się dwór pana Pągowskiego.

Obszerne dziedziniec otoczony był starym, spróchniałym, a miejscami powywracanym częstokołem. Nie dochodził do tych stron od prastarych czasów żaden nieprzyjaciel, nikt przeto nie dbał o należyłą obronność siedliska. Na obszerym dziedzińcu były aż dwa gołębniki. Po jednej stronie stała oficyna, po drugiej lamus, spichrz i duża sernica, sklecona w kratę z cienkich bierwion i desek. Przed domem i wokół dziedzińca tkwiły słupki z żelaznymi kółkami do przywiązywania koni; na każdym słupku siedziała czapka zmarzłego śniegu. Domostwo było stare, obszerne, z niskim dachem słomianym. Po dziedzińcu wałęsały się gończe, a między nimi przechadzał się bezpiecznie oswojony bocian ze złamanym skrzydłem, którego widocznie opuścił przed chwilą ciepłą izbę, aby zażyć ruchu i powietrza na mrozie.

W domu czekano ich, albowiem pan Pągowski wyprawił był pacholika przodem z oznajmieniem. Tenże sam pacholek wyszedł teraz na ich spotkanie i pokłoniwszy się rzekł:

– Pan starosta rajgrodzki Grothus przyjechał.

– Dla Boga! – zawołał pan Pągowski – dawnoże czeka?

—Nie ma i godziny. Chciał wyjeżdżać, alem mu rzekł, że waszej miłości tylko co nie widać z powrotem.

– Toś dobrze rzekł. Po czym do gości:

– Proszę waszmościów. Pan Grothus to mój krewny przez żonę. Wraca widać tędy do Warszawy od brata, bo jest deputatem na sejm. Proszę! proszę.

Po chwili znaleźli się w izbie stołowej wobec starosty rajgrodzkiego, który głową niemal dotykał pułapu, bo wzrostem przewyższał nieco nawet panów Bukojemskich, a w całym domostwie komnaty były nadzwyczaj niskie. Pan Grothus był to okazały szlachcic z mądrym wejrzeniem, z twarzą i łysiną statysty i z czołem przeciętym tuż nad nosem między brwiami. Blizna ta, podobna do zmarszczki, nadawała jego obliczu surowy i jakby gniewny wyraz. Uśmiechnął się jednak uprzejmie do pana Pągowskiego i otworzył ręce mówiąc:

– Tak, to ja, gość, witam w jego własnym domu gospodarza.

A pan Pągowski otoczył jego szyję ręką i mówił:

– Otóż gość, otóż miły gość! Daj ci, Boże, zdrowie, panie bracie, żeś wstąpił. Co tam słyhać?

– De privatis dobrze, a de publicis też dobrze, bo wojna.

– Wojna! Jak to? już? My?

– My jeszcze nie, ale przymierze z jegomością cesarzem będzie w marcu podpisane, a potem wojna pewna.

Jakkolwiek jeszcze przed Nowym Rokiem chodziły pogłoski o przyszłej wojnie z Turkami i nawet byli tacy, którzy uważali ją za niezawodną, jednakże potwierdzenie tych wieści z ust osoby tak znakomitej i tak blisko ze sprawami publicznymi obeznanej, jak pan Grothus, wielkie uczyniło wrażenie i na panu Pągowskim, i na jego młodych gościach. Zaledwie też gospodarz przedstawił ich staroście, rozpoczęła się rozmowa o wojnie, o Tekelim i o krwawych zapasach na Węgrzech, od których, jak od ogromnego pożaru, łuna biła już na kraje rakuskie i na Polskę. Miała to być wojna straszna, przed którą drżał cesarz rzymski i wszystkie ziemie niemieckie. Mówił biegły w polityce pan Grothus, że Porta poruszy połowę Azji i całą Afrykę, aby wystąpić z taką siłą, jakiej świat dotąd nie oglądał; ale przewidywania te nie popsły nikomu humoru; owszem, z radością słuchała tego bitna młodzież, której przykrzył się dłuższy domowy wypoczynek, której wojna otwierała pole do sławy, zasługi, a nawet i korzyści.

Toteż pan Mateusz Bukojemski usłyszawszy słowa starosty rajgrodzkiego uderzył się dłonią w kolano, aż rozległo się po komnacie, i rzekł:

– Pół Azji i kogo tam jeszcze? O wa! Albo to nam pierwszozna!

– Nie pierwszozna, słusznie waść mówisz! – odrzekł gospodarz, którego posepna zwykle twarz zapłonęła przelotną radością.

– Jeśli to jest rzecz już niechybna, to pewno i listy zapowiednie zostaną wkrótce wydane i zaciągi się rozpoczną. Daj Bóg! daj Bóg jak najprędzej. Był stary Dziewiątkiewicz pod Chocimiem, ślepy na oba oczy. Synowie mu kopię do ataku nastawiali – i uderzał w janczarów jak i inni. Ale ja nie mam syna!

– Już to, panie bracie, jeśli kto ma prawo w domu ostać, to wy – rzekł starosta. – Źle nie mieć syna na wojnie, gorzej nie mieć oczu, ale pono najgorzej nie mieć ręki.

– Przyuczyłem do szabli obie ręce – odpowiedział pan Gedeon – a cugle można i w zębach trzymać. Wreszcie... Chciałoby się polec – przeciw poganom – w polu... I nie dlatego jeno, że mi potargali szczęście żywota... Nie z jakowejś zemsty prywatnej... nie!... Ale ot! szczerze mówię; stary już jestem, siłam widział, siłam rozmyślał i tylem się napatrzył na złość ludzką, na prywatę, na nieład w tej naszej Rzeczypospolitej, na naszą swawolę, na rwanie sejmów, na nieposłuszeństwo, na wszelkie bezprawia, że powiem waściom, nieraz pytałem w desperacji Pana Boga: po coś ty, Panie, stworzył tę naszą Rzeczpospolitą i ten nasz naród? Aż dopiero gdy to

morze pogańskie wzbiera, gdy ów sprośny smok otwiera paszczę, aby połknąć świat cały i chrześcijaństwo, gdy jako waść mówisz, cesarz rzymski i wszystkie ziemie niemieckie drżą przed ową nawałnicą – to wtedy dopiero wiem, po co nas Bóg stworzył i jaki włożył na nas obowiązek. Sami Turkowie mówią o tym. Niechże drżą inni – my nie zadrżym, jakeśmy i pierwej nie drżeli; niechże się leje ta nasza szczerą krew choćby do ostatniej kropli – i niech się moja z nią połączy – amen!

Tu rozbłyły oczy pana Pągowskiego i wzruszył się bardzo, ale jednak łzom nie pozwolił wypłynąć na policzki, może dlatego, że wszystkie już dawniej wypłakał, a może dlatego, że był to człowiek i dla siebie, i dla innych twardy. Jednakże pan Grothus objął go za szyję, ucałował w oba policzki i tak rzekł:

– Prawda, prawda! Wiele u nas złego i tylko tą krwią mozem przed obliczem Pana naszą złość odkupić. To służba, to straż, którą nam Bóg powierzył, to przeznaczenie naszego narodu. I idą już czasy, w których złożym świadectwo tej służby... Tak jest! są wieści od pogan, że na Wiedeń zwróci się nawała. Tedy tam pójdziem i wobec świata całego pokażem, żeśmy nie co innego, jeno żołnierze Chrystusowi, na obronę wiary i krzyża stworzeni. Wszystkie narody, które dotychczas żyły bezpiecznie za naszymi plecami, będą widziały w jasny boży dzień, jak ową straż sprawujem, i da Bóg, że póki ziemia nie przeminie, póty nie przeminie nasza zasługa i sława.

Na te słowa zapal ogarnął młodych. Panowie Bukojemscy zerwali się z krzesel i poczęli wielkimi głosami wołać:

– Daj Bóg! Na kiedy zaciągi? Daj Bóg! A Cyprianowicz rzekł:

– Aż dusza się rwie! Gotowiśmy choćby dziś!

Jeden Taczewski milczał i nie rozchmurzył oblicza, a te wieści, które napęłniły radością wszystkie serca, były dla niego źródłem tylko bólu i goryczy. Jego myśl i jego oczy biegły do panny Sienińskiej, krzującej się wesoło wedle zastawy stołowej, i mówiły do niej z wymówką i żalem niezmiernym:

„Gdyby nie ty, byłbym pojechał na jaki dwór pański i – choćbym tam fortuny nawet nie znalazł – miałbym przynajmniej zbroiczkę grzeczną i konia, i ot, zaciągnąłbym się teraz pod chorągiew szukać tam śmierci albo chwały. Twoja to gładkość, twoje spojrzenia, twoje dobre słowa, coś mi je jak jałmużnę czasem rzucała, sprawiły, że tu siedział na tych kilku ostatnich zagonach i prawie głodem przymierał. I światam przez ciebie nie poznał, i nijakiego poloru nie nabrał. Com ja ci zawinił, żeś mnie z duszą i ciałem jakoby w jasyr zabrała?... A toć bym umrzeć wolał, niż cię przez rok jeden nie widzieć. I ostatniemu konia stracił, na ratunek ci śpiesząc, ty zaś jeszcze się śmiała i wdzięcznie na innego spoglądasz... A teraz co pocznę? Idzie wojna. Zali za pachółka się zgodzę albo się w piechocie pohańbię? Com ci takiego uczynił, że miłosierdzia nade mną nigdy nie miałaś?”

W taki to sposób biadał Jacek Taczewski, który niedolę swą czuł tym boleśniej, że był szlachcicem wielkiego rycerskiego rodu, choć strasznie biednym. A jakkolwiek nie była to prawda, że panna Sienińska nigdy nie miała nad nim miłosierdzia, była natomiast prawda, że z jej przyczyny nie wyruszył nigdzie w świat i siedział jakoby na wygonie, o dwóch chłopach, nie mając często na pierwsze potrzeby życia. Siedemnaście lat miał, a ona trzynaście, gdy ją pokochał bez pamięci – i od pięciu lat kochał, z każdym rokiem więcej i z każdym rokiem smutniej, bo bez nadziei. Pan Pągowski przygarniał go z początku chętnie, jako potomka wielkiej rodziny, do której ongi należały w tych stronach całe powiaty; ale później, gdy zmiarkował, jak rzeczy stoją, począł być dla niego szorstki, a czasem nawet okrutny. Nie zamykał mu wprawdzie domu, ale trzymał go z dala od panienki, mając zgoła inne dla niej nadzieje i widoki. A sama panienka doświadczała na nim swej mocy i bawiła się jego miłością tak właśnie, jak każda

dziewczyna bawi się kwiatami na łące. Czasem się nad którym pochyli, czasem który zerwie, czasem wplecie w warkocz, później rzuci, później nie myśli, a później znów wraca szukać nowych. Nigdy Taczewski nie mówił jej o swojej miłości, ale ona wiedziała o niej doskonale, choć udawała, że nie wie – i że w ogóle nie chce wiedzieć o niczym, co się w nim dzieje. Wydziwiała z nim, jak jej się podobało. Raz, gdy gonili ją pszczoły, przypadła do niego pod opończę i przytuliła mu się do serca, ale potem przez dwa dni nie chciała mu tego przebaczyć. Traktowała go chwilami niemal pogardliwie, a gdy zdawało mu się już, że wszystko ostatecznie przepadło, jednym słodkim spojrzeniem, jednym serdecznym słowem napelniała mu serce niezmierną radością i nadzieją. Jeśli czasem, czy to z powodu jakiegoś wesela, czy to imienin lub łowów w sąsiedztwie, nie było go przez kilka dni w Bełczącce, tęskniła za nim porządnie, ale gdy wrócił, mściła się za tę swoją tęsknotę i dokuczała mu długo. Najcięższe chwile przechodził, gdy w domu byli goście, a między nimi zdarzył się jaki młodzian i urodziwy, i doręczny. Wówczas to myślał Jacek Taczewski, że nie ma w jej sercu nawet prostej litości. Tak właśnie myślał teraz z powodu Cyprianowicza – a wszystko to, co pan Grothus opowiadał o przyszłej wojnie, dolewało jeszcze goryczy do i tak aż zbyt przepelnionego kielicha jego myśli.

Taczewski przywykł ogromnie w domu pana Pągowskiego do panowania nad sobą, jednakże przy wieczerzy zaledwie mógł wysiedzieć słuchając rozmowy panienki ze Stanisławem Cyprianowiczem. Nieszczęsny młodzian spostrzegł, że ten podobał się jej naprawdę, był bowiem istotnie dzielnym, miłym i wcale niegłupim chłopcem. Rozmowa przy stole toczyła się wciąż o przyszłych zaciągach. Cyprianowicz dowiedziawszy się od pana Grothusa, że może on sam będzie zaciągał w tych stronach, zwrócił się nagle do panienki i zapytał:

– Jakie waćpanna wolisz chorągwie?

A panienka spojrzała mu na ramiona i odrzekła:

– Usarskie.

– Wedle skrzydeł?

– Tak. Raz widziałam usarzy i myślałam, że to chyba niebieskie wojsko. Śnili mi się potem przez dwie noce.

– Nie wiem, czy się przyśnię ostawszy usarzem, ale że waćpanna mi się nieraz przyśni, to pewna – i też ze skrzydłami.

– A czemu tak?

– Jako właśnie anioł.

Panna Sienińska spuściła na to oczy, aż cień od rzęs padł na jej różane policzki, i po chwili odrzekła:

– Ostań waćpan husarzem.

Taczewski zaciął zęby i przeciągnął dłonią po spoconym czole, ale przy wieczerzy nie doczekał się ani słówka, ani spojrzenia. Dopiero gdy wszyscy stawali już od stołu i w komnacie uczynił się rum krzesel, słodki, ukochany głos zaszemrał mu nad uchem:

– A waćpan pójdiesz także na wojnę?

– By polec! by polec! – odpowiedział pan Jacek. I w tej odpowiedzi był taki prawdziwy i szczerzy jęk bólu, że ukochany głos ozwał się znów, jakby ze wzruszeniem:

– Po co ludzi zasmuć?

– Nie będzie nikt po mnie płakał.

– Skąd waćpan wiesz? – zaszemrał po raz trzeci głos dziewczyny. Po czym przesunęła się do innych gości tak szybko jak cudne senne widzenia i zakwitła jak różany kwiat w drugim końcu komnaty.

Tymczasem starsi panowie zasiedli sobie po posiłku nad kubkami z miodem i nagadawszy się

do woli o sprawach publicznych, poczęli gwarzyć o prywatnych. Pan Grothus wodził czas jakiś rozczulonymi oczyma za panną Sienińska, po czym rzekł:

– To ci świeca! Popatrz no waść, panie bracie, na tych młodych, którzy jak ćmy do ognia lecą! Ale nie dziwota, bo gdyby nie to, że człeku lata są, leciałby tak samo.

Lecz pan Pągowski machnął niechętnie ręką.

– Ćmy też to, szare ćmy, nic innego.

– Jakże? Przecie chyba Taczewski nie szarak.

– Ale chudopacholek. Bukojemscy także nie szaraki. Nawet się krewnymi świętego Piotra powiadają, co może im do promocji w niebie dopomóc, ale tymczasem na ziemi, w leśniczówce królewskiej, we czterech siedzą, po prostu jako gajowi.

Pana Grothusa zadziwiło pokrewieństwo Bukojemskich nie mniej niż w swoim czasie pana Pągowskiego, więc począł o nie szczegółowo wypytywać, aż w końcu rozśmiał się i tak rzekł:

– Święty Piotr– wielki to apostoł i nie chcę ja mu czci umknąć, a to tym bardziej, że czując się starym, wkrótce będę jego laski potrzebował, ale mówiąc między nami —jako parantela... no – to tam nie bardzo znów jest się czym chwalić...Jużci rybitwa był—nic więcej... Święty Józef, któren od Dawida się wywodził – ba! o takim to mi waść gadaj!

– Ja jeno mówię, że nie masz tu dla tej dziewczki nikogo odpowiedniego – i nie tylko między tymi, których waść teraz widzisz pod moim dachem, ale i w całej okolicy.

– A ówże, któren siedzi przy pani Winnickiej?... Grzeczny wydaje się kawaler.

– Cyprianowicz? Tak! grzeczny ci on jest, ale to ród ormiański, od trzech czy też czterech dopiero pokoleń uszlachcony.

– To czemu ich waść prosisz? Kupido zdradny jest, i ani się obejrzysz, jak ci tu kaszy nawarzy.

Pan Pągowski, któren już przy przedstawieniu kawalerów wspomniał, ile im zawdzięcza, opowiedział jeszcze raz szczegółowo o napadzie wilków i o pomocy, jakiej doznał, wskutek czego przez samą wdzięczność musiał zbawców swych do domu zaprosić.

– Prawda, prawda – potwierdził pan Grothus – ale swoją drogą Amor może ci tu kaszy nawarzyć, bo i w dziewczynie krew nie woda.

– Ej! wykrętna to łasica – odpowiedział pan Pągowski. – Ukąsić, to ona może i potrafi, ale sama się spomiędzy palców wywinie – i nie byle kto ją przychwyci. Taka to już przyrodzona cnota wielkiej krwi, że nie poddawać się, jeno panować i rządzić musi. Nie należą ja tam do takich, których łatwo za nos wodzić, a wszelako nieraz i ja jej ustąpię. Prawda, zem dużo Sienińskim powinien, ale choćbym nie był powinien, to jak ci stanie przede mną, a pocznie warkocz z ramienia na ramię przekładać, a głowę przechylać, a spoglądać, najczęściej zrobi, co zechce. I jeszcze nieraz pomyślę, jaki to zaszczyt i jakie błogosławieństwo boskie, że ostatnie dziecko, ostatnia dziedziczka takiego rodu pod moim dachem się znajduje... Bo przecie waćpan o Sienińskich wiesz... całe Podole było ich. Po prawdzie to i Daniłowicze, i Żółkiewscy, i Sobiescy z nich wyrosli... Król jegomość powinien o tym pamiętać, tym bardziej, że z tych niezmiernych majątności nic prawie nie ostało i że dziewczka, jeśli co będzie miała, to tylko to, co po mnie zostanie...

– A co krewni powiedzą?

– Pągowscy są jeno bardzo dalecy, którzy się nie wylegitymują. Wszelako nieraz nie daje mi spokoju myśl, że po mojej śmierci mogą być jakoweś trudności, procesy, zwady... jak to u nas zwykle. Chodzi mi zwłaszcza o krewnych żony, po której mam część majątności i tę oto właśnie Belczączkę.

– Ja tam z procesem nie wystąpię – odrzekł uśmiechając się pan Grothus – ale za innych nie zaręczam.

– Otóż to! Otóż to... Myślałem właśnie w tych czasach jechać do Warszawy i samego króla prosić o opiekę nad sierotą w przyszłości, ale on ma głowę teraz czym innym zaprzątniętą.

– Żebyś tak waść miał syna, byłaby prosta rzecz dać mu dziewczkę... Na to pan Pągowski spojrział na starostę rajgrodzkiego wzrokiem tak bolesnym, że ów urwał w połowie zdanie. Przez dłuższy czas milczeli obaj; po czym pan Gedeon rzekł przerywanym ze wzruszenia głosem:

—Mógłbym ci, panie bracie, powiedzieć z Wirgiliuszem: „infadum iubes renovare dolorem”... Tak... byłaby prosta rzecz... I powiem ci, że gdyby nie ta prosta rzecz, to byłbym może szczęśliwy od dawna. Mój syn dzieckiem zagarnięty był przez ordę. Trafiało się nieraz, że wracali ludzie z niewoli pogańskiej wtedy, kiedy i pamięć o nich zginęła... Lata całe czekałem cudu, lata całe żyłem tą nadzieją. Dziś jeszcze, kiedy podpiszę, myślę sobie: a nuż! Bóg większy niż spodziewanie ludzkie. Ale te chwile nadziei są krótkie, a ból jest długi, codzienny... Nie! Po co mam samego siebie zwodzić? Nie połączy się krew moja z krwią Sienińskich, a jeśli krewni rozdrapią moją fortunę, to i to ostatnie dziecko z rodu, któremu wszystko zawdzięczam, oстане bez chleba na świecie!

Pili znów obaj w milczeniu. Pan Grothus rozmyślał, jak by załagodzić ból, który niechcący gospodarzowi zadał, i czym by go w strapieniu pocieszyć. Aż wreszcie przyszło mu coś do głowy, co poczytał za bardzo szczęśliwy pomysł.

– Ej – rzekł – na wszystko jest sposób: i waść, panie bracie, możesz dziewczynie kawałek chleba bez wszelkich przeszkód zapewnić.

– Jakież to sposób? – zapytał z pewnym niepokojem pan Pągowski.

– Alboż to raz się trafia, że starzy ludzie biorą za żony niedorośle nawet dziewczki. Exemplum z historii wielki hetman Koniecpolski, którego starszym będąc od ciebie, zieloną jeszcze pannę poślubił. Prawdać i to, że zbyt wiele odmładzającej driakwi spożywszy zmarł w pierwszą noc po ślubie, ale ani pan Makowski, pocillator wasz radomski, ani pan łowczy Rudnicki nie zmarli, choć obaj mieli po siedemdziesiątce... Waść też człek jary... Jeśliby Pan Bóg jeszcze pobłogosławił, to tym lepiej, a jeśli nie, to we wszelakim spokoju i dostatku młodą wdowę zostawisz, która wówczas wybierze sobie takiego męża, jakiego zechce.

Czy panu Pągowskiemu przychodziły kiedy takie myśli do głowy, trudno powiedzieć, dość że wysłuchawszy słów starosty rajgrodzkiego zmieszał się bardzo, drżącą nieco ręką nalał miodu starości, przelał kubek, aż zacny napitek zaczął ściekać po stole na podłogę, i rzekł:

– Napijmy się!... Za pomyślność oręza chrześcijańskiego.

– To swoją drogą – odpowiedział pan Grothus idąc dalej za biegiem własnych myśli – a swoją drogą waść zastanów się nad tym, com powiedział – bo tak mi się widzi, żeś utrafił.

– Ale co zaś! Gdzie tam co do czego! Napij się waść jeszcze. Dalszą rozmowę przerwało im poruszenie krzesel przy większym stole. Pani Winnicka i panna Sienińska chciały się udać na spoczynek. Dźwięczny, jak srebrny dzwonek głos panienki począł powtarzać: „dobranoc waćpanu, dobranoc waćpanu” – potem dygnęła pięknie panu Grothusowi, pocałowała w rękę pana Pągowskiego, otarła się jak kotka czołem i noskiem o jego ramię i poszła. Cyprianowicz, Bukojemscy i Taczewski wyszli też zaraz za paniami. W izbie pozostali tylko dwaj starzy i gwarzyli długo, albowiem pan Pągowski kazał podać nowy ęsiorek jeszcze zaciejszego miodu.

Rozdział czwarty

Czy to byt czysty przypadek, czy figiel panienki – nie wiadomo, dość że umieszczono w oficynie czterech panów Bukojemskich w jednej wielkiej izbie, a w drugiej, mniejszej, Cyprianowicza i Taczewskiego razem. Zmieszało ich to niepomału, więc żeby do siebie nie gadać, poczęli zaraz pacierze i odmawiali je dłużej niż zwykle. Jednakże gdy je ukończyli, nastąpiło kłopotliwe milczenie, które ciążyło obom, bo chociaż nie żywili dla się przyjaznych uczuć, czuli, że nie wypada się z tym zdradzać i że trzeba do czasu, a zwłaszcza w domu pana Pągowskiego, nadrabiać politykę.

Taczewski odparował szablę, wy dobył ją z pochwy, popatrzył na ostrze pod światło komina i począł je chustką przecierać.

– Po mrozie – rzekł na wpół do siebie, na wpół do Cyprianowicza —zapoci się w ciepłej izbie i rdza od razu gotowa.

– A zeszłej nocy musiała dobrze zmarznąć – odpowiedział Cyprianowicz.

I rzekł to bez żadnej złośliwej intencji, dlatego tylko, iż przyszło mu na myśl, że Taczewski spędził istotnie ową noc na trzaskającym mrozie; lecz ów oparł zaraz koniec szerpentyzny o podłogę i począł mu patrzeć bystro w oczy.

– Waść do tego pijesz, żem siedział na sośnie?

– Tak – odrzekł z prostotą Stanisław – już ci tam komina nie było.

– A co byłbyś na moim miejscu uczynił? Cyprianowicz chciał już odpowiedzieć: „to samo” – ale że pytanie zadane było głosem ostrym, więc rzekł:

– A po co mam sobie nad tym głowę łamać, kiedym tam nie był. Gniew mignął na twarzy pana Jacka, więc żeby się pohamować, począł chuchać na szablę i wycierać ją jeszcze mocniej; wreszcie wsunął ją na powrót w pochwę i rzekł: – Bóg zsyła przygody i szkody.

I błyszczące przed chwilą oczy przyoblekły mu się znów zwykłym smutkiem, bo wspomniał na jedynego przyjaciela, konia, którego wilcy rozerwali.

Tymczasem drzwi się otworzyły i weszli ze dworu czterej panowie Bukojemscy.

– Mróz zelżał i śniegi dymią – rzekł Mateusz.

– Będzie mgła – dodał Jan.

A wtem ujrzeli Taczewskiego, którego w pierwszej chwili nie spostrzegli.

– O! – zawołał zwróciwszy się do Cyprianowicza Łukasz – to ty w takiej kompanii?

Wszyscy czterej wsparli się w boki i poczęli patrzeć wyzywającym wzrokiem na pana Jacka.

Ów zaś chwycił stółek i wysunawszy go na środek izby obrócił nagłym ruchem ku panom Bukojemskim, po czym okraczył go jak konia, wsparł łokcie na poręcz, podniósł głowę i odpowiedział im również wyzywającym wzrokiem.

I w ten sposób tkwili naprzeciw siebie: on z szeroko rozstawionymi nogami, w swoich szwedzkich butach, oni zaś stojąc ramię przy ramieniu, ogromni, groźni i zaczepni.

Cyprianowicz widział, że zanosi się na kłótnię, ale zarazem chciało mu się śmiać. Mniemając też, że w każdej chwili potrafi zwadzie zapobiec, pozwolił im tymczasem patrzeć na siebie.

– Ej, zuchwała jakaś sztuka! – mówił sobie myśląc o Taczewskim – nic się jakoś nie

konfunduje.

Tymczasem milczenie trwało dalej, zarazem nieznośne i śmieszne. Odczuł to i pan Jacek, albowiem pierwszy je przerwał:

– Siadajcie, mopankowie – rzekł – nie tylko przyzwalam, ale proszę. Bukojemscy spojrzeli na siebie ze zdziwieniem, zmieszani niespodziewanym zwrotem.

– Jak to? Cóż to? Co on sobie myśli?...

– Proszę, proszę!... – powtórzył Taczewski wskazując na zydle.

– Stojem, bo nam się podoba – rozumiesz?

– Zbytek ceremonii.

– Jakich ceremonii? – krzyknął Łukasz. – Cóż to biskupa czy senatora udajesz, ty – ty Pompejuszu jakiś...

Taczewski nie ruszył się z krzesła, tylko grzbiet począł mu drgać jakby z nagłego śmiechu.

– A czemu acan zowiesz mnie Pompejuszem? – zapytał.

– Boś tego godzien.

– A może dlatego, żeś kiep?

– Bij, kto w Boga wierzysz! – zawołał Jan. Lecz pan Jacek miał już widocznie też dosyć rozmowy, bo nagle poderwało go coś z miejsca i skoczył jak kot ku Bukojemskim.

– Słuchajcie, zawalidrogi – rzekł zimnym jak stal głosem – czego wy ode mnie chcecie?

– Krwi! – zawołał Mateusz Bukojemski.

– Nie wywiniesz się! – krzyknął Marek.

– Wychodź zaraz!... – dorzucił chwytając się za bok Mateusz.

Lecz Cyprianowicz wsunął się szybko między nich.

– Nie pozwolę! – zawołał. – To cudzy dom.

– Tak! – przyświadczył Taczewski – to cudzy dom i nie uczynię tego panu Pagowskiemu, abym was miał pod jego dachem popłatać, ale jutro znajdę was!

– To my cię jutro poszukamy! – huknął Mateusz.

– Szukaliście zaczepki, dawaliście okazje cały dzień, dlaczego? – nie wiem, bom was nie znał ani wy mnie, ale przypląćcie mi to, bo za moją obrazę nie czterem, ale dziesięciu do oczu stanę.

– O wa! o wa! dość będzie jednego. Widać to, żeś o Bukojemskich nie słyszał – zawołał Jan.

Lecz Taczewski zwrócił się nagle do Cyprianowicza.

– Mówiłem o czterech – rzekł – ale może i waćpan łączysz się z tymi kawalerami? Cyprianowicz skłonił się grzecznie.

– Skoro waś o to pytasz...

—Ale my pierwsi i po starszeństwie. Od tego nie odstępim. Obiecaliśmy ci ją i usieczem każdego, który ci w drogę wejdzie.

Taczewski spojrzał bystro na Bukojemskich, w jednej chwili domyślił się, o co chodzi, i przybladł.

– To tak! panie kawalerze? – rzekł znów do Cyprianowicza – to masz najmitów i za ich szablami się chowasz? A wiera, że to i pewnie, i przepiecznie, ale czy po ślachecku i po rycersku, to inna rzecz! Tfu! w jakiejżem się to znalazł kompanii!

Cyprianowicz, lubo z natury duszę miał łagodną, usłyszawszy tak haniebny posąd, oblał się krwią, żyły wystąpiły mu na czoło, oczy poczęły ciskać błyskawice, zazgrzytał okropnie zębami i chwycił za rękojeść szabli.

– Wychodź! wychodź w tej chwili! – zawołał zdławionym przez gniew głosem.

Zabłyśły szable i w izbie rozwidniło się od stali, na którą padał blask płonącego w kominie łuczywa. Lecz trzej panowie Bukojemscy, skoczywszy między przeciwników, stanęli murem między nimi, czwarty zaś chwycił w ramiona Cyprianowicza i począł wołać:

- Staszku, na miły Bóg, pohamuj się! My pierwwej!
- My pierwwej! – powtórzyli inni.
- Puszczaj! – rzeził Cyprianowicz.
- My pierwwej!
- Puszczaj!...
- Trzymajcie Staszka, a ja tymczasem się sprawię! – wołał Mateusz. I chwyciwszy za rękę Taczewskiego, począł go ciągnąć na stronę, ażeby zaraz zacząć, lecz ów ochłonał już, więc wyszarpnął dłoń, wbił szablę do pochwy i rzekł:
 - Moja wola, kto pierwwej i kiedy! Za czym wam mówię: jutro, i nie tu, jeno w Wyrąbkach.
 - O, nie wymigasz się. Zaraz! zaraz!
 Lecz Taczewski skrzyżował ręce na piersiach.
 - Ha! jeśli pod cudzym dachem chcecie mnie bez bitwy mordować, to dobrze.
 Na to wściekłość porwała braci. Poczęli bić napiętkami o podłogę, szarpać wąsy i sapać jak niedźwiedzie.

Ale żaden nie śmiał się już porwać na Taczewskiego, aby hańby na się nie ściągnąć!

 Ów zaś stał jeszcze czas jakiś, jakby czekając, czy ku niemu nie skoczą, wreszcie chwycił za magierkę, wtulił ją na czuprynę i rzekł:
 - Tedy wam zapowiadam: jutro! Panu Pągowskiemu powiedzcie, że w gości do mnie idziecie – a pytajcie o drogę do Wyrąbek. Za strugą będzie Męka Pańska z czasów zarazy. Tam was w południe czekam... Bodaj was zabito!
 I ostatnie słowa wymówił jakby z żalem, po czym otworzył drzwi i wyszedł.
 Na dziedzińcu opadły go pieski i znając go dobrze, poczęły się do niego łąsić. On spojrzał mimo woli na słupki pod oknami, jakby szukając swego konia; przypomniał sobie, że go już nie ma na świecie, więc westchnął i poczuwszy chłodny powiew wiatru, rzekł sobie w duszy:
 - Biednemu wiatr w oczy! Pójdę piechotą!... A tymczasem w izbie młody Cyprianowicz łamał ręce z bólu, z gniewu i z okropną goryczą mówił do panów Bukojemskich:
 - Kto was o to prosił? Największy wróg nie pogrzyłby mnie głębiej niż wy razem z waszą przysługą. Oni zaś żalowali go bardzo i poczęli go ścisnąć jeden po drugim.
 - Staszku – mówił Mateusz. – Przysłali nam gąsiorek na noc do izby. Na Boga, pociesz się!...

Rozdział piąty

Szaro jeszcze było na świecie, gdy ksiądz Woynowski clał przez wysoki śnieg z latarką do swoich zajęcy, do gołębi i kuropatw, które w spichlerku w osobnej zagrodzie hodował.

Oswojona liszka z dzwoneczkiem na szyi szła za nim w trop, a obok niej szpic łaciasty i jeź, którego w ciepłej księżej izbie nie zmorzył sen zimowy. Czwórka owa, przeszedłszy z wolna dziedziniec, zatrzymała się pod słomianym okapem spichlernym, z którego zwieszały się długie sople lodu. Tam zakolysała się latarka, zaskrzypiał klucz w kłódce, szczęknął skobel, zaskrzypiały jeszcze mocniej od klucza drzwi i staruszek wraz ze zwierzęty wszedł do środka. Po chwili, siadłszy na pieńku, postawił na drugim latarkę i wzięwszy przed się płócienną torbę z ziarnem i z pachnącymi piwnicą liśćmi kapusty, począł, ziewając głośno, miotać je przed siebie na polepę.

Ale zanim jeszcze do tego się zabrał, z ciemnych kątów komórki przykicały zaraz trzy zajęce, a potem zamigotały w świetle latarki na kształt błyszczących paciorków oczka gołębi i rdzawych kuropatw, które przysunęły się zbitym stadkiem, kołysząc główkami na giętkich szyjach. Gołębie, jako śmielsze, wnet zaczęły kuć dziobkami w polepę, kuropatwy zaś zbliżyły się ostrożniej, spoglądając to na padające ziarno, to na księdza, to na liszkę, z którą opatrzyły się zresztą od dawna, bo schwyte jeszcze latem pisklętami i hodowane w domu od maleńkości, widywały ją codziennie.

Ksiądz zaś sypał wciąż ziarno i zarazem mruczał pacierz poranny:

– Pater noster, qui es in coelis, sanctificetur nomen... Tu przerwał i zwrócił się do liszki, która opierając się o niego bokiem, dygotała, jakby ją febra trzęsła...

– A zawsze skóra na tobie drży, skoro je ujrzysz... Co dzień to samo... Naucz się przyrodzone żądze hamować, boć wikt masz zacny i głodu nie cierpisz. Na czymżem stanął?...

Tu przymknął oczy, jakby czekając na jakowąś odpowiedź, a że jej nie usłyszał, więc zaczął od początku:

– Pater noster, qui es in coelis, sanctificetur nomen tuum, adveniat regnum tuum... I znów przerwał.

– Wijesz się, wijesz – mówił kładąc rękę na grzbiecie liszki. – Taka już paskudna w tobie natura, że ci nie tylko jeść, ale i zabijać trzeba. Chwyć ją, Filuś, za kite, a jeśli ci co niepolitycznego pod nos uczyni, to ją ugryź... Adveniat regnum tuum... O taka córko! wiem, co byś odrzekła, że i człek libenter perdices manducat, ale to wiedz, że człek chociaż w post daje im spokój, a w tobie chyba sprośnego Lutra dusza siedzi, bo ty byś i w Wielki Piątek mięso żarła. Fiat voluntas tua... Truś! truś! truś!... sicut in coelo —naści jeden z drugim jeszcze po kaczanie!... et in terra...

I tak mówiąc rzucał gąbiki, a następnie znów miotał ziarno, zrzedząc trochę i na gołębie, że choć wiosna jeszcze nie blisko, a one już coś nadto koło siebie zachodzą i depcą, i gruchają. Wreszcie gdy już torba wypróżniła się zupełnie, wstał, podniósł latarnię i zabierał się do wyjścia, gdy wtem na progu spichrza ukazał się Taczewski.

– A! Jacuś – zawołał ksiądz – a ty tu co tak rano robisz? Taczewski ucałował go w ramię i odrzekł:

– Do spowiedzi, dobrodzieju, przyjechałem, a w czasie rannej mszy chciałbym do Stołu Pańskiego przystąpić.

– Do spowiedzi? Dobrze, ale cóż ci tak przypiliło? Gadaj no zaraz, bo to nie bez kozery!

– Powiem szczerze. Mam się dziś pojedynkować, a że z pięcią mężami łatwiej o przygodę niż z jednym, więc chciałbym duszę oczyścić.

– Z pięcią mężami? Rany boskie! a tyś im co uczynił?

– Ot, właśnie, że im nic nie uczyniłem. Sami szukali zwady i sami mnie pozwali.

– Cóż to za jedni?

– Bukojemscy leśniczowie i Cyprianowicz z Jedlinki.

– To ja ich znam. Pójdźże na plebanię, powiesz mi, jako co było. I wyszli. Ale na środku obejścia ksiądz Woynowski zatrzymał się nagle, spojrzawszy bystro w oczy Taczewskiego i rzekł:

– Słuchaj, Jacek, w tym jest mulier?

A ów uśmiechnął się smutno.

– I jest, i nie ma – rzekł – bo w rzeczy o nią poszło, ale ona temu nie winna.

– Aha! niewinna! wszystkie one niewinne. A czy ty wiesz, co mówi Eklezjasta o niewiastach?

– Nie pamiętam, dobrodzieju.

– I ja nie pamiętam, ale czego sobie nie przypomnę, to ci w domu przeczytam. „Inveni (powiada) amariorem morte mulierem, quae laqueus (powiada) venatorum est et sagena cor eius”. I coś tam dalej powiada, ale w końcu mówi: „qui placet Deo, effugiet illam, qui autem peccator est, capietur (powiada) ab illa”. Ostrzegałem cię nie raz i nie dziesięć razy, żebyś w tym domu nie przesiadywał – a teraz masz.

– Oj! łatwiej ostrzegać, niżli tam nie bywać – odpowiedział z westchnieniem Taczewski.

– Nic cię tam dobrego nie spotka.

– Pewnie – odrzekł cicho młody rycerz.

I szli ku plebanii w milczeniu, a ksiądz z twarzą stroskaną, bo kochał Jacka z całej duszy. Gdy po śmierci ojca, którego umarł z zarazy, młodzieńczyk pozostał sam na świecie, bez bliskich krewnych, bez mienia, na kilku chłopach w Wyrąbkach, staruszek otoczył go tkliwą opieką. Majątku dać mu nie mógł, bo mając duszę anielską, rozdawał biednym wszystko, co mu uboga parafia przynosiła, ale jednakże skrycie mu pomagał, a przy tym pilnował go, uczył – i to nie tylko na książce, ale i sztuki rycerskiej. Był to bowiem swego czasu zawołany żołnierz, jeden z przyjaciół i kammilitonów sławnego Wołodyjowskiego, i czarniecczyk, który całą wojnę szwedzką odbył i dopiero po jej ukończeniu przywdział, wskutek pewnej okropnej przygody, suknię kapłańską. Pokochawszy Jacka cenił w nim nie tylko potomka znamienitego rycerskiego rodu, ale i duszę szlachetną i smutną, taką jak była jego własna. Więc bolał i nad jego niezmiernym ubóstwem, i nad jego nieszczęsną miłością, z powodu której młodzian, zamiast szukać sławy i chleba na szerokim świecie, marniał w zapadłym wyczółku prowadząc na wół chłopskie życie. Stąd czuł pewną niechęć dla całego domu w Bełczącce, mając i to za złe panu Gedeonowi Pałowskiemu, że był dla kmięciów przyostrzy.

On zaś miłował owych „robaków ziemnych” jak źrenicę oka, ale prócz nich kochał także wszystko, co żyje na świecie: i te zwierzęta, na które zrzędził, i ptaki, i ryby, a nawet i zabi naród, który rechocze i kumka latem w przygrzanych słońcem wodach.

Jednakże w tej kapłańskiej sukni chodził nie tylko anioł, ale i dawny żołnierz, więc gdy teraz dowiedział się, iż Jacek ma się z pięciu mężami potykać, myślał już tylko o tym, jak się też młodzian popisze i czy wyjdzie ze sprawy bez szwanku. Zatrzymał się przeto jeszcze przy samych drzwiach plebanii i rzekł:

– Ale się przecie nie dasz? Bo, com sam umiał i co mi Wołodyjowski pokazał, tegom ci nie ukrywał.

– Nie chciałbym, by mnie na śmierć usiekli – odpowiedział skromnie Taczewski – bo idzie wielka wojna z Turczyńcem.

Na to zaświeciły jak gwiazdy oczy staruszka, w jednej chwili chwycił Jacka za pętlicę od kubraka i począł pytać:

– Pochwalone imię Pańskie! Skąd wiesz? kto ci mówił?

– Pan starosta Grothus – odpowiedział młodzieniec. Długo trwała rozmowa Jacka z księdzem, długo spowiedź przede mszą, a gdy wreszcie znaleźli się obaj po mszy na plebanii i zasiedli do piwnej polewki, staruszkowi wciąż jeszcze nie schodziła z myśli wojna z pogany i począł z tego powodu narzekać na zepsucie obyczajów i na upadek pobożności w Rzeczypospolitej.

– Mój Boże – mówił – toż to pole chwały i zbawienia otwarte... a wy wolicie prywatnych spraw dochodzić i wzajem się szczerbić. Mogąc krew przelać w obronie krzyża i wiary, gotowicie bratnią przelewać. I dla kogo? dla czego? dla uraz prywatnych albo dla niewiast i tym podobnych marności światowych. Wiem ci ja, że w Rzeczypospolitej stary to nałóg – i mea culpa, bom za czasów grzesznej i płochej młodości sam mu podlegał. Na leżach zimowych, gdy wojska jeno próżniactwem i pijaństwem zajęte, nie masz dnia bez pojedynków, ale przecież i Kościół je karci, i prawo ich broni; Grzech też to jest zawsze, a przed wojną turecką grzech tym większy, bo tam każda szabla potrzebna i każda wierze prawdziwej i prawdziwemu Bogu służy. Dlatego to król nasz, któren jest defensor fidei, nienawidzi pojedynków, a wobec nieprzyjaciół, w polu, gdy prawo wojenne sprawuje, to i surowo za nie karze.

– Król też w młodości nie jeden i nie dwa odbył pojedynki – odpowiedział Taczewski. – Wreszcie, cóż robić, ojczyźnie wielbny? Nie ja przecie pozwałem, ale mnie pozwano. Zali mogę nie stanąć?!

– Prawda, nie możesz! i dlatego też smuci się dusza moja. Ha! Bóg będzie przy niewinności.

Taczewski począł się z nim żegnać, bo do południa nie było więcej jak dwie godziny, a drogę miał przed sobą znaczną.

– Czekażże – ozwał się ksiądz Woynowski. – Tak cię przecie nie puszczę. Każę czeladnikowi sanie z drabkami wyościć słomą i pojechać ku bojowisku. Bo jeśli u Pałowskiego nic o pojedynku nie wiedzą, to i pomocy nie poślą, a jakoż będzie, jeśli który z tamtych albo i ty ciężką ranę poniesiesz? Pomyślałeś o tym?

– Nie pomyślałem, a pewnie tamci też nie pomyślą.

– A widzisz! Pojadę też i sam, ale na placu nie będę, jeno się w Wyrąbkach u ciebie zatrzymam. Wiatyk i chłopca z dzwonkiem też wezmę, bo kto wie, co się może zdarzyć. Nie przystoi, nie przystoi duchownemu być świadkiem takich rzeczy, ale gdyby nie to, to chętnie bym tam był, choćby dlatego, żeby i tobie ducha dodać.

A Taczewski spojrział na niego swymi słodkimi jak u dziewczyny oczyma.

– Bóg zapłać – rzekł – ale ja ducha nie tracę, bo choćby przyszło nałożyć głowę, to...

– Milczałbyś lepiej – przerwał ksiądz. – A nie żał by ci to było na Turka nie iść i sławniejszą śmiercią nie ginąć?

– Prawda, dobrodzieju, postaram się też, aby mnie te ludojady od razu nie połknęły.

Lecz ksiądz Woynowski zamyślił się przez chwilę, po czym rzekł:

– Ale gdybym tak pojechał na miejsce i przedstawił im, jaka nagroda może ich spotkać w niebie, jeśli z pogańskiej ręki zginą, może by cię zaniechali?

– Niechże Bóg broni! – zawołał żywo Jacek. – Myśleliby, że z mojej namowy. Niechże Bóg broni! Lepiej mi zaraz jechać, niż takich rzeczy słuchać.

– Ha! to nie ma co! Jedziem! – rzekł ksiądz.

I zawoławszy czeladnika, wydał mu rozkaz, by zakładano co ducha do sani, po czym obaj z Taczewskim wyszli z plebanii, aby osobiście pomagać w zaprzężaniu.

Lecz na podwórzu staruszek na widok konia, na którym pan Jacek przyjechał, aż cofnął się ze zdumienia i zawołał:

– W imię Ojca i Syna, a tyś skąd wziął takiego chmyza. I rzeczywiście pod płotem stała z nisko zwieszonym i obrośniętym na szczękach łbem poszerzeniała szkapina, niewiele większa od rostej kozy.

– Od chłopca pożyczyłem – odpowiedział Taczewski. – Ot, jakbym na wyprawę turecką jechał...

I począł się śmiać z bolesnym przymusem. A na to ksiądz:

– Mniejsza, na jakim pojedziesz, byleś na tureckim wrócił, co daj ci Boże, Jacuś, ale tymczasem przełoż kulbakę na mego podjezdka, bo tak się nie można tamtej szlachcie prezentować.

Po czym przyglądali jeszcze, co potrzeba, i ruszyli: ksiądz, chłopak kościelny z dzwonkiem i woźnica na saniach, a Taczewski konno. Dzień był chmurny i nieco mglisty, albowiem na świecie uczyniła się odwilż. Śnieg leżał na zmarzniętej ziemi, ale z wierzchu zmiękł znacznie, tak że kopyta końskie pograżały się w nim bez odgłosu, a płozy cicho sunęły po równej drodze. Zaraz za Jedlnią spotkali kilkanaście fur z drzewem, a przy nich chłopów idących pieszo, którzy klękali na odgłos dzwonka, mniemając, że ksiądz jedzie gdzieś z Panem Bogiem do konającego. Potem zaczęły się przedlesne pola przysłonięte mgłą, puste, białe, nad którymi przeciągały stada wron. W miarę jak zbliżali się ku lasom, mgła gęstniała coraz bardziej, toczyła się dołem, napelniała przestrzeń i szła ku górze, tak że po pewnym czasie słyszeli nad sobą krakanie, ale nie mogli dojrzeć ptactwa. Przydrożne krze wyglądały jak duchy. Świat stracił zwykłą rzeczywistość i zmienił się w jakąś krainę niepewną, obłądną, z zatartym, majaczącym pobliżem i zupełnie niewiadomą dalą.

Jacek jechał na podjezdku po cichych śniegach, rozmyślał o czekającej go bitwie, a więcej jeszcze o pannie Sienińskiej, i tak na w pół do siebie, na w pół do niej przemawiał w duszy: „Moje kochanie dla cię zawsze jednakie, jeno żadnej radości w sercu z niego nie mam. Ej! po prawdzie mało ja jej miałem i przedtem. A teraz, gdybym to choć te twoje nożyny mógł objąć albo dobre słowo od ciebie usłyszeć, albo choć wiedzieć, że pożałujesz, jeśli mnie spotka przygoda, ale to wszystko jest jako ta mgła... i tyś sama jakoby za mgłą, i nie wiem, co jest, i nie wiem, co będzie ni co mnie spotka, ni co się stanie – nic nie wiem”.

I poczuł Jacek, że wielki smutek osiada mu na duszy, tak jak wilgoć osiadała na jego ubraniu, więc westchnął głęboko i rzekł:

– Ale już wolę, że się to raz skończy!

A księdza Woynowskiego również niewesołe opadły myśli. „Nabiedowało się chłopczyko – mówił sobie – młodości nie użyło, nagryzło się z przyczyny tych nieszczęsnych amatorów, a teraz co? Jeszcze mi go te zabijaki Bukojemscy usieką. Niedawno w Kozienicach poszczerbili po odpuście pana Korzybskiego... A choćby mi Jacka nie usiekli, to też nic dobrego z tego nie wypadnie. Mój Boże! dyć to chłop jako najszczerze złoto – i z wielkiego rycerskiego rodu ostatni odziomek, ostatnia żywica kropla krwi... Żeby się choć teraz przypilnował... w Bogu nadzieja, że nie zapomniał tych dwóch ciosów—jednego mylonego pod zastawę z uskoczeniem w bok, drugiego – z młyńca przez policzek... Jacku!

Lecz Jacek nie dosłyszał, bo był naprzód odjechał, a staruszek nie powtórzył wołania. Owszem, stropił się bardzo, gdyż przyszło mu na myśl, że nie wypada duchownemu, który jedzie z sakramentami, o takich rzeczach rozmyślać. Począł się tedy kruszyć i przepraszać Pana Boga.

Ale na duszy było mu coraz ciężej. Opanowało go nagle złe przeczucie, które zmieniło się niemal w pewność, że ten dziwny pojedynek bez świadków skończy się jak najgorzej dla Jacka.

Tymczasem dojechali do poprzecznej drogi, która w prawo szła do Wyrąbek, w lewo do Belczączki. Woźnica, jak miał rozkaz, stanął. Taczewski przysunął się do sani i zeskoczył z podjezdka.

– Pójdę pod figurę piechotę – rzekł – bo nim sanie jegomości odwiożą i ku nam wrócą, nie wiedziałbym, co z koniem uczynić. Oni tam może już są.

– Jeszcze nie ma południa, ale blisko – odpowiedział ksiądz zmienionym nieco głosem. – A jaka mgła! Po omacku będziecie się bili.

– Ej, dość widać!

Krakanie niewidzialnych wron czy kruków znów ozwało się nad ich głowami.

– Jacku! – rzekł ksiądz.

– Słucham.

– Bo skoro już ma do tego przyjść, to pamiętaj na rycerzy z Taczewa.

– Nie powstydzą się mnie, ojczy, nie!

Jakoż staruszek zauważył, że rysy młodzieńca jak gdyby stwardniały, a oczy nie pozbyły się wprawdzie smutku, ale nie miały już takiej dziewczęcej słodyczy jak zwykle.

Więc rzekł:

– To dobrze, ale klękniij, to cię przeżegnają i sam się przeżegnaj przed samym rozpoczęciem. To rzekłszy nakreślił palcami znak krzyża na głowie Jacka, który ukląkł na śniegu. Następnie przywiązał podjezdka za saniami obok chmyza, ucałował rękę księdza i poszedł w stronę Belczączki.,

– A wracaj mi zdrowo! – zawołał za nim ksiądz.

Pod krzyżem nie było jeszcze nikogo. Taczewski obszedł kilka razy figurę, po czym siadł na kamieniu leżącym u jej podstawy i czekał.

Naokół panowała ogromna cisza; tylko wielkie, podobne do łez krople, utworzone z wilgotnej mgły, spadające z ramion krzyża, uderzały z cichym szelestem o miękki śnieg. Ta cisza pełna jakowegoś smutku i ta mglista pustka zapełniły nową falą żalu serce Jacka. Poczł się tak samotny, jak nigdy dotąd: „Prawdziwie jestem ci jako ten kołek na świecie! – rzekł sobie – i taka też będzie dola moja aż do śmierci”.

I machnął ręką.

– Toteż niech się raz skończy!

I z coraz większą goryczą myślał, że przeciwnikom nie pilno, bo im weselej, bo oto siedzą sobie teraz w Belczączce, rozmawiają z „nią” i mogą na nią patrzeć do woli.

Ale mylił się, bo im było także pilno. Po chwili doszedł go gwar głośnej rozmowy i w białawym tumanie zamajaczyły cztery ogromne postacie Bukojemskich i piąta, mniejsza, Cyprianowicza.

Rozmawiali tak głośno dlatego, że kłócili się o to, który pierwszy ma się rąbać z Taczewskim. Bukojemscy swarzyli się zresztą zawsze i o wszystko między sobą, ale tym razem spór szedł z Cyprianowiczem, który dowodził, że będąc najciężej obrażony, koniecznie powinien przed nimi stanąć. Umilkli dopiero na widok krzyża oraz stojącego pod nim pana Jacka i uchylili czapek, nie wiadomo, czy przez uszanowanie dla Męki Pańskiej, czy dla powitania przeciwnika.

Taczewski skłonił im się w milczeniu i dobył szabli, ale serce poczęło mu w pierwszej chwili bić niespokojnie w piersi, albowiem było ich przecie pięciu przeciw jednemu, a przy tym Bukojemscy wyglądali po prostu strasznie: chłopcy duże, barczyste, o wąsach jak miotły, na których mgła osiadła siwą rosą, i o brwiach namarszczonych – w twarzach mieli jakąś ponurą, zbójcką radość, jakby cieszyli się ze sposobności do rozlania krwi ludzkiej.

– Po co ja kładę zdrową głowę pod ewangelię? – pomyślał Jacek. Lecz po owej chwili niepokoju poczęło go ogarniać oburzenie na tych opojów, których prawie nie znał i którym nie uczynił żadnej krzywdy, a którzy Bóg wie dlaczego przyczepili się do niego i oto teraz przyszli nastawać na jego życie. Więc w duszy tak do nich przemówił:

– Czekajcież, zawalidrogi. Przynieśliście tu i swoje głowy!

I policzki zakwitły mu, a zęby zacisnęły się z gniewu. Oni tymczasem poczęli zrzucać opończe i zawijać rękawy u żupanów, co czynili niepotrzebnie wszyscy od razu, ale czynili dlatego, że każdy myślał, iż od niego się rozpocznie. Wreszcie stanęli rzędem, już z gołymi szablami, a Taczewski, postąpiwszy ku nim, stanął również i patrzyli na się w milczeniu. Przerwał je Cyprianowicz:

– Ja pierwszy służę waćpanu.

– Nie! Ja pierwszy, ja pierwszy! – powtórzyli razem Bukojemscy.

I gdy Cyprianowicz wysunął się naprzód, tamci pochwycili go zaraz za łokcie. Poczęła się znów kłótnia, w której Cyprianowicz wymyślał im od hajdamaków, a oni jemu od gładyszów, sobie zaś wzajem od psubratów. Zgorszył się nią niezmiernie pan Jacek i rzekł:

– Takich kawalerów w życiu jeszcze nie widział. I zasunął szablę do pochwy.

– Wybierzcie, bo odejdę! – rzekł podniesionym, twardym głosem.

– Wybierz ty sam! – zawołał Cyprianowicz w nadziei, że wybór na niego padnie.

Mateusz Bukojemski począł krzyczeć, że na to nie pozwoli, by lada chłystek miał nim rozporządzać, i krzyczał tak, że aż przednie zęby, które miał przydługie, jak u zająca, błyskały mu spod wąsów: ale umilkł, gdy Taczewski, wydobywszy znów szablę, wskazał go jej krzywcem i rzekł:

– Acana wybieram.

Pozostali bracia wraz z Cyprianowiczem usunęli się też zaraz, widząc, że inaczej nigdy do ładu nie dojdą, tylko oblicza im posmutniały, albowiem znając siłę Mateuszową, byli niemal pewni, że nie zostanie im nic po nim do roboty.

– Poczynajcie! – rzekł Cyprianowicz.

Taczewski odczuł także siłę przeciwnika zaraz przy pierwszym złożeniu, bo aż szabla zadrżała mu w dłoni, odbił jednak cięcie, odbił drugie, po trzecim zaś rzekł sobie w duszy:

– Nie tak ci on sprawny jak mocny. I przykucnąwszy nieco dla lepszego skoku, natarł z impetem. Inni bracia, pospuszczawszy końce szabel ku dołowi, śledzili z otwartymi ustami przebieg walki, poznali bowiem, że i Taczewski „zna się na rzeczy” i że nie będzie z nim tak łatwo. Po chwili pomyśleli, że zna się nawet bardzo dobrze, i oblicza ich stały się niespokojne, gdyż pomimo ciągłych kłótni miłowali się niezmiernie między sobą. To jednemu, to drugiemu okrzyk: ha! wyrywał się z piersi przy każdym cięższym cięciu. A tymczasem cięcia stawały się szybsze i szybsze, podobne do błyskawic.

Taczewski nabierał widocznie coraz więcej pewności siebie. Był spokojny, ale skakał jak żbik i z oczu szły mu skry złowrogie.

– Źle – pomyślał Cyprianowicz.

A wtem rozległ się krzyk, szabla Mateusza zwiśla, a on podniósł obie ręce do twarzy, która w jednej chwili zalała się całkiem krwią – i runął na ziemię.

Ryknęli jak byki na ów widok młodszy bracia i w mgnieniu oka rzucili się z wściekłością na Jacka, nie z tym zapewne rozmysłem, żeby go razem we trzech napaść; ale dlatego, że każdy chciał pierwszy pomścić najstarszego.

I byliby go może roznieśli na szablach, gdyby nie Cyprianowicz, który skoczywszy mu na pomoc, krzyknął co głosu w piersiach:

– Hańba! precz! Zbóje, nie szlachta! Hańba! precz! To i ze mną, zbóje! precz!

I począł się wręcz z nimi ścinać, póki się nie opamiętali. Tymczasem Mateusz przypodniósł się na rękach i zwrócił ku nim oblicze pokryte jakby maską krwi, więc Jan chwycił go pod pachy i posadził na śniegu, Łukasz pośpieszył mu również na pomoc.

A Taczewski posunął się do zgrzytającego zębami Marka i jał powtarzać prędkim głosem, jakby w obawie, żeby wspólny napad nie powtórzył się po raz drugi:

– Proszę! proszę!

I szable zaszczękały znów złowrogo. Ale z Markiem, który o ile jeszcze był od Mateusza silniejszy, o tyle mniej zręczny, małą Taczewski miał robotę. Marek śmigał ogromnym szabliskiem jak cepem, więc pan Jacek zaraz w trzecim złożeniu ciał go w prawy obojczyk, przeciął kość i ubezwładnił.

Poznali teraz i Łukasz, i Jan, że zdarzył im się casus wielce paskudny i że ten chudy młodzieńczyk jest w istocie rzeczy osą, której lepiej było nie drażnić. Ale z tym większą zapalczywością stanęli z nim do walki, która skończyła się dla nich równie źle jak dla starszych; albowiem Łukasz, cięty przez policzek aż do dziąseł, przewróciwszy się z wielkim impetem, potłukł się w dodatku o kamienie ukryte pod śniegiem, a Janowi, lubo, najbieglejszemu z braci, szabla wraz z palcem upadła po chwili na ziemię.

Taczewski, ani draśnięty, patrzył teraz na swoje dzieło jakby ze zdziwieniem – i owe skry, które przed chwilą błyszczały mu w źrenicach, poczęły stopniowo gasnąć. Lewą ręką poprawił magierkę, która zesunęła mu się cokolwiek na prawe ucho podczas walki, po czym zdjął ją całkiem, odetchnął głęboko raz i drugi, zwrócił się do krzyża i rzekł na wpół do Cyprianowicza, na wpół do siebie:

– Bóg mi świadek, że ja nie winien.

A na to Stanisław Cyprianowicz:

– Moja kolej teraz, aleś waćpan zziajany, to może wypoczniesz, a ja tymczasem poprzykrywam opończami towarzyszków, aby ich zamróz nie chwycił, nim pomoc przyjdzie.

– Pomoc blisko – odpowiedział Taczewski – bo tam we mgle stoją sanie z drabkami, które podesłał ksiądz Woynowski, a sam jest u mnie. Pozwól waćpan, że pójde po sanie, na których ichmościom będzie lepiej niż na śniegu.

I odszedł, a Cyprianowicz zabrał się tymczasem do okrywania Bukojemskich, którzy siedzieli ramię przy ramieniu w śniegu, z wyjątkiem Jana, ten bowiem, najlżej ranny, klęczał przed Mateuszem i trzymając prawą dłoń do góry, aby krew zbyt nie uchodziła z odciętego palca, lewą obmywał śniegiem oblicze najstarszego.

– Jakże wam? – zapytał Cyprianowicz.

– A pokąsał nas, taki syn – odpowiedział Łukasz wypluwając obficie krew – ale się jeszcze pomścimy.

– Całkiem ręką nie władnę, bo mi kość nadwerężył – dorzucił Marek. —Oj, pies!... Oj!

– A Mateusz nade brwiami cięty – rzekł Jan. – Trzeba by chlebem z pajęczyną ranę założyć, ale tymczasem i śniegiem tamuję.

– Żeby nie to, że mi ślepie zalało... – ozwał się Mateusz – byłbym... Lecz nie mógł dokończyć, bo osłabł z utraty krwi – i przerwał mu Łukasz, którego porwała nagła złość:

– A chytry, psiakrew – rzekł – bo patrzy jak panna, a dźga jak gad.

– Tej chytrości właśnie mu nie daruję! – zakrzyknął Jan.

Lecz dalszą rozmowę przerwało im parskanie koni. We mgle zamajaczały sanie, po czym stanęły tuż przy Bukojemskich. Ze sani wyskoczył Taczewski i kazał woźnicy złązić.

Chłop spojrział na Bukojemskich, obrzucił bystrym spojrzeniem Taczewskiego i Cyprianowicza i nie ozwał się ani słowem, tylko na twarzy odbiło mu jakby zgorzenie i odwróciwszy się na chwilę do koni, przeżegnał się.

Po czym we trzech zaczęli podnosić rannych i przenosić ich na opończy. Bukojemscy protestowali zrazu przeciw udziałowi pana Jacka w tych przenosinach, ale ów rzekł im:

– A gdybyście waćpanowie mnie usiekli, zali zostawilibyście mnie bez pomocy? Toć to szlachecka usługa, której nie godzi się nie oddać ani też nie przyjąć.

Więc umilkli, bo ich nieco ujął tymi słowy, i po chwili legli w obszernych drabkach na słomie, gdzie zaraz uczyniło im się cieplej.

– Dokąd jechać? – zapytał chłop.

– Czekaj. Weźmiesz jeszcze jednego – odpowiedział Cyprianowicz.

I zwróciwszy się do Jacka:

– No! mości panie! – rzekł – czas i nam.

Lecz Taczewski spojrział na niego niemal przyjaznym wzrokiem.

– Ej! lepiej nam się zaniechać. I tamto Bóg wie dlaczego się przygodziło, a waćpan stanąłeś przy mnie, gdy ci ichmościowie kupą na mnie natarli. Po co my się mamy bić?

– Będziemy i musimy – odparł zimno Cyprianowicz. – Waćpan mi hańbę zadałeś, a gdybyś i nie zadał, to teraz idzie o moją reputację, rozumiesz? Choćbym miał gardło dać, choćby to miała być ostatnia moja godzina – musimy się bić!

– Ha! niechże i tak będzie, ale to przeciw mojej woli! – odpowiedział Jacek.

Rozdział szósty

I poczęli się ścinać. Cyprianowicz, lubo mniej silny od Bukojemskich, był jednakże od nich bieglejszy. Znać było, że uczyli go lepsi mistrze i że praktykował nie tylko po jarmarkach i zajazdach. Nacierał roztropniej, a odbijał ściślej i umiejętniej. Taczewski, w którego sercu nie było już żadnej zawziętości i który wolałby był poprzestać na nauce danej panom Bukojemskim, począł go chwalić.

– Z waćpanem zgoła inna rzecz – ozwał się. – Nie byle kto waści rękę układał.

– Szkoda, że nie waćpan! – odpowiedział Cyprianowicz.

I uradował się podwójnie: naprzód z pochwały, a po wtóre z tego, iż odpowiedział, albowiem na rozmowę w czasie walki pozwalali sobie tylko najzawołańsi rębacze, a grzeczna rozmowa uważana była przy tym za szczyt dworności. Wszystko to podnosiło Cyprianowicza we własnych oczach. Natarł więc znów z dobrą otuchą. Wszelako po kilku jeszcze złożeniach musiał uznać w duszy wyższość przeciwnika. Taczewski odbijał jakby od niechcenia, ale z największą łatwością – i w ogóle zachowywał się tak, jakby chodziło nie o pojedynek, ale o szermierkę dla wprawy. Widocznie pragnął przekonać się, co też Cyprianowicz umie i o ile wyższy jest od Bukojemskich, a zbadawszy tę rzecz dokładnie, był już zupełnie siebie pewny. Zrozumiał to i pan Stanisław, a przeto i radość jego znikła i począł atakować goręcej. A wtem Taczewski skrzywił się, jakby już miał dosyć zabawy, odbił cios zwany „mylnym” – i natarł, a po chwili uskoczył w bok.

– Dostałeś waść! – rzekł.

Cyprianowicz poczuł istotnie jakby zimno w ramieniu, ale odrzekł:

– Nic mi! Dalej!

I przyciął znów, lecz w tej chwili koniec szabli Taczewskiego roztworzył mu dolną wargę i skórę na brodzie. Pan Jacek uskoczył po raz wtóry.

– Broczysz! – rzekł.

– Nic i to!

– Jeśli nic, to chwała Bogu! – odparł Taczewski – ale ja mam już dość, a do waści rękę wyciągam. Waćpan prawdziwie po kawalersku stawałeś.

Cyprianowicz podniecony bardzo, ale zarazem ujęty słowami pana Jacka, stał przez chwilę, jakby wahając się, czy ma dać pokój, czy nacierać dalej – wreszcie jednak schował szablę do pochwy i wyciągnął dłoń.

– Niechże i tak będzie. Co prawda, to i broczę jak się patrzy. To rzekłszy dotknął lewą ręką brody i począł spoglądać jakby ze zdziwieniem na krew, która poplamiła mu obficie dłoń i palce.

– Trzymaj śnieg na ranie, bo spuchnie! – rzekł pan Jacek – i chodź do woza.

To rzekłszy wziął go pod ramię i poprowadził do Bukojemskich, którzy spoglądali na niego w milczeniu, nieco zdziwionym, a zarazem osowiałym wzrokiem. Pan Jacek budził w nich teraz rzetelny szacunek, nie tylko jako mistrz w szable, ale jako kawaler „górných manier”, takich właśnie, jakich im brakło.

Więc dopiero po chwili Mateusz zwrócił się do Cyprianowicza:

– Jakoż ci jest, Stachu?
– Dobrze. Mógłbym i piechotą pójść, ale wolę na saniach, bo będzie prędzej.

A Taczewski przysiadł się bokiem przy nim i zawołał na woźnicę:

– Do Wyrąbek!

– Dokąd? – zapytał Cyprianowicz.

– Do mnie. Nie będzie tam waszmościom wygodnie, ale trudno. W Belczącce postrachwałyby się niewiasty, a u mnie jest ksiądz Woynowski, który waściów opatrzy, bo się na ranach zna wybornie. Po konie waszmościów można posłać, a potem uczynicie, co zechcecie. Ksiądz też uproszę, żeby pojechał do Belczączki i oznajmił ostrożnie, co się stało.

Tu zamyślił się pan Jacek, a po chwili rzekł:

– Oj! nie przedtem była bieda, ale teraz będzie bieda... Bogdajże waszmościów, żeście się tego pojedynku napanarli.

– Prawda! napieraliśmy się – odrzekł Cyprianowicz. – To ja poświadczę i panowie Bukojemscy poświadczą.

– Poświadczym, choć mi ramię okrutnie dolega – ozwał się stękając nieco Marek. – Oj, toś nas waćpan ufetował, niech cię kule biją!...

Do Wyrąbek nie było daleko. Wkrótce też wjechali w opłotki, wśród których spotkali brnącego w śniegu księdza Woynowskiego; ów bowiem, niespokojny o to, co się stanie, nie mógł już dłużej wysiedzieć i wyszedł naprzeciw.

Taczewski zeskoczył na jego widok z sani, a ksiądz posunął się też żywiej ku niemu i widząc, że zdrów i cały, zawołał:

– No, co tam?

– A przywożę ichmościów – odpowiedział Jacek. Twarz staruszka rozjaśniła się na chwilę, ale spoważniała zaraz, gdy na saniach dostrzegł umazanych krwią Bukojemskich i Cyprianowicza. I aż klasnął w dłonie.

– Wszystkich pięciu! – zawołał.

– A pięciu!...

– Obraza boska!

Po czym do rannych:

– Jakże waściom?

Oni pokłonili mu się czapkami, prócz Marka, który mając przecięty obojczyk, nie mógł nie tylko prawą, ale i lewą ręką poruszać. Więc tylko stęknął i rzekł:

– Ha, godnie nas opieprzył, nie ma co!

– Nic to! – ozwali się inni.

– W Bogu nadzieja, że nic – odpowiedział staruszek. – Do domu teraz! Do domu jak najprędzej! Wnet się was opatrzy.

I kazał ruszać saniom, sam zaś poszedł za nimi z Taczewskim tak pospiesznie, jak tylko mógł. Na chwilę jednak zatrzymał się, radość zamigotała mu znów w twarzy, nagle objął za szyję Taczewskiego i rzekł:

– Jacuś! niechże cię uściskam. A to pełne sanie ich przywiózł, jak snopów!

Taczewski zaś pocałował go w rękę i odpowiedział:

– Sami chcieli, dobrodzieju.

A ksiądz położył mu jeszcze dłoń na głowie, jakby chcąc go pobłogosławić, ale wnet się pomiarkował, że radość sukni nie przystoi, więc spojrzął surowiej i rzekł:

—Jeno nie myśl, że ci to pochwalam. Twoje szczęście, że sami chcieli, ale zgorszenie jest!

I weszli na podwórze, po czym Jacek skoczył ku saniom, aby wraz z woźnicą i jedynym czeladnikiem, jakiego posiadał, pomóc rannym do wysiadania.

Ale oni wysiedli bez pomocy, z wyjątkiem Marka, któremu trzeba było ramię podtrzymywać – i po chwili znaleźli się w izbie. Słoma tam była już przygotowana, a nawet i łóżko Taczewskiego, pokryte białą, trochę wytartą skórą końską i z wojłokiem pod głowę. Na stole, przy oknie, widać było chleb zagnieciony z pajęczyną, wyborny do tamowania krwi, i równie wyborne balsamy księdza Woynowskiego „do gojenia”.

Staruszek zdjąwszy sutannę zabrał się wraz do opatrywania ran, z całą wprawą starego żołnierza, który ich tysiące w życiu widział i który z długoletniej praktyki znał się na opatrunku lepiej od niejednego medyka. Prędko też poszło, bo nie licząc Marka, inni lekko tylko byli poszczerbieni. Obojczyk Markowy dłuższej znacznie wymagał roboty, ale gdy wreszcie i on został zestawiony, odetchnął ksiądz Woynowski i zatarł ubabrane ręce.

– No – rzekł – dzięki Panu Jezusowi, obyło się bez ciężkiej przygody. Pewnie się też waszmościowie lepiej zaraz czujecie.

– Pić się chce! – odrzekł Mateusz Bukojemski.

– Nie zaszkodzi! Każ, Jacku, przynieść wody.

Lecz Mateusz aż przypodniósł się na słomie.

– Jak to wody? – zapytał złamanym głosem.

A Marek leżąc na wznak na Jackowym łóżku i stękając nieco, ozwał się niespodziewanie: – Ksiądz dobrodziej chce pewnie ręce umyć.

Na to Jacek spojrział z prawdziwą rozpaczą na księdza, a ów począł się śmiać i rzekł:

– Oto szczerzy żołnierze! Można też i wina, można, ale niewiele.

Lecz Taczewski zaciągnął go za rękaw do alkierza.

– Dobrodzieju – szepnął – co ja pocznę! W spiżarni pustki, w piwnicy pustki, ja sam coraz to pasa dociskam. Co ja im dam!

– Jest! jest! – odszepnął staruszek. – Wyjeżdżając dałem dyspozycję i już przywieźli, a jak nie starczy, to poproszę u piwowarów w Jedlni... Dla siebie niby, oczywiście... dla siebie... Każde im dać zaraz po szklenicy, aby się zaś pocieszyli po przygodzie.

Usłyszawszy to Jacek zawinął się prędko i wkrótce panowie Bukojemscy zaczęli się pocieszać wzajemnie. Wzrastała też z każdą chwilą i ich życzliwość dla Jacka.

– Biliśmy się, bo to się każdemu trafi – mówił Mateusz – ale ja zaraz pomyślałem, że waść godny kawaler.

– A nieprawda, bom ja to pierwszy pomyślał – ozwał się Łukasz.

– Tyś pomyślał? Albo to potrafisz coś pomyśleć?

– A właśnie myślę, żeś kiep, więc potrafię, ale mnie gęba boli.

I poczynali się już kłócić. Ale tymczasem w oknie zaczerniał jeździec na koniu.

– Ktoś przyjechał – rzekł ksiądz.

Jacek poszedł zobaczyć kto i po chwili powrócił stropiony.

– Pan Pągowski przysłał czeladnika – rzekł – kazał powiedzieć, że czeka z obiadem.

– Niechże go sam zje – ozwał się Jan.

– Co mu rzec? – zapytał Jacek patrząc na księdza.

– Najlepiej prawdę – odrzekł staruszek. – Ale to już lepiej ja sam odpowiem.

I wyszedłszy do pachołka, rzekł:

– Powiedz panu Pągowskiemu, że ani pan Cyprianowicz, ani panowie Bukojemscy nie przyjadą, bo wszyscy ranni w pojedynku, na który pana Taczewskiego wyzwali, ale nie zapomnij powiedzieć, że nie bardzo ranni. Ruszaj!

Czeladnik ruszył z kopyta, a ksiądz wróciwszy począł uspokajać Jacka, który okrutnie był poruszony. Nie bał się on z pięcioma mężami potykać, ale bał się pana Pągowskiego, a jeszcze więcej, co powie i pomyśli panna Sienińska.

Ksiądz zaś mówił:

- Przecie by się i tak wydało, a niechże się jak najprędzej dowiedzą, że nie twoja wina...
- Waszmościowie zaświadczycie? – zapytał Jacek zwracając się jeszcze raz do rannych.
- Pić się chce, ale zaświadczymy – odpowiedział Mateusz Bukojemski.

Jednakże niepokój Jacka wzrastał coraz bardziej, a wkrótce potem, gdy sanie z panem Pągowskim i panem starostą Grothusem zatrzymały się przed gankiem, serce zamarło w nim zupełnie. Skoczył jednakże witać i pochylił się panu Pągowskiemu do kolan, ale ów ani spojrzał, jakby go całkiem nie widział, i z ponurą, surową twarzą wszedł do izby.

W izbie pokłonił się pan Pągowski księdzu z powagą, ale z daleka, gdyż od czasu jak starszek wystrofował go raz z ambony za zbytnią surowość dla ludzi, nie mógł mu tego zawzięty szlachcic przebaczyć, więc i teraz, po owym zimnym ukłonie, zwrócił się zaraz do rannych, chwilę popatrzył na nich, a potem rzekł:

– Mości panowie! Po tym, co zaszło, nie przestąpiłbym ja zaiste progu tego domu, gdyby nie chęć powiedzenia waszmościom, jak okrutnie dotknęła mnie wasza krzywda. Oto na co wam wyszła moja gościnność, oto nagroda, jaka w domu moim moich zbawców spotkała. Ale to wam jeno rzekę, że kto was pokrzywdził, mnie pokrzywdził, kto waszą krew przelał, gorzej, niżliby moją przelał, bo mnie pohańbił, kto pod moim dachem was pozwał...

Tu nagle przerwał Mateusz:

- My jego wyzwali, nie on nas!
- Tak jest, mości dobrodzieju – dodał Stach Cyprianowicz. – Nie masz w tym, co się stało, winy tego kawalera, jeno nasza, za którą pokornie waszmość pana przepraszamy.
- Godziło się też sędziemu zapytać świadków, nim wyrok wydał – rzekł poważnie ksiądz Woynowski.

Łukasz chciał się też odezwać, ale że miał policzek i dziąsła aż do zębów przecięte, przeto zabolalo go okrutnie, gdy poruszył brodą, więc dłonią tylko zakrył maść, która już poczęła była przysychać, i półgębkiem zawołał:

– Niech diabli porwą wyroki i moją szczękę razem!...

Stropił się nieco tymi głosami pan Pągowski, ale jednakże nie ustąpił. Owszem, potoczył surowymi oczyma, jakby chciał w ten sposób niemą przyganę dla obrońców Jacka wyrazić, i tak rzekł:

– Nie mnie przystoi moim zbawcom przebaczać. Waszmościów winy nie ma; owszem, rozumiem ja to i pojmuję, bom doskonale widział, jak was umyślnie postponowano. Zaiste, ta sama zazdrość, która na zdechłym koniu żywych wilków nie mogła dogonić, dodała później do zemsty ochoty. Nie ja jeden zauważyłem, jako ów „kawaler”, którego tak wspaniałomyślnie bronicie, od pierwszej chwili spotkania nieustannie waszmościom dawał okazje i wszystko czynił, aby was do takowego postępuku przywieść. Moja to raczej wina, że mu folgowałem i że mu nie rzekłem, aby na jarmarku lub w karczmie słusznej dla siebie poszukał kompanii.

Taczewskiemu, gdy to usłyszał, twarz pobladła jak płótno, księdzu Woynowskiemu zaś przeciwnie – krew uderzyła do głowy.

– Wyzwany był! co miał uczynić? Wstydź się waćpan! – zawołał.

Lecz pan Pągowski spojrzał na niego z góry i odrzekł:

– Świeckie to są sprawy, których świeccy ludzie tak samo jak duchowni albo i więcej są periti, ale i na to odpowiem, aby mnie tu nikt o niesprawiedliwość nie posądzał. Co miał uczynić? Jako młodszy starszemu, jako gość gospodarzowi, jako człowiek, który tyle razy chleb mój jadł, swego własnego nie mając, powinien był przede wszystkim mnie rzecz oznajmić, a ja byłbym ją swoją powagą gospodarską zagodził i nie dopuścił do tego, by moi zbawcy, a tak godni kawalerowie, tu, w tej chałupie, we krwi własnej, na słomie jako w chlewie leżeli.

– Myślałbyś waszmość, że mnie tchórz obleciał! – wolał łamiąc ręce i trzęsąc się jak w febrze Taczewski.

Pan Gedeon nie odpowiedział mu ani słowem, gdyż od początku udawał, że go nie widzi, natomiast zwrócił się do Cyprianowicza.

– Panie kawalerze – rzekł – eo instante jedziemy z panem starostą Grothusem do waszmości ojca, do Jedlinki, aby mu kondolencję wyrazić. Nie wątpię, że przyjmie on gościnę moją w Belczącze, więc i waćpana wraz z towarzyszami proszę z powrotem do siebie. Przypominam wam też, że znajdujecie się tu tylko przypadkiem, a w rzeczy moimi przecie gośćmi jesteście, którym ja chciałbym całym sercem wdzięczność okazać. Ojciec waćpana, panie Cyprianowicz, nie może przecie zajechać do sprawcy ran twoich, a pod moim dachem lepsze mieć będziecie wygody i z głodu nie pomrzecie, co by was tu snadnie spotkać mogło.

Cyprianowicz zakłopotał się wielce i przez chwilę wahał się z odpowiedzią i ze względu na Taczewskiego, i dlatego, że będąc młodzianem wielce przystojnym, dbał o to, jak się wyda, a tymczasem wargę i broda, które już nabrzmiały pod plastrem, szpeciły go okrutnie.

– Głodu i pragnienia byśmy tu nie doznali – rzekł – co już i probatum fuit, ale w samej rzeczy gośćmi waszmości dobrodzieja jesteśmy, i mój ojciec, nie wiedząc, jak co było, może by i nie chciał tu zajechać. Jeno jakże to nam stanąć przed obliczem krewniaczek waszej mości z tak szpetnymi gębami, które tylko abominację wzbudzać mogą?

To rzekłszy skrzywił się, bo go zabolala od dłuższego przemówienia wargę – i istotnie niezbyt pięknie przy tym wyglądał.

Lecz pan Pągowski odrzekł:

– O to się waść nie frasuj. Czują moje krewniaczki abominationem, ale nie do ran waszmościów, po których zagojeniu prędko wróci dawna uroda. Wnet tu zajadą trzy pary sani ze służbą, a w domu już was łoża wygodne czekają. Tymczasem bywajcie zdrowi, bo czas z panem starostą do Jedlinki. Czołem!

I skłonił się wszystkim, osobno księdzu, tylko Jackowi głową nie kiwnął. Gdy tedy był już blisko drzwi, zbliżył się do niego ksiądz i rzekł:

– Waćpan masz za mało miłosierdzia i sprawiedliwości. A pan Pągowski odpowiedział:

– Moje grzechy wyznawam tylko na spowiedzi.

I wyszedł, za nim pan starosta Grothus.

Jacek stał cały czas jak na mękach. Twarz mu się zmieniła i sam chwilami nie wiedział, czy skoczyć panu Pągowskiemu do nóg z prośbą o przebaczenie, czy do gardła za te wszystkie upokorzenia, których doznał. Jednakże pamiętał, że był u siebie – i że stoi przed nim opiekun panienki. Więc gdy tamci wyszli, wyskoczył i on za nimi, nie zdając sobie wcale sprawy z tego, co czyni, ale i dla zwyczaju, który nakazywał gości odprowadzać, i w jakiejś ślepej nadziei, że może choć na samym odjeźdnym zawzięty pan Pągowski bodaj głową mu skinie. Ale i to go zawiodło, tylko pan Grothus, człowiek widać dobry i wyrozumiały, ścisnął mu dłoń na ganku i szepnął:

– Nie desperuj, kawalerze, pierwszy gniew minie i wszystko się naprawi.

Lecz Jacek tak nie myślał, a byłby całkiem pewny, iż wszystko raz na zawsze przepadło, gdyby był wiedział, że pan Pągowski, jakkolwiek szczerze był oburzony i zagniewan, to jednakże jeszcze większy gniew udawał, niż czuł. Cyprianowicz i Bukojemscy byli istotnie jego zbawcami, ale przecie Taczewski mu ich nie wymordował, a pojedynek sam w sobie był rzeczą nadto zwykłą, aby aż taką nieubłaganą zawziętość miał rozbudzić.

Ale pan Pągowski od chwili gdy mu Grothus powiedział, że i starzy ludzie się żenią, a czasem nawet miewają potomstwo, spojrzawszy innymi oczyma na pannę Sienińską. To, o czym przedtem nigdy nie pomyślał, wydało mu się nagle możliwym, a zarazem i ponętym. Na myśl o

wdziękach cudnej jak róża dziewczyny rozgrzała się w nim dusza, a jeszcze daleko silniej zagrała duma. Toż by to zazielenił się i rozkwitł na nowo ród Pałowski, do tego jeszcze urodzonych z takiej patrycjuszki, jak Sienińska, nie tylko pokrewnej wszystkim wielkim domom w Rzeczypospolitej —ale ostatniej latorośli rodu, z którego fortuny wyrosli w znacznej części Żółkiewscy, Daniłowicze, Sobiescy i wielu innych. Panu Pałowskiemu aż w głowie zakręciło się na tę myśl i poczuł, że nie tylko jemu, ale i całej Rzeczypospolitej powinno na takich Pałowskich zależeć. Więc zaraz potem przyszła obawa, że się to może nie stać przez to, że panna może kogo innego pokochać i komu innemu oddać rękę. Godniejszego od siebie w okolicy nie widział, ale byli młodszy. Więc kto? Cyprianowicz? Tak! ten byt młody, gładki i wielce zamożny, ale dopiero w trzecim pokoleniu z uszlachconych Ormian szlachcic. Żeby taki homo novus miał naprawdę uderzyć o pannę Sienińską, to się w głowie pana Pałowskiego nie mogło żadną miarą pomieścić. O Bukojemskich, chociaż byli szlachtą dobrą, a powiadali się krewnymi świętego Piotra, śmiech było pomyśleć. Pozostawał więc tylko jeden Taczewski, wprawdzie Lazarus, goły jak mysz kościelna, ale z odwiecznego rodu potężnych rycerzy z Taczewa herbu Powąła, z których jeden, prawdziwy olbrzym i uczestnik strasznego pogromu Niemców pod Grunwaldem, sławny był nie tylko w Rzeczypospolitej, ale i na dworach zagranicznych. Tylko Taczewski mógł się z Sienińskimi porównać, a przytym był młody, odważny, urodziwy, smutny (co często niewieście serca porusza) i zadowolony w Bełczączce, a z panną jakoby przyjaciel albo i brat. Począł więc sobie pan Pałowski różne rzeczy przypominać: to niby jakoweś niesnaski i dąsy młodych, to ich zgody i przyjaźń, to różne spojrzenia i słowa, a smutki, a wspólne radości, a uśmiechy. I wszystko to, na co dawniej ledwie że zwracał uwagę, wydało mu się naraz podejrzanym. Tak! niebezpieczeństwo tylko z tej strony mogło grozić. Pomyślał też stary szlachcic, że i tego pojedynku mogła być przynajmniej w części powodem panna Sienińska, i zląkł się w duszy. By zaś zapobiec niebezpieczeństwu, postarał się przede wszystkim o to, aby przedstawić jak najmocniej całą bezecność Jackowego uczynku panience i wzbudzić w niej gniew należyty, a następnie, by przez udanie jeszcze większego gniewu, niż go czuł i niż sprawa była warta, spalić mosty między Bełczączką i Wyrąbkami i upokorzywszy niemiłosiernie Jacka, zamknąć mu tym samym drzwi domu.

I celu tego dopiął. Jacek wróciwszy sprzed ganku siadł przy stole, palce wbił w czuprynę, podparł głowę łokciami i milczał, jakby mu z bólu mowę odjęło.

Aż ksiądz Woynowski zbliżył się i położył mu dłoń na ramieniu.

– Jacuś, co masz przecierpieć, przecierp – rzekł – ale noga twoja nie powinna postać w tamtym domu.

– Tak i będzie – odparł głucho Taczewski.

– Ale i boleści się nie daj. Pomyśl, ktoś jest.

A ów zacisnął zęby:

– Pamiętam, ale właśnie dlaczego piecze!

A wtem ozwał się Cyprianowicz:

– Nikt tu tego panu Pałowskiemu nie pochwali, bo inna jest rzecz przyganić, a inna po czci deptać!

Na to poruszyli się i Bukojemscy, a Mateusz, któremu najmniej dokuczało mówienie, rzekł:

– U niego w domu nic mu nie powiem, ale jak wyzdrowieję a spotkam go kiedy na drodze albo u somsiada, to mu wręcz rzekę, żeby pocałował psa w nos.

– O jej! – dodał Marek. – Takiego godnego kawalera sponstponować! Przyjdzie czas, że mu się tego nie daruje.

Tymczasem nadeszły trzy pary wymoszczonych dywanami sani z trzema pacholkami, prócz woźniców, którzy mieli rannych przenosić. Taczewski nie śmiał ich zatrzymywać ze względu na

spodziewany przyjazd starszego Cyprianowicza i ze względu na to, że byli rzeczywiście gośćmi Pagowskiego, oni zaś nie byliby zostali, zasłyszawszy o wielkim ubóstwie Jacka, aby mu ciężaru nie przyczyniać. Poczęli jednak żegnać się z nim i dziękować mu za gościnę tak szczerze, jak gdyby nic między nimi nigdy nie zaszło.

Gdy jednak Cyprianowicz miał wsiadać na ostatnie sanie, zerwał się nagle pan Jacek i rzekł:

– Jadę z waćpanami! Nie wytrzymam tak! Nie wytrzymam! Póki Pagowski nie wróci, muszę – ostatni raz!...

A ksiądz Woynowski, choć znając Jacka wiedział, że wszelkie perswazje nie pomogą, zaciągnął go jednak do alkierza i począł przekładać:

– Jacku, Jacku! Znów mulier! Bogdajby cię tam jeszcze większa krzywda nie spotkała. Pamiętaj, Jacku, co mówi Eklezjasta: „Virum de mille unum reperi, mulierem ex omnibus non inveni!” Pamiętaj i miej nad sobą zmiłowanie.

Lecz był to groch na ścianę. Po chwili siedział już Taczewski w saniach obok Cyprianowicza i ruszyli. Mgłę tymczasem poskręcał wiatr wschodni, popędził ją na puszcę i z błękitnego nieba wyrzowało jasne słońce.

Rozdział siódmy

Nie zmyślał pan Pałowski mówiąc o abominacji, jaką czują dla zwycięzcy obie niewiasty w Belczącze. Przekonał się o tym Jacek od jednego na nie spojrzenia. Pani Winnicka wyszła naprzeciw z twarzą zgorzowaną i umknęła mu dłoni, gdy ją chciał na powitanie pocałować, a panienska nie użaliła się też jego strapienia, jego pomieszania, nie odpowiedziała na jego ukłon i zajęła się całkiem Cyprianowiczem. Nie skąpiąc mu tkliwych spojrzeń i troskliwych zapytań posunęła do tego stopnia pieczołowitość, że gdy Cyprianowicz wstał z krzesła w stołowej izbie, aby przejść do przeznaczonych dla rannych pokoju, podparła go pod ramię i chociaż się wzdragał i wymawiał, odprowadziła go aż do drzwi.

– Nic tu po tobie, wszystko przepadło! – wołała na taki widok rozpacz i zazdrość w sercu Jacka. Ból jego był tym większy, że dotychczas ani się domyślał, jak ta sama dziewczyna, która dla niego miewała zmienne humory i na jedno przychylniejsze słowo mówiła mu zwykle dziesięć obojętnych albo zgoła złośliwych – umiała być słodka, dobra i anielska dla kochanego prawdziwie człowieka. Bo że panna Sienińska kocha Cyprianowicza, nie wątpił już o tym nieszczęsny Jacek wcale. A on przecie poniósłby nie tylko taką ranę jak Cyprianowicz, ale z radością wytoczyłby wszystką krew, żeby choć raz w życiu przemówiła do niego takim głosem i spojrzała na niego takimi oczyma. Więc obok bólu chwycił go zarazem i żal niezmierny, bijący potokiem łez do oczu, które jeśli się z nich nie wydostaną i po policzkach nie spłyną, to zaleją serce i napęlnią całe jestestwo człowiecze. Takie wypełnienie piersi łzami czuł teraz Jacek, a na dobitkę nigdy nie wydała mu się panna Sienińska tak bez żadnej miary piękna jak teraz, z pobladałą twarzyczką i z koroną płowych włosów rozpierschłych nieco ze wzruszenia. „Anielska ci ona – wołał w nim ten żal —ale nie dla cię! cudna, ale ją inny weźmie!” I chciał jej do nóg padać, i u jej stóp wyznać całą mękę i miłość, a jednocześnie czuł, że zwłaszcza po tym, co zaszło, czynić tego nie należy i że jeśli się sam nie opamięta i nie potłumi w sobie dusznej rozterki, to jej powie co innego, niż chce, i pograży się w jej oczach do ostatka.

A tymczasem pani Winnicka, jako osoba wiekowa i znająca się na lekach, weszła wraz z Cyprianowiczem do drugiej izby, a panna wróciła ode drzwi. Jacek rozumiejąc, że trzeba korzystać z czasu, posunął się ku niej.

– Chciałbym słówko waćpannie rzec – przemówił drżącym i jakby nie swoim głosem, siląc się na spokój.

A ona spojrzała na niego z zimnym zdziwieniem:

– Czego waćpan sobie życzysz?

Jackowi zaś rozświecił twarz uśmiech tak bolesny, że prawie męczeński.

—Czego ja sobie życzę, to się nie stanie, choćbym i zbawienie duszy za to oddał – mówił kiwając głową – ale o jedno waćpanny proszę: nie winuj mnie, nie miej do mnie urazy, miej trochę miłosierdzia, boć i ja nie z drewna ani z żelaza...

– Ja waćpanu nie mam nic do powiedzenia – odrzekła – i nie pora po temu.

– Hej! ludzkie dobre słowo rzec człowiekowi, któremu ciężko na świecie – zawsze pora.

– Czy za to, żeś waćpan moich zbawców poranił?

– Bo Bóg stoi przy niewinności. Czeladnik, którego przyjechał po tych kawalerów do Wyrąbek, powinien był powiedzieć, co mu ksiądz Woynowski przykazał, że ja ich pierwszy nie wzywał. Zali waćpanna wiedziałaś o tym?

Wiedziała. Czeladnik, jako człek prosty, nie powtórzył wprawdzie dokładnie słów księdza i zakrzyknął tylko, że „młody pan z Wyrąbek wszystkich posiekał”; natomiast pan Pagowski wracając z Wyrąbek wpadł po drodze do domu i powiedział, jak co było. Po prostu obawiał się, aby wiadomość, że to Jacek był wyzwany, nie doszła do panny z innych ust i nie osłabiła jej gniewu, więc wołał sam sprawę oznajmić, przy czym nie omieszkał dodać, że Taczewski srogimi obelgami zmusił tamtych do wyzwania. Liczył też i na to, że panna Sienińska, po kobiecemu rzeczy biorąc, będzie zawsze po stronie tych, którzy ucierpieli więcej.

Wszelako Jackowi zdawało się, że ukochane oczy spojrzały na niego mniej surowo, więc powtórzył pytanie:

– Waćpanna wiedziałaś o tym?

– Wiedziałam – odrzekła – ale pamiętała o tym, o czym i waćpan byłbyś nie zapomniał, gdybyś miał choć trochę dla mnie życzliwości: że tym kawalerom życie zawdzięczam. Wiem i to także od opiekuna, że musieli waćpana wyzwąć.

– Ja nie mam dla waćpanny życzliwości? A to niech już Bóg sędzi, którego patrzy w serca ludzkie...

Oczy dziewczyny poczęły się nagle mrużyć raz po raz. Nagie wstrząsnęła głową, aż warkocz przesunął się jej na drugie ramię, i rzekła:

– Tak!...

A on mówił dalej, nieco zdyszczonym i głęboko smutnym głosem:

– Ale prawda! prawda! Powinienem się być pozwolić posiekać, byle waćpanny nie zasmuć. Nie byłaby popłynęła ta krew, która ci milsza... Ale na to już nie ma rady! I na nic już nie ma rady! Opiekun mówił waćpannie, że ja ich zmusił do wyzwania. To zdaję też na sąd boży. Ale czy powiedział, że mnie pod moim własnym dachem bez miary i miłosierdzia insultował? Przyjechałem jeszcze, bom wiedział, że go tu teraz nie zastanę. Przyjechałem, aby moje nieszczęsne oczy ostatni raz widokiem waćpanny nasycić. Wiem, że to waćpannie wszystko jedno, ale myślałem, że choć...

Tu urwał Jacek, bo mu łyzy głos zdławiły. Usta panny Sienińskiej poczęły też drgać i coraz bardziej przybierać kształt podkówki – i tylko hardość, a zarazem nieśmiałość dziewczęca walczyła w niej ze wzruszeniem. Pohamowała je jednak, może dlatego, że nie wierzyła, aby on naprawdę miał pójść sobie i więcej nie wrócić. Nieraz już bywały między nimi nieporozumienia, nieraz i pan Pagowski wyrządzał mu wielkie przykrości, a jednakże po krótkich gniewach następowały milczące lub głośne przeprosiny i wszystko pozostawało po staremu.

– Tak i teraz będzie! – myślała panna Sienińska.

Że zaś słodko jej było go słuchać i słodko patrzeć na tę wielką miłość, która lubo nie śmiała wypowiedzieć się wyraźnymi słowy, biła jednak od niego z równą pokorą jak mocą, przeto chciała, aby mówił tak do niej jak najdłużej swoim cudnym głosem i jak najdłużej pokładał u jej nóg młode, rozkochane i zbolełe serce.

Lecz on, niedoświadczony w rzeczach miłości i ślepy jak wszyscy zakochani, nie dostrzegł i nie zrozumiał, co się w niej dzieje. Milczenie jej poczytał za zatwardziałą obojętność – i gorycz poczęła mu stopniowo zalewać duszę. Spokój, z jakim mówił pierwej, jał go opuszczać, oczy nabierały innego blasku, krople zimnego potu uperliły mu skronie. Coś rwało mu się i łamało w duszy. Chwytała go taka rozpacz, w której człowiek o nic nie pyta i gotów własnymi rękoma rozdrapywać własne serdeczne rany.

Mówił jeszcze niby spokojnie, ale już i głos jego brzmiał inaczej, twardziej, chrapliwiej.

- Tak! – rzekł – ani jednego słowa?... Panna Sienińska wzruszyła tylko ramionami.
- Ha! prawdę powiedział ksiądz, że mnie tu jeszcze większa spotka krzywdą!
- W czym ja waćpana krzywdzę? – spytała, przykro dotknięta niespodzianą zmianą, jaka w nim zaszła.

Lecz on brnął już na oślep dalej:

– Gdybym nie wiedział, jakaś była dla Cyprianowicza, myślałbym, że serca w piersiach nie masz. Ale ty masz serce, jeno dla niego, nie dla mnie! Spojrzał jeno na cię i dosyć.

I nagle schwycił się obu rękoma za czuprynę.

– Bodajem go był na śmierć usieknąć!

A przez pannę Sienińska przeleciał od razu jakby płomień. Policzki jej zakwitły, w oczach zamigotał gniew, zarówno na Jacka, jak i na siebie samą, za to, że przed chwilą gotowa się była rozplakać. Głęboka a nagła uraza chwyciła jej serce.

– Waćpan oszalał! – zawołała podnosząc głowę i odrzucając w tył warkocz.

I chciała odejść, lecz to właśnie doprowadziło Jacka do zupełnego zapamiętania. Porwał jej obie ręce i zatrzymał:

– Nie ty odejdiesz, ja odejdę! – mówił z zaciśniętymi zębami —jeno to ci jeszcze powiem, że chociażem cię od lat całych miłował bardziej niż zdrowie, bardziej niż życie, bardziej niż duszę własną, nie wrócę tu więcej. Pięści z boleści pogryzę, a nie wrócę – tak mi dopomóż Bóg!

I pozostawwszy na podłodze swą wytartą magierkę, skoczył do drzwi, i po chwili mignął w oknach, skracając do ogrodu, przez który bliżej było do Wyrąbek, i zniknął.

A panna Sienińska stała czas jakiś, jakby piorun w nią uderzył. Myśli jej rozleciały się na wszystkie strony na kształt ptactwa i przez chwilę nie wiedziała nic, co się stało. Lecz gdy wróciły, znikł jej gniew, znikła bez śladu uraza, a w uszach brzmiały tylko słowa Jacka: „Miłowałem cię więcej niż zdrowie, więcej niż życie, więcej niż duszę własną – i nie wrócę!...” Teraz uczuła, że on naprawdę nie wróci, właśnie dlatego, że tak okropnie ją kochał. Czemuż nie powiedziała mu choć jednego dobrego słowa, o które, zanim go porwało szaleństwo, zebrał jak o jałmużnę albo jak o kawałek chleba na drogę? I chwycił ją zarazem niezmierny żal i strach. Poleciał w bólu, w szaleństwie – może gdzie padnie po drodze, może co złego sobie z desperacji uczynić, a przecie jedno serdeczne słowo mogło wszystko załagodzić i naprawić. Niechby choć głos jej usłyszał.

I zerwawszy się wybiegła do sadu. Śnieg głęboki leżał na środkowej ulicy, ale ślady Jacka były w nim widoczne, biegła więc po nich zapadając chwilami do kolan, gubiąc po drodze różaniec, chustkę, woreczek z niemi i zdyszana, dopadła wreszcie do ogrodowej furty.

– Panie Jacku!...

Ale łąka za furtką była już pusta. Przy tym ten sam wiatr, który rozwiewał mgłę poranną, czynił teraz szum wielki między gałęziami grusz i jabłoni. Jej słaby głos zniknął zupełnie w tym szumie. Wówczas, nie zważając na chłód i na lekką swą odzież pokojową, siadła na ławce przy furtce i poczęła płakać.

Łzy wielkie jak perły spływały jej po różanych policzkach, a ona nie mając nic innego do ich obtarcia, poczęła obcierać je warkoczem.

– Nie wróci.

Wiatr tymczasem szumiał coraz mocniej, strząsając mokry śnieg z czarnych gałęzi.

Rozdział ósmy

Gdy Taczewski wpadł jak wicher, bez czapki i z rozwianą czupryną do dworku w Wyrąbkach, ksiądz Woynowski domyślił się, co się stało, i rzekł:

– Praedixi! Boże ci dopomóż, Jacku! ale o nic nie pytam, póki się nie opamiętasz i nie uspokoisz...

– Skończone! wszystko skończone! – odpowiedział Taczewski.

I zaczął chodzić po izbie jak dziki zwierz po klatce. Ksiądz nie odzywał się, nie przeszkadzał mu wcale i dopiero po dłuższym czasie wstał, objął go ramionami, ucałował w głowę, a następnie, wzięwszy go za rękę, poprowadził do alkierza.

Tam klęknął przed krzyżykiem, który wisiał nad Jackowym łóżkiem, a gdy młodzian klęknął przy nim, zaczął mówić:

– Panie, Ty wiesz, co jest boleść, boś sam na krzyżu za grzechy ludzkie cierpiał...

...Więc oto przynoszę Ci krwawe serce moje i u stóp Twoich przebitych błagam, abyś miał miłosierdzie nade mną...

...A zaś nie wołam na Cię: weź mój ból, ale wołam: dodaj mi mocy, abym go przeniósł...

...Bom ci jest żołnierz na Twoim ordynansie, o Panie, i chciałbym Tobie i matce mojej, Rzeczypospolitej służyć...

...A jakoż to uczynię, gdy mdleje serce moje i osłabła prawica moja?!...

...Przeto spraw, abym o sobie samym zabaczył, a tylko o chwale Twojej i o zbawieniu matki pamiętał, które to sprawy są większe niż boleść lichego jak ja robaka...

...I umocnij mnie, Panie, w siodle moim, abym przeciw poganom czyniąc, zajechał do chwalebnej śmierci i do nieba...

Przez Twoją koronę cierniową – wysłuchaj mnie! Przez ranę w boku Twoim – wysłuchaj mnie! Przez przebite gwoźdźmi ręce i nogi – wysłuchaj mnie! Po czym klęczeli jeszcze przez dłuższą chwilę, ale już w połowie modlitwy widać było, że ból załamał się Jackowi w piersiach, bo nagle zakrył twarz rękoma i zaczął szlochać. Więc gdy wstali i przeszli do pierwszej izby, westchnął głęboko ksiądz Woynowski i tak mówił:

– Mój Jacku, siła ja w życiu za moich żołnierskich czasów przeszedłem i cięższa od twojej przygoda mnie spotkała, o której nie chcę opowiadać, ale to ci tylko powiem, że w chwili najsroźszego bólu ułożyłem tę oto właśnie modlitwę i że ratunek jej zawdzięczam. Nieraz odtąd ją powtarzałem w każdym nieszczęściu, a zawsze z ulgą wielką. Dlatego odmówiłem ją i teraz. I jakże? Zali cię nie popuściło? Powiadaj!

– Żałośnie mi jest, ale mniej piecze – odrzekł Taczewski.

– A widzisz! Teraz napij się wina, ja zaś powiem ci, a raczej pokażę jeszcze coś takiego, co ci powinno dodać otuchy. Patrz.

I pochyliwszy głowę, pokazał straszliwą na niej szramę, białą między białymi włosami, a biegnącą przez całą czaszkę – i rzekł:

– Małom z tego nie umarł. Rana bolała okrutnie, ale blizna nie boli. Tak zawsze bywa, Jacku.

Twoja rana też boleć przestanie, gdy z czasem w bliznę się przemieni. Powiadaj teraz coś spotkało.

Jacek począł opowiadać, ale mu nie szło. Nie miał on tego w naturze, aby zmyślać, przesadzać lub dodawać, więc teraz dziwił się sam, że to wszystko, co go tak boleśnie dotknęło, w opowiadaniu wydaje się mniej okrutne. Jednakże ksiądz Woynowski, człowiek widocznie doświadczony i znający świat, wysłuchawszy go do końca, rzekł:

– Rozumiem, że trudno wydać w słowach spojrzenia albolii też gesta, które mogą być zgoła pogardliwe i uwłaczające. Nieraz też o jedno spojrzenie albo machnięcie ręki do pojedynków i do krwi przelewu przychodzi. Główna rzecz, iżes tej pannie zapowiedział, że więcej tam nie wrócisz. Młodość bywa płocha, a gdy nią tęsknota powoduje, tak się jako miesiąc na niebie odmienia. I miłość jest też jako luna mendax, która gdy pokazuje, że się zmniejsza, to właśnie rośnie i do pełni się przybliża. Jakże więc? maszże szczerą intencję dotrzymać tego, coś zapowiedział?

– Powiedziałem: „tak mi dopomóż Bóg”, a jeśli chcecie, ojczy, to takową przysięgę zaraz na krzyżu powtórzę.

– A co zamierzasz z sobą czynić?

– Iść w świat.

– Tego czekałem, bom ci już dawno to radził. Wiedziałem, co cię tu trzyma, ale teraz, gdy się powróz urwał – tak! – idź w świat. Niczego tu nie doczekasz, nic cię dobrego nie spotkało i nie spotka. To była zguba dla ciebie! Szczęście, żeś był oto blisko i żeś cię chociaż w łacinie i w robieniu szabłą trochę wyćwiczył – inaczej byłbyś tu schłopiał. Nie dziękuj, Jacuś, bo to było ze szczerzego afektu. Tęskno mi też będzie bez ciebie, ale nie o mnie chodzi. Idziesz w świat, bo, jak rozumiem, znaczy, że chcesz się do wojska zaciągnąć. To najprostsza i najgodniejsza droga, zwłaszcza że wojna z pogany idzie. Pióro i kancelaria pewniejsza, powiadają, promocja od szabli, ale mniej to przystoi takiej jak twoja krwi...

– Nie myślałem też o innej służbie – odrzekł Taczewski. – Ale przecie do piechoty się nie zaciągnę, a nijak mi do gómiejszych chorągwi, bom hołysz.

– Szlachcic, który ma łacinę w gębie, a szabłę w dłoni, zawsze sobie da rady – przerwał ksiądz – wszelako nie ma gadania, że poczet zacny musisz mieć. Trzeba się o tym naradzić. Tymczasem powiem ci rzecz, o której dotąd nie mówiłem. Mam dla cię dziesięć czerwonych złotych, które nieboszczka matka twoja u mnie złożyła, i list jej, w którym prosi, abym ci ich nie dawał, żeby się nie rozeszły, jeno w nagłej potrzebie, gdyby przyszedł na cię wóz albo przewóz. No i przyszedł! Zaczęła świętobliwą, ale i nieszczęśliwą miałaś matkę, bo gdy umierała nieboga, niedostatek był już w domu wielki, i to, co u mnie złożyła, od ust sobie odejmowała...

– Wieczny odpoczynek racz jej dać. Panie – odrzekł Jacek. – Niechże za te czerwone złote msze za jej duszę się odprawują, a ja Wyrąbki sprzedam, choćby za byle co.

Rozczulił się usłyszawszy to ksiądz Woynowski, aż łza zabłysła mu w oku, i znów uściskał Jacka.

– Zacna i w tobie krew – rzekł – ale nie wolno ci matczynego daru odrzucać, nawet na taką intencję. Mszy też nieboszczce nie zabraknie, tego bądź pewien, bo choć ona pewnie nie bardzo ich potrzebuje, ale się innym duszom w czyścju będącym przydadzą. Co do Wyrąbków, lepiej by było w zastaw je oddać, ile że na szlachcica, choćby najmniejszy spłachetek ziemi posiadał, zawsze inaczej patrzą, gdy jest posesionatus.

– Jeno że pilno. Chciałbym bogdaj dziś jechać.

— Dziś nie pojedziesz, chociaż im prędejsz, tym lepiej. Ale ci pierwaj muszę listy wygotować do moich komilitonów i znajomków. Trzeba będzie także z piwowarami w Jedlni pogadać, u których i mieszki pełne, i konie takie, że niejeden towarzysz pancerny nie ma lepszego. Znajdzie

się też u mnie w plebanii jakowaś stara zbroiczka i kilka szabel, nie tyle ozdobnych, jak wypróbowanych na szwedzkich i na tureckich karkach...

Tu spojrzął ksiądz w okno i dodał:

– Ale ot! sanie gotowe, a komu w drogę, temu czas... Lecz po twarzy Jacka boleść przemknęła na nowo, pocałował księdza w rękę i rzekł:

—Jedną jeszcze mam prośbę, ojcze i dobrodzieju mój, abym mógł z wami jechać teraz i pozostać aż do wyjazdu w plebanii... Stąd tamte dachy widać i tu mi... za blisko...

– Jakże! sam chciałem ci to proponować i z ust mi to wyjąłeś. Nic tu po tobie – i z duszy ci będę rad. Hej, Jacuś, bądź dobrej myśli! Nie kończy się świat w Bełczącce, jeno stoi szeroko przed tobą otworem. Gdy raz na konia sidziesz, Bóg wie dokąd dojedziesz. Wojna cię czeka! sława cię czeka, a co dziś boli, to przyschnie. Widzę już, jak ci skrzydła u barków rosną: lećże, boży ptaku, boś na to stworzon i przeznaczon.

I radość jak promień słońca rozświetliła zacną twarz księdza. Uderzył się po żołniersku dłonią w udo i zawołał:

– A teraz bierz czapkę i jedźmy!

Ale drobne rzeczy stają często na przeszkodzie większym, a śmieszne płaczą się ze smutnymi. Jacek obejrzał się po izbie, potem spojrzął zakłopotanym wzrokiem na księdza i powtórzył:

– Czapkę?

– Juźci! Z gołą głową nie pojedziesz.

—Ba!

– No, co?

– A! kiedy została w Bełczącce.

– Masz babo amory! Cóż będzie?

– Co będzie?... Choćby od czeladnika wziąć – w chłopskiej nie mogę jechać.

– W chłopskiej nie możesz jechać! – powtórzył ksiądz – ale poślij chłopca po swoją do Bełczączi.

– Za nic! – zawołał Jacek.

Lecz staruszek począł się niecierpliwić.

– A u licha! wojna, sława, szeroki świat – wszystko dobre, ale i czapka potrzebna.

– Jest na dnie w skrzyni jakiś stary kapelusz, co go ojciec zdobył na jednym oficyjerze szwedzkim pod Trzemesznem.

– To go weź – i jazda!

Jacek zniknął w alkierzu i po chwili wrócił przybrany w rajtarski żółty kapelusz, za duży na jego głowę. Rozweselony tym widokiem, ksiądz Woynowski chwycił się za lewy bok, niby szukając szabli, i rzekł:

– Dobrze jeszcze, że to szwedzki kapelusz, a nie turecki zawój. Ale i tak czyste zapusty! Jacek uśmiechnął się w odpowiedzi i rzekł:

– Na sprzączce są jakoweś kamuszki, może co warte. Po czym siedli i pojechali. Zaraz za opłotkami widać było przez bezlistny olszak Bełczączkę i dwór w niej jak na dłoni – więc ksiądz pilnie uważał na Jacka, ale ów nacisnął tylko na oczy swój za duży szwedzki kapelusz i ani spojrzął, choć tam została nie tylko jego magierka.

Rozdział dziewiąty

Nie wróci, wszystko przepadło! – mówiła sobie w pierwszej chwili panna Sienińska. I dziwna rzecz! w domu było pięciu kawalerów, z których jeden młody; przystojny, a prócz pana starosty Grothusa miał jeszcze przyjechać starszy Cyprianowicz, słowem, rzadko kiedy było tylu gości w Belczącce, tymczasem panience wydało się, że otoczyła ją nagle pustka i jakiś ogromny brak, że dom jest pusty, ogród pusty, ona sama tak samotna, jakby w bezludnym stepie – i że już tak zostanie na zawsze.

Więc serce jej ścisnęło się ciężkim żalem, jakby po stracie kogoś najbliższego. Była pewna, że Jacek nie wróci, tym bardziej iż opiekun obraził go śmiertelnie, zarazem jednak nie umiała sobie wyobrazić, jak to będzie bez niego, bez jego twarzy, słów, śmiechu, spojrzeń, co będzie jutro, pojutrze, za tydzień i za miesiąc, dlaczego rankami ma wstawać z łóżka, dlaczego zaplatać warkocze, dla kogo przybierać się i trefić, po co żyć?

I doznała takiego uczucia, jak gdyby jej serce było świecą, na którą ktoś nagle dmuchnął i zgasił.

Nic, jeno ciemność i pustka!

Lecz gdy wszedłszy do pokoju zobaczyła na podłodze magierkę Jacka, wszystkie te niewyraźne uczucia ustąpiły prostej a ogromnej za nim tęsknocie. Rozrzewniło się w niej znów serce i poczęła go wołać po imieniu. Jednocześnie jakiś błysk nadziei przeleciał przez jej duszę. Podniósłszy czapkę, przycisnęła ją niby niechcący do piersi, po czym schowała w rękaw i tak poczęła rozmyślać:

– Nie będzie po dawnemu bywał co dzień w Belczącce, ale zanim opiekun z panem Grothusem i panem Cyprianowiczem zdążą przyjechać z Jedlinki, musi wrócić po czapkę, więc go zobaczę i powiem mu, że był okrutny i niesprawiedliwy i że nie powinien był tak postąpić.

Ale nie była sama ze sobą szczerą, albowiem chciała mu powiedzieć więcej – znaleźć jakieś ciepłe, serdeczne słowo, które by nawiązało na nowo zerwane między nimi nici. Byle się to stało, byle się mogli widywać bez gniewu w kościele albo czasem u sąsiadów – to w przyszłości znajdzie się jakiś sposób, aby wszystko obróciło się na dobre... Jaki to miał być sposób i co miało być tym dobrem, nad tym nie zastanawiała się w tej chwili panna Sienińska, albowiem myślała przede wszystkim o tym, aby jak najprędzej Jacka zobaczyć.

Tymczasem z pokoju, w którym leżeli ranni, wyszła pani Winnicka i ujrawszy wzburzoną twarz i zaczerwienione oczy dziewczyny, poczęła ją uspokajać:

– Nie bój się, nic im nie będzie. Jeden tylko z Bukojemskich ciężej trochę poszwankowan, ale i temu nic nie będzie. Inni mało co. I opatrzył ich dobrze ksiądz Woynowski, tak że nic zmieniać nie trzeba. Dobrej są też myśli i weseli.

– Chwała Bogu.

– A Taczewski pojechał? Czego tu chciał?

– Odwiózł rannych...

– No – ale kto by się tego po nim spodziewał?

– Sami go wyzwali.

– Tego się też nie zapierają, ale że on wszystkich posiekał – pięciu! jednego po drugim. A myślałabyś, że on i kwocze od kurcząt ustąpi.

– To go ciotuchna nie zna. Aha! – odrzekła z pewną dumą w głosie panna Sienińska.

Ale i w głosie pani Winnickiej było tyle samo prawie zdziwienia, co przygany, gdyż urodzona i wychowana w stronach podległych ciągłym napadom tatarskim, od małego przyuczyla się uważać odwagę i sprawność do szabli za pierwszą cnotę męską. Więc gdy pierwszy strach o gości przeszedł, poczęła na cały ten pojedynek patrzeć nieco inaczej.

– Wszelako – mówiła dalej – muszę i im przyznać, że godni kawalerowie, bo nie tylko złości do niego nie czują, ale go jeszcze chwala, a zwłaszcza ten Cyprianowicz. Że to (powiada) „urodzony żołnierz”. I gniewno im nawet na jegomości, któren (mówią) przebrał w Wyłąbkach miarę.

– Ciotuchna też nie lepiej pana Jacka przyjęła.

– Bo zasłużył. A ty toś niby dobrze go przyjęła!

—Ja?

– A ty. Widziałam, jakieś się na niego odeła.

– Moja ciotuchno...

Tu dziewczyna urwała nagle, bo czuła, że się rozplacze. Jednakże wskutek tej rozmowy Jacek urósł jeszcze w jej oczach. Sam jeden przeciw takim ćwiczonym mężom – i wszystkich posiekał, wszystkich zwyciężył. Mawiał on wprawdzie, że z oszczepem na odyńce jeździ, ale przecie chłopci po brzegu puszczy osiedli jeździli nawet z kłonicami, więc nie było to nikomu dziwne. Natomiast pięciu rycerskiej szlachty pokonać mógł tylko rycerz jeszcze od nich większy i dzielniejszy. Pannie Sienińskiej wydało się to wprost dziwne, żeby człowiek, który miał takie smutne i łagodne oczy, mógł być tak strasznym w bitwie. Więc to jej tylko tak się poddał, tylko od niej tak wszystko znosił, tylko dla niej był taki słodki i ustępujący. Dlaczego? Bo ją kochał nad zdrowie, nad szczęście, nad zbawienie własne. Przed godziną sam jej to wyznał.

I znów tęsknota za nim napłynęła jej ogromną falą do serca. Czuła jednak, że i między nimi coś się zmieniło i że jeśli go ujrzy, a potem widywać będzie często, już nie pozwoli sobie z nim tak igrać, jak igrała dawniej, to pograżać go w smutek, to rozweselać i dodawać otuchy, to go odpychać, to pociągać – czuła, że mimo woli będzie nań patrzeć jakby z większym respektem i stanie się bardziej ostrożną i pokorniejszą.

Chwilami jeszcze jakiś głos odzywał się w niej, że po prawdzie, to Jacek postąpił z nią zbyt zapalczywie, że nagadał jej więcej gorzkich i obraźliwych słów niż ona jemu, ale głos ów stawał się coraz, coraz słabszy, a chęć pojednania się coraz silniejsza.

Byle wrócił, nim tamci przyjadą z Jedlinki.

Ale tymczasem upłynęła godzina, dwie i trzy, a on nie wracał. Wówczas przyszło jej na myśl, że już jest za późno i że sam już nie przyjdzie, ale przyśle kogoś po magierkę.

Więc postanowiła mu ją odesłać wraz z listem, a w nim wypowiedzieć wszystko, co jej ciążyło na sercu. Że jednak posłaniec mógł lada chwila nadejść, więc chcąc przygotować wszystko zawczasu, zamknęła się w swojej panińskiej izdebce i zabrała się do roboty.

„Niech waćpanu Bóg odpuści ten smutek i to zmartwienie, w jakim mnie zostawiłeś, bo gdybyś mógł przejrzeć serce moje, nie byłbyś tak postąpił. Dlatego ja nie tylko odsyłam waćpanową magierkę, ale przydaję i to dobre słowo, żebyś był szczęśliwy i żebyś zapomniał...”

Tu spostrzegła się, że nie pisze tego, co myśli i czego chce, bo wcale nie chodziło jej o to, żeby on zapomniał, więc przekreśliwszy kartkę poczęła pisać drugą, z większym jeszcze wzruszeniem i rozżaleniem:

„Odsyłam waćpanową magierkę, gdyż wiem, że już nigdy nie zobaczę waćpana w Belczącce

i że za nikim tu, a tym bardziej za mną sierotą nie zapłaczesz, czego też ja z przyczyny twojej niesprawiedliwości, choćby zaś nie wiem jak było żal, także nie uczynię...”

Ale tym słowem zaprzeczył od razu czyniek i wielkie łzy splamiły nagle papier. Jakże mu tu taki dowód posyłać, zwłaszcza jeśli ją całkiem z serca wyrzucił? Po chwili przyszło jej znów na myśl, że może by mu już lepiej o tej jego niesprawiedliwości i zapalczywym postępku nie pisać, bo gotów się jeszcze bardziej zawziąć. Tak myśląc poczęła szukać trzeciej kartki, ale pokazało się, że jej nie ma. Wobec tego stanęła bezradna, albowiem gdyby chciała pożyczyć papieru u pani Winnickiej, nie obeszłoby się bez pytań na które nijak jej było odpowiadać. Czuła przy tym, że traci głowę i że w żadnym razie nie potrafi wypisać Jackowi akuratnie tego wszystkiego coby pragnęła wypisać, więc zatroskała się okrutnie, więc szukając niewieścim sposobem ulgi w strapieniu, dała znów folgę łzom.

A tymczasem ściemniło się, przed gankiem zabrząkły dzwonki od sanek i pan Pałowski powrócił z gośćmi. W pokojach służba pozapałała wszędy światła, gdyż ciemność się zwiększyła. Dziewczyna otarła łzy i weszła do gościnnej komnaty z pewną obawą, że wszyscy poznają zaraz, iż płakała – i Bóg wie co pomyśla albo też będą ją dręczyli pytaniami. Lecz w komnacie był tylko pan Pałowski i pan Grothus, bez pana Cyprianowicza, o którego też, chcąc odwrócić od siebie uwagę, poczęła zaraz wypytywać.

– Poszedł do syna i do Bukojemskich – odpowiedział pan Pałowski—ale już w drodze uspokoiłem go, że nic się złego nie stało.

Po czym popatrzył na nią uważnie, ale jego posępna zwykle twarz i siwe surowe oczy rozblęły jakąś wyjątkową dobrocią.

Zbliżywszy się położył rękę na jasnych włosach dziewczyny i rzekł:

—A i ty niepotrzebnie się frasujesz. Za parę dni będą wszyscy zdrowi. No, no! dość tego! Winniśmy im wdzięczność – prawda! – i dlatego się za nimi ująłem, ale w rzeczy to przecie ludzie obcy i dość mizernej kondycji.

– Mizernej kondycji? – powtórzyła jak echo, dlatego tylko, aby coś powiedzieć.

– A tak, bo Bukojemscy hołysze, a Cyprianowicz homo novus. Wreszcie, co mi tam! Pojadą sobie i będzie spokój po dawnemu.

Panna Sienińska pomyślała sobie, że będzie nawet za wiele spokoju, gdy zostaną tylko we troje w Bełczącce, ale nie wypowiedziała głośno tej myśli.

– Pójdę – rzekła – zakrzętnąć się koło wieczery.

– Idź, gospochno, idź! – odpowiedział pan Pałowski. – Z ciebie jest i radość w domu, i pożytek.

Po czym dodał:

– A talerze każ dać srebrne, aby pokazać temu Cyprianowiczowi, że godny statek nie tylko u uszlachconych Ormian się znachodzi.

Panna Sienińska skoczyła do czeladnej, ale że chciała jeszcze przed wieczerzą załatwić inną, ważniejszą dla niej sprawę, więc zawoławszy służebnego wyrostka rzekła mu:

– Słuchaj, Wojtuszku, skoczysz do Wyrąbków i powiesz panu Taczewskiemu, że panienska bardzo się kłania i odsyła mu tę oto magierkę. Naści tyńfa za drogę, a powtórz, co masz powiedzieć?

– Że panienska się kłania i odsyła magierkę.

– Nie, że się kłania, jeno że bardzo się kłania, rozumiesz?

– Rozumiem.

– To ruszaj! a kozuch weź, bo na noc znów mróz bierze. Psy niech też pójdą z tobą. „Bardzo się kłania” – pamiętaj i wracaj zaraz, chybaby pan chciał dać odpowiedź.

Tak załatwiwszy tę sprawę udała się do kuchni, ażeby zająć się wieczerzą, która ponieważ

spodziewano się powrotu pana z gośćmi, była już prawie gotowa. Potem przybrawszy się i przyglądziwszy włosy, zeszła do stołowej izby.

Stary Cyprianowicz powitał ją dobrotliwie, albowiem jej młodość i uroda bardzo mu były jeszcze w Jedlince przypadły do serca. Że zaś o syna był już zupełnie spokojny, więc gdy siedli do wieczerzy, począł rozmawiać z nią wesoło, starając się nawet i z pomocą żartów rozproszyć tę jakowąś troskę, którą widział na jej czole, a której przyczynę przypisywał właśnie temu, co zaszło.

Lecz wieczerza nie miała skończyć się pomyślnie dla dziewczyny, gdyż zaraz po drugim daniu w progu izby pojawił się Wojtuszek i chuchając w zamarzniete palce, począł wołać:

– Proszę panienki, czapkę zostawiłem, ale pana Taczewskiego nie ma w Wyrąbkach, bo pojechał z księdzem Woynowskim.

Usłyszawszy to pan Pągowski zdumiał się, zmarszczył natychmiast brwi i utkwivszy swe żelazne oczy w pacholku, zapytał:

– Co to jest? co za czapkę? A ciebie kto posłał do Wyrąbków?

– Panienska – odpowiedziało ze strachem pachole.

– Ja – powtórzyła panna Sienińska.

I widząc skierowane na się wszystkie spojrzenia, zmieszała się okrutnie, ale nie na długo, gdyż wykrętny dowcip niewieści wnet przyszedł jej z pomocą.

– Pan Taczewski odwiózł tu rannych – rzekła – ale że obie z ciotuchną źleśmy go przyjęły, więc się rozgniewał i bez czapki poleciał do domu, a ja mu czapkę odesłałam.

– Prawda, żeśmy go niezbyt wdzięcznie przyjęły – ozwała się pani Winnicka.

Pan Pągowski odetchnął i twarz stała mu się mniej groźna.

– Dobrzeście zrobili! – rzekł. – A czapkę byłbym mu sam odesłał, bo pewnie nie ma drugiej.

Lecz zacny i wyrozumiały pan Cyprianowicz począł się ujmować za Taczewskim.

– Mój syn – rzekł – nie ma do niego nijakiej urazy. Sami go do bitwy zmusili, a on ich potem jeszcze do siebie zawiózł, opatrzył i ugościł. Bukojemscy też to samo powiadają, z tym dodatkiem, że to jest gracz na szable, który gdyby był chciał, byłby ich godniej poszczerbił. Ha! chcieli dać naukę, a sami znaleźli nauczyciela. Jeśli prawda, że król jegomość na Turka ruszy, to przyda się tam taki Taczewski.

Pan Pągowski nierad słucał tych słów, a w końcu rzekł:

– Jego ksiądz Woynowski tych sztuk wyuczył.

– Księdza Woynowskiego widziałem tylko raz na odpuście – mówił pan Cyprianowicz – ale slyszalem o nim wiele jeszcze za moich wojskowych czasów. Śmieli się z niego na odpuście inni księza mówiać, że jego plebania jest jako arka i że wszelkie animalia, jako Noe, hoduje. Wiem wszelako, że to była szablą wielką, a teraz jest cnota wielką, czego jeśli pan Taczewski też się od niego wyuczył, tobym chciał, żeby mój syn, gdy się wygoi, innej amicycji nie szukał...

– Mówią, że sejm się zaraz aukcją wojska zajmie – rzekł chcąc zmienić rozmowę pan Gedeon.

– Tak jest, wszyscy się już tym zajmują – potwierdził starosta Grothus.

I rozmowa potoczyła się dalej o wojnie. Ale po wieczerzy panna Sienińska upatrzivwszy stosowną chwilę zbliżyła się do Cyprianowicza i podniósłszy na niego swe modre oczka rzekła:

– Waszmość pan jesteś dobry, bardzo dobry.

– A czemu to? – zapytał Cyprianowicz.

– Żeś się za panem Jackiem ujął.

– Za kim? – spytał Cyprianowicz.

– Za panem Taczewskim. Jemu Jacek na imię!

– Ba, a samaś waćpanna tak go surowie skarciła. Po co tak było?

– Gorzej go skarcił opiekun. Ale przyznaję waszmość panu, że nie postąpiliśmy sprawiedliwie, i myślę, że należy mu się jakowaś pociecha...

– On też pewnie rad ją z rąk waćpanny przyjmie.

A dziewczyna potrząsnęła swą złotą główką na znak przeczenia.

– Ej nie – odrzekła ze smutnym uśmiechem —już on się na nas na wieki rozgniewał...

Cyprianowicz popatrzył na nią prawdziwie dobrym, ojcowskim wzrokiem:

– Kto by się tam na ciebie, wdzięczny kwiatuszku, potrafił na wieki rozgniewać.

– O! on potrafi!... Ale co do pociechy, to byłaby dla niego najlepsza, gdybyś waszmość pan sam mu powiedział, że urazy do niego nie masz i że niewinność jego widzisz. Wtedy by już i opiekun musiał mu jakaś sprawiedliwość wyrządzić, a ta mu się od nas należy.

– Widzę, że waćpanna nie była tak znów bardzo dla niego ostra, skoro się teraz za nim z takim gorącym sercem ujmujesz.

– Bo mam wyrzuty sumienia, i że nie chcę niczyjej krzywdy, i że on jest sam na świecie, i że jest bardzo, bardzo ubogi.

– Tedy powiem waćpannie, że to już sobie w duszy postanowił. Waćpanny opiekun, jako gościnny sąsiad, zapowiedział mi, że mnie nie puści, póki mi się syn nie wygoi, ale i Stacha, i Bukojemskich można by choćby jutro zabrać do domu. Przedtem jednak z pewnością będę i u pana Taczewskiego, i u księdza Woynowskiego, a to nie przez żadną dobroć, ale przez zrozumienie, że im się to ode mnie należy. Jać nie mówię, że jestem zły, jeno tak myślę, że jeśli tu kto jest naprawdę dobry, to nie ja, ale waćpanna. Nie przecz!

Ona jednak przeczyła, bo czuła, że nie o samą sprawiedliwość względem Jacka jej chodzi, ale i o inne sprawy, o których nie wtajemniczony w jej dziewczęce rachuby, pan Cyprianowicz nie mógł nic wiedzieć. Serce jej jednak wezbrało wdzięcznością dla niego i na dobranoc pocałowała go w rękę, za co rozgniewał się na nią pan Pałowski.

– Toć to trzecie dopiero pokolenie, a przedtem kupcy – mówił. —Pamiętaj, ktoś jest!

Rozdział dziesiąty

W dwa dni później wyjechał Jacek z dziesięciu dukatami do Radomia, aby się ogarnąć przystojnie przed podróżą, a ksiądz Woynowski został na plebanii i rozmyślał, skąd by wziąć więcej pieniędzy na cały moderunek żołnierski, na wozy, na konie, na poczet i na czeladź – co wszystko „towarzysz” musiał mieć, jeśli powagę kochał i jeśli nie chciał, aby jego samego miano za hetkę—pętelkę.

Zwłaszcza wypadało tak wystąpić Taczewskiemu, który nosił wielkie i sławne, lubo już nieco zapomniane w Rzeczypospolitej nazwisko.

Pewnego dnia zasiadł więc ksiądz Woynowski do stolika, namarszczył brwi, że aż biała czupryna zsunęła mu się na czoło, i rachował, ile na co będzie potrzeba. Animalia, to jest pies Filuś, oswojona liszka i borsuk trzeci, przewracały kulki bawiąc się u jego nóg, ale on na nie nie zważał, tak okrutnie był zajęty i zafrasowany, gdyż „kalkulacje” wcale nie chciały dobrze wypadać i rwały się co chwila. Nie stawało nie tylko na rzeczy pomniejsze, ale i na główne. Staruszek tarł czoło coraz mocniej, a w końcu zaczął sam z sobą głośno rozmawiać.

– Wziął dziesięć – dobrze. Pewno nic mu nie ostanie. Liczmy dalej: od piwowara Kondrata na borg pięć, od Słoninki trzy, to ośm. Od Dudy talarów bitych pruskich sześć i koń podjezdek na borg. Spłaci się jęczmieniem, jeśli urodzi. Razem ośm czerwonych złotych i sześć talarów i dwadzieścia złotych moich. Mało! Choćbym mu oddał wałacha pod czeladnika, to będzie dopiero, licząc z podjezdkiem, koni dwa, a do wozu trzeba jeszcze dwa – i dla Jacka samych podwodnych najmniej dwa. Pauca! a mniej nie można, bo jeśli mu jeden padnie, musi mieć inne na odmianę. A barwa dla czeladzi, a zapasy na wóz, a kotły, a opony, a puzdra! Tfu! Z takimi pieniędzmi chyba do dragonów iść. Po czym zwrócił się do zwierząt, które znaczny czyniły hałas.

– Cicho tam, odmieńce, bo skóry z was Żydom posprzedają. I znów zaczął ze sobą rozmawiać.

—Jacek ma słuszość, że Wyrąbki trzeba sprzedać. Jeno że to potem, gdy zapytają, skąd jesteś? – nie ma co rzec. Skąd? Z Wiatrowa. Z jakiego Wiatrowa? Z Wiatrowa w polu. Zaraz każdy lekce sobie takiego waży. Lepiej by zastawić, byle się zastawnik znalazł. Pągowskiemu byłoby najporęczniej, ale Jacek by o tym słyszeć nie chciał i ja sam nie wszcząłbym z nim tej materii... Mój Boże! Niesłusznie ludzie mówią: „ubogi jak mysz kościelna!” – Człeku czasem większa bieda. Mysz kościelna na święty Szczepan² godnie żyje, a wosk ma o każdej porze. Panie Jezu, któryś pomnożył chleb i ryby, pomnóżże tych kilka czerwonych złotych i tych kilka talarów, bo Tobie, miłościwy Panie, nic nie ubędzie, a ostatniemu Taczewskiemu dopomożesz...

Tu przyszło mu do głowy, że pruskie talary, jako z luterskiego kraju pochodzące, abominację tylko w niebie wzbudzić mogą, ale co do czerwonych złotych zawahał się, czyby ich na noc pod nóżki Chrystusowi nie podłożyć – nuż nazajutrz znajdzie się ich więcej! Nie czuł się jednak godnym cudu i nawet kilkakrotnie uderzył się w piersi w skrusze za myśl zuchwałą. Ale dłużej nie mógł o tym rozmyślać, gdyż ktoś zajechał przed plebanię.

² Na św. Szczepana lud rzucał wszelakim ziarnem na księdza przy ołtarzu, na pamiątkę ukamienowania tegoż świętego.

Po chwili otwały się drzwi i do izby wszedł wysoki, siwy mąż z czarnymi oczyma patrzącymi mądrze i dobrotliwie. Mąż ów skłonił się w progu i rzekł:

– Jestem Cyprianowicz z Jedlinki.

– Jakże, widziałem waszmość pana na odpuszcie w Przytyku, ale jeno z daleka, bo zjazd był srogi – zawołał ksiądz posuwając się żywo ku gościowi.

– Witam waszmości z radością w moich niskich progach.

– I ja też z radością tu przybywam – odpowiedział Cyprianowicz. —Wielki to i miły obowiązek pokłonić się tak znakomitemu rycerzowi i tak świętemu kapłanowi.

To rzekłszy ucałował staruszka w ramię i w rękę, choć ów bronił się mówiąc:

– At, co za świętość! Może oto te bestiae mają więcej zasługi przed Bogiem niż ja.

Ale Cyprianowicz mówił z taką prostotą i szczerością, że od razu tym ujął księdza Woynowskiego, poczęli więc wzajem mówić sobie słowa przychylne i z serca płynące.

– Poznałem i syna waszmości – rzekł staruszek – zacny to kawaler i górnych manier. Owi Bukojemscy przy nim ledwo jak jego dworzanie. To powiadam waćpanu, że Jacek Taczewski tak go od razu pokochał, że nic, tylko go wciąż chwala.

– I mój Stach również. Często to bywa, że się ludzie biją, a potem kochają. Nikt z nas nie tylko żadnej urazy do pana Taczewskiego nie żywi, ale wszyscy chcielibyśmy rzetelną amicycję z nim zawrzeć. Byłem też u niego w Wyrąbkach i stamtąd jadę. Myślałem, że go tu znajdę, i chciałem zaprosić do Jedlinki was, księżę dobrodzieju mój, i jego.

– Jacek jest w Radomiu, ale jeszcze tu wróci i pewnie chętnie służyć będzie... Ale patrzcie waszmość pan, jako to się tam z nim obeszli w Bełczącce.

– Sami się w tym spostrzegli – odrzekł pan Cyprianowicz – i już tego żałują: nie pan Pągowski, ale niewiasty.

– Pan Pągowski to człek zawzięty jak mało kto, i ciężki kiedyś zda z tego rachunek przed Bogiem, a co do niewiast – Bóg z nimi... Co tu ukrywać, że całego tego pojedynku przyczyna – to jedna z nich.

– Ja się tego też domyślałem, zanim mi syn potwierdził. Ale to niewinna przyczyna.

– Wszystkie one niewinne... A czy waszmość wiesz, co Eklezjasta mówi o niewiastach?

Pan Cyprianowicz nie wiedział, więc ksiądz Woynowski zdjął z półki Wulgatę i odczytał ustęp z Eklezjasty, po czym rzekł:

– A co?

– Bywają i takie – odpowiedział pan Cyprianowicz.

– Jacek też nie z innej przyczyny rusza w świat. Ale tego wcalem mu nie odradzałem. Owszem!

– Jakże to? zaraz rusza? Wojna latem się dopiero rozpocznie.

– Wiesz waćpan na pewno?

– Wiem, bo dopytuję, a dopytuję dlatego, że i mojego syna nie utrzymam.

– Od tego szlachcic. Jacek zaś zaraz rusza, bo mówiąc prawdę, boleśnie mu tu zostawać.

– Rozumiem, rozumiem wszystko. Pośpiech – najlepsze to w takich terminach lekarstwo.

– Toteż tyle tylko czasu jeszcze w tych stronach zabawi, ile będzie trzeba, aby Wyrąbki sprzedać lub zastawić. Nieduży to wyczołek, ale przecie radzę Jackowi, by wolej zastawił, niż sprzedawał. Choćby też nie miał nigdy już do nich wrócić, zawsze się może z nich pisać, a to jest przystojniej dla człowieka z jego krwią i nazwiskiem.

– Zali koniecznie musi sprzedawać albo zastawiać?

– Musi. Człowiek jest ubogi, całkiem ubogi. Waszmość wiesz, ile każda wyprawa kosztuje, a on w byle dragańskim regimencie służyć nie może.

Pan Cyprianowicz zastanowił się przez chwilę, po czym rzekł:

– To wiecie co, dobrodzieju, może ja bym wziął w zastaw Wyrąbki? Ksiądz Woynowski

zarumienił się jak panna, której młodzieniec wyznaje niespodziewanie to, co jak najmocniej pragnęła usłyszeć; ale rumieńce owe przeleciały mu tak szybko przez twarz, jak letnia błyskawica przelatuje przez wieczorne niebo, po czym spojrzał bystro na Cyprianowicza i zapytał:

– A waszmości co po tym?

Lecz ów odpowiedział z całą szczerością zacnej duszy:

—Co mi po tym? To, że chcę zacnemu młodzianowi przysługę bez straty dla siebie oddać, za którą jeszcze sobie wdzięczność jego zaskarbię. Nie bójcie się, ojczy dobrodzieju, mam przy tym i swoje w tym wyrachowanie. Oto wyprawię jedynaka do tej samej chorągwi, w której będzie służył pan Taczewski, i tuszę, że mój Stach znajdzie w nim godnego kompaniona i przyjaciela. Wiecie, jaka to ważna rzecz kompania i co to jest wierny przyjaciel przy boku i w obozie, gdzie tak łatwo o zwadę, i na wojnie, gdzie łatwiej jeszcze o śmierć. Bóg mi fortuny nie poskąpił, a dziecko dał tylko jedno. Pan Taczewski jest mężny, trzeźwy, mistrz, jako się pokazało, do szabli – i cnotliwy, bo wyście go hodowali! Niechże będą ze Stachem jako Orestes i Pylades. Oto moje wyrachowanie.

Ksiądz Woynowski otworzył mu szeroko ramiona.

– A to Bóg waści zesłał! Za Jacka ja ręczę jak za siebie samego. Złoto to chłop i serce ma wdzięczne jak pszenna ziemia. Bóg waści zesłał! Będzie teraz mogło moje chłopczyisko pokazać się, jak na Taczewskiego Powale przystoi – i co najważniejsza, może ujrzawszy szeroki świat, zapomni o tej dziewczce, dla której tyle lat zmarnował i tyle przecierpiał.

– Także to ją od dawna miłował?

– Ba, prawdę mówiąc, od małego dziecka. A i teraz nie mówi nic, zęby zacina, ale wije się jako węgorz na tronie... A niechże jedzie jako najprędzej, bo z tego nie mogło i nie może nic być. Nastąpiła chwila milczenia.

– Trzeba jednak acuratissime o tych sprawach pogadać – rzekł wreszcie staruszek. – Ile waszmość pan możesz dać na zastaw Wyrąbków? Lichy to płachetek.

– Choćby i sto dukatów.

– Bójże się waszmość Boga!

– A czemu? Jeśli pan Taczewski spłaci mi to kiedyś, to wszystko jedno, ile dam, a jeśli nie spłaci, to także wyjdę na swoje, bo tu wkoło ziemie liche, a to nowina po lesie, która przeto musi być dobra. Ja dziś zabieram Stacha i Bukojemskich z powrotem do Jedlinki, a waszmościowie bądźcie na nas łaskawi, jak tylko pan Taczewski, z Radomia wróci. Pieniądze będą gotowe.

– Z niebaś się waszmość wziął razem ze swoją fortuną i ze swoim złotym sercem – odpowiedział ksiądz Woynowski.

Po czym kazał przynieść miodu, sam ponalewał kusztyczki i pili z ochotą, jak piją ludzie mający radość w sercu. Przy trzecim jednak kusztyczku spoważniał ksiądz i rzekł:

– Za pomoc, za dobre słowo, za waćpanową pocziwość niech choć dobrą radą zapłacę.

– Słucham.

– Nie osadzaj wać syna w Wyrąbkach. Dziewka jest gładka nad wszelką imaginację. Może być przy tym sama w sobie i zacna, nie przeczę, ale to Sienińska, z czego nie ona sama, ale pan Pągowski jest tak pyszny, że gdyby o nią posunął – bo ja wiem? – choćby sam nasz królewicz Jacobus, jeszcze by się to staremu nie wydało zanadto. Strzeżże wać syna, nie pozwól mu, aby sobie o tę pychę młode serce podrapał albo i śmiertelnie, jak Jacek, poranił. Ze szczerzej i życzliwej przyjaźni to waści mówię, chcąc dobrym za dobre zapłacić.

Pan Cyprianowicz przeciągnął dłonią po czole i tak rzekł:

– Spadli nam do Jedlinki z powodu podróźnej przygody, jakoby z chmur. Ja byłem kiedyś w domu pana Pągowskiego z sąsiedzkimi odwiedzinami, ale on nie był u mnie. Wymiarkowawszy

stąd jego pychę, więcej jego przyjaźni i znajomości nie szukałem. Samo to przyszło. Syna jednakże w Wyrąbkach nie osadzę ani też bałamucić mu się w Belczącce nie pozwolę. Nie tak my stara szlachta jak Sienińscy ani może jak Pągowsy, ale szlachta, i to wyrosła z wojny, z tego, co boli, jako mawiał pan Czarniecki. Godność naszą potrafimy zachować – i mój syn nie mniej ode mnie jest na to czuły. Strzały Kupidyna trudno się młodemu ustrzec, ale powiem wam, dobrodzieju, co mi Stach rzekł, gdym go teraz w Belczącce o dziewczkę rozpytywał: „Wolę – powiada —jabłka nie urwać, niż za wysoko podskakiwać, bo jak nie doskoczę, to wstyd.”

– O, to dobrze ma w głowie! – zawołał ksiądz.

– Taki on był od małego – odrzekł z pewną dumą Cyprianowicz. – Przy tym powiedział i to jeszcze, że gdy teraz dowiedział się, czym ta dziewczka była dla Taczewskiego i co on dla niej przeszedł, nie chciałby za nic tak godnemu kawalerowi w drogę wchodzić. Nie, mości dobrodzieju, nie dlatego ja biorę w zastaw Wyrąbki, by synowi memu było do Belczączi blisko. Niech mi Bóg chłopca strzeże i od wszelkiego złego go uchroni!

– Amen. Wierzę, jakoby mi anioł powiadał. A tę pannę niech ktoś trzeci weźmie, choćby jeden z panów Bukojemskich, którzy szczycą się tak wielką parantelą.

Cyprianowicz począł się śmiać, po czym dopił miodu, pożegnał się i odjechał. Ksiądz Woynowski udał się do kościoła, aby Bogu podziękować za niespodzianą pomoc, po czym niecierpliwie czekał na Taczewskiego.

A gdy nareszcie Jacek wrócił, wybiegł do niego aż na podwórze, chwycił go w ramiona i począł wołać:

– Jacku! za jedno podogonie możesz dziesięć dukatów zapłacić. Sto czerwonych masz jakoby na stole i Wyrąbki przy tobie zostają!

A Taczewski utkwiał w niego zapadłe z męki i bezsenności oczy i zapytał ze zdziwieniem:

– Co się stało?

Rozdział jedenasty

Stałą się istotnie rzecz dobra, bo płynąca z uczciwego ludzkiego serca. Z największą też pociechą zauważył ksiądz Woynowski, że Jacek mimo ciężkiego strapienia i wszystkich serdecznych udręczeń nabrał jakby nowego ducha na wiadomość o układzie z Cyprianowiczem. Przez kilka dni mówił i myślał tylko o koniach, wozach, o wojennym rynsztunku i czeladzi, tak iż zdawało się, że w jego duszy nie masz już na nic innego miejsca.

– To ci lekarstwo, to ci balsam, to ci driakiew – powtarzał sobie w duchu ksiądz Woynowski – bo żeby kto nie wiem jak był przez niewiastę usidlon, żeby nie wiem jaki nieszczęśnik, to przecież, jeśli na wojnę idzie, musi obaczyć, czy nie dychawicznego albo nie włogawego konia kupuje, musi między szabłami wybrać, a pancerza przymierzyć, a kopią się raz i drugi złożyć, przez co animus zaraz się od niewiasty odwróci i przystojniejszymi rzeczami zajęty, sercu też ulgę zapewni.

I wspominał, jako niegdyś, za młodych lat, sam szukał w wojnie zapomnienia albo śmierci. Ale że teraz wojna jeszcze nie rozkwitła, więc Jackowi w każdym razie było do śmierci daleko, a tymczasem cały zaprzątnięty był wyprawą i związanymi z nią sprawami.

Było zaś czynności dużo.

Obaj Cyprianowicze przyjechali znów do księdza Woynowskiego, u którego mieszkał Jacek. Po czym wszyscy razem udali się do grodu, aby spisać akt zastawu. Tamże sporządzona została część Jackowej wyprawy, której resztę doświadczony i przezorny ksiądz Woynowski radził załatwić w Warszawie albo w Krakowie. Wypełniło to kilka dni od rana do wieczora, przy czym wygojony już prawie zupełnie po nieznacznym skaleczeniu Stanisław Cyprianowicz pomagał gorliwie Jackowi, z którym coraz ściślejszą zawiązywał znajomość i przyjaźń. Cieszyli się na ów widok starzy, albowiem obu wielce na tym zależało. Zaczny pan Serafin począł nawet żałować, że Jacek tak prędko odjeżdża, i namawiać księdza, aby zbyt wyjazdu jego nie przyspieszał.

– Rozumiem – mówił – rozumiem dobrze, dlaczego byście go chcieli, ojcze dobrodzieju, jako najprędzej wyprawić, ale po sprawiedliwości muszę powiedzieć, że ja o tej pannie Sienińskiej zle nie myślę... Juźci prawda, że w pierwszej chwili niezbyt wdzięcznie Jacka po pojedynku przyjęła, ale pomyślcie, że Stach i Bukojemscy dopiero co i ją, i panią Winnicką z wilczej paszczęki wyrwali; cóż więc dziwnego, że na widok ich ran i krwi chwycił ją gniew, który jako wiem, ekscytował w niej umyślnie i Pałowski. To – to zawzięty prawdziwie człek, ale dziewczynina, gdym tam u nich był, przyszła już do mnie całkiem skruszona: „Przyznaję – powiada – że nie postąpiliśmy sprawiedliwie i że się panu Jackowi należy jakowaś od nas pociecha”. I zaraz ci jej oczka zmokły, aż mi się zrobiło żal, że to przy tym liczko nad miarę gładkie. Ale duszę to ona ma sprawiedliwą i krzywdę czuje...

– Na miły Bóg, niechże Jacek o tym nie wie, bo zaraz by mu serce znów pod gardło podeszło, a ledwie aż począł lepiej dychać. Uciekł stamtąd bez czapki, przysiągł, że nie wróci, i niech go Bóg od tego broni. Niewiasty, widzisz waszmość, są jako te ogniki, co w Jedlni na tłustych błotach nocami chodzą. Gonisz go – ucieka; uciekasz – on cię goni... Ot co!...

– Mądra to jest sentencja, którą muszę dla Stacha zakonotować – rzekł pan Serafin.

– A Jacek niech jedzie jak najprędzej. Wygotowałem mu już listy do różnych znajomych i dygnitarzy, których znałem, gdy nie byli jeszcze dygnitarzami, i do żołnierzy co znamienitszych... W tych listach polecam i waścinego syna jako godnego kawalera, a gdy przyjdzie na niego czas wyruszyć, to mu jeszcze dam osobne, choć to może i zbyteczna, bo mu już tam Jacek drogę utoruje. Niech służą razem.

– Dziękuję wam, ojcze dobrodzieju, z całej duszy. Tak! niech służą razem i niech do końca życia w stałej amicycji dotrwają. Mówiliście o chorągwi królewicza Aleksandra, która pod Zbierzchowskim chodzi. Górna to chorągiew, może i najpierwsza w usarii, więc bym dla Stanisława okrutnie był rad, ale on mi powiedział tak: „Lekka jazda na sześć dni w tygodniu, a usarze tylko jakoby na niedzielę.”

– Generaliter prawdę powiedział – odrzekł ksiądz. – Juźci, usarzy na podjezdy nie posyłają i rzadko też który na harc wyjeżdża, że to takiemu żołnierzowi nie przystoi z byle kim się potykać; ale też za to, jak przyjdzie ich niedziela, to się nabijają a natratują, że inni i przez sześć dni tyle krwi nie wytoczą. Zresztą nie wojnie rozkazują, ale wojna rozkazuje, więc czasem się trafi, że i usarze mają powszednią robotę.

– Ojciec dobrodziej wiesz to najlepiej...

Ksiądz Woynowski przymknął na chwilę oczy, jakby chcąc przypomnieć sobie dokładniej czasy ubiegłe, po czym podniósł szklenicę, spojrzął pod światło na miód, pociągnął jeden i drugi łyk i rzekł:

– Tak było, gdyśmy pod koniec wojny szwedzkiej poszli pokarać zdrajcę elektora za znowę z Carolusem. Poniósł pan marszałek Lubomirski ogień i miecz pod sam Berlin. Byłem wtedy towarzyszem w jego własnej usarskiej chorągwi, której Wiktor porucznikował. Zastawiał nam się Brandenburczyk jako mógł: to piechotę, to pospolitym ruszeniem, w którym była szlachta niemiecka – i mówię waści, że nam usarzom, tak samo jak i nadwornym kozakom, ledwie że w końcu ramiona w zawiasach chodziły...

– Takaż to była ciężka robota?

– Nie była ciężka, bo na sam nasz widok tak niebożętom muszkiety i dzidy w rękach się trzęsły jako gałęzie na wietrze – ale była co dzień od rana do wieczora. Czy kopię wrażasz w piersi czy w plecy, jednako się strudzisz. Hej, miłaż to była wyprawa, bo —jako się rzekło – pracowita, a swoją drogą w życiu ja się tyle ludzkich i końskich zadów nie napatrzył, ile wówczas. Spustoszyliśmy też z połowę Brandenburgii tak godnie, że aż Luter w piekle płakał.

– Miło wspomnieć, że zdrada słuszną otrzymała karę.

– Pewnie, że miło. Przyjechał potem elektor do pana Lubomirskiego prosić miru. Jam tego nie widział, ale powiadali potem żołnierze, że pan marszałek chodził po majdanie wsparty w boki, a elektor dreptał ciągiem za nim i kłaniał się tak, że bez mała peruką do ziemi dostawał, i pod kolana marszałka chytał – ba! mówili nawet, że i całował, gdzie popadło; ale temu to i nie bardzo daję wiary, gdyż pan marszałek, mając serce pyszne, lubił nieprzyjaciela przygiąć, ale człowiek był przy tym polityczny – i nie byłby na nic podobnego zezwolił.

– Daj Bóg; aby teraz z Turkami tak poszło, jak wonzas z Brandenburczykiem.

– Niewysoka ci jest moja eksperjencja, ale za to długa, powiem tedy szczerze waszmości, iż myślę, że pójdzie albo tak, albo jeszcze i lepiej. Pan marszałek był wojennik doświadczony i zwłaszcza fortunny, ale przecie z naszym Jegomością, dziś szczęśliwie nam panującym, porównać go nie można.

Po czym wspominali wszystkie zwycięstwa królewskie i bitwy, w których sami jeszcze brali udział, pijąc za zdrowie króla i ciesząc się, że pod takim wodzem młodzi nie tylko wojny zażyją, ale i sławy niezmierniej nabędą, zwłaszcza że wojna miała być z odwiecznym nieprzyjacielem krzyża.

Wprawdzie nikt nic o niej dobrze nie wiedział.

Nie było też jeszcze wiadomo, czy potęga turecka zwróci się naprzód na Rzeczpospolitą, czy na cesarza. Sprawa przymierza z dworem rakuskim miała być dopiero na sejmie poruszona. Ale już na zjazdach szlacheckich i sejmikach powiatowych mówiono tylko o wojnie. Statyści, którzy bywali w Warszawie i przy dworze, przepowiadali ją bez pochyby, a prócz tego cały naród ogarnęło jakoweś przeczucie, że musi ona nastąpić – przeczucie niemal od samej pewności silniejsze, a wysnute z dotychczasowych czynów królewskich jak i z powszechnej woli i z przeznaczeń narodowych.

Rozdział dwunasty

W drodze z Radomia zaprosił ksiądz Woynowski Cyprianowiczów, aby wstąpili dla wytchnienia na plebanię, po czym miał wraz z Jackiem udać się do nich do Jedlinki. Tymczasem zajechali go niespodziewanie trzej panowie Bukojemscy.

Marek, który miał przecięty obojczyk, nie mógł się jeszcze ruszać, ale Mateusz, Łukasz i Jan przybyli pokłonić się staruszkowi i podziękować mu za opatrunek. Janowi brakło wprawdzie małego palca, a starsi mieli potężne kresy – jeden na czole, drugi na policzku – ale zresztą wygoili się całkiem i byli zdrowi jak rydze.

Przed dwoma dniami wyprawili się już do puszczy na łowy i podkurzywszy śpiącą niedźwiedzicę w barłogu, skłuli ją oszczepami, a piastuna przywieźli w darze księdzu, którego miłość dla leśnych bestii znana była powszechnie.

Staruszek, któremu przypadli do serca jako „chłopy szczerze”, ucieszył się i do nich, i do niedźwiadka – i aż popłakał się ze śmiechu, gdy ów porwawszy jeden z kuszyków nalanych dla gości miodem, począł ryczeć wniebogłosy dla wzbudzenia należytego postrachu i zabezpieczenia sobie łupu.

Po czym widząc, że mu nikt nie odbiera, stanął na zadnich nogach i wypił jak człowiek, co jeszcze większą wzbudziło radość.

– Nie uczynię go ani piwnicznym, ani bartnikiem – mówił rozbawiony ksiądz.

– Ha! – wołał śmiejąc się Stanisław Cyprianowicz – krótko był w szkole u Bukojemskich, ale przez jeden dzień tyle skorzystał, ile by się w boru przez całe życie nie nauczył.

– A nieprawda – odrzekł Łukasz – gdyż to jest bestia, która z przyrodzenia ma ten dowcip, że wie, co jest dobre. Ledwieśmy go z lasu przywieźli, zaraz się gorzałki napił, jakby co rano w lesie pijał, a potem psu dał w pysk: „naści (powiada) nie obwąchuj” – i poszedł spać.

– Dzięki waszmościom szczerą będę miał z niego pociechę – rzekł ksiądz – ale go piwnicznym nie uczynię, bo choć na napitkach zna się dobrze, zbyt by gorliwie koło nich chodził.

– Niedźwiedź niejedno potrafi – zauważył Jan. – U księdza Głomińskiego w Przytyku jest taki, o którym powiadają, że do organów kalikuje. Ale niektórzy się tym gorszą, bo czasem też i sam ryknie, zwłaszcza gdy go drągiem poekscytują.

– Nie masz w tym nijakiego zgorszenia – odpowiedział ksiądz – ptacy sobie gniazda w kościołach czynią i na chwałę boską śpiewają, a nikt się tym nie gorszy. Każdy zwierz to też słuźka boży, a Zbawiciel w stajence się narodził.

– Mówią przy tym – rzekł Mateusz – że Pan Jezus młynarza w niedźwiedzia zmienił, więc może się w nim i dusza ludzka ostała. A na to starszy Cyprianowicz:

– Toście młynarzową w takim razie zabili, za co musicie odpowiadać. Król jegomość bardzo o swoje niedźwiedzie zazdrosny i nie po to leśniczych trzyma, aby mu je zabijali.

Usłyszawszy to trzej bracia zatroskali się rzetelnie i dopiero po dłuższym namyśle Mateusz, chcąc coś powiedzieć na obronę wspólnego uczynku, rzekł:

– Ba, albośmy to nie szlachta? Tacy dobrzy Bukojemscy jak i Sobiescy.

Lecz Łukaszowi przysła do głowy szczęśliwsza myśl, więc zaraz rozpogodził oblicze.

– Daliśmy kawalerski parol – rzekł – że nie będziem niedźwiedzi strzelać – prawda?! Toteż nie strzelamy, jeno kłujem.

– Nie o niedźwiedziach teraz król jegomość myśli – zauważył Jan – a przy tym nikt mu nie doniesie. Niechby który borowy śmiał... Ha! szkoda wszelako, żeśmy się panu Pągowskiemu i panu Grothusowi z tym pochwalili, bo pan Grothus właśnie do Warszawy jechał, a że króla często widuje, to może tam przypadkiem się wygadać.

– A kiedyżeście Pągowskiego spotkali? – zapytał ksiądz.

– Wczoraj. Właśnie pana Grothusa odprowadzał. Wiecie, dobrodzieju, gdzie jest karczma, co się „Mordownia” nazywa? Zajechali tam koniom wytchnąć i nas zastali. Począł tedy Pągowski o różne rzeczy wypytywać, a i o Jacka też.

– O mnie? – zapytał Taczewski.

– Tak. „Czy prawda (pyta), że Taczewski do chorągwi jedzie?”

– Powiadamy: Prawda!

– „A kiedy?”

– Pono wkrótce. – Tak Pągowski znów mówi: „To dobrze, ale chyba do piechoty”.

Na to rozniewaliśmy się wszyscy, a Mateusz powiada:

– „Jegomość takich rzeczy nie suponuj, bo Jacek teraz nasz przyjaciel i musielibyśmy się za nim ująć.” I że to zaczęliśmy trochę sapać, więc on się pomiarkował i rzekł:

– „Nie mówię ja tego z jakiej osobliwej nieżyczliwości, jeno wiem, że Wyrąbki – nie starostwo.”

– Starostwo czy nie starostwo, a jemu zasię! – zawołał ksiądz. – Niechże sobie tym głowy nie zaprzęta.

Widocznie jednak pan Pągowski odmiennego w tej sprawie był zdania i zaprzętał sobie głowę Jackiem, albowiem w godzinę później pacholek przyniósł razem z nowym gąsiorkiem miodu list z pieczęcią i rzekł:

– Jest posłaniec do jegomości z Bełczączki.

Ksiądz Woynowski wziął list, odpieczętował, rozwinął, uderzył wierzchem dłoni w arkusz i zbliżywszy się do okna, począł czytać.

A Jacek aż przybladł ze wzruszenia i patrzył jak w tęczę w ową kartę, albowiem przecucie mówiło mu, że o nim w niej będzie mowa. Myśli jak jaskółki przelatywały mu przez głowę: nuż stary się skruszył, nuż to są przeprosiny? Tak powinno być i nawet nie może być nic innego. Pągowski nie miał jeszcze prawa gniewać się o to, co zaszło, więcej od tych, którzy w zajściu ucierpieli. Więc oto ozwało się sumienie: poznał niesprawiedliwość swego postępkę, zrozumiał, jak ciężko niewinnego człowieka pokrzywdził, i pragnie krzywdę naprawić.

Serce poczęło w Jacku bić jak młotem: – Och, pojedę – mówił sobie w duszy – nie dla mnie tamto szczęście, a choć i przebaczę, to już zapomnieć nie potrafię, ale by raz ujrzeć jeszcze przed wyjazdem tę tak okrutną, a tak umiłowaną Anulę, raz się jej jeszcze napatrzeć, raz jeszcze głos jej usłyszeć – tego mi, miłosierny Boże, nie odmawiaj!

I myśli leciały szybciej jeszcze od jaskółek, ale nim przeleciały, stało się coś całkiem niespodzianego, bo oto nagle ksiądz Woynowski zmiał list w rękę i chwycił się za lewy bok, jakby szukając szabli. Oblicze zaszło mu krwią, szyja napęczniała, a oczy ciskały błyskawice. Był po prostu tak straszny, że Cyprianowicze i Bukojemscy patrzyli na niego z takim zdumieniem, jak gdyby przez jakieś czary zmienił się nagle w innego człowieka.

W izbie zapanowało głuche milczenie.

Tymczasem ksiądz pochylił się ku oknu, jakby na coś przez nie wyglądał, po czym odwrócił się, spojrział naprzód po ścianach, potem na gości, ale widocznie zwalczył się już i opamiętał, bo twarz mu zbladła i płomień przygasł w oczach.

– Mości panowie – rzekł – to człowiek nie tylko zapalczywy, lecz i zgoła zły. Bo powiedzieć w zapalczywości więcej niż słusność pozwala, to się każdemu trafi, ale w zawziętości krzywdzić dalej i deptać po pokrzywdzonym, to już nieszlachecka i niekatolicka rzecz.

To rzekłszy pochylił się, podniósł zmięty list i zwrócił się do Taczewskiego:

– Jacku, jeśli ci jeszcze drzazga jaka w sercu została, to tym nożem ją wykroisz. Czytaj, niebożę, czytaj w głos, bo nie ty się wstydić powinieś, ale ten, kto taki list napisał. Niech się ichmościowie dowiedzą, jaki jest pan Pałowski.

Jacek chwycił drżącymi rękoma kartę, rozwinął ją i czytał:

„Mnie wielce miłociwy księże proboszczu Dobrodzieju
etc. etc.

Dowiedziawszy się, iż Taczewski z Wyrąbek, któren bywał w moim domu, ma się w tych czasach do wojska udać, przez pamięć na chleb, którym go w ubóstwie jego karmiłem, i dla posług, do których czasami trafiało mi się go używać, posyłam mu podjezdka i dukat na podkowy z zaleceniem, aby go na inne niepotrzebne rzeczy nie przetrwonil.

Polecając zarazem chętne a gorliwie służby moje, piszę się... etc. etc.”

Jacek zbladł tak bardzo po przeczytaniu listu, że aż obecni złękli się o niego, zwłaszcza ksiądz, który nie był pewien, czy ta bladeść nie jest zwiastunką szalonego wybuchu, a wiedział, jak straszny bywa w gniewie ten tak łagodny zwykle młodzian. Począł go też od razu hamować:

– Pałowski stary jest i nie ma ręki – mówił pośpiesznie – wyzwać go nie możesz!...

Lecz Taczewski nie wybuchnął, albowiem niezmiernie i bolesne zdumienie wzięło w nim w pierwszej chwili górę nad wszelkimi innymi uczuciami.

– Wyzwać go nie mogę – powtórzył jak echo – ale dlaczego on jeszcze depce po mnie?

Na to podniósł się starszy Cyprianowicz, wziął obie ręce Jacka, potrząsnął nimi silnie, po czym ucałował go w czoło i rzekł:

– Sobie jeno Pałowski tym ubliżył, nie tobie, a jeśli zemsty poniechasz, tym bardziej będzie każdy podziwiał twoją wspaniałą i godną wielkiej krwi duszę.

– Oto mądre słowa! – zawołał ksiądz – których musisz okazać się godnym... Z kolei uściskał Jacka Stanisław Cyprianowicz.

– Prawdę mówiąc – rzekł – to coraz więcej cię kocham...

Lecz panom Bukojemskim, którzy od chwili wysłuchania listu nie przestawali zgrzytać, taki obrót rzeczy nie był wcale po myśli. Za przykładem Stanisława poczęli i oni ścisnąć Jacka.

– Niech ta będzie, jak chce – ozwał się wreszcie Łukasz – ale na miejscu Jacka inaczej ja bym sobie poradził.

– Jak? – zapytali z ciekawością dwaj bracia.

– Właśnie, że nie wiem jak, ale bym się namyślił i swego bym nie darował.

– Skoro nie wiesz, to się nie odzywaj.

– A wy to niby wiecie?

– Cicho wać! – rzekł ksiądz. – Jużci bez odpisu tego listu nie ostawim, ale zemsty poniechać – chrześcijańska i katolicka rzecz.

– Ba! a jegomość też się w pierwszej chwili za bok porwał.

– Bom za długo przy nim szablę nosił. Mea culpa! A jakom rzekł, zachodzi jeszcze i ta okoliczność, że Pałowski jest stary i bez ręki. Na nic tu żelazne racje... I powiem waściom, że właśnie dlatego brzydnie mi do ostatka ten zaciekły człek, że w tak paskudny sposób z bezkarności korzysta.

– Będzie mu wszelako przyciasno w naszej okolicy – rzekł Jan Bukojemski.

– Już to nasza głowa w tym, żeby żywa noga pod jego dachem nie powstała...

– Tymczasem trzeba odpisać – przerwał ksiądz – i to zaraz. Jednakże przez chwilę jeszcze

namyślali się, kto ma odpisać: czy Jacek, dla którego był list przeznaczony, czy ksiądz, do którego był przesłany. Stało na tym, że ksiądz; sam Taczewski rzecz rozstrzygnął rzekłszy:

– Dla mnie cały ten dom i wszyscy ludzie jakoby wymarli, i szczęście dla nich, że to sobie w duszy powiedział.

– Tak ci i jest! mosty spalone – dorzucił ksiądz szukając piór i papieru.

Na to Jan Bukojemski:

– To dobrze, że mosty spalone, ale lepiej by było, żeby i Bełczączka poszła z dymem! Bywało tak u nas na Ukrainie, gdy się jaki obcy przybłąda osiedlił, a z ludźmi żyć nie umiał, to się samego usiekło, majątek zaś puszczało się z dymem.

Nikt jednakże nie zwrócił uwagi na te słowa, prócz starszego Cyprianowicza, który machnął niecierpliwie ręką i odparł:

— Waćpanowie przybyliście w te strony z Ukrainy, ja spod Lwowa, a pan Pałowski spod Pomorza, to, wedle waćpaniego dowcipu, pan Taczewski mógłby nas wszystkich za przybłądów uważać; ale wiedz o tym, że Rzeczpospolita to jest wielki dom, w którym mieszka rodzina szlachecka i w którego każdym kącie szlachcic jest u siebie...

Nastało milczenie, z alkieryza dochodziło tylko skrzywienie pióra i wymawiane półgłosem słowa, które ksiądz sam sobie dyktował.

Taczewski wsparł czoło na dłoniach i czas jakiś siedział bez ruchu; nagle wyprostował się, spojrzął po obecnych i przemówił:

– Jest coś takiego, czego ja wyrozumieć nie mogę.

– My też nie rozumiemy – odrzekł Łukasz Bukojemski – ale jeśli się miodu napijesz, to i my się napijem.

Jacek nalał machinalnie miodu w kusztyki, jednocześnie zaś idąc za biegiem własnych myśli mówił dalej:

– Bo że się pojedynek począł w jego domu, za to Pałowski – chociaż takie rzeczy przytrafiają się wszędy – mógł się obrazić. Ale on teraz wie, że nie ja wyzwałem, wie, że mi niesłusznie pod moim własnym dachem ubliżył, wie, że z waćpanami już w zgodzie, wie, że się więcej u niego w domu nie pokażę – i jeszcze mnie ściga, jeszcze podeptać usiłuje...

– Prawda, że to jakaś osobliwa zaciekłość – rzekł stary Cyprianowicz.

– Ha! waszmość też mniemasz, że w tym coś jest?

– W czym? – zapytał ksiądz, który wyszedłszy z gotowym listem z alkieryza, usłyszał ostatnie słowa.

– W tej osobliwej dla mnie nienawiści.

Ksiądz spojrzął na półkę, na której stało wśród kilku innych ksiąg Pismo Święte, i rzekł:

– To ja ci powiem, com zresztą dawno mówił: w tym jest mulier. Tu zwrócił się do obecnych:

– Czym waćpanom zacytował, co mówi o niewieście Eklezjasta?...

Lecz nie mógł skończyć, gdyż Jacek zerwał się, jakby sparzony żywym ogniem, wbił palce w czuprynę i począł prawie krzyczeć z bólem niezmiernym:

– Tym bardziej nie rozumiem, bo jeśli kto w świecie... bo jeśli komu w świecie... bo jeśli jest kto taki... to przecie duszę całą...

I nie mógł nic więcej powiedzieć, gdyż serdeczna boleść chwyciła mu gardło jakby w kleszcze i zebrała się w oczach w postaci dwóch wielkich a gorzkich i palących łez, które spłynęły mu po policzkach.

Lecz ksiądz zrozumiał go doskonale.

– Mój Jacku – rzekł – lepiej ranę wypalić, choćby z największym bólem, niż żeby się jątrzyła; dlatego nie oszczędzam cię. Hej! i ja swego czasu byłem świeckim żołnierzem, przeto wiele rzeczy rozumiem. Wiem, iż bywa tak, że pamięć i żal, choćby człowiek najdalej odjechał, wloką

się za, nim jako psi i po nocach wyjąc spać mu nie dają. Więc co? więc lepiej od razu je zabić. Ty w tej chwili czujesz, że byłbyś tam oddał wszystką krew, z której przyczyny tak ci dziwno i straszno, że właśnie zemsta cię z tamtej strony ściga. I rzecz wydaje ci się niepodobna, a przecie jest podobna... Bo jeśliś tam niewieścią pychę i niewieście samolubstwo zadraźnił, jeśli liczono, że będziesz skomlał, a tyś nie skomlał, jeśli cię wybito, a tyś się nie łąsił, jeno za łańcuch targnął i zerwał, to wiedz, że ci to nigdy nie będzie wybaczone i że zacieklejsza, niżli bywa męska, nienawiść ścigać cię będzie zawsze. A na to rada jest tylko jedna: złamać afekt, choćby o własne serce, i cisnąć daleko od siebie jako pęknięty łuk – ot co!

I znów nastąpiła chwila milczenia. Stary Cyprianowicz kiwał głową przytwierdzając księdzu i jako człowiek doświadczony, podziwiając mądrość jego słów.

Jacek powtórzył:

- Prawda jest, zem za łańcuch targnął i zem go zerwał... Tak, to nie Pałowski mnie ściga!
- Już wiem, co bym zrobił – ozwał się nagle Łukasz Bukojemski.
- Mów, nie ukrywaj! – zawołali dwaj bracia.
- A wiecie, co powiada zajac?
- Jaki zajac? czyś się upił?
- A ten, co pod miedzą.

I widocznie podochocony, wstał, wziął się w boki i zaczął śpiewać:

Siedzi sobie zajac pod miedzą, Pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą, Nie wiedzą.
Siedzi sobie, lamentuje I testament zapisuje
Pod miedzą.

Tu zwrócił się do braci i zapytał:

- A wiecie, jaki jest tenor testamentu?
- Wiemy, ale miło posłuchać!
- To słuchajcie:

Pocałujcieże mnie wszyscy,
Dojeżdżacze i myśliwcy,
Pod miedzą...

...Ot, to bym ja na miejscu Jacka wszystkim w Bełczącce napisał, a jeśli on tego nie uczyni, niech mnie pierwszy janczar wypatroszy, jeżeli ja tego w moim i waszym imieniu Pałowskiemu na pożegnanie nie napiszę.

- O, jak mi Bóg miły, to jest przednia myśl! – zawołał z radością Jan.
- I z fantazją, i do rzeczy!
- Niech Jacek tak odpisze!

– Nie – rzekł ksiądz, którego zniecierpliwiała rozmowa braci – nie Jacek odpisuje, jeno ja, a mnie się pożyczają terminów od waszmościów nie godzi.

Tu zwrócił się do Cyprianowiczów i do Jacka:

– Materia była trudna, to trzeba było i złości rogów przytrzeć, i z polityką się nie rozminąć, i pokazać, że się domyślamy, skąd wysunęło się, żądło. Przeto posłuchajcie, a jeśli by który z waszmościów grzeczną jaką uwagę uczynił, to i owszem.

I począł czytać:

„Wielmożny mości dobrodzieju, a mnie wielce miły Panie i Bracie...”

Tu uderzył wierzchem dłoni w kartę i rzekł:

– Uważcie waszmościowie, że mu nie piszę: „a mnie wielce miłościwy”, jeno: „mnie wielce miły...”

– Będzie miał dość! – rzekł pan Serafin – czytaj dobrodzieju dalej.

– Tedy słuchajcie:

„Wiadoma to jest rzecz wszystkim obywatelom w Rzeczypospolitej naszej zamieszkałym, że ci tylko w każdym zdarzeniu przystojną politykę conservare et applicare umieją, którzy albo od młodości z politycznymi przestawali ludźmi, albo którzy z wielkiej krwi pochodząc, z przyrodzenia już ją na świat z sobą przynieśli. Co że ani jedno, ani drugie nie przypadło W. Mości Panu Dobrodziejowi w udziale, przeto W. Pan Jacek Taczewski, który ex contrario Wać M. Panu i krew, i duszę odziedziczył po sławnych przodkach wspaniałą, odpuszcza mu jego prostackie słowa, a również prostackie dary odsyła. Że zaś, jako caupones, którzy gospody w miastach albo zajazdy po drogach trzymają, za gościnność, której W. Pan Jacek Taczewski w domu W. Mości doznawał, jakoby rachunek podajesz, z takowej racji gotów jest W. Taczewski wszelkie expensa zwrócić, z odpowiednim przyrodzonej swej hojności suplementem...”

– O, jak mi Bóg miły – przerwał starszy Cyprianowicz – chyba Pałowski krew zaleje!

– Ha! trzeba było pychę upokorzyć, a że się przy tym pali mosty, sam Jacek tego chciał.

– Tak! tak! – zawołał gorączkowo Taczewski.

– A teraz słuchajcie, co mu już od siebie dopisuję:

„Do której wyrozumiałości ja sam skłoniłem W. Taczewskiego w tej myśli, że wprawdzie łuk jest waćcin, ale zatruta strzała, którą zacnego młodziana ugodzić chciałeś, może i nie z waćcinego sajdaka pochodzi. Rozum bowiem, równie jak siła w kościach, słabnie z wiekiem i niedoleżna starość, łatwo cudzym podszeptom się poddając, tym samym na większe pobłażanie zasługuje. W tej myśli kończę, przydając jeszcze, jako kapłan i sługa boży, tę uwagę, że im wiek późniejszy a kres bliższy, tym mniej przystoi służyć pysze i nienawiści, a natomiast tym więcej myśleć o zbawieniu dusznym, którego sobie i W. Mości życzyć. Amen. Przy czym pozostając, etc. piszę się, etc.”

– Wszystko jest accurate wypisane – rzekł pan Serafin – nic dodać, nic ująć.

– Ha! – rzekł ksiądz. – I myślisz waćpan, że ma, na co zasłużył?

– Oj! aż mi się gorąco przy niektórych terminach czyniło.

– I mnie – dodał Łukasz Bukojemski. – Prawdziwie, że jak człowiek takie rzeczy słyszy, to mu się pić jak w czasie upału zachciewa.

– Bądźże, Jacku, rad ichmościom, a ja pismo zapieczętuję i odeślę. To rzekłszy zdjął sygnet z palca i poszedł do alkierza. Jednakże przy pieczętowaniu listu widocznie jakieś inne myśli przysły mu do głowy, bo gdy wrócił, rzekł:

– Jest. Skończona sprawa. Ale, czy aby nie za ostro? Stary człek; nuż zdrowiem przypłaci? Vulnera zadane piórem nie mniej bolą niż te, które czyni miecz albo kula.

– Prawda! prawda! – ozwał się na to Taczewski. I zacisnął zęby.

Lecz właśnie ten mimowolny okrzyk bólu rozstrzygnął sprawę. Starszy Cyprianowicz rzekł:

– Księżę dobrodzieju, zacne to są skrupuły, ale Pałowski ich nie miał. Jego list godzi prosto w serce, a wasz tylko w pychę i złość; mniemam przeto, iż powinien być wysłany.

I list został wysłany, po czym jeszcze pośpieszniej czyniono przygotowania do odjazdu Taczewskiego.

Rozdział trzynasty

Nie przewidzieli jednakże przyjaciele Jacka, że list księdza będzie pod pewnym względem na rękę panu Gedeonowi Pągowskiemu i posłuży jego domowej polityce.

Nie przyjął on go wprawdzie bez gniewu. Jacek, który był mu dotąd tylko przeszkodą, stał się odtąd, chociaż nie był autorem listu, przedmiotem nienawiści. Nienawiść owa rozkwitła w zawziętym, starym sercu jak zatruty kwiat, jednakże przemyślny rozum postanowił skorzystać z księżej odpowiedzi.

Pohamował więc pan Gedeon wściekły gniew, przybrał twarz w wyraz pogardliwej litości i udał się z listem do panny Sienińskiej.

– Za twoje myto jeszcze cię wybito – rzekł. – Jam tego czynić nie chciałem, bom człowiek doświadczony i znający ludzi, ale jak zaczęłaś składać ręce a prawić, że mu się krzywda stała, zem był za ostry i że ty byłaś zbyt ostra, że lepiej, by w gniewie nie odjeżdżał, takem ustąpiłem: posłałem zasilek w pieniądzech, posłałem konia, posłałem polityczny list; myślałem, że przyjedzie, pokłoni się, podziękuję, pożegna się, jak przystało temu, kto tyle czasu pod tym dachem spędził – a tymczasem patrz, jaką mi przysłało odpowiedź!

To rzekłszy wyciągnął zza pasa list księdza i podał go panience.

Ona poczęła czytać i wnet ciemne jej brwi ściągnęły się gniewnie, ale gdy doszła do tego miejsca, w którym ksiądz mówił, iż pan Pągowski chciał upokorzyć Jacka dzięki „cudzym podszeptom” – zadrżały jej ręce i twarz obładła się przelotnym szkarłatnym rumieńcem, a potem zbladła jak płótno i tak pozostała.

Lecz pan Gedeon, lubo zważał na wszystko, udał, że tego nie zauważył.

—Niech im tam Bóg przebaczy to, co mi ad personam wypisują – ozwał się po chwili milczenia – bo On jeden wie, czy Pągowscy tak wiele gorsi od Taczewskich, o których znakomitości więcej ludzie bają niż prawda. Czego jednak nie mogę im darować, to tego, że tobie, niebogo moja, za twoje szczere anielskie serce taką się odpłacają niewdzięcznością.

– To nie pan Jacek odpisywał, jeno ksiądz Woynowski – odpowiedziała panna Sienińska chwytając jakby za ostatnią deskę ratunku. Na to westchnął stary szlachcic i zapytał:

– Wierzysz ty, dziewczyno, że cię kocham?

– Wierzę – odrzekła pochylając się i całując jego rękę.

A on z wielką tkliwością począł ją głaskać po jasnej główce.

– Chociaż wierzysz – mówił – ale i tak nie wiesz, jak bardzo. Tyś cała moja pociecha. Rzadko ja sobie na takie słowa pozwalam i rzadko wypowiadam, co czuje serce, bo mam w nim dawną boleść zamkniętą. Aleś to powinna rozumieć, że ja mam ciebie jedną na świecie. Nie frasunku i zmartwienia, a tym bardziej bólu, jeno radości i szczęścia chciałbym ci w każdej godzinie życia przymnożyć. Nie chcę wypytywać, co tam poczęło w twoim sercu kiełkować, ale ci powiem tak: czy to był, jako mniemam, siostrzany czysto afekt, czy co więcej – niegodzien tego ów młodzian, który za naszą szczerą amicję niewdzięcznością nas nakarmił. Moja Anulko, toż byś sama siebie ludziła, gdybyś mniemała, że to bez wiedzy Taczewskiego ksiądz tak odpisał. We dwóch oni układali odpowiedź i wiesz, dlaczego odpowiedzieli tak hardo? Bo jakem słyszał, Taczewski

od tego tam Ormianina z Jedlinki pieniędzy dostał. Ot, czego mu było trzeba, a gdy to ma, o nic i o nikogo więcej nie dba. Taka jest prawda – i ty sama w duszy musisz przyznać, że inaczej myśleć to byłoby dobrowolnie się oszukiwać.

– Przyznaję – szepnęła panienka.

Pan Gedeon zamyślił się przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym rzekł:

– Nie! Powiadają, że to nałóg starszych ludzi chwalić dawne, a przyganiać nowszym czasom. Ale nie! To nie nałóg!... Psuje się świat, psują ludzie i za moich czasów nikt by jak Taczewski nie postąpił. Bo wiesz, jaki jest tego wszystkiego pierwszy początek? To ten nocleg na drzewie, którego pana kawalera na pośmiewisko ludzkie naraził... Śpieszyć niby komuś z pomocą, a samemu wlaźć ze strachu na drzewo, to się może przytrafić, ale lepiej się w takim razie nie chwalić, bo że to rzecz śmieszna, to śmieszna. Ja przecie Bukojemskich ani Cyprianowicza za żadnych bohaterów nie podaję: pijacy są, zawalidrog i kostery – wiem! Więcej im też pono o wilcze niż o nasze skóry chodziło. Ale w Taczewskim taka się gnieździ invidia, że już im i tej mimowolnej pomocy nie mógł darować. Stąd wyrósł ten pojedynek. Niechże mnie Bóg sędzi, czym nie miał słuszności się gniewać. Ha! pogodzili się potem, bo widać kawaler zrozumiał, że u Cyprianowiczów można pieniędzy dostać, więc wolał złość ku nam zwrócić. Pycha, złość, chciwość i niewdzięczność – oto, co się w nim pokazało. I nic więcej! Mnie pokrzywdził – Bóg z nim! ale za co ciebie, mój kwiatuś? Całe lata sąsiedztwa, całe lata gościny, codzienne bywanie!... Cygan się w takich kondycjach przywiąże, jaskółka do strzechy przywyknie, bocian się do gniazda nałoży, a on plunął na nasz dom, jak tylko grosz ormiański w kalecie poczuł... Nie! nie! tak by za moich czasów nikt nie postąpił!

Panna Sienińska słuchała z dłońmi przy skroniach i z oczyma wbitymi nieruchomo przed siebie, więc Pałowski przerwał i spojrzawszy na nią raz i drugi, zapytał:

– Czego się zapamiętywaś?

– Ja się nie zapamiętywam – odrzekła – jeno mi tak smutno, że i słów nie mam...

I nie znalazłszy słów, znalazła łzy. Pan Gedeon pozwolił jej się wyplakać do woli.

– Lepiej – rzekł wreszcie – żeby ci ten smutek łzami spłynął, niż żeby się miał w sercu zaskalić. Ha, trudno! niech sobie jedzie, niechaj cudzymi talarami brząka, niech tyftyki z konia po błocie włóczy, pana udaje i warszawskim gamratkom dworuje. A my sobie tu ostaniem, moja dziewczyno... I zapewne – nie wielkać to pociecha, ale przecie pociecha, gdy sobie pomyślisz, że cię tu nikt nie zawiedzie, nikt nie urazi, nikt serca ci nie okaleczy, że tu będziesz zawdy okiem w głowie każdemu i że twoja szczęśliwość to będzie najpierwsza sprawa, a zarazem i ostatnia myśl mego życia. – Chodź...

I wyciągnął ku niej ramiona, a ona padła mu na piersi rozżalona, ale zarazem i wdzięczna, tak jak córka ojcu, który ją w chwili strapienia pociesza. Pan Pałowski począł znów gładzić swą jedyną dłonią jej płową główkę i długi czas siedzieli tak w milczeniu.

Tymczasem ściemniało; potem zamarzłe szyby załśniły miesięcznym światłem i psy ozwały się tu i owdzie z podwórza przeciągłym szczekaniem.

Ciepło dziewczęcego ciała przeniknęło aż do serca pan Gedeona, które, poczęło bić żywiej, ale że bał się zdradzić przedwcześnie, więc nie chciał dłużej narażać się na pokusę.

– Wstań, dziecko – rzekł. – Nie będziesz już płakać?

– Nie będę – odpowiedziała całując go w rękę panienka.

– A widzisz! Oj tak! Pamiętaj zawsze, gdzie pewna ostoja i gdzie cicho ci będzie i przytulnie. Bo każdy młodzik rad wiać jak wiatr po całym świecie, a dla mnie ty jedna. To sobie dobrze zakonotuj!... Nieraz może myślałaś: „Opiekun spogląda jak wilk surowie, rad patrzy, kogo skrzyzczyć, i na moją młodość nie ma wyrozumienia”, a wiesz ty, o czym ten opiekun myślał i myśli? Często o swoim minionym szczęściu, często o tej boleści, która mu jako grot tkwi w sercu

– prawda, ale prócz tego – tylko o tobie, tylko o twojej przyszłej doli, tylko o tym, jakby ci wszystkiego dobrego przysporzyć. Z panem Grothusem tośmy całymi godzinami tak gadali, aż się i czasem śmiał, że to (powiada) jedna mi tylko myśl ostała. A mnie chodziło o to, żeby ci po mojej śmierci chociaż kawałek chleba spokojny i dostatni zapewnić.

– Nie daj Bóg mi tego doczekać – zawołała panienka pochylając się znów ku dłoni pana Gedeona. I w głosie jej tyle było szczerości, że surowa twarz starego szlachcica zajaśniała na chwilę prawdziwą radością.

– Miłujeszzę mnie choć ździebło?

– Oj, opiekunie!

– Bóg ci zapłać, dziecko. Wiek mój niezbyt jeszcze podeszły i ciało —gdyby nie rany w sercu i na skórze – byłoby dosyć czerstwe. Ale mówią, że śmierć siedzi zawsze pod wrotami, a do domu zapuka, kiedy zechce. W takim razie zostałabyś na świecie jeno z panią Winnicką. Pan Grothus dobry człowiek i możny, który moją wolę i mój testament zawsze uszanuje, ale co do innych krewnych nieboszczki żony... kto ich tam wie! A Bełczączkę wziąłem po żonie. Nużby chcieli się spierać, nuż procesować... Trzeba wszystko przewidzieć. Pan Grothus dawał i na to radę – pewnie że skuteczną, ale dziwną – i dlatego nie będę ci o niej mówił... Chciałbym króla jegomości zobaczyć, aby ciebie i mój testament jego opiece polecić. Ale król teraz sejmem i przyszlą wojną zajęty. Mówił pan Grothus, że jeśli będzie wojna, to wojska pod hetmanami pierwsze ruszą, a sam Jegomość w Krakowie przyzostanie... Może wówczas... Może razem się wybierzemy... Ale co bądź nastąpi, wiedz o tym, dziecko, że wszystko, co mam, jest i będzie twoje – choćbym miał pójść w ostatku za pana Grothusową radą. Ba!... choćby i na godzinę przed śmiercią!... Tak mi dopomóż Bóg. Jam przecież nie wiater w polu, nie pustak, nie łuszczymieszek, nie Taczewski.

Rozdział czternasty

Panna Sienińska wróciła do siebie pełna wdzięczności dla opiekuna, który nigdy dotychczas nie przemawiał do niej tak serdecznie, a zarazem rozżalona, pełna goryczy i zniechęcenia do ludzi i do całego świata. W pierwszych chwilach nie mogła i nie umiała myśleć spokojnie, miała tylko poczucie, że wyrządzono jej ciężką krzywdę, wielką niesprawiedliwość i że spotkał ją okrutnie bolesny zawód.

Za jej serce, za jej żal, za tęsknotę, za to wszystko, co uczyniła, aby związać na nowo potargane węzły, zapłacono jej tylko nienawistnym podejrzeniem. I nie było już na to żadnej rady. Nie mogła przecie pisać po raz wtóry do Jacka, tłumaczyć się i usprawiedliwiać. Na samą myśl o tym były na jej twarzy rumieńce upokorzenia i wstydu. Była przy tym prawie pewna, że Jacek już pojechał...

A potem przyjdzie wojna, może nie zobaczą się więcej w życiu, może on polegnie – i polegnie z przekonaniem, że w jej piersiach bije złe i przewrotne serce. Nagle chwycił ją żal niezmierny: Jacek stanął przed jej oczyma jak żywy, ze swoją smagłą twarzą i z tymi smutnymi oczyma, które wyśmiewała nieraz, że były takie jak panięńskie.

Myśl dziewczyny leci jak jaskółka chybka za podróżnikiem i woła na niego: „Jacku! jam ci zła nie chciała! Jacku, Bóg widzi moje serce!” Tak to ona na niego woła, a on ani pyta: jedzie przed siebie, a co o niej wspomni, to jeno zmarszczy się a splunie.

I znów uperliły się jej rzęsy. Przyszła na nią jakaś niemoc i chwila rozczulenia, i chwila rezygnacji, w której poczęła sobie mówić: „Ha! to trudno!... Niech mu Bóg odpuści i niech go prowadzi, a o mnie mniejsza!...”

Jednakże usta jej drgały jak u dziecka, oczy patrzyły jak oczy udreżonego ptaka i gdzieś tam, w skrytym kąciku swej czystej jak łza duszy, skarżyła się po cichutku Bogu na to, co ją spotkało.

Była teraz pewna, że Jacek nigdy jej nie kochał, i nie mogła zrozumieć, dlaczego nie kochał ani trochę.

– Opiekun słusznie mówił! – myślała. Lecz potem przyszło zastanowienie.

– Nie! to jednak nie mogło być.

Naraz przypomniała sobie te słowa Jacka, które wyryły się w jej pamięci jak w marmurze: „Nie ty odejdziesz, ja odejdę, jeno to ci jeszcze powiem, że chociażem cię od lat całych miłował bardziej niż duszę własną, nie wrócę tu więcej: pięści z boleści pogryzę, a nie wrócę – tak mi dopomóż Bóg!” I błydy był jak ściana, gdy to mówił, a prawie oszalały z gniewu i bólu.

– Nie wrócił – prawda! nie pokazał się więcej, zaniechał jej, wyrzekł się, opuścił ją, skrzywdził niegodziwym podejrzeniem, ułożył razem z księdzem ten okrutny list – wszystko prawda i w tym opiekun miał słuszność; ale żeby miał jej nigdy nie kochać, żeby dostawszy pieniędzy, miał wyjeżdżać z lekkim i radosnym sercem, żeby przestał całkiem o niej myśleć, to przecie było zupełnie do wiary niepodobne.

Troskliwość opiekuńska mogła tak mniemać, ale prawda była inna. Nie blednieje, nie zgrzyta zębami, nie gryzie pięści z bólu i nie szarpie sobie duszy ten, który wcale nie kocha...

Pomyślała wprawdzie panna, że jeśli tak, to jest tylko ta różnica, że dwoje cierpi, niejedno, ale przecie wstąpiła w nią pewna otucha, a nawet jakowaś nadzieja.

Dni i miesiące, które miały nadejść, wydały jej się może jeszcze bardziej smutne, ale mniej gorzkie. Słowa listu przestały ją też tak piec jak rozpalone żelazo, bo chociaż nie wątpiła, że Jacek brał w pisaniu udział, przecie inna jest rzecz, gdy człowiek coś czyni z rozżalenia i bólu, a inna gdy z zimnej złości...

Więc ogarnęła ją z nową siłą wielka litość dla Jacka, tak wielka, a zwłaszcza tak gorąca, że mogła to być nie tylko sama litość. Myśli jej poczęły się snuć i skręcać w jakąś złotą nić, która ginęła w przyszłości, ale zarazem rzucała na nią blask weselszy.

Wojna się skończy, rozłąka także.

– Nie wróci wprawdzie ten okrutny Jacek do Bełczączki – o nie! – bo taki zawziętnik, jak sobie coś raz powie, to dotrzyma, ale wróci w te strony, do Wyrąbek, będzie mieszkał blisko, a potem stanie się, co Pan Bóg zechce. Wyjeżdżał może ze łzami, może w bólu, może łamiąc ręce – niechże go Bóg pocieszy!

Do domu wraca się jednak zawsze z wezbranym sercem i z radością, i zwłaszcza po wojnie z wielką sławą...

Tymczasem ona będzie tu siedzieć cicho w Bełczączce, gdzie dla niej opiekun taki dobry, będzie temu opiekunowi powoli tłumaczyła, że Jacek nie taki zepsuty jak inni młodzi, i będzie snuła dalej tę złotą nić, która poczęła się znów nawijać koło jej serca.

Gil w gdańskim zegarze wygwizdał w gościnnej komnacie późną godzinę, ale sen odbiegał całkiem panienki.

Leżąc już w łóżku, utkwiała jasne oczy w pułap i rozważała, jak tu sobie tymczasem poradzić w trosce i frasunku. Jeżeli Jacek już wyjechał, to przecie tylko dlatego, żeby od niej uciec, bo do wojny było jeszcze, wedle tego co słyszała, daleko. Opiekun nic o tym nie wspomniał, aby młody Cyprianowicz i Bukojemscy mieli już także wyjechać, więc należało się z nimi porozumieć, dowiedzieć się czegoś o Jacku i rzec jakie dobre słowo które by go przez nich doszło choćby w dalekich obozach, w czasie wojny.

Panienka nie bardzo się spodziewała, aby przybyli do Bełczączki, wiadomo jej bowiem było, że przeszli na Jackową stronę i że od pewnego czasu krzywo trochę spoglądają na pana Pągowskiego, ale liczyła na co innego.

Oto za kilka dni przypadała uroczystość Najświętszej Panny i wielki odpust w kościele parafialnym w Przytyku, na który zjeżdżała wszystka szlachta okoliczna z żonami i dziećmi. Tam musiała spotkać Cyprianowicza i Bukojemskich, jeśli nie przed kościołem, to na obiedzie u proboszcza, który w tym dniu wszystkich podejmował.

Spodziewała się też, że w tłumie potrafi się swobodnie z nimi rozmówić i że nie znajdzie w tym przeszkody ze strony opiekuna, który lubo od pewnego czasu niezbyt im chętny, nie mógł jednakże przez pamięć na usługę, jaką mu oddali, zerwać z nimi zupełnie.

Do Przytyka z Bełczączki droga była dość daleka i pan Gedeon, który nie lubił się śpieszyć, odbywał ją zwykle z noclegiem w Radomiu albo też, jeśli wybrał drogę na Jedlińsk, to w Jedlińsku.

Tym razem z powodu wód rozlanych wybrali dłuższy, ale bezpieczniejszy gościniec radomski i ruszyli na dzień przed odpustem – na kołach, nie saniami, bo zima przełamała się nagle zupełnie. Szły za nimi dwie ciężko ładowane podwody ze służbą, z zapasami żywności, tudzież z pościelą i dywanami do jakiego takiego przybrania stancji w zajazdach.

Gdy wyjeżdżali, gwiazdy mrugały jeszcze z wysoka, a niebo ledwo poczynało blednąć na wschodzie. Pani Winnicka poczęła śpiewać w mroku godzinki, a panienka i pan Gedeon wtórowali jej bardzo jeszcze sennymi głosami, gdyż zeszłego wieczora z powodu przygotowań

podróżnych późno udali się na spoczynek. Dopiero za wsią i za małym borem, w którym tysiące wron miało swoje noclegi, rumiany świt rozświecał równie rumianą twarz i zaspane oczki panny Sienińskiej. Usta jej układały się jeszcze do ziewania, ale gdy strzelił pierwszy promień słońca i rozświecił pola i lasy, poczęła się otrząsać z senności i raźniej rozglądać się wokół, gdyż jasny ranek nappełnił jakąś dobrą nadzieją i jakowymś weselem jej duszę. Dzień zapowiadał się istotnie cudny, bo ciepły a pogodny. W powietrzu jakby było pierwsze tchnienie przedwczesnej wiosny. Po niebywałych mrozach i śniegach nastąpił naraz, ku wielkiemu podziwowi ludzi, dni słoneczne i ciepłe. Mówiono, że zimę od Nowego Roku „jakby kto nożem uciął!”, a pastuchowie przepowiadali z ryku bydła tęskniącego po oborach, że zima więcej nie wróci. Jakoż była już właściwie wiosna. W brzdach, w lasach, pod lasami od strony północnej i wzdłuż rzeczułek leżały jeszcze wielkie płachty śniegu, ale słońce przygrzewało je z góry, a dołem wyciekały spod nich całe strugi i potoki tworząc w nizinnych miejscach obszerne rozlewy, w których przeglądały się jak w zwierciadłach mokre, bezlistne drzewa. Wilgotne garby zagonów świeciły się jak złote pasy w blaskach słonecznych. Chwilami powstawał wiatr duży, ale tak przejęty radosnym ciepłem, jakby wiał wprost od słońca – i lecąc nad polami, marszczył wody, strącając zarazem tysiące pereł z cienkich, czarnych gałązek.

Z powodu roztopów i „klejowatości” gościńca tudzież z powodu ciężaru kolaski, którą sześć koni ciągnęło z niemałym trudem, posuwali się bardzo wolno. W miarę jak słońce szło wyżej i wyżej, uczyniło się tak ciepło, że panna Sienińska rozwiązała wstążki kapturka, sam kapturek odsunęła na tył głowy i poczęła rozpinać na przedzie łąsiczą szubkę.

– Tak—że ci to dogrzewa? – spytała pani Winnicka.

– Wiosna, ciotucho! szczerza wiosna! – odpowiedziała. I taka była cudna ze swą wysuniętą z kapturka jasną, nieco rozartaganą głową, ze śmiejącymi się oczyma i różową twarzą, że surowe oczy Pagowskiego złagodniały także. Przez czas jakiś patrzył na nią, jakby ją po raz pierwszy w życiu widział, po czym rzekł jakby na wpół do niej, na wpół do siebie:

– No, aleś i ty nie gorsza! dalibóg!

A ona uśmiechnęła się do niego w odpowiedzi.

– O, jak to wolno jedziem! – rzekła po chwili. – Okrutnie ciężka droga. Prawda, jegomość, że jeśli kto ma długą podróż przed sobą, to chyba musi czekać, aż drogi trochę obeschną?

Na to zmierzchnęła znów twarz pana Gedeona, więc nie odpowiedział na pytanie, tylko wyjrzawszy z karety, rzekł:

– Jedlnia.

– To może wstąpić do kościoła? – zapytała pani Winnicka.

– Nie wstąpić, naprzód dlatego, że kościół pewno zamknięty, bo ksiądz też pojechał chyba do Przytyka, a po wtóre, że mnie ciężko obraził i umknę mu ręki, jeśli się do mnie zbliży.

Po czym dodał:

– A waćpanią i ciebe, Anulu, proszę, abyście się w żadne rozmowy z nim nie wdawały.

Nastąpiła chwila milczenia. Nagle za kareta rozległy się cłapania końskie i odgłosy błota zwierającego się jakby ze strzelaniem w miejscach, z których konie wyciągały grzęznące nogi – po czym donośne słowa zabrzmiały z obu stron kolaski:

– Czołem! czołem!...

Byli to panowie Bukojemscy.

– Czołem! – odpowiedział pan Pagowski.

– Waszmość pan do Przytyka?

– Jako co rok. Myślę, że i waćpanowie też na odpust?

– Jużci – odpowiedział Marek. – Trzeba się przed wyprawą z grzechów oczyścić.

– A czy to jeszcze nie za wcześnie?

– Dlaczego ma być za wcześniej? – zapytał Łukasz. – Co się dotychczas nagrzeszyło, to po odpuście z pleców spadnie, bo od tego i odpust; a co się potem narobi, to już ksiądz wobec nieprzyjaciela in partikulo mortis odpuści.

– Chcesz waćpan powiedzieć: in articulo.

– Wszystko jedno, byle pokuta była szczera.

– Jak to waćpan rozumiesz? – zapytał rozbawiony pan Pagowski.

– Jak rozumiem? Kazał ostatnim razem po spowiedzi ksiądz Wiór, żebyśmy sobie dali po trzydzieści dyscyplin, a myśmy sobie dali po pięćdziesiąt. Bo myśleliśmy tak: skoro to niebieskim potegom smakuje, no! to nich się najedzą!

Na to uśmiechnęła się nawet poważna pani Winnicka, a panna Sienińska pochowała całkiem twarz w zarękawek, jakby chcąc sobie nosk rozgrzać.

Spostrzegł to Łukasz, spostrzegli i inni bracia, że odpowiedź śmiech wzbudziła, więc umilkli, nieco urażeni, i przez czas jakiś słyhać było tylko zgrzyt łańcuchów w kolasce, parskanie koni, chlupot błota pod kopytami i krakanie wron, których ogromne stada pławiły się w słońcu, lecąc od miasteczek i wsi do borów.

—Hej! czują już, że będzie żarcia w bród! – rzekł wiodąc za nimi oczyma najmłodszy Bukojemski.

– Ba! wojna dla nich żniwo! – zauważył Mateusz.

– Jeszcze one jej nie czują, —bo do niej daleko – rzekł pan Pagowski.

– Daleko czy blisko, ale pewna!

– A skąd waćpan wiesz?

– Przecie wszyscy wiemy, o czym była mowa na sejmiku i jakie instrukcje pójda na sejm.

– Prawda, ale nie wiadomo, czy wszędzie było tak samo.

– Pan Przyłubski, który siła kraju zjeździł, mówił, że wszędy.

– Co za pan Przyłubski?

—Z Olkuskiego... któren zaciąga dla księdza biskupa krakowskiego.

– To już ksiądz biskup krakowski jeszcze przed sejmem kazał zaciągi czynić?

– A widzisz waszmość! Jeszcze i jak! Najlepszy w tym dowód, że wojna pewna. Ksiądz biskup chce grzeczną chorągiew lekkiej jazdy postawić... no, i pan Przyłubski umyślnie w te strony przyjechał... że to trochę o nas słyżał.

– Ho! ho!... Szeroko widać sława waćpanów chodzi po świecie... I zaciągnęliście się?

– A rozumie się!

– Wszyscy?

– Dlaczego by nie wszyscy? Dobrze na wojnie mieć w pobok przyjaciół, a jeszcze lepiej braci.

– No, a młody Cyprianowicz?

– Cyprianowicz będzie służył razem z Taczewskim. Pan Pagowski spojrział bystro na siedzącą na przedzie panienkę, po której policzkach przeleciał nagły płomień, i pytał dalej:

– Tacyż to już konfidenci? A pod kim—że mają służyć?

– Pod panem Zbierzchowskim.

– Cóż to, dragonia?

– Dla Boga! co waszmość mówisz? Dy to usarska chorągiew królewicza Aleksandra.

– Proszę! proszę!... Nie byle chorągiew...

– Taczewski też nie byle kto.

Pan Gedeon już miał na ustach słowa, że taki pacholek w usarskiej chorągwi chyba pocztowym, nie towarzyszem, może zostać, ale się wstrzymał z tą uwagą bojąc się, aby nie wyszło na jaw, że jego list nie był taki polityczny ani jego pomoc tak znaczna, jak to mówił panie Sienińskiej, więc nachmurzył się tylko i rzekł:

– A słyszałem o zastawie Wyrąbek. Za ileż poszły?

– Za więcej, niżbyś waszmość dał – odparł szorstko Marek. Oczy Pągowskiego zabłyśły na chwilę srogim gniewem, pohamował się jednakże po raz wtóry, albowiem przyszło mu na myśl, że dalsza rozmowa może posłużyć jego zamiarom.

– Tym lepiej – rzekł – musi być kawaler rad.

A Bukojemscy, chociaż dowcip mieli z przyrodzenia dość tępy, poczęli zaraz jeden przez drugiego zmyślać, właśnie dlatego, by pokazać Pągowskiemu, jak mało sobie Taczewski i z niego, i ze wszystkich w Bełczącze robił.

– Oj jej! – rzekł Łukasz —jak wyjeżdżał, to mało nie oszalał z radości.– A śpiewał ci tak, że aż się lojówki w karczmie przewracały. Prawda, że i podpiliśmy na waletę.

Pan Pągowski znów spojrział na pannę Sienińską i spostrzegł, że rumiana, pełna życia i młodości jej twarz nagle jakby skamieniała. Kapturek zesunął się jej całkiem z głowy, oczy miała zmrużone jak we śnie i tylko z ruchu nozdrzy i nieznacznego drżenia brody można było poznać, że nie śpi, ale słucha i pilnie słucha.

I aż litość brała patrzeć na nią, lecz nieubłagany szlachcic pomyślał:

– Jeśli jeszcze tkwi drzazga w sercu, to ci ją wyrwę. A głośno rzekł:

– Takem się i spodziewałem...

– Czegoś się waszmość spodziewał?

– Ze waćpanowie podpijecie na waletę i że pan Taczewski wyjedzie stąd śpiewający... Ha! kto fortunę goni, musi się śpieszyć, a komu się ona uśmiecha, ten ją może i złapie.

– Oj jej! – powtórzył Łukasz.

Na to zaś Marek:

– Dał mu ksiądz Woynowski listy do pana Zbierzchowskiego, jako jego znajomek i przyjaciel, a tam, w Zbierzchowie, ziemia taka, że wszędy cebulę można siać – i panna jedynaczka, co jej dopiero piętnaście lat. Już też się waszmość o Taczewskiego nie frasuj. Da on sobie rady i bez waszmości, i bez tutejszych radomskich piasków.

– Ja też się nie frasuję – odparł sucho Pągowski – ale może i acpanom pilna droga, a kolaska idzie jako żółw po tym błocie.

– A no to czołem!

– Czołem. Czołem. Sługam waćpanów.

– I my też!...

To rzekłszy ruszyli końmi żywiej, ale odjechawszy na strzelanie z łuku od karocy, zwolnili znów i poczęli żywo rozprawiać.

– Widzieliście? – pytał Łukasz – dwa razy powiedziałem: „oj jej!” i dwa razy jakoby mi miecz w serce wraził... mało się nie rozpuknął...

– Jam im lepiej dogodził – rzekł Marek – bo i staremu, i dziewczce.

– Czym? mów, nie ukrywaj! – zawołali bracia.

– A to nie słyszeliście?

– Słyszeli, ale ty powtórz.

– Tym, com o pannie Zbierzchowskiej powiedział. Uważaliście, jak dziewczka zaraz zbiełała. Patrzę: rękę trzyma na kolanie i to ją otworzy, to zamknie, to otworzy, to zamknie!... całkiem jak kot, który chce drapać. Tak w niej widać złość nurtowała...

Lecz Mateusz wstrzymał konia i rzekł:

– A mnie jej było żal... Taki ci jakiś kwiatusek... I pamiętacie, co stary Cyprianowicz mówił?...

– Co? – zapytali z wielką ciekawością Łukasz, Marek i Jan, wstrzymując także konie.

On zaś spoglądał na nich przez chwilę swymi wypukłymi oczyma, po czym rzekł jakby z żalem:

– A kiedym zapomniał.

Tymczasem w karocy nie tylko Pągowski, ale nawet i pani Winnicka, która zwykle nie bardzo wiedziała, co się wokół niej dzieje, zwróciła jednak uwagę na zmienione lica panienki i zapytała:

– A tobie co, Anulko? nie zimno ci?

– Nie – odrzekła dziewczyna jakimś sennym, nieswoim głosem. – Nic mi nie jest, jeno mnie to powietrze rozebrało tak dziwnie...

I chociaż gtos załamał się jej nagle, nie miała jednak w oczach łez. Przeciwnie: w suchych źrenicach świeciły jej jakieś iskry, szczególne, niezwykle, i twarz stała się jakby starsza. Co widząc pan Pągowski rzekł sobie w duchu:

– Czyby zaś nie kuć żelaza, póki gorące?

Rozdział piętnasty

Na odpust zjechała licznie szlachta z pobliza i nawet z dalszych okolic. Byli Kochanowscy, Podgajecy, Silniccy, Potworowscy, Sulgostowscy, Cyprianowicz z synem, Bukojemscy i wielu innych.

Ale największe zajęcie rozbudziło przybycie pana wojewody sandomierskiego, Czartoryskiego, który zatrzymał się w Przytyku w przejeździe na sejm do Warszawy i, w oczekiwaniu na odpust, od kilku już dni zażywał nabożeństwa. Radzi z niego byli wszyscy, bo przydawał blasku uroczystości, a zarazem można się było od niego de publicis niemało dowiedzieć. Sam on rozmawiał chętnie. Prawił o krzywdach, jakie wyrządziła Porta Rzeczypospolitej przy rozgraniczeniu Podola, o czambułach, które wbrew traktatowi spustoszyły znów ziemie ruskie – i zapowiadał pewną wojnę. Twierdził, że przymierze z cesarzem stanie niezawodnie i że nawet stronnicy francuscy nie wystąpią przeciw niemu otwarcie, ponieważ i sam dwór francuski, choć generaliter cesarstwu nieprzyjazny, rozumie jednak niebezpieczeństwo, w jakim się Rzeczpospolita znajduje. Czy Turcy rzucą się naprzód na Kraków, czy na Wiedeń, tego nie umiał książę Michał powiedzieć, wiadomym mu natomiast było, że nieprzyjaciel pod Adrianopolem arma virosque parat i że prócz tych, którzy już są przy Tekelim, pod Koszycami, ba, w całych Węgrzech, ściąga tysiącami lud z Rumelii, z Azji, aż hen, znad Eufratu i Tygru, a także i z Afryki, od brzegów Czerwonego Morza aż po wały niezmiernego oceanu. Słuchała tego szlachta polska chciwie: starsi, którzy wiedzieli, jak olbrzymia jest potęga pogańska – z troską w obliczach, młodszy – z ogniem w oczach i zmarszczonymi brwiami. Przeważała jednak otucha i zapał, świeża była bowiem pamięć Chocimia, pod którym tenże sam miłościwie dziś panujący król, a wówczas hetman, na czele mniejszych sił polskich obiegił większe tureckie i rozniósł je na szablach i kopytach. Pocieszano się myślą, że w Turkach, którzy z niepokonaną odwagą rzucali się na wszelkie wojska innych narodów, mdlało jednak serce, gdy w czystym polu przyszło im stanąć oko w oko strasznej jeździe Lechistanu. Jeszcze większą otuchę i jeszcze większy zapał wzbudziło kazanie księdza Woynowskiego.

Obawiał się trochę pan Pałowski, że może w tym kazaniu będą jakieś wytykania grzechów i jakoweś przygany, które by mógł do siebie i do swego postępowania z Taczewskim stosować, ale nie było tego nic. Całą duszę i serce księdza porwała wojna i posłannictwo Rzeczypospolitej. „Ciebie (mówił) Chrystus między wszystkimi narodami wybrał, ciebie na stróży innych postawił, tobie pod swym krzyżem kazał się położyć i bronić wiary krwią, życia fundamentem, do ostatniej kropli, do ostatniego tchu. Przed tobą pole chwały, więc choć ci boki krwią opływają, chociaż tkwią w tobie strzały i dziury, powstań, lwie boży, potrząśnij grzywą i zagrmij, by aż od tego grzmotu strach zwarzył szpik w kościach pogańskich i padły półksiężycy a buńczuki, jako ów bór pod wichrem!...”

Tak to on mówił do swych rycerskich słuchaczy, że zaś był stary żołnierz, że całe życie sam praktykował i wiedział, jako jest w polu, więc gdy zaczął o samej wojnie mówić, obecnym się zdało, że patrzą na owe obrazy w zamku królewskim w Warszawie, na których rozliczne bitwy i Wiktorie polskie były jak żywe namalowane: „Oto ruszają się chorągwie, już złożyły kopie w pół

końskiego ucha, już pochylały się w kulbakach, krzyk trwogi między pogany, a w niebie radość. Leci Matka Najświętsza co ducha do okienka i woła: »Bywaj, synaczku, obacz, jako Polacy atakują!« Pan Jezus krzyżem świętym ich przeżegna: »Na rany boskie – krzyknie —to, to mi szlachta! to mi żołnierze! i żołąd tu dla nich już gotowy!« A święty Michał Archanioł aże się dłońmi po udach uderza: »W nich psubratów! Bij!« Tak to oni się tam radują, a ci tu gołą i gołą, wałą ludzie, konie, chorągwie, idą po brzuchach janczarskich, po działach zdobytych, po stratowanych półksiężycach – idą ku chwale, ku zasłudze, ku spełnionej misji, ku zbawieniu i ku nieśmiertelności...”

Więc gdy nareszcie skończył słowami: „I was Chrystus już woła, i wam czas na pole chwały!” – uczynił się w kościele okrzyk i trzaskanie szablami, a zaś w czasie nabożeństwa, gdy przy ewangelii wszystkie szerpety zazgrzytały w pochwach i stał rozbłysła w blasku słonecznym, czułym niewiastom wydało się, że już wojna rozpoczęta, i poczęły szlochać polecając ojców, mężów i braci opiece Najświętszej Panny.

Wtedy to poszeptawszy ze sobą bracia Bukojemscy ślubowali, że zaraz po odpuście ruszą i że aż do Wielkiej Nocy ani wody, ani mleka, ani nawet piwa do ust nie wezmą, tymi tylko napitkami się komentując, które gorącość krwi, a zatem i odwagę podtrzymują.

Zapał powszechny był tak wielki, że nie oparł mu się nawet surowy i zimny pan Pałowski. Pomyślał przez chwilę, że choć mu brak lewej ręki, mógłby przecie cugle zębami trzymać, a prawą pomścić się raz jeszcze w życiu za własne krzywdy, których od przekłętogo plemienia doznał, a przy tym i dawne zasługi względem Rzeczypospolitej na nowo pozłocić.

Lecz ślubu żadnego nie uczynił zostawiając tę rzecz do dalszego zastanowienia.

Tymczasem nabożeństwo odbywało się wspaniale. Na cmentarzu bito z działek, których na wielkie uroczystości pożyczali panowie Kochanowscy. Na dzwonnicy huczały rozkołysane dzwony; chowany niedźwiedź kalikował na chórze do organów z takim rozmachem, że mało ołowiane rury nie wylatywały z obsady; kościół napełnił się dymem kadzideł i aż drżał od głosów ludzkich. Sumę celebrował prałat Tworkowski z Radomia, ksiądz uczony, pełen sentencyj, cytat, przysłów i przypowieści, a zarazem wesoły i znający świat wybornie, dla której to przyczyny we wszystkich sprawach udawano się do niego po radę.

Tak też uczynił i pan Pałowski, tym bardziej że był jego przyjacielem. W wigilię odpustu był u niego u spowiedzi, ale gdy przy konfesjonale począł mu wyznawać swoje zamiary, których celem była panna Sienińska, ksiądz odłożył to do późniejszej osobnej rozmowy, mówiąc, że mu ledwie starczy czasu do wysłuchania grzechów ludzkich. Kazał mu tedy, by w powrotnej drodze z odpustu wyprawił niewiasty do Bełczączki, a sam zatrzymał się u niego w Radomiu, gdzie procul negotiis będzie mógł go swobodnie wysłuchać.

Tak się też stało – i w dzień później zasiedli obaj przed gąsiorem zacnego węgrzyna i talerzem podprażonych migdałów, które ksiądz prałat rad przy winie spożywał.

– Conticeo – rzekł – intantumque os teneo, mów waść! Pan Gedeon pociągnął z kielicha i spojrział swymi żelaznymi oczyma jakby z pewną niechęcią na prałata – za to, że mu rozmowy odpowiednim wstępem nie ułatwia.

– Hm! jakoś mi niesporo i widzę, że będzie trudniej, niżem myślał.

– To ja waści pomogę. Czy nie o jednym ze świętych chcesz waść mówić?

– O świętym?

– Tak. O takim, który ma dwie głowy i cztery nogi.

– Cóż to za święty? – zapytał ze zdumieniem pan Gedeon.

– To zagadka. Zgadnij, jegomość!

– Mój księżu prałacie, komu poważne rzeczy w głowie, ten na zagadki nie ma czasu.

– Ba, pomyśl waść!...

– Święty, co ma dwie głowy i cztery nogi?!...

– A tak!

– Dalibóg, nie wiem.

– No! Święty stan małżeński. Zali tak nie jest?

– Jak mi Bóg miły, prawda! Tak, tak, właśnie w tej materii chcę mówić...

– Chodzi o Anulkę Sienińską.

– O nią właśnie. Widzicie dobrodzieju, ona mi bogdaj nie krewna albo jeśli krewna, to tak daleka, że tego nikt już nie wylegitymuje... Ale przywiązałem się do niej, bom ją hodował i winienem wdzięczność jej rodowi, bo co Pałowski mieli na Rusi, to tak samo jak Żółkiewscy, jak Daniłowicze i jak Sobiescy mieli od Sienińskich albo po Sienińskich... Chciałbym sierocie ostawić to, co mam, ale naprawdę to fortuna Pałowskich szeszła od inkursji tatarskich, a została tylko majątność żonina... Moja ona jest, bo mnie zapisana, ale krewnych żoninych jest pełno. Naprzód pan Grothus, starosta rajgrodzki... No! tego jeszcze się nie obawiam, bo człowiek jest dobry i możny nad potrzebę... Sam on mi wreszcie tę myśl poddał, która przedtem mi nieraz wprawdzie przychodziła do głowy, bo chęć drzemała na dnie serca... ale on ją rozbudził...

Wszelako prócz pana Grothusa są Sulgostowscy, są Krzepeccy, są Zabierzowscy... Ci już dziś niechętnie na dziewczynę patrzą, a cóż będzie po mojej śmierci! Uczynię testament, zapiszę jej, to pójdą do sądów, będą procesy, włożenia po trybunałach —jakże ona, nieboga, da sobie rady? A przecież nie mogę jej tak ostawić... Jest przywiązanie, jest litość, jest wdzięczność – silne to ogniwa, dla których ze szczerym sumieniem zapytuję: zali nie powinienem jej ubezpieczyć choćby i takim sposobem?... Ksiądz rozgryzł migdał, a drugą połowę pokazał panu Gedeonowi.

– Wiesz waść, dlaczego mi ten migdał smakuje? Bo dobry! Żeby był sparciały, to bym go nie zjadł.

– Więc co?

– Więc Anulka smakuje waści, bo to też migdał... Hej, jeszcze i jaki! Ale żeby tak miała z pięćdziesiąt lat, pewnie by waścine sumienie nie troszczyło się tak o jej przyszłość. Zmieszał się na to pan Pałowski, ksiądz zaś rzekł:

– Wcale ja tego waści za złe nie biorę, bo jużci we wszystkim musi być dobra racja i takie jest już rozporządzenie boskie, że każdy woli młodą rzepę od starej. Z winem tylko jest inaczej, dlatego też co do wina chętnie godzimy się na wyroki Opatrzności...

– Tak, prawda! lepsze zawsze to, co młode, z wyjątkiem wina, i pan Kochanowski żartem jeno napisał, że stary mąż —równie jak stary dąb —wzwyż młodego. Chodzi mi tylko o to, że gdy ostawię jej majątek jako mojej żonie, to nikt nie będzie śmiał i palcem ruszyć, a jeśli jako wychowance – wraz będą spory, kłótnie, procesy, a może i zajazdy, przed którymi któż ją osłoni? Jużci nie pani Winnicka!

– Tak to i jest...

– Ale jako nie płoch ani żaden pustak, nie chciałem tego własną głową stanowić i dlatego przyjechałem do was, abyście mnie utwierdzili w przekonaniu, iż dobrze czynię, i radą światłą wsparli.

Ksiądz pomyślał i rzekł:

– Widzisz waćpan: w takiej materii rada jest trudna i nieraz potem powtórzy sobie człowiek razem z Boecusem: „Si tacuisses, philosophus mansisses...” albo też z Hiobem: „Stultus quoque si tacuerit, sapiens reputabitur...” Intencja waści, o ileś afektem gorącym zapłonał, jest usprawiedliwiona, a o ile płynie przy tym z troski o dobro dziewczyny—to nawet i chwalebna. Ale nie stanie się przy tym dziewczę jakowaś krzywda, nie trzeba jej będzie przyniewalać albo groźbami lub strachem ad altare prowadzić? Bo słyzałem, że oni się z Jackiem Taczewskim

kochają, a szczerze i bez ogródki mówiąc, tom to i nieraz, częstym gościem u was bywając, widział.

– Coście widzieli? – zapytał porywczo Pałowski.

– Nie żadne grzeszne rzeczy, ale takowe signa, po których się konfidencję i miłość poznaje: widziałem nieraz, jak się za ręce przydłużej, niż wypadało, trzymali, jako za sobą oczyma wodzili; widziałem, jako on raz na drzewie siedział i wiśnie jej do fartuszka spuszczał, a tak się oboje w siebie zapatrzyli, że wiśnie obok fartuszka na ziemię padały; widziałem, jako na lecące bociany spoglądając ona się całkiem, niby niechcący, na nim wsparła, a potem (niewiasta zawsze chytra) jeszcze go wyłajała, że się nadto przybliżył... I cóż więcej? – i rozmaite takie experimenta, które o utajonych żądach świadczą. Powiesz waszmość, że to nic? Jużci: nic! Ale że ona czuła bożą wolę ku niemu taką albo i gorętszą niż on ku niej, tego ślepy chyba mógł nie widzieć i dziwić się, żeś waćpan nie widział, a jeszcze bardziej, jeżeliś – widząc – wobec swoich zamiarów nie hamował. Pan Pałowski widział i wiedział, a jednakże słowa prałata wywarły nań okrutne wrażenie.

Co innego jest, gdy się coś bolesnego w sercu tai, a co innego, gdy wsunie się do piersi obca ręka i tym bólem potrząśnie. Toteż twarz mu szczerwieniaia, oczy nabiegły krwią, grube węzły żył wystąpiły na czoło i począł sapać nagle i oddychać tak szybko, że aż zaniepokojony prałat zapytał:

– Co waści jest?

On dał znak ręką, że nic, ale nie odpowiedział.

– Napij się waść wina – zawołał ksiądz.

Pałowski wyciągnął ramię, drżącą dłonią wziął kielich i poniósł do ust, po czym napił się, parsknął i szepnął:

– Zamroczyło mnie trochę.

– Z przyczyny tego, com powiedział?...

– Nie. To mi się od pewnego czasu często przytrafia, a teraz fatigatus jestem postem, drogą i tą wczesną, niespodzianą wiosną.

– Tedy lepiej może nie czekając maja krew puścić.

– Tak też uczynię, a teraz jeno odpoczną chwilę i powrócimy do materii. Upłynął jednak dość długi czas, zanim Pałowski przyszedł całkiem do siebie; wreszcie jednak ochłonął, żyły sfolzały mu na czole, serce poczęło bić zwykłym ruchem i rzekł:

– Nie powiem, żeby mi brakło sił, i gdybym tą oto dłonią, która mi została, ścisnął dobrze ten srebrny kusztyczek, myślę, żebym go zgniótł z łatwością. Ale zdrowie i siły to nie to samo, choć jedno i drugie w ręku boskim.

– Krucha to rzecz życie ludzkie!

—Ale właśnie dlatego, jeśli ma co do czego przyjść, to trzeba się śpieszyć. Mówicie, dobrodzieju, o Taczewskim i o afektach, jakie młodzi wzajem dla się czuć mogli. Powiem szczerze: nie byłem ślepy. Widziałem i ja, co się zaczyna, ale dopiero w ostatnich czasach. Bo pamiętajcie, że do niedawna zielona to była jagoda, która jeszcze i teraz nie prawie dojrzała. Przychodził co dzień, prawda! ale że w domu może i nie bardzo miał co jeść, przetom go jakoby z litości przyjmował. Ksiądz Woynowski ćwiczył go w łacinie i w szabli, ajam mu dawał jeść. Ot, i wszystko. On też dopiero przed rokiem wyrósł na młodziana. Takem na nich patrzył jak na dzieci, którym że się różnych krotofil i figłów zachciewało, uważałem za zwykłą rzecz. Ale żeby taki pauper śmiał pomyśleć – i jeszcze o kim? o pannie Sienińskiej, to, przyznaję, nigdy mi do głowy nie przyszło, i ledwiem w ostatnich czasach coś pomiarkował.

– Ba! co pauper, to pauper, ale Taczewski.

– Na Głodomorach!... Nie, dobrodzieju! taki, który cudzy rondel wylizuje, psa chyba może do

kompanii zapraszać. Tedy, gdym pomiarkował, jako co jest, pilniej począłem na niego zważać i wiecie, com odkrył? oto, że to nie tylko firecyk i hołysz, ale i gad jadowity, gotów zawsze żgnąć rękę, która go karmiła. Chwalić Boga, nie ma go, pojechał, ale na waletę żgnął nie tylko mnie, ale i tę niewinną dziewczkę.

– Tak—że to jest? – spytał prałat.

A pan Pągowski począł mu opowiadać, jak i co było, malując tak czarno uczynek Taczewskiego, że choćby zaraz kata wołać.

– Nie bójcie się, dobrodzieju – rzekł w końcu – doleli do pełna Anulce Bukojemscy w czasie naszej drogi do Przytyka; ha! tak do pełna, że się przelało, i teraz tak jest, że nigdy ta dziewczyna do żadnego boskiego stworzenia podobnej abominacji nie czuła, jak do tego chłystka, do tego wyrodka, do tego hultaja!

– Miarkuj się wać, bo znów krew w sobie wzburzysz.

– Prawda. I nie o nim chciałem mówić, jeno o tym, że ja ni krzywdy nijakiej nie chcę dziewce wyrządzić, ni też musu używać. Namowa co innego. Ale to powinien uczynić człek postronny, jej i mój przyjaciel, a zarazem człek słynny z powagi i z wielkiego dowcipu, który i grzecznych terminów użyć, i serce poruszyć, i rozum przekonać potrafi. Dlatego chciałem was o to prosić, mój osobliwy dobrodzieju. Już mi też nie odmówicie, nie tylko per amicitiam dla mnie, ale z takowej racji, że rzecz jest słuszna i godziwa.

– O jej i o wasze dobro chodzi, więc nie odmawiam – rzekł prałat —jeno chciałbym mieć czas zastanowić się, jak to najłacniej uczynić... – To ja wraz do cyrulika pójde i każę sobie krew puścić, aby z trzeźwiejszym umysłem do domu wrócić, a wy koncept sobie ułóżcie. Nietrudno to wam będzie, a tak myślę, że i z tamtej strony nie znajdzie się żaden szkopuł.

– Szkopuł może być tylko jeden, panie bracie.

– Jaki?

– Przyjaźń powinna prawdę mówić, więc wam szczerze powiem. Zacny z was człowiek, wiem! – ale trochę przytwardy. Taką macie reputację, a macie ją dlatego, że wszyscy, którzy od was zależą, boją się was okrutnie. Nie tylko chłopi, o których poróżniliście się z księdzem Woynowskim, nie tylko czeladź i oficjaliści, ale i domowi. Bał się was Taczewski, boi się pani Winnicka, boi się i dziewczyna. Dwóch zwykle swatów przyjeżdża, więc ja zrobię, co będę mógł, ale czy ten drugi nie popsuje mi roboty – nie ręczę.

Oczy Pągowskiego zabłysły przez chwilę gniewem, bo nie lubił, gdy mu wobec mówiono prawdę, ale nad gniewem przemogło zdziwienie, więc zapytał:

– O czym mówicie? Jaki drugi swat? A ksiądz odrzekł:

– Strach.

Rozdział szesnasty

Nie mogli jednak wyjechać tego samego dnia do Belczączki, albowiem Pągowski po puszczeniu krwi zesłabł znacznie i sam mówił, że mu potrzeba wypoczynku. Nazajutrz za to czuł się trzeźwiejszy, jakby odmłodzony, i z dobrą otuchą, chociaż z pewnym niepokojem, zbliżał się do domu. Zajęty całkiem swymi myślami, mało rozmawiał z księdzem przez drogę, lecz gdy wjeżdżali już do wsi i gdy uczuł, że ów niepokój coraz bardziej go ogarnia, rzekł:

—Aż mi to dziwno. Drzewiej wracałem ci zawsze do mojej siedziby jako człowiek, który u siebie jest panem, i inni troszczyli się o to, jakim ich powitam obliczem, a teraz ja się troszczę, jak też mnie powitają.

— Powiedział Wirgili — rzekł na to ksiądz — „amor omnia vincit”, a zapomniał dodać, że i „mutat”. Włosów nie ostrzyże ci ta Dalila, boś waćpan łysy, ale że ja cię jeszcze obaczę przędącego kądziel u jej nóg, jako Herkules prządl u nóg Omfalii, to pewna.

— Ej, nie taka moja natura! i umiałem zawsze trzymać w garści i czeladź, i rodzinę.

— Tak ludzie mówią, ale właśnie dlatego tym bardziej się to waćpanu należy, żeby cię wziął kto w karby.

— Miłeż to karby! — odrzekł z niezwykłą sobie wesołością Pągowski. Jechali bardzo wolno, bo we wsi błoto było okrutne, że zaś z Radomia wyruszyli nierychło z południa, więc zapadła już noc. W chatach po obu stronach świeciło z okien łuczywo, od którego kładły się w poprzek drogi czerwone smugi. Gdzeniegdzie przy płocie zamajaczyła jakaś postać ludzka baby lub chłopca, który ujrawszy jadących, co prędzej zdejmował czapkę i kłaniał się w pas. Widać było zaraz z tych zbyt niskich ukłonów, że Pągowski umiał trzymać w garści ludzi, ba, nawet że ich trzymał zanadto i że ksiądz Woynowski nie bez przyczyny gromił go za zbytnią surowość. Ale w tej chwili stary szlachcic miększe czuł niż zwykle w piersiach serce, więc spoglądając na owe pochylone postacie i na zapadłe w ziemię okienka chałup, rzekł:

— Uczyni się też jakąś łaskę poddaństwu, za którym zawsze się ona wstawiała.

— Oj, to, to! — odrzekł prałat.

I umilkli. Pan Gedeon rozprawiał się czas jakiś z własnymi myślami, po czym ozwał się znowu:

— Wiem, że wam, dobrodzieju, rad dawać nie trzeba, ale to musicie jej powiedzieć, że to dla niej gotuje się dobrodziejstwo i że ja przede wszystkim o niej myślę; a w razie oporu (którego się nie spodziewam, ale nuż!) choćby i fuknąć trochę...

— Powiedziałeś waćpan, że nie chcesz jej zmuszać...

— Powiedziałem, ale co innego, gdybym ja groził i fukał, a co innego, gdy jej niewdzięczność wytknie kto inny, a do tego osoba duchowna.

— Zostawże mnie waćpan tę sprawę, której ponieważm się podjął, tedy dołożę starań, by ją z jak najlepszym skutkiem przeprowadzić. To wszelako waćpanu powiem, że przemówię do dziewczki delicatissime...

— Dobrze, dobrze! Jedno tylko jeszcze słowo. Wielką ona czuje do Taczewskiego abominację, ale gdyby przygodziła się o nim wzmianka, warto by coś jeszcze przeciw niemu dorzucić...

- Jeśli tak postąpił, jak waćpan mówiłeś, to nequam jest.
- Dojeżdżamy. No! W imię Ojca i Syna...
- I Ducha Świętego – amen!

Dojechali; ale nikt nie wyszedł na ich spotkanie, bo z powodu błota koła nie czyniły turkotu, a psy nie czekały na znajomych ludzi i konie. W sieni było ciemno, bo czeladź widocznie siedziała w kuchni, i zdarzyło się tak, że na pierwsze zawołanie pana Pągowskiego: „jest tam kto?” – nie ukazał się nikt, a na powtórne ostrzejszym już głosem uczynione, wyszła sama panienska.

Wyszła ogarniając ręką świecę, ale ponieważ była w blasku, a oni w cieniu, więc nie dojrawszy ich zrazu, zatrzymała się koło drzwi. A oni też nie odezwali się przez chwilę, bo naprzód wydało im się to jakąś osobliwszą wróżbą, że ona pierwsza ku nim wychodzi, a po wtóre, że uroda jej zdumiała ich tak, jakby jej przedtem nigdy nie widzieli. Palce, którymi ogarniała świecę, wydawały się różowe i przezrocze; blask pełgał po piersiach, rozświecał usta i małą twarz, która wydawała się trochę senna i smutna, może dlatego, że oczy pozostawały we wgłębionym cieniu. Czoło i śliczne jasne włosy, tworzące nad nim jakby koronę, były znów skąpane w blasku. I otoczona naokół mrokiem, a sama świetlista i cicha, stała tak przed nimi podobna po prostu do anioła stworzonego z różowej jasności.

– O, jak mi Bóg miły, czyste objawienie! – rzekł prałat.

A Pągowski zawołał:

– Anulu!

Wówczas podbiegła ku nim i postawiwszy świece na przymurku komina, poczęła ich witać z radością. Pągowski przycisnął ją czule do serca, kazał jej się cieszyć z przybycia tak zacnego gościa i sławnego we wszystkich sprawach konsyliarza, a gdy po skończonych powitaniach weszli do stołowej izby, zapytał:

– Toście już po wieczery?

– Nie. Właśnie czeladź miała przynosić z kuchni i dlatego nikogo w sieni nie było.

A ksiądz spojrział na starego szlachcica i zapytał:

– To może by nie czekając?

– Nie, nie – rzekł prędko Pągowski. – Pani Winnicka wnet się tu zakrzątnie.

Jakoż pani Winnicka zakrzątnęła się skutecznie – i w kwadrans później zasiedli do grzanego wina i jajecznicy. Ksiądz Tworowski jadł i pił dobrze, lecz przy końcu wieczery spowaźniało mu oblicze i rzekł zwracając się do panienski:

– Moja mościa panno! Bóg wie, dlaczego ludzie zowią mnie konsyliarzem i dlaczego się mnie tak często radzą, ale skoro i opiekun waćpanny tak czyni, tedy muszę pomówić z nią w pewnej ważnej sprawie, którą memu lichemu dowcipowi powierzył.

Panu Pągowskiemu, gdy to usłyszał, nabrały znów żyły na czole, a panna przybladła nieco i podniosła się niespokojna, gdyż nie wiadomo dlaczego, wydało jej się, że ksiądz będzie z nią mówił o Jacku.

Prałat zaś rzekł: – Proszę na osobność!

I wyszli.

Pan Pągowski odetchnął głęboko raz i drugi, zabębnił palcami po stole, po czym wstał i czując potrzebę zagadania byle jakimi słowy wewnętrznego wzruszenia, rzekł do pani Winnickiej:

– Czy też waćpani kiedy zauważyła, jak wszyscy krewni mojej nieboszczki żony nienawidzą Anulki?

– Szczególniej Krzepeccy – odrzekła pani Winnicka.

– Ha! ledwie nie zgrzytają na jej widok, ale zazgrzytają oni wkrótce jeszcze lepiej!

– Czemu zaś?...

– Dowiesz się waćpani także wkrótce, a tymczasem trzeba o noclegu dla prałata pomyśleć!

I po chwili pan Pągowski został sam. Dwaj pachołkowie weszli, by uprzątnąć naczynia po wieszery, ale on kazał im, z nagłym wybuchem gniewu, pójść precz, i w komnacie uczyniło się cicho, tylko wielki zegar gdański powtarzał głośno i poważnie: „tik, tak! tik, tak!...” Pągowski położył rękę na łysinie i począł chodzić po izbie. Zbliżył się do drzwi, za którymi prałat rozmawiał z panną Sienińską, ale usłyszał tylko szmer, w którym rozpoznał wprawdzie głos księdza, ale nie mógł usłyszeć wyrazów. Więc na przemian to chodził, to się zatrzymywał. Podeszedł ku oknu, bo mu się zdawało, że mu tam będzie mniej duszno, i patrzył trochę bezmyślnymi oczyma na niebo, po którym wiatr pędził podarte wiosenne chmury o rozjaśnionych grzywach, po których błądy księżyc zdawał się wspinać wyżej i wyżej. Ilekroć się przesłonił, chwyciły pana Pągowskiego złe przecucia. Widział przez okno czarne gałęzie pobliskich drzew, chybotające się jakby w męce na wicherze, i tak samo chybotiły się jego myśli, bezładne, złe, podobne do wyrzutów sumienia, do głuchych poczuć, że staje się rzecz niedobra, za którą czeka go jakaś bliska kara... Lecz gdy rozjaśniło się na dworze, wstępowała w niego znów lepsza otucha. Każdy ma przecie prawo myśleć o swojej szczęśliwości – a co do Taczewskiego, wielka rzecz! czy to jeszcze takich ludzie używają sposobów! O co tu chodzi? o dobro i o spokojną przyszłość dziewczyny, a że przy tym i jemu uśmiechnie się trochę życie na starość – to mu się i należy. I to jedno jest prawda, a reszta wiatr! wiatr!...

Uczuł znów zawrót głowy i czarne płatki jeły mu skakać przed oczyma, ale trwało to bardzo krótko. Począł znów chodzić i zbliżać się do drzwi, za którymi ważyły się jego losy. Tymczasem świece na stole dostały długich knotów i w izbie pociemniało. Chwilami głos księdza stawał się donioślejszy, tak że może i wyrazy dochodziłyby do ucha Pągowskiego, gdyby nie owo głośne i ciągle „tik—tak!” zegara. Łatwo było zrozumieć, że taka rozmowa nie może skończyć się prędko, a jednak niepokój pana Gedeona wzrastał i wzrastał, przybierając kształty jakby jakichś dziwnych pytań związanych z przeszłością, ze wspomnieniami nie tylko dawnych bólów i nieszczęść, ale także dawnych, nie zmazanych dotychczas win, dawnych ciężkich grzechów – i świeżych krzywd wyrządzonych nie tylko Taczewskiemu, ale i innym ludziom.

– Za co i dlaczego ty masz być jeszcze szczęśliwy? – pytało go sumienie.

I dałby w tej chwili nie wiedzieć co, żeby choć pani Winnicka wróciła do izby i żeby nie potrzebował zostawać sam na sam z tymi myślami. Ale pani Winnicka zajęta była robotą gdzieś tam, na drugim końcu domu, a w tej izbie tylko zegar powtarzał „tik—tak! tik—tak!” i sumienie pytało:

– Za co cię Bóg ma nagradzać?

Czuł zaś pan Pągowski, że teraz, jeśli go ta dziewczyna, podobna razem do kwiatu i do anioła, ominie – to już w życiu jego uczyni się zmierzch trwający aż do tej godziny, w której nastanie noc śmierci...

A wtem drzwi otworzyły się nagle i weszła panna Sienińska, blada, ze łzami w oczach, a za nią ksiądz.

– Płaczesz? – zapytał chrapliwym, zduszonym głosem pan Pągowski.

– To z wdzięczności, opiekunie! – zawołała wyciągając ku niemu rękę.

I przypadła do jego kolan.

Rozdział siedemnasty

Tegoż wieczora, ale już późno w noc, pani Winnicka przyszła do pokoiku krewniaczki i zastawszy panienkę jeszcze nie rozebraną, poczęła z nią rozmawiać.

– Nie mogę ochłonać ze zdziwienia – rzekła – bo prędzej bym się śmierci spodziewała, niż żeby jegomości coś podobnego przyszło do głowy.

– I ja się nie spodziewałam.

– Jakże tedy? i tak już naprawdę? Sama nie wiem, co myśleć – radować się czy nie?... Bo jużci ksiądz prałat, jako persona duchowna, lepszy ma od świeckich ludzi rozum i to słuszna, co powiada, że będziesz miała nad głową do śmierci dach i do tego swój, nie cudzy; ale z drugiej strony, jegomość leciwy człek i (tu pani Winnicka zniżyła głos)... czy ci go trochę nie strach?

– Stało się, i nie ma już e czym myśleć! – odrzekła panna Sienińska.

– Jakże to mówisz?

– Mówię, że mu za przytułek, za kawałek chleba wdzięczność powinna i że licha to zapłata – moja osoba, której nikt inny by nie chciał, ale skoro on chce, to jeszcze jego łaska!

– On dawno już chciał – rzekła tajemniczo staruszka. – Zawołał mnie dziś po rozmowie z tobą; myślałam, że było co złego w wieczerzy i że będzie łajał – a on nic! Widzę, że jakiś wesół – i nagle powiada mi nowinę. A pode mną aż nogi zadrżały. Dopiero on mówi: „Czemuś to wacani —jak żona Lota – w słup soli się zmieniła – cóżem to taki grzyb?” – „Nie! —powiadam —jeno, że to taka niespodziewana rzecz!” A on znów: „Dawna to myśl (mówi), tylko że była jako ryba na dnie, dopóki nie znalazł się ktoś, co jej pomógł na wierzch wypłynąć... I wiesz acani kto?” Byłam pewna, że to ksiądz prałat Tworkowski, ale on rzekł: „Wcale nie ksiądz Tworkowski, jeno pan Grothus...”

Nastąpiła chwila milczenia.

– A ja myślałam, że to pan Taczewski – rzekła przez zaciśnięte usta panna Sienińska.

– Co znowu? Dlaczego Taczewski?

– Aby pokazać, że o mnie nie dba.

– Ale przecież wiesz, że Taczewski nie widywał się z jegomością. A ona poczęła powtarzać gorączkowo:

– Tak! wiem! co innego miał w głowie! Mniejsza z tym! Nie chcę nic wiedzieć. Nie chcę! nie chcę! Stało się już i dobrze się stało!

Suchy, spazmatyczny płacz wstrząsnął jej piersią. Przez chwilę powtarzała jeszcze: „dobrze się stało!”, po czym ukłękła nagle do pacierzy, które codziennie zwykły były razem odmawiać.

I na drugi dzień zesza ze spokojną już twarzą do świetlicy. Coś jednak się w niej zmieniło, coś pozostało niedomówionym; coś się zamknęło. Nie była smutna, ale stała się nagle jakby o kilka lat starsza i miała w sobie jakąś cichą powagę, tak, że pan Pałowski, który dotychczas liczył się tylko z sobą, począł się mimo woli liczyć i z nią. W ogóle nie mógł się w tym wszystkim połapać, a szczególnie dziwnym wydało mu się to, że czuł jakby jakąś swoją od niej zależność. Począł się obawiać tych myśli, których ona nie wypowiadała, ale które mogła w duszy zamykać – i starał się im zapobiegać, a na ich miejsce podsuwać inne, takie, jakich by sobie w

niej życzył. Nawet milczenie pani Winnickiej ciążyło mu i wydawało się podejrzanym, więc nadrabiał fantazją, zagadywał, żartował, ale chwilami błyski niecierpliwości migotały mu w stalowych oczach.

Tymczasem wieść o jego oświadczeniach rozeszła się po okolicy. Nie robił zresztą on z nich tajemnicy, owszem, oznajmił rzecz listownie Cyprianowiczowi w Jedlinie i najbliższym sąsiadom oraz rozpisywał listy do Kochanowskich, do Podlódowskich, do Sulgostowskich, do pana Grothusa i do Krzepeckich, a nawet do dalszych żoninych krewnych, z zaproszeniem na zrękowiny, po których zaraz miał ślub nastąpić.

Wolałby był wprawdzie pan Pągowski uzyskać dyspensę nawet i od zapowiedzi, na nieszczęście jednak był to czas wielkiego postu i trzeba było czekać, aż przyjdą i przejdą święta. Zabrał więc obie niewiasty i pojechał z nimi do Radomia, gdzie panna miała robić wyprawę, a on kupować konie, paradniejsze od tych, które były w stajniach bełczących.

Dochodziły go tam słuchy, że między krewnymi, którzy spodziewali się wziąć wszystko nie tylko po jego nieboszczce żonie, ale nawet i po nim – wre jak w ulu, ale cieszyło go to, gdyż wszystkich z duszy nienawidził i zawsze rozmyślał o tym, jakby im szkodę wyrządzić. Wieści te o zjazdach, szeptach i naradach skracały mu czas w Radomiu, a gdy na koniec wyprawa została ukończona i cugi wraz z nowymi chomałami kupione, wrócili do Bełczączki na samą Wielkanoc. Goście też poczęli się zjeżdżać prawie równo z nimi, gdyż zrękowiny miały się odbyć w trzecie święto.

Pierwsi przybyli Krzepeccy, najbliżsi zarazem sąsiedzi i krewni: ojciec, starzec blisko ośmdziesiątki, z twarzą sępa, słynny ze skąpstwa; trzy córki, z których najmłodsza Tekla, hoże i wesole dziewczę – i dwie starsze, Agnieszka i Joanna, niemłode, zapalczywe pannie z wiecznymi wypiekami na policzkach, a wreszcie syn Marcjan, przezywany w okolicy Pniakiem.

I słusznie nosił to przezwisko, albowiem na pierwszy rzut oka był istotnie do grubego pnia podobny. Piersi i bary miał potężne, ale nogi pałakowate i tak krótkie, że wyglądał prawie na karła. Ręce natomiast dochodziły mu aż do kolan. Niektórzy mieli go za garbatego, nie był on jednakże garbaty, tylko głowę miał tak pozbawioną szyi i tak nisko osadzoną w kadłubie, że wysokie barki dochodziły mu prawie do uszu. Z tej głowy patrzyły wypukłe, lubieżne oczy i twarz miał do koźlej głowy podobną; podobieństwo to powiększała jeszcze niewielka broda, którą jakby umyślnie i wbrew powszechnemu zwyczajowi nosił.

Wojskowo nie służywał, bo go w chorągwiach wyśmiewano, z którego powodu liczne odbywał swego czasu pojedynki. W krótkim, pękatym ciele posiadał niezwykłą siłę i ludzie obawiali się go powszechnie, był to bowiem burda i zawalidroga, którego rad okazji szukał, a we wszelkich zajściach okazywał jakąś zwierzęcą zapalczywość. Raz poranił ciężko w Radomiu swego stryjecznego brata, Krzepeckiego, pięknego i dobrego młodziana, którego omal z ran nie umarł. Bały się go siostry, a nawet i ojciec – on zaś czuł respekt tylko przed Taczewskim, o którego biegłości w szermierce wiedział, i przed Bukojemskimi, z których jeden, a mianowicie Łukasz, przerzucił go niegdyś jak wiązkę słomy przez wysoki parkan w Jedlni.

Reputację miał wielkiego lubieżnika – i to była prawda. Pan Pągowski wyłusknął go przed kilkanaście laty z domu za to, że w zbyt koźli sposób patrzył na małą jeszcze wówczas pannę Sienińską. Ale że od owego zajścia upłynęło kilka lat i że spotykali się potem i w Radomiu, i w domach sąsiedzkich, przeto zaprosił go teraz wraz z całą rodziną na uroczystość familijną.

Zaraz po Krzepeckich przyjechali Sulgostowscy, dwaj bracia bliźniacy, tak do siebie podobni, że gdy włożyli jednakie kontusze, nikt ich nie umiał rozróżnić; potem troje dalszych Sulgostowskich z za Przytyka – i liczna, bo z dziewięciu osób złożona, a urodziwa rodzina Zabierzowskich. Z sąsiedztwa przybył pan Cyprianowicz, ale sam, bo syn wyruszył już do chorągwi; pan starosta Podlódowski, niegdy plenipotent potężnego pana na Zamościu; państwo

Kochanowscy, księża z Przytyka, ksiądz prałat Tworkowski z Radomia, który miał pierścionki błogosławić – i sporo pomniejszej szlachty z bliższych i dalszych stron; niektórzy nawet bez zaproszenia, w tej słusznej myśli, że gość, choćby całkiem nieznany, zawsze będzie z otwartymi rękoma przyjęty – i że gdy zdarza się sposobność jedzenia i picia, to nie należy jej opuszczać.

Zaroił się tedy podwórzec w Belczącce od bryk i powozów, stajnie od koni, oficyny od wszelakiej służby, a dwór od barwnych kontuszów, od szabel, od gołonych łbów, i pełno w nim było łaciny, niewieściego szczebiotania, lamówek, robronów i rozmaitych „angażantów”. Latały dziewczki służebne z gorącą wodą, pijana czeladź z gąsiorami win zacnych, z kuchni dymiło się od rana do wieczora jak ze smolarni, a okna dworu świeciły i płonęły wieczorami tak, że aż na całym dziedzińcu było widno. A wśród tego rozgardiaszu chodził po pokojach pan Pągowski, trochę pyszny, poważny, ale zarazem jakby odmłodniały, strojny w karmazyny i z szablą jasną od klejnotów, którą panna Sienińską po możliwych niegdyś przodkach jako jedyne wiano odziedziczyła. Chodził, zapraszał, czasem gdy chwycił go zawrót głowy, opierał się rękoma o poręcz krzesła, i znów chodził, częstował gości—personatów, szurgał nogami, zbliżając się do starszych niewiast, ale przede wszystkim wodził coraz bardziej rozkochanymi oczyma za „swoją Anulę”, która w tym tłumie różnobarwnym, wśród spojrzeń często niechętnych, często zazdrosnych, a czasem i pożądlivych, kwitła biała jak lilia, słodka, może trochę smutna, a może tylko ważnością tego, co ją miało spotkać, przejęta.

Aż wieczorem trzeciego święta, we wtorek, zagrzmiały z dziedzińca domowe moździerze oznajmiając gościom i włości, że chwila uroczysta zrekowin nadeszła.

Ustawili się tedy w świetlicy półkolem wszyscy goście: niewiasty i mężczyźni, we wspaniałych strojach grających jak tęcza przy blasku świec jarzących, a naprzeciw nich stanął pan Pągowski z panną Anną Sienińską.

Uczyniła się cisza, tylko oczy wszystkie utkwione byty w oblubienicę, która ze spuszczonej oczyma, ze skupieniem i powagą na twarzy, bez uśmiechu, ale i nie żalosa, wyglądała jakby uspiona. Ksiądz prałat Tworkowski, mając przy sobie Tecię Krzepecką trzymającą srebrną tackę z pierścieniami, sam przybrany w komżę, wysunął się z półkola i rozpoczął przemowę do przyszłych nowożeńców. Mówił uczenie, długo i wymownie, wywodząc co to były sponsalia de futuro i jak wielką wagę przywiązywał do zrekowin Kościoła od pierwszych czasów chrześcijaństwa. Cytował Tertuliana i sobór trydencki, i opinie różnych uczonych kanonistów, po czym dopiero zwróciwszy się do pana Pągowskiego i do panny Sienińskiej jął przekładać im, jak mądre było ich postanowienie, jak wielkie świadczą sobie wzajem dobrodziejstwo i jak przyszła ich szczęśliwość od nich samych tylko zależy. Słuchali tego z podziwem zgromadzeni, ale zarazem i niecierpliwością, gdyż jako krewni, którym wymykało się dziedzictwo, niechętnie patrzyli na ów związek. Sam pan Gedeon, który od dłuższego stania dostawał zawrotu głowy, począł przestępować z nogi na nogę i dawać znaki oczyma prałatowi, by skończył, co ów nierychło spostrzegłszy pobłogosławił wreszcie pierścionki i założył je na palce oblubieńców. Wówczas zagrzmiały znów armatki na dziedzińcu, a z chóru w izbie stołowej ozwała się hucznie kapela złożona z pięciu grzecznie grających Żydków radomskich. Goście przychodzili teraz kolejno składać życzenia gospodarzowi i pannie – po największej części kwaśne i nieszczerze. Dwie starsze panny Krzepeckie dygały wprost drwiąco przed „wujną”, a pan Marcjan całując jej rękę polecał się jej przyszłym łaskom z tak koźlim wzrokiem, że pan Pągowski powinien by go był na dobrą sprawę powtórnie z domu wyłuskać.

Lecz inni – dalsi krewni a lepsi i mniej chciwi ludzie – życzyli szczerzej i goręcej. Tymczasem otworzono szeroko drzwi do izby stołowej; pan Pągowski podał ramię narzeczonej, a za nimi ruszyły inne pary, wśród migotania i chwiejby płomyków od świec, którą spowodował nagły, wpadający aż do sieni, chłodny przewiew powietrza. Z tej sieni napływała czeladź, już na

wpół pijana, z niezliczoną ilością potraw i gąsiorów z winem. W izbie stołowej od ciągłego otwierania drzwi panował chłód tak mocny, że biesiadników, gdy siedli za stołem, aż dreszcz przejął w pierwszej chwili, a z powodu ciągłej chwiejby płomyków świec cała izba, mimo pięknej zastawy, wydała się im dość ciemną i ponurą. Lecz należało się spodziewać, że wino prędko rozgrzeje krew w żyłach, a wina nie pożałował pan Pągowski. Był to człek raczej skąpy na co dzień, natomiast w wyjątkowych okazjach lubił popisać się tak, by długo o nim mówili. Zdarzyło się to i teraz. Za każdym biesiadnikiem stał pachoł z omszałym gąsiorem, a nawet i pod stołem było ukrytych kilkunastu czeladzi z butlami, aby na wypadek gdy gość nie mogący pić więcej wsunie kielich między kolana, napełnić mu go natychmiast. Olbrzymie pijackie szklenice, roztruhany, kusztyki lśniły przed każdym nakryciem, tylko przed niewiastami stały mniejsze, włoskie albo też francuskie kieliszki.

Goście nie obsiedli jednakże całego stołu, gdyż pan Pągowski kazał dać więcej nakryć, niż było biesiadników. Ksiądz prałat rzucił oczyma na owe puste miejsca i począł chwalić gościnność domu i gospodarza, ale ponieważ głos miał zawsze bardzo donośny, a przy tym podniósł się w tej chwili nieco z krzesła, chcąc sobie ułożyć wygodniej fałdy sutanny, więc obecni sądzili, że chce wznieść pierwszy toast, i uciszeli się wszyscy.

– Słuchamy! – ozwało się kilka głosów.

– Ej, nie ma czego – odrzekł wesoło ksiądz. – Nie toast to jeszcze żaden, choć wkrótce przyjdzie i na to pora, bo widzę, jak niektórzy z ichmościów trą sobie zawczasu czupryny, a pan Kochanowski już szepce do siebie, i na palcach coś liczy. Trudno, mości panie! od kogóż, jak nie od Kochanowskiego, rytmów wyglądać. Ja jeno chciałem rzec, iż chwalebny to jest staropolski zwyczaj te nakrycia dla niespodzianych gości.

– Ba – rzekł pan Pągowski – jak się dom w nocy świeci, to z ciemności zawsze ktoś może nadjechać...

– A może kto i jedzie – ozwał się pan Kochanowski.

– Może pan Grothus?

– Nie... pan Grothus na sejmie. Jeśli ktoś nadjedzie, to całkiem nieoczekiwany.

– Ale go nie usłyszymy, bo ziemia miękka.

– A no! pies pod oknem szczeka. Nuż się ktoś zjawi.

– Z tej strony nikt się nie zjawi, bo to okna na sad.

– I co prawda, to pies wyje, nie szczeka.

Jakoż tak było. Pies ozwał się raz, drugi i trzeci, po czym szczekanie jego zmieniło się w niskie, posępne wycie.

Pan Pągowski wzdygnął się mimo woli, przypomniał sobie bowiem, jak przed wielu, wielu laty, w innych okolicach, w jego dworze leżącym o milę od zamku pomorzańskiego, na Rusi, tak samo psy wyły przed nagłym napadem Tatarów.

A pannie Sienińskiej przyszła do głowy myśl, że już jej nikogo czekać nie wolno i że ktokolwiek by nadjechał z ciemności do oświetlonego dworu, to już nadjedzie za późno.

Lecz i innym uczestnikom uczyniło się jakoś dziwnie, tym bardziej że do pierwszego psa przyłączył się drugi – i za oknem rozległo się podwójne wycie.

Więc mimo woli słuchali w przykrym milczeniu, które dopiero po chwili przerwał Marcjan Krzepecki.

– Nic nam po takim gościu, na którego psi wyją – rzekł.

– Wina! – zawołał pan Pągowski.

Ale puchary były pełne, więc nie trzeba było nalewać. Stary Krzepecki, ojciec Marcjana, podniósł się ociężale z krzesła, chcąc widocznie przemówić. Wszyscy zwrócili na niego oczy, a starsi poczęli otaczać dłońmi uszy, aby lepiej dosłyszeć, co powie, lecz on jął tylko poruszać

przez dłuższą chwilę ustami, przy czym broda schodziła mu się prawie z nosem, albowiem wcale nie miał zębów.

Tymczasem, pomimo że na dworze była odwilż i ziemia miękka, z drugiej strony dworu dał się słyszeć jakby głuchy turkot – i rozlegał się dość długo, jakby ktoś dwa razy objeżdżał dziedziniec. Więc stary Krzepecki, który już był podniósł kielich, postawił go znów na stole i począł patrzeć na drzwi.

A za nim uczynili to wszyscy inni.

– Zobaczyć, kto przyjechał! – rzekł do czeladnika pan Pałowski. Pacholek skoczył i zaraz potem powrócił.

– Nie masz nikogo – rzekł.

– To dziwne – ozwał się prałat Tworkowski – słychać było wyraźnie.

– Wszyscy słyszeliśmy – odrzekł jeden z bliźniaków Sulgostowskich.

– I psy przestały wyć – dodał drugi.

Wtem drzwi od sieni, widocznie źle zamknięte przez czeladnika, otworzyły się same i do izby wpadł znowu powiew tak silny, że zgasił od razu kilkanaście świec.

– Co to jest? zamykać drzwi! Świece gasną! – ozwało się kilka głosów.

Lecz wraz z powiewem wleciał do pokoju jakby przestrich. Pani Winnicka, osoba bojaźliwa i przesądna, poczęła się żegnać głośno:

– W imię Ojca i Syna, i Ducha...

– Cicho, acani! – rzekł pan Pałowski.

Po czym zwróciwszy się do panny Anny ucałował jej rękę.

– Nie pomiesza mi radości byle zgaszona świeca – rzekł – i daj Bóg być jeno do końca życia tak szczęśliwym, jako w tej chwili jestem, prawda, Anulko?

A ona również pochyliła się do jego dłoni.

– Prawda, opiekunie – rzekła.

– Amen! – dokończył prałat. I powstawszy począł mówić:

– Mości państwo! skoro ów niespodziany odgłos powariował widocznie koncept panu cześnikowi Krzepeckiemu, niechże ja pierwszy będę tłumaczem tych afektów, którymi goreją dla przyszłych nowożeńców nasze corda. Więc zanim zawołamy: „o Hymen, o Hymenaios”, zanim, rzymskim obyczajem, Thalassiusa, nadobnego młodziana, przyzywać zaczniemy, co daj Bóg, aby jak najprędzej się stało, wzniesmy ex imo ten pierwszy toast za ich pomyślność i za ich przyszłą szczęśliwość: vivant, crescant, floreant!

– Vivant! vivant! – zagrzmiały wszystkie głosy.

Ozwała się wraz radomska kapela, a za oknami woźnice poczęły palić w ciemności z batów. Czelaź podniosła też okrzyk w całym domu, a w izbie, wśród ciągłych wiwatów, grały łykające wino krtanie:

– Vivant, crescant! floreant!...

Długo trwały okrzyki, tupania nogami, dźwięki z trąb i palba z batów – i uciszyło się dopiero, gdy pan Pałowski wstał, podniósł kielich i ozwał się gromkim głosem:

– Mnie wielce miłościwi, a najmilsi sercu mojemu goście i krewni!... Zanim moją całą wdzięczność niedołącznymi słowy wypowiem, naprzód uderzę wam czołem za ona życzliwość braterską i sąsiedzką, którąście mi okazali zebrawszy się tak licznie pod moim ubogim dachem...

Lecz słowa: „pod moim ubogim dachem” wymówił jakimś dziwnym, cichszym i jakby pokorniejszym głosem, po czym siadł znowu i pochylił głowę tak, że czołem wsparł się istotnie o stół – a goście aż się zdziwili, że człowiek zwykle tak chłodny i dumny ozwał się z taką serdecznością.

Pomyśleli jednak, że wielkie szczęście roztapia choćby najtwardsze serca – i czekając, co dalej powie, patrzyli tymczasem na jego siwą czuprynę, wciąż o krawędź stołu opartą.

– Cicho! słuchamy! – ozwały się głosy. I rzeczywiście zapadła głęboka cisza. Lecz pan Pągowski nie poruszył się wcale.

– Co waści? co to jest?... Na Boga!

– Mów waść! – zawołał prałat.

Ale pan Pągowski odpowiedział tylko okropnym chrapnięciem, przy czym kark i ramiona poczęły mu drgać nagle.

Panna Sienińska zerwała się z miejsca blada jak ściana i zaczęła krzyczeć przerażonym głosem:

– Opiekunie! Opiekunie!...

Przy stole uczynił się rum i zamieszanie. Zabrzmiały okrzyki i pytania. Otoczono Pągowskiego kołem, prałat chwycił go za ramiona i przechylił na poręcz krzesła; inni jęli go zlewać wodą, inni wrzeszczeli, by przenieść go na łożo i puszczać mu krew co prędzej. Niektóre z niewiast pokłękały, niektóre biegały jak szalone po izbie z przeraźliwym lamentem i jękami – a pan Pągowski z zadartą w tył głową, z nabranymi jak postronki żyłami na czole i zamkniętymi oczyma chrapał i rzeził coraz rozgłośniej...

Nieoczekiwany gość przybył istotnie z ciemności i wstąpił do jego dworu – straszny i nieubłagany.

Rozdział osiemnasty

Czeladź na rozkaz księdza pochwyciła chorego i przeniosła na drugi koniec domu, do kancelarii, która służyła panu Pągowskiemu zarazem i za sypialnię. Posłano tymczasem po kowala na wieś, który umiał puszczać krew i puszczał ją też zwykle, zarówno ludziom, jak zwierzętom. Pokazało się po chwili, że znajdował się on przed domem wraz z całą gromadą zebraną na poczęstunek – ale na nieszczęście był zupełnie pijany. Pani Winnicka przypomniała sobie, że ksiądz Woynowski słynie na całą okolicę jako zawołany doktor, wyprawiono więc i po niego co koń wyskoczy kałamaszkę, chociaż wydawało się rzeczą oczywistą, że to wszystko na nic się nie zda i że dla chorego nie masz już żadnego ratunku.

Jakoż tak było. Prócz panny Sienińskiej, pani Winnickiej, dwóch panów Krzepeckich i pana Zabierzowskiego, który bawił się trochę w medyka, nie puścił ksiądz Tworkowski nikogo więcej do kancelarii, aby natłok nie przeszkadzał ratunkowi. Ale wszyscy inni biesiadnicy, zarówno niewiasty, jak mężczyźni, zebrawi się w sąsiedniej wielkiej izbie gościnnej, gdzie były przygotowane posłania dla mężczyzn, i stali zupełnie jak stado trwożnych owiec, pełni niepokoju, obawy, ciekawości, i spoglądając na drzwi czekali nowin, a niektórzy robili po cichu uwagi nad okropnym zdarzeniem i nad prognostykami, które zapowiedziały nieszczęście.

—Uważaliście, jak migotały świece i płomienie były jakieś czarniawe? to już. widać śmierć je przesłaniała – ozwał się szeptem jeden z Sulgostowskich.

– Była między nami, a myśmy o tym nie wiedzieli.

– Psy na nią wyły.

– A ów hurkot? może to właśnie ona zajęchała?

– Bóg widać nie chciał dopuścić do tego małżeństwa, które byłoby z krzywdą dla rodziny.

Dalsze szepty przerwało ukazanie się pani Winnickiej i Marcjana Krzepeckiego.

Ona przebiegła chyżo izbę, śpiesząc po relikwie broniące przystępu złym duchom, a jego otoczono zaraz kotem.

– Co tam? Jak się ma?

A Marcjan ruszył ramionami, podniósł je tak, że głowa znalazła mu się prawie na piersiach, i odrzekł:

– Rzęzi jeszcze.

– Nie ma ratunku?

– Nie ma!

Wtem przez uchylone drzwi doszły wyraźnie uroczyste słowa prałata Tworkowskiego:

– Ego te absolvo a peccatis tuis – et ob omnibus censuris, in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen.

Więc poklękali wszyscy i zaczęli się modlić. Pani Winnicka przeszła między klęczącymi trzymając obu dłońmi relikwie. Marcjan udał się za nią i zamknął drzwi.

Lecz nie pozostały już długo zamknięte, po kwadransie bowiem ukazał się w nich znowu i zawołał swym skrzypiącym, klarinetowym głosem:

– Skończył!

Wówczas ze słowami „wieczny odpoczynek” ruszyli jedni po drugich do kancelarii, by rzucić ostatnie pożegnalne spojrzenie na nieboszczyka.

A tymczasem na drugim końcu domu, w izbie stołowej, poczęły się dziać rzeczy ohydne. Służba w Belczącce o tyle właśnie nienawidziła Pągowskiego, o ile się go bała, więc wydało się jej, że wraz z jego śmiercią nastaje czas ulgi, radości i bezkarnej swawoli. Służbie przyjezdnej zdarzała się sposobność do pohulanki, więc cała czeladź, zarówno miejscowa, jak obca, pijana mniej lub więcej już od południa, rzuciła się teraz na potrawy i wino. Pachołkowie przechylali do ust całe flasze wódek gdańskich, petercymentów, małmazji i węgrzyna; inni, bardziej chciwi najadło, wrywali sobie kawały mięsiwa i ciast. Śnieżny obrus ubroczył się w mgnieniu oka kałużami wielorakich płynów. W zamieszaniu poprzewracano krzesła i świeczniki na stole. Rznięte ozdobnie kielichy i szklenice wymykały się z pijackich rąk i rozbijały z brzękiem o podłogę. Tu i ówdzie powstały kłótnie, bijatyki; niektórzy rabowali wprost zastawę stołową. Słowem, rozpoczęła się orgia, której odgłosy doleciały aż na drugą stronę domu.

Wpadł na owe krzyki Marcjan Krzepecki, za nim dwóch Sulgostowskich, młody Zabierzowski i jeszcze jeden z gości, a widząc, co się dzieje, porwali się do szabel. W pierwszej chwili zamieszanie powiększyło się jeszcze bardziej. Sulgostowscy poprzestali na płazowaniu pijaków, lecz Marcjana Krzepeckiego ogarnął szal wściekłości. Wypukłe oczy wylazły mu jeszcze bardziej na wierzch, zęby błysnęły spod wąsów i począł po prostu siekać, kto mu się nawinął. Kilku sług zalało się krwią, inni chronili się pod stół, reszta stłoczyła się w bezładnej ucieczce we drzwiach, a on bil w kupę, krzycząc:

– Hultaje! psu braty! ja tu pan! ja tu gospodarz! I wyjechał na nich do sieni, skąd doszedł jeszcze jego przeraźliwy głos:

– Kijów, różeg!...

A ci tu w izbie stali, jak wśród rumowiska, patrząc na siebie zgorzonym wzrokiem i kiwając głowami.

– Jeszczem też takich rzeczy w życiu nie widział – ozwał się jeden z Sulgostowskich. A drugi rzekł:

– Dziwna śmierć i dziwne jej okoliczności. Patrzcie, toż tu, rzekłbyś: Tatarzy wtargnęli.

– Albo złe duchy – dodał Zabierzowski. – Straszna jakowaś noc. Kazali jednak wyleźć ukrytej pod stołem czeladzi, by uczynić w izbie ład jaki taki. Pachołkowie wyszli, wytrzeźwieni zupełnie ze strachu, i rącho wzięli się do roboty, a tymczasem powrócił Marcjan. Był już spokojniejszy, tylko jeszcze wargi trzęsły mu się ze złości.

– Popamiętają! – rzekł zwróciwszy się do obecnych. – Ale dziękuję waćpanom, żeście mi pomogli do ukarania tych łajdaków. Nie luźniej im tu będzie niż za nieboszczyka! moja w tym głowa!

Na to spojrzeli na niego zaraz bystro obaj Sulgostowscy i jeden rzekł:

– Tak samo waćpan nie masz nam za co dziękować, jak my jemu.

—No?

– I dlaczego się tu na jedynego sędziego sposobisz? – zapytał drugi z bliźniaków.

A on począł natychmiast podskakiwać na swoich krótkich, pałakowatych nogach do góry, jakby im chciał do oczu doskoczyć, i odrzekł:

– Bo mam prawo! mam prawo! mam prawo!

– Jakie prawo?

– Lepsze od waszego!

– A cóż to? czytałeś testament?

– Co mi testament? (tu dmuchnął na dłoń) ot co? wiatr! Komu zapisał? żonie? A gdzie jaka żona? Ot co? ja tu najbliższy! my – Krzepeccy – nie wy!

– A to obaczym. Bogdaj cię zabito!
– Bogdaj was zabito! Idźcie precz!
– Ty koźle, ty pniaku! Doczekasz! Precz, mówisz, mamy iść?... Pilnuj ty lepiej swego koziego łba!
– Grozicie?
Tu trzasnął pan Marcjan szablą i posunął się ku braciom, a oni też chwycili za rękojeści. Lecz w tej chwili ozwał się za nimi zgorszony głos księdza Tworkowskiego:
– Mości panowie! Nieboszczyk jeszcze nie ostygł.
Więc Sulgostowscy zawstydzili się ogromnie i Jeden z nich rzekł:
– Księżę pałacie, o nic nam tu nie chodzi, bo swój kawałek chleba mamy i cudzego nie pragniemy. Ale ta żmija już tu żgać poczyna i ludzi chce rugować.
– Jakich ludzi? Kogo?
– Kogo popadnie. Dziś nas, którym już kazał iść precz, a jutro może te niewiasty—sieroty, pod tym dachem żyjące.
– A nieprawda! nieprawda! – zawołał Marcjan.
I zwinąwszy się nagle w kłębek, uśmiechnął się, począł zacierać ręce, kłaniać się i mówić z jakąś jadowitą uprzejmością:
– Owszem, owszem! proszę wszystkich na pogrzeb i stypę, proszę pokornie, prosimy obaj z ojcem, a co się tyczy panny Sienińskiej, zawsze tu znajdzie dach i opiekę, zawsze! zawsze!
To rzekłszy zacierał dalej z wielką radością ręce.

Rozdział dziewiętnasty

Jakoż postanowił Marcjan sam oświadczyć pannie Sienińskiej, że Belczączkę może zawsze uważać za dom własny, ale odłożył tę rozmowę aż do czasu ukończenia ceremonii pogrzebowych, pierwiej bowiem chciał pogadać z ojcem, któren z powodu procesów, jakie przez całe życie prowadził, znał się na prawie i umiał zapobiegać z góry wszelkim trudnościom. Obaj byli zresztą przekonani, że sprawa ich jest dobra, więc na drugi dzień po wypadku właśnie w chwili gdy pana Pągowskiego wkładano w trumnę, zamknęli się w bocznej izbie i poczęli z równie dobrą otuchą uradzać.

– Opatrzność nad nami! – mówił stary – nic, tylko Opatrzność, i Pągowski ciężko odpowie przed nią za tę krzywdę, którą nam chciał wyrządzić.

– A niech odpowiada – odrzekł Marcjan. – Nasze szczęście, że tylko chciał, a nie zdążył, bo teraz wszystko weźmiemy w ręce. Już się Sulgostowscy skłócili ze mną, ale pierwiej ja im duszę wydrę, niż oni nam jeden zagon z Belczączki.

– Ha, szelmy! tacy synowie! bodaj ich skrzywiło!... Wszelako nie ich się boję, jeno testamentu. Wypytywałeś księdza Tworkowskiego? Jeśli kto co wie, to on.

—Nijak mi było wczoraj, bo zdybał mnie przy kłótni z Sulgostowskimi i rzekł nam: „Nieboszczyk jeszcze nie ostygł”... potem wyjechał po trumnę i po księży – a dziś nie było czasu.

– Nuż Pągowski tej tam kozie wszystko zapisał.

– Nie miał prawa, bo to majątek po nieboszczce, naszej najbliższej krewnej.

– Toteż się testament zwali, ale będą koszta, jazdy do trybunałów... Bóg wie co!

– Ojciec do procesów zwyczajny, ja zaś ułożyłem sobie w głowie coś takiego, że nie będzie potrzeba żadnych procesów; tymczasem „beatus qui tenet”, przeto ja się już z Belczączki nie ruszę i po czeladź naszą już posłałem. Niech mnie potem rugują – Sulgostowscy albo Zabierzowscy!

Ale ze strony dziewczki, jeśli jej zapisano?

– A kto się za nią ujmie? Dziewka jak palec na świecie: ni krewnych, ni przyjaciół – zwyczajnie sierota. Komu się zechce karku dla niej nadstawiać, narażać się na zwady, na pojedynki, na ekspensa? Co ona kogo obchodzi? Taczewski się w niej kochał, ale Taczewskiego nie ma; może wcale nie wrócić, a choćby wrócił, to golec – i na procesach tyle się rozumie, co mój koń. Prawdę rzekłszy, to położenie jest takie, że choćby jej nie Pągowski, ale rodzony ojciec Belczączkę zapisał, to jeszcze moglibyśmy tu zjechać i rządzić, jak nam się podoba, pod pozorem opieki nad sierotą. Ja myślę, że Pągowski chciał jej dopiero w intercyzie poczynić zapisy, więc albo testamentu wcale się nie znajdzie, albo jeśli się znajdzie, to taki stary, z zapisem dla panny Sienińskiej, jako dla wychowanki...

– A taki da się zwalić – rzekł stary – moja w tym głowa! Chociaż procesu się nie uniknie.

– Czemu zaś? Ja słucham, co ojciec mówi, ale myślę, że się uniknie.

– Kiedy, bo to, mówiąc między nami, nieboszczka Pągowska (głupia była... Panie, świeć nad jej duszą!) zapisała wszystko mężowi, więc i on miał prawo zapisać, komu chciał.

Ostatnie słowa wypowiedział starszy pan Krzepecki rozglądając się na wszystkie strony i prawie szeptając, chociaż wiedział, że w izbie prócz nich nie ma nikogo więcej.

Lecz syn zapytał:

– Jak ona mogła mu zapisać, skoro zginęła nagłą śmiercią?...

– Data jest w rok po ślubie: widać Pałowski to z niej wydurzył dlatego, że tam, gdzie mieszkali, niebezpieczne strony i nikt nie wie, kiedy mu Tatarzy requiem zawyją. Wzajem sobie zapis uczynili i testamenta były złożone w grodzie w Pomorzanach, skąd je Pałowski tu przywiózł. Chciałem się wtedy z nim prawować, ale wiedział, że nie wskóram. Teraz co innego...

– Teraz tak myślę, że obejdziemy się całkiem bez procesu.

– Jeśli się obejdzie, to tym lepiej, ale trzeba być gotowym...

– Ej! nie trzeba.

– Jakoż ma być?

– Już ja bez ojca poradzę.

Usłyszawszy to stary pan Krzepecki rozgniewał się.

– Ty poradzisz? co? jak? Jenemu mi ty roboty nie psuj. On poradzi!... Alboś to nie radził, żebym z Silnickimi o Drażków dał spokój, bo nie sposób!... Nie sposób?... Dlaczego?... Zaprzysięgano świadków na gruncie – wielka rzecz! Kazałem ludziom nabrać w buty ziemi z mego podwórza, no i co? I poszli na grunt Silnickich i żaden fałszywie nie przysięgał, gdy mówił:

„Przysięgam, że ta ziemia, na której stoje, jest pana Krzepeckiego!” A ty byś rok myślał i nie takiego byś nie wymyślił. Ty poradzisz? patrzcie go!...

I począł z gniewu poruszać bezzębnyimi szczękami, jakby coś żuł, przy czym broda zbiegała mu się zupełnie z zakrzywionym jak u drapieżnego ptaka nosem.

A syn rzekł:

– Odsapnij ojciec i posłuchaj. Jak chodzi o to, by lege agere cum aliquo, to ja zawdy ojcu ustąpię, ale co się tknie dziewczek, to moja esperiencja większa i sobie więcej ufam.

– No?...

—Przeto jeśli przyjdzie do procederu z panną Sienińską, to nie w żadnym trybunale.

– Coże zamyślasz?

– Nietrudno zgadnąć. Albo mi to nie czas? albo to taką drugą dziewczkę znajdziesz ojciec w całej okolicy?

To rzekłszy pan Marcjan zadarł głowę do góry i począł patrzeć ojcu w oczy, a ów patrzył na niego także pytającym wzrokiem i żuł szczękami, a potem spytał:

– To tak?

– Czemu by nie? Mnie to już od wczoraj chodzi po głowie!

– Hm! czemu nie? Dlatego, że goła jak Lazarus.

– Ale do Bełczączki przyjdę śpiewający, bez żadnych impedymentów. Goła jest, ale to dziewczka z wielkiej krwi... A pamięta ojciec, co Pałowski powiadał, że gdyby się tak w papierach Sienińskich rozpatrzyć, to można by z pół województwa wyprocesować? Przecie i Sobiescy na nich wyrosli, więc byłaby i protekcja królewska. Sam król powinien o jakowejś sprawie pomyśleć... A mnie dziewczka dawno w oko wpadła, bo też łakomy to kąsek, łakomy! łakomy!

I począł podskakiwać na swych krótkich nogach, oblizując się zarazem po wąsach, przy czym wyglądał tak szpetnie, że stary Krzepecki rzekł:

– Nie zechce cię.

– A starego Pałowskiego chciała? co? a mało było takich, co mnie chciały? Siła poszło młodych chłopów do chorągwi, to dziewczki można będzie na kopy kupować, jak ufnale. Wiedział

stary Pałowski, dlaczego mnie z domu przepędził – i nie byłby przepędził, gdyby się o dziewczkę nie bał.

– Ale suponując, że cię nie zechce, to wówczas co?

Złe błyski mignęły w oczach Marcjana.

– To wówczas – odrzekł z naciskiem – z dziewczką bez żadnej opieki można tak postąpić, że jeszcze sama będzie się do kościoła prosić...

Lecz stary przestraszył się tymi słowami.

– Hę? – zapytał. – A wiesz ty, że to gardłowa sprawa?

– Wiem, że za Sienińską nikt by się nie ujął!

– A ja ci mówię: wara! I tak już są na ciebie krzyki. Proces o majątek wygrasz czy przegrasz, bezecnym nie zostaniesz, a to kryminał – rozumiesz?

– Bo też do tego i nie przyjdzie, chyba żeby sama chciała. Ale wy mi nie przeszkadzajcie, jeno zróbcie tak, jak powiem. Weź ojciec po pogrzebie Tecię do domu, a jeśli się pozór jakowś znajdzie, to i starą Winnicką, ja zaś tu przy dziewczce останę z Agnieszką i Joanną. Gadziny to są, zawzięte na każdą, która od nich młodsza i urodziwsza. Już one wczoraj zaczęły tę niebogę żądłami żgać, a cóż dopiero będzie, gdy pod jednym dachem z nią zamieszkają. Toż ją będą kłuć, toż kąsać, toż poniewierać, toż łaskawy chleb wymawiać! Tak to widzę, jakobym w książce czytał – a to woda na mój młyn.

– Cóż na nim zmielesz?

– Co zmiele? To, że często umyślnie na kłótnię wpadnę, tamte żmije zwymyślam, czasem której w pysk dam: „a zasię!” – a ją po rękach, ba, i po kolanach wycaluję: „Jam twój defensor, jam brat, jam prawdziwy przyjaciel – tyś tu prawdziwa pani!” I myślisz, ojciec, że się w niej serce nie rozplynie, że nie pokocha tego, kto jej będzie tarczą i obroną, i kto jej będzie obcierał łzy, kto będzie nad nią w dzień i w noc czuwał? A jeśli w rozżaleniu, w zapamiętaniu i we łzach przyjdzie do jakowejś ekstraordynaryjnej konfidencji, to tym lepiej, tym lepiej! tym lepiej!

Tu Marcjan począł zacierać ręce i patrzeć na ojca tak koźlimi oczyma, że stary aż splunął.

– Tfu! poganinie! Tobie zawsze jedno na myśli.

– Bo aż po mnie mrowie chodzi, jak na nią spojrzę. Nie darmo mnie Pałowski stąd wymiatał. Nastąpiła chwila milczenia.

– To tedy powiesz Joannie i Agnieszcze, by w myśl twoją czyniły?

– Im? Im nie trzeba nic mówić ani niczego uczyć, bo ich natura wystarczy. Jedna Tecią gołąb, a to kanie.

Jakoż nie mylił się pan Marcjan, albowiem siostry jego już poczęły, każda po swojemu, opiekować się panną Sienińską. Tecią brała ją co chwila w ramiona i płakała z nią razem, a Joanna i Agnieszka pocieszały ją także, ale inaczej.

– Co się nie udało, to się nie udało – mówiła starsza – ale waćpanna się uspokój. Nie będziesz nam wujną, bo Pan Bóg tego nie chciał, ale nikt ci tu krzywdy nie uczyni i kawałka chleba nie pożałuje.

– I do żadnej roboty nikt cię nie będzie napędzał – ciągnęła druga – bo wiemy, żeś tego niezwyčajna. Jak ochłoniesz, a sama zechcesz, to co innego, ale poczekaj z tym, aż ci żal przejdzie, bo w samej rzeczy wielkie spotkało cię nieszczęście. Miałaś tu być panią, miałaś mieć męża, a teraz nie masz nikogo prócz nas; ale wierzaj, że chociażemy nie krewni, będziemy dla cię jakby krewni.

Po czym znów Joanna:

– I zgódź się z wolą boską. Bóg cię w tym doświadczył, ale za to inne grzechy ci odpuści. Bo jeśliś może nadto dufała w urodę albo pożałowała bogactw i strojów (wszyscy my przecie grzeszni – i dlatego tylko to mówię), to się jedno za drugie policzy.

– Amen – zakończyła Agnieszka. – Daj za duszę nieboszczyka na kościół jaką lamówkę albo mały klejnocik, bo ci teraz nic po wyprawie, a już my uprosimy naszego ojca, żeby ci na to pozwolił.

Tak mówiąc poczęły bacznyimi oczyma spoglądać na szaty leżące na stole i na skrzynie, w których była wyprawa. Brała je ciekawość tak niezwalczona zobaczyć, co tam jest, że wreszcie Joanna rzekła:

– Może by ci trocha w szukaniu dopomóc?

Ł po tych słowach obie rzuciły się na skrzynie, na puzdra, na łuby, w których leżały jeszcze nie wypakowane po powrocie z Radomia szaty, i nuż je wydostawać, nuż rozkładać, nuż oglądać do światła i pod światło, nuż przymierzać.

A panna Sienińską siedziała w ramionach słodkiej Teci jak odurzona – nic nie słysząc i nie widząc, co się z nią i koło niej dzieje.

Rozdział dwudziesty

Już jako narzeczona doznawała takiego uczucia, że coś się w jej życiu zmierzcha, coś gaśnie i przecina się, i zamyka, więc to narzeczeństwo nie budziło w jej sercu radości. Zgodziła się na nie tylko dlatego, że taka była wola Pągowskiego i że tak jej nakazywała wdzięczność za opiekę, a bardziej jeszcze z tego powodu, że po odjeździe Jacka została w jej sercu tylko gorycz i żal, i uraza, i ta bolesna myśl, że prócz tego opiekuna nie ma nikogo i że gdyby nie on, byłaby jak podróżna sierota, zabłąkana wśród ludzi obcych i nieprzyjaznych. Aż oto nagle grom uderzył i w to ognisko, przy którym miała zasiąść w jakim takim, chociażby w smutnym pokoju, i nie stało jedyne go człowieka, który był dla niej czymś na świecie. Nic dziwnego, że ów grom ogłuszył ją w pierwszej chwili i że wszystkie myśli poplątały się w jej głowie, a w sercu zapiekło się jeno uczucie żalu za tą jedyną bliską duszą, w połączeniu z uczuciem zdumienia i przestachu.

Więc słowa dwóch starszych panien Krzepeckich, które poczęły grabić wyprawę, odbijały się o jej uszy jako dźwięki bez znaczenia. Przyszedł potem Marcjan, kłaniał się, zacierał ręce, podskakiwał, prawil coś długo, ale ona nie rozumiała zarówno jego, jak i wszystkich innych gości, którzy, wedle zwyczaju, zbliżali się ze słowami tym wymowniejszego współczucia, im mniej go mieli w sercach. Dopiero gdy pan Cyprianowicz położył jej po ojcowsku rękę na głowie i rzekł: „Bóg będzie nad tobą, sieroto”, poruszyło się w niej coś nagle i do oczu napłynęły jej łzy. Pierwszy też raz przysła jej do głowy myśl, że jest jako liść marny, zdany na wolę wichru.

Tymczasem rozpoczęły się ceremonie pogrzebowe, które – ponieważ pan Pągowski był człowiekiem znacznym w swej okolicy – trwały, wedle zwyczaju, około dni dziesięciu. W zrękowinach brali udział, z niewielkimi wyjątkami, tylko goście proszeni, na pogrzeb zaś zjechało całe bliższe i dalsze sąsiedztwo, więc dom roił się od ludzi, a przyjęcia, mowy, wyjazdy na nabożeństwa i powroty z kościoła następowały jedne za drugimi. W pierwszych dniach uwaga powszechna zwracała się wyłącznie na niedoszlą wdowę po nieboszczyku, lecz później, gdy ludzie spostrzegli, że Krzepeccy objęli całkiem dom i że oni występują jako gospodarze, przestano na nią zważać i pod koniec uroczystości pogrzebowych nie zważano już więcej niż na zwykłą rezydentkę domową.

Myślał o niej tylko pan Cyprianowicz, którego ujęły jej łzy i wzruszyła jej dola. Służba poczęła już szeptać o tym, że dwie panny Krzepeckie rozerwały całą wyprawę, a starszy pan pochował do szkatuły „klejnociki” – i że w domu poczynają „panienką” pomiatać. Więc gdy te słuchy doszły do uszu pan Serafina, poruszyło się nimi jego dobre serce i postanowił pogadać o tym z księdzem Woynowskim.

Lecz ksiądz Woynowski uprzedzony był wielce z powodu Taczewskiego do panny Sienińskiej i zaraz z początku rozmowy rzekł:

– Żal mi jej, bo biedna, nieboga, i w czym będę mógł, to jej pomogę, ale że (mówiąc między nami) Bóg ją za mojego Jacka pokarał, to pewna.

– No, ale Jacek pojechał, jako i mój Stanisław, a ona tu ostała sierotą.

– Juźci pojechał, ale jak? Waćpan widziałeś go w chwili odjazdu, a ja odprowadzałem go dalej – i powiem waści, że chłopczysko jeno zęby ścisnął, a serce to tak krwawiło mu w piersiach, że i

słowa nie mógł przemówić. Oj! Miłował ci on tę dziewczynę, jak tylko dawniej ludzie umieli miłować, a dziś już nie umieją.

– Ale przecie rękoma jeszcze może ruszać, bom słyszał, że zaraz za Radomiem miał zwadę i poszczerbił przejezdnego szlachcica czy nawet dwóch.

– Ba, przeto że ma panięską twarz, każdy zawalidroga myśli, że tanio się z nim wywinie. Szukali z nim jacyś pijacy okazji, to i cóż miał robić? Zganię ci ja mu to, zganię, ale pomyśl waść, że człek z rozdartym przez afekt sercem jest jako leo, quaerens quem devoret.

– Prawda jest, ale co do dziewczyny, ej, dobrodzieju! Bóg wie, czy ona tu tyle winna, ileśmy myśleli.

– Mulier est insidiosa.

– Insidiosa nie insidiosa, a mnie, jakem się tylko dowiedział, że Pągowski chce się zenić, zaraz przyszło na myśl, że to może on główny sprawca wszystkiego, bo siła musiało mu na tym zależeć, żeby się raz na zawsze Jacka pozbyć! Lecz ksiądz potrząsnął głową.

– Nie. Wymiarkowaliśmy to expedite z jego listu, że był z jej poduszczenia napisany. Pamiętam go doskonale i mógłbym waszmości każde słowo powtórzyć.

– Pamiętam i ja, ale tego nie mogliśmy wiedzieć, co jej Pągowski mówił i jak jej uczynki Jackowe prezentował. Bo na przykład Bukojemscy przyznali mi się, że spotkawszy ją wraz z nieboszczykiem na drodze do Przytyka, umyślnie mówili im, że Jacek odjechał po obfitym strzeimiennym, śmiejący się, wesoly i ekstraordinaryjnie ciekaw córki pana Zbierzchowskiego, do którego jegomość dałeś mu listy.

– Ot to nałgali! i po co?

– Ano, niby żeby pokazać dziewczę i Pągowskiemu, iż Jacek sobie nic z nich nie robił. Ale pomiarkuj z tego jegomość, że jeśli Bukojemscy tak gadali przez przyjaźń dla Jacka, co mógł jej nieboszczyk nagadać przez nieprzyjaźń.

– Pewnie, że nie musiał go szcędzić. Ale choćby ona była mniej winna, niżejmy myśleli, powiedz mi waćpan, co z tego? Jacek pojechał i może zgoła nie wrócić, bo ile go znam, to mniej jeszcze będzie szcędził życia niż pan Pągowski jego reputacji.

– Taczewski byłby w każdym razie pojechał – odrzekł pan Cyprianowicz.

– I jeśli nie wróci nie rozedrę na sobie sutanny. Śmierć za ojczyznę i przeciw mahometowej bezecności – godny to chrześcijańskiego rycerza koniec i godne wielkiego rodu skończenie. Ale bym wolał, żeby był odjechał nie z tak bolesnym grotem, jaki w nim tkwił – i oto wszystko.

—I mój jedynak żadnego osobliwego szczęścia w życiu nie zaznał a także poszedł i także może nie wrócić – odparł pan Cyprianowicz.

I zadumali się obaj, bo i jeden, i drugi, całą duszą miłowali tych młodzianków.

Trafił na tą zadumę ksiądz prałat Tworkowski i dowiedziawszy się, że przed chwilą mówili o przyszłej doli panny Sienińskiej rzekł:

– Powiem waćpaństwu, ale niechże to będzie tajemnicą, że nieboszczyk nijakiego testamentu nie zostawił i że Krzepeccy mieli prawo objąć majątność. Wiem, że chciał intercyzę uczynić na korzyść żony i wszystko jej zapisać, ale nie zdążył. Nie wygadajcie się jeno z tym przed Krzepeckimi!

—Toś ksiądz prałat nic im nie mówił?

—A po co? To twarzi ludzie, a mnie chodziło o to, żeby nie byli dla niej zbyt twarzi, więc nie tylko im nic nie powiedział, ale jeszcze rzekłem tak: „Nie tylko Bóg człeka, ale i człek człeka chce czasem wypróbować” —co usłyszawszy oni zaniepokoiili się wielce i nuż wypytywać: „A jakoż jest? azali jegomość co wiesz?” Na to ja znów: „Co ma się pokazać, to się pokaże; pamiętajcie zaś tylko to jedno, że nieboszczyk miał prawo zapisać całą posiadłość komu by mu się żywnie podobało”.

Tu prałat począł się śmiać i założywszy ręce za fioletowy pas, tak mówił dalej:

– To powiem waćpaństwu, pod starym Krzepeckim aż się łysty zatrzęsły, gdy to usłyszał. Począł przeczyć: „O! (prawi) nie może być! Nie miał prawa. Ni Bóg, ni ludzie na to by się nie zgodzili.” A ja spojrzałem nań surowic i rzekę: „Że Boga wspominasz, to dobrze czynisz, bo w waćpanowym wieku słuszną dbać o jego miłosierdzie, ale do ludzkich trybunałów się nie odwołuj, bo snadnie mógłbyś końca nie doczekać.”

– Zląkł się tedy okrutnie, a jam dodał: „I dla sieroty bądźcie dobrzy, aby zaś Bóg was prędzej, niż myślicie, nie pokarał.”

Na to ksiądz Woynowski którego litościwe serce wzruszyło się już dołą dziewczyny, wziął zaraz prałata w objęcia.

—Dobrodzieju! – zawołał – kanclerzem wam być z waszą głową. Rozumiem, rozumiem! Niceście nie rzekli, z prawdą się nie zminęli, a zaniepokoiście Krzepeckich, którzy przypuszczają, że może testament jest, ba, że może nawet w waszych rękach; muszą się z tym liczyć i w postępkach względem sieroty się miarkować.

A prałat, rad z pochwały, postukał się knykiem w głowę i rzekł:

– Nie całkiem jest dziurawy orzech, co?

– Ba, tyle w niej rozumu, że mu się trudno pomieścić.

– Ha! pęknie, kiedy Bóg zechce, ale tymczasem mniemam, że istotnie sierotę zabezpieczył. Z drugiej strony muszę wszelako przyznać, że Krzepeccy nad moje spodziewanie ludzko i przychylnie mówili o Sienińskiej. Pannice tam ponoć zagrabiły jakieś fatałaszkę, ale i to stary mówił, że każe oddać.

– Choćby Krzepeccy byli najgorsi – ozwał się pan Cyprianowicz – nie ośmiela się uczynić krzywdy sierocie, nad którą czuwają oczy tak mądrego i dobrego kapłana. Ale, dobrodzieju, o co innego chciałem waszą przewielebność prosić: uczynicie mi tę łaskę i zajedźcie teraz do Jedlinki; niechże mam ten honor, abym mógł ugościć pod moim dachem tak znakomitą personę, z którą rozmowa jest właśnie jako miód polityki i mądrości. Ksiądz Woynowski już mi się obiecał, więc we trzech pogadamy de publicis et privatis.

– Wiem, jaka jest waszmości gościna – odrzekł uprzejmie prałat – i wyrzec się jej byłoby to prawdziwe umartwienie, a że czas postu, którego jest czasem umartwienia, minął, chętnie przeto do waszmości na dzionek zajadę. Pójdźmy tedy pożegnać się z Krzepeckimi, ale najprzód z sierotą, żeby Krzepeccy widzieli, w jakiej ją mamy estymie.

I poszli, a zastawszy ją samą, poczęli jej mówić słowa dobre, serdeczne, dodające otuchy i odwagi. Pan Cyprianowicz pogładzał ją po jasnej głowinie, tak właśnie, jak czyni matka, która chce uspokoić rozszalone dziecko; prałat Tworkowski uczynił to samo, a poczciwego księdza Woynowskiego tak wzruszyła jej zmizerowana twarz i jej smutna uroda przywodząca na myśl jakby kwiat polny za wczesnie kosą podcięty, że również ścisnął po ojcowski jej skronie i mając zawsze myśl zajęty Taczewskim, rzekł na wpół do niej, na wpół do siebie:

– Dziwić—że się tu Jackowi, kiedy to taki obrazek... Zełgali też Bukojemscy, że on wesół odjechał, oj! jak zełgali!

A ona usłyszawszy to, przytuliła nagle usta do jego dłoni i długo nie mogła ich oderwać. Łkanie serdeczne poczęło wstrząsać jej drobną pierś – i zostawili ją tak w płaczu ogromnym, nieutulonym.

A w godzinę później znaleźli się w Jedlinie, gdzie czekały ich dobre nowiny. Przyjechał czeladnik wysłany z listem od Stanisława. Młody Cyprianowicz donosił, że obaj z Jackiem zaciągnęli się do chorągwi usarskiej królewicza Aleksandra, że są zdrowi, i że Jacek lubo smutny zawsze, nabrał trochę ducha i nie zapamiętywa się już tak jak w pierwszych dniach. Była przy

tym w liście obok słów miłości synowskiej, jeszcze jedna wiadomość, która przejęła zdziwieniem pana Serafina:

„Jeśli, Najukochańszy i Wielmożny Ojcie Dobrodzieju (pisał Stanisław), zobaczycie z powrotem Bukojemskich, to nie dziwujcie się i poratujcie ich z łaski swojej, bo dziwne spotkały ich przygody, w których my nie możemy już im być pomocą; oni zaś, gdyby na wojnę mieli nie iść, toby chyba pomarli z frasunku, któren i tak omal już ich nie umorzył.”

Rozdział dwudziesty pierwszy

W ciągu następnych miesięcy odwiedzał pan Cyprianowicz kilkakrotnie Belczączkę, chcąc się dowiedzieć, co się dzieje z panną Sienińską. Nie powodowały nim żadne osobiste widoki, bo Stanisław, syn jego, się w niej nie kochał, a z Jackiem wszystko było zerwane; więc czynił to tylko z dobroci serca, a po trosze i z ciekawości, pragnął bowiem sprawdzić, w jaki sposób i o ile dziewczyna przyczyniła się do potargania węzłów tej przyjaźni.

Szło to jednak oporem. Krzepeccy szanowali go wprawdzie dla jego wielkiej zamożności, więc przyjmowali go gościnnie, ale była to jakaś dziwnie czujna gościnność, tak pilna i nieodstępna, że pan Cyprianowicz nie mógł ani na chwilę pozostać sam na sam z panienką.

Rozumiał, że nie chcą, aby ją wypytywał, jak się z nią obchodzą, i dawało mu to do myślenia, jakkolwiek nie zauważył, żeby obchodzono się z nią źle lub posługiwano się zbyt szorstko. Obaczył ją wprawdzie raz i drugi czyszczącą skórka od chleba „hatias” na białych trzewikach takich rozmiarów, że nie mogły być z jej nogi, lub cerującą wieczorami pończochy; ale panny Krzepeckie czyniły toż samo, więc nie mogło być w tym chęci upokorzenia sieroty jakąś służebniczą robotą. Pannice bywały też czasem uszczypliwe i kłujące na wzór pokrzyw, pomiarkował jednak wkrótce pan Serafin, że taka była ich natura i że nie zawsze mogły się powstrzymać od dogryzania nawet bratu, którego zresztą bały się do tego stopnia, że dość mu było popatrzeć na którą, aby zaraz schowała wysunięte już na wpół żądlę. Sam Marcjan grzeczny i uprzejmy był dla panny Sienińskiej, ale bez natarczywości, a po wyjeździe starego Krzepeckiego i Teci stał się jeszcze uprzejmiejszy.

Wyjazd ten nie podobał się jednak panu Cyprianowiczowi, chociaż była rzecz prosta, że starca podupadłego już nieco na nogi nie podobna było zostawić bez niewieściej opieki i że wobec dwóch gospodarstw dom Krzepeckich musiał się rozdzielić. Wolałby był jednakże pan Serafin, żeby właśnie Teci została z sierotą, lecz gdy przy sposobności rzekł coś z daleka o najodpowiedniejszym wieku dziewcząt, wzmianka ta została jak najgorzej przez starsze siostry przyjęta.

– Panna Sienińska – rzekła Joanna – pokazała już światu, że jej o wiek nie chodzi, czego dowodem nieboszczyk wuj i pani Winnicka, przeto i my dla niej nie za stare.

– Tyle samo my od niej starsze, ile Teci młodsza, a i to nie wiem —dodała druga – a w ostatku, nasza w tym głowa, jak sobie radzić w gospodarstwie.

Lecz Marcjan wtrącił się do rozmowy i rzekł:

– Ojcu najmilejsze Teci usługi, miłuje ją też najwięcej, w czym mu się dziwić nie można. Myśleliśmy też, żeby pannę Sienińską wysłać razem z nimi, ale ona do tego domu przywykła – i tak myślę, że jej tu lepiej, a co do naszej opieki, czynię, co w mojej mocy, aby jej zbyt nie ciążyła.

To rzekłszy zbliżył się, szurgając nogami, do panny i chciał pocałować ją w rękę, którą ona cofnęła jednak w pierwszej chwili jakby z trwogą. Pan Serafin pomyślał, że nie należało zabierać z domu pani Winnickiej, ale zachował tę uwagę dla siebie, nie chcąc wdawać się w nie swoje sprawy.

Zauważył on to nieraz, że na twarzy panny Sienińskiej maluje się obok smutku i bojaźni, ale nie dziwił się temu zbytnio, bo dola jej stała się rzeczywiście ciężką. Sierota, bez żywej bliskiej duszy, bez własnego dachu nad głową, zmuszona żyć na łasce ludzi sobie niemiłych, a w ogóle mających niedobrą sławę, musiała boleć nad minioną jaśniejszą przeszłością i trwożyć się o terażniejszość. A przy tym, choćby komu było jak najgorzej, ten ma jeszcze jakąś pociechę, jeśli może mieć nadzieję lepszej przyszłości. Ale ona nie mogła spodziewać się i nie spodziewała się niczego. Jutro miało być dla niej takie same jak dziś, a dalsze lata wiecznie jednakim ciągiem sieroctwa, samotności i życia na cudzym, łaskawym chlebie.

Rozmawiał o tym często pan Serafin z księdzem Woynowskim, z którym obecnie widywali się prawie co dzień, albowiem miło im było rozmawiać o swoich młodziankach. Ale ksiądz Woynowski wzruszał tylko ramionami ze współczuciem – i uwielbiał politykę księdza Tworkowskiego, który zawiesiwszy groźbę testamentu, jakoby miecz Damoklesa, nad głowami Krzepeckich, zabezpieczył przynajmniej sierotę od zbyt złego traktowania.

– Taki polityk! – mówił. – Tu go trzymasz, tu go nie masz. Ja czasem myślę, że on i nam nie powiedział całej prawdy i że może istnieje testament w jego ręku, z którym niespodzianie wystąpi.

– Przychodziło i mnie to na myśl, ale dlaczegożby go ukrywał?

—Nie wiem, może dla wypróbowania natury ludzkiej. To tylko myślę, że nieboszczyk Pągowski był człowiekiem wielce przezorny, i w głowie mi się to nie mieści, aby on dawno już nie spisał jakowegoś rozporządzenia.

Lecz po pewnym czasie umysły obu staruszków zwróciły się w inną stronę, albowiem przyjechali, a raczej przyszli piechotą z Radomia, bracia Bukojemscy. Zjawili się jednego wieczora w Jedlinie, przy szablach wprawdzie, ale w obdrapanych żupanach, w niezbyt całych butach i z tak strapionymi twarzami, że gdyby pan Serafin nie był się ich od dawna spodziewał, byłby się przeraził okrutnie, myśląc, że mu wieść o śmierci syna przynoszą.

Więc poczęli go kolejno obejmować za kolana i całować po rękach, a on patrząc na ich biedę, aż uderzył się po aksamicie i zawołał:

– Pisał mi Stach, że z wami źle, ale bójcie—że się Boga!

– Zgrzeszyliś dobrodzieju! – odpowiedział bijąc się w piersi Marek. A za jego przykładem inni poczęli zaraz powtarzać:

– Zgrzeszyliś, zgrzeszyliś, zgrzeszyliś!

– Mówcie jak? co? jak się ma Stach? Pisał mi, że was ratował. Cóż się stało?

– Stach zdrow, dobrodzieju, i obaj z Taczewskim świecą się jak dwa słońca...

– To chwała Bogu! chwała Bogu! Dzięki za dobrą nowinę. Listu nie macie?

– Pisał, ale nam nie dał, że to (powiada) może zginąć.

– A nie głodniście? Bójcie—że się Boga! Jakoby czterech piotrowinów mam przed sobą.

– Nie głodniemy, bo gościna u każdego szlachcica gotowa, ale nieszczęśliwi.

– Siadajcież. Napijcie się czego ciepłego, a nim zagrzeją, prawcie, co was spotkało.

Gdzieście byli?

– W Warszawie – odrzekł Mateusz – ale to paskudne miasto.

– Czemu zaś?

—Bo się tam roi od kosterów i pijaków, a na Długiej i na Stary m Mieście, co rusz – to wiecha³.

—I co?

³ Wiecha była oznaką sklepów, w których sprzedawano wino.

– I namówił jeden taki syn Łukasza, żeby z nim grał w kości. Bogdaj go byli poganie na pal pierwszej wbili!

– I zgrał go?

– Wygrał, co Łukasz miał gotowizną, a potem to, co my. Desperacja nas ogarnęła i chcieliśmy się odegrać, ale on wygrał jeszcze konia – z siodłem i z pistoletami w olstrach... To mówię jegomości, myśleliśmy, że Łukasz nożem się pchnie... I co robić? jakże brata nie pocieszyć? więc przedaliśmy i drugiego konia, by Łukasz choć miał towarzysza na piechotę.

– Rozumiem już, co się stało.

– A tak, dobrodzieju... Jakaś wytrzeźwieli, jeszcze większe zmartwienie, że już dwóch koni nie ma – zatem jeszcze potrzebniejsza pociecha...

– I takeście się pocieszali aż do czwartego konia...

– Aż do czwartego! zgrzeszyli. zgrzeszyli! – poczęli powtarzać skruszeni bracia.

– Czy aby się na tym skończyło? – zapytał pan Cyprianowicz.

– Gdzie tam! ojcie nasz i osobliwy dobrodzieju! Spotkaliśmy owego kosterę, niejakiego Poradzkiego, który począł nam urągać. „Tak (powiada) kpów strzygą! ale żeście chłopcy duże. więc przyjmę was (powiada) za pachółków, gdyż się właśnie do chorągwi zaciągam.” Zapłakał na to Łukasz, że ów na pośmiewisko nas podaje, i kiedy to nie wytnie go szablą przez pysk – padł! Skoczyli tamtemu na pomoc przyjaciele, a my Łukaszowi, i nuż się siekać, aż tu nadchodzi straż marszałkowska i w nas! Dopieroż tamci poczną wołać: „Mości panowie, wolność tu oprymują i całą Rzeczpospolitą w naszych osobach krzywdzą – pogódźmy się.” Tak się też stało i Bóg zaraz pobłogosławił, albowiem usiekliśmy w mig ośmiu pachółków, z tych trzech na śmierć, a reszta, co ich było jeszcze z pięciu —w nogi!...

Pan Cyprianowicz aż się za głowę schwyił, a Marek mówił dalej:

– Tak! teraz wiemy. Bóg patrzył na naszą niewinność, aż dopiero, kiedy poczęli ludzie krzyżeć, że to pod bokiem króla kryminał, że to gardłowa sprawa – zlekliśmy się i poczęli uciekać. Chcieli nas imać, ale gdy się po staremu rozdało temu i owemu to po łbie, to po karku, uciekliśmy.

Stanisław poratował nas końmi swojej czeladzi, ale i tak ledwieśmy głowy unieśli, bo pościg był aż do Sękocina – i gdyby konie byty lichsze, byłoby po nas. Szczęściem, nikt tam naszego nazwiska nie wiedział, więc też sprawy z tego nie będzie. Nastąpiła długa chwila milczenia, po czym pan Serafin zapytał:

– Gdzież te konie Stanisława?

A bracia nuż po raz trzeci powtarzać:

– Zgrzeszyli, dobrodzieju! zgrzeszyli!... Cyprianowicz począł chodzić wielkimi krokami po izbie.

– To teraz rozumiem – rzekł – dlaczegoście nie przywieźli listu od Stacha. Pisał ci on mi, że was spotkały różne żałosne przygody, i przepowiadał wasz powrót w tej myśli, że będziecie potrzebowali pieniędzy na konie i rysztynek, ale tego jak się to skończy, nie mógł przewidzieć...

– Tak jest, dobrodzieju – odpowiedział Jan.

Tymczasem przyniesiono wino grzane, do którego bracia zabrali się z wielką ochotą, albowiem znużeni byli drogą. Niepokoiło ich jednak milczenie gospodarza, który wciąż chodził po komnacie z obliczem zasmuconym i surowym. Więc Marek znów począł mówić:

– Pytasz się waszmość dobrodzieju o konie Stanisława? Dwa ochwaciły się nim dojechaliśmy do Grójca, bośmy jechali wciąż w skok i w czasie okrutnego wichru. Przedaliśmy je za byle co Żydom—furmanom. bo i tak nic by już z nich nie było, a nie mieliśmy ani szeląga przy duszy, ile że z przyczyny nagłej ucieczki nie miał Stanisław czasu nas wspomóc. Pokrzepiwszy się tedy coś

niecoś, jechaliśmy dalej po dwóch na jednym koniu. Ale to jegomość rozumie! Pokaże się z przeciwka na drodze jaki ślacheć i zaraz się w boki bierze: „Cóż to (pyta) za hierozolimską ślachtą?” A my z tej okrutnej żalości to już byliśmy na wszystko gotowi. Więc ciągle zwady, bójki! Aż w Białobrzegach dla miłego spokoju przedaliśmy i te ostatnie dwie szkapy: kto zaś się dziwował, że idziem piechotą, temu odpowiadaliśmy, że to wedle ślubu pobożnego... Już też, mój jegomość! wybaczenie nam po ojcowsku, bo nieszczęśliwszych ludzi nie ma chyba na świecie.

– Prawda! prawda! – zawołali Łukasz i Mateusz. A najmłodszy Jan, rozczulony wspomnieniami przebytych nieszczęść i winem, podniósł w górę ręce i zakrzyknął:

– Sieroty my boże! Cóż nam na świecie pozostało?

– Nic prócz miłości braterskiej – odpowiedział Marek. I poczęli się ścisnąć wylewając zarazem łzy rzewne, a potem ruszyli wszyscy do pana Serafina.

Marek pierwszy objął go za kolana.

—Ojciec – mówił – opiekun nasz pierworodny, nie miejcie do nas urazy. Pożyczcie nam jeszcze raz na zaciąg, to z łupów, da Bóg, oddamy; nie pożyczycie – i tak dobrze, jeno się nie gniewajcie, jeno nam wybaczenie! wybaczenie dla owej wielkiej amicycji, którą dla waszego Stacha żywim, bo to wam szczerze powiem, że niechby kto na niego palec zakrzywił, to byśmy go na szablach roznieśli! Nieprawdaż, bracia najmils! na szablach!...

– Dawajcie go sam, takiego syna! – zawołali Mateusz, Łukasz i Jan. A pan Cyprianowicz stanął przed nimi, przyłożył rękę do czoła i tak mówić począł:

– Gniewno mi, prawda! ale jeszcze więcej smutno niż gniewne. Bo gdy pomyślę, że takich jak wy wielu jest w tej Rzeczypospolitej, to mi się serce ścisnąć i w duszy zadaję pytanie: zdoła—li ta matka nasza przy takich dzieciach oprzeć się wszystkim nawałnościom, które jej grożą? Wy mnie chcecie przeproszać i mojego przebaczenia wygładacie? Ależ – na żywy Bóg! nie o mnie tu i o moje konie chodzi, jeno o coś stokroć większego, bo o dobro publiczne, i o przyszłość tej Rzeczypospolitej, a że wy tego nie rozumiecie, że wam nawet taka myśl do głowy nie przyszła i że takich jak wy są tysiące – tym cięższy żal, tym boleśniejsza troska, tym większa desperacja i moja. i każdego zacnego syna tej ojczyzny.

– Dla Boga, dobrodzieju! czymżeśmy przeciw ojczyźnie tak zgrzeszyli?

– Czym? Bezprawiem, swawolą, rozpustą i pijaństwem... Oj! lekko u nas ludzie takowe rzeczy biorą i nie wiedzą, jak się szerzy ta zaraza, nie widzą, jako rysują się mury tej wspaniałej budowli i pułap grozi naszym głowom. Oto wojna nad nami, oto nie wiadomo jeszcze, czy nie przeciw nam zwróci poganin swą potęgę, a wy – żołnierze chrześcijańscy – cóż najlepszego czynicie? Wołają już trąby do boju, a wam jeno w głowie wino i swawola. I z wesołym sercem siekacie stróżów tego prawa, które jakiego takiego ładu broni. Któż owe prawa postanowił? Szlachta! A kto je depce? Szlachta! Jakoż wystąpi na pole chwały ów kraj, owo antemurale Christianitatis, gdy nie żołnierze, jeno pijacy, nie obywatele, jeno swawolnicy i warchołowie w nim mieszkają?...

Tu przerwał pan Serafin przycisnąwszy rękę do czoła, znów począł chodzić wielkimi krokami po izbie, a oni spoglądali na się w zdumieniu i pomieszaniu, albowiem nie spodziewali się nic podobnego z ust jego usłyszeć.

Lecz on westchnąwszy, tak mówił dalej:

– Wezwaniście byli przeciw krwi pogańskiej, a rozleliście chrześcijańską; wezwaniście byli na obronę tej ojczyzny, a wystąpiliście jako jej wrogowie, boć oczywiste, że im większy nieład w fortecy, tym i forteca sama słabsza... Są jeszcze, na szczęście, i zacne dzieci tej matki, ale że i takich jak wy jest, jakom rzekł, legion, że tu nie wolność, jeno swawola kwitnie, nie posłuch, jeno bezkarność, nie surowy obyczaj, ale rozpusta, nie miłość ojczyzny, jeno prywatna, że tu się sejmy rwą, że skarb pustoszeje, że bezład się podnosi i wojny domowe jako rozkiełznane konie

tratuja tę ojczyznę, że ojej losach pijane głowy stanowią, że jest ucisk poddaństwa i od gór do dołu bezprawie – przeto się krwawi moje serce i klęsk, i gniewu bożego się boję...

– Dla Boga! to się nam chyba powiesić czy co? – zawołał Łukasz.

A pan Cyprianowicz przemierzył kilkakroć jeszcze krokami izbę i mówił dalej, ale już jakby nie do Bukojemskich, tylko do siebie:

– Jak Rzeczpospolita długa i szeroka – jedna wielka uczta, a na ścianie nieznana ręka pisze już: Mane... Tekel... Fares! Leje się wino, a poleje się krew i łzy. Nie ja jeden to widzę, nie ja jeden to przepowiadam, ale próżno ślepemu świecę przed oczy stawiać albo głuchemu pieśni śpiewać...

Nastało milczenie. Bracia wciąż patrzyli to na siebie, to na pana Serafina, w coraz większej konfuzji, wreszcie Łukasz szepnął:

– Niech się rozpuknę, jeśli co rozumiem.

– I ja.

– I ja.

– Bo, żeśmy parę razy podpili...

– Cicho, nie wspominaj...

– Jedźmy do domu...

– Jedźmy.

– Czolem waszmości dobrodziejowi! – rzekł Marek wysuwając się naprzód i pochylając się do kolan pana Serafina.

– A dokąd?

– Do leśniczówki. Bóg nas wspomůže...

– I ja wspomogę – odrzekł pan Cyprianowicz —jeno mi się żal zebrał w sercu i musiałem go wylać. Idźcie waćpanowie na górę, spocznijcie; później dowiecie się, com postanowił.

I w godzinę później kazał zaprząć i pojechał do księdza Woynowskiego.

Ksiądz zgorszył się także niepomalu uczynkami Bukojemskich. ale chwilami nie mógł się też wstrzymać od śmiechu, albowiem długie lata służąc wojskowo, pamiętał i przypominał sobie różne przygody, jakie przytrafiały się i jemu samemu, i towarzyszom. Jednakże przepicia koni nie mógł braciom darować.

– Żołnierz często poswawoli – rzekł – ale tego nadto, gdyż kto konia zbędzie, ten służbę zdradza. Bukojemskim rzeknę, że byłbym rad. gdyby im sąd marszałkowski łby z karków postrzącał – i pewno, że przykład przydałby się swawolnikom, ale waści wyznam, że byłoby mi ich żal, bo wszyscy czterej chłopcy jako się patrzy. Znam ja się na tym z dawnych czasów i z góry powiem, co kto wart. Owóz co do Bukojemskich – niezdrowo będzie tym poganom, którzy się w ataku pierś w pierś z nimi uderzą. Cóż waćpan względem nich zamyślasz?

– Juźci bez poratowania ich nie zostawię, ale tak myślę, że gdybym ich samych wysłał, to może im się toż samo po raz wtóry przytrafić...

– Prawda! – rzekł ksiądz.

– Przeto przyszło mi do głowy, żeby razem z nimi pojechać i wprost rotmistrzowi ich w ręce oddać. Raz pod chorągwią i w karbach – nie będą już sobie mogli na nic podobnego pozwolić.

– Prawda! to arcygrzeczna myśl. Odprowadź ich waćpan do Krakowa, bo tam się będą chorągwie ściągaly. Ba! za jedną drogą może i ja się z waścią wybiorę, bo w ten sposób naszych chłopaków obaczym, a potem raźniejsi wrócimy.

Na to uśmiechnął się pan Cyprianowicz i rzekł:

– Sam tylko jegomość wrócisz.

– Czemu zaś?

– Bo ja się też zaciągnę...

– Waćpan chcesz jeszcze służyć wojskowo? – zapytał ze zdziwieniem ksiądz Woynowski.

– I tak, i nie, bo co innego jest zaciągnąć się do komputu i ze służby zawód sobie uczynić, a co innego ruszyć na jedną wyprawę. Stary już jestem – prawda, ale i starsi ode mnie stawali nieraz w szeregach na odgłos trąby Gradywa. Posłałem syna jedynaka – i to prawda, ale przecie ojczyźnie nie można za dużo ofiarować! Tak myśleli i ojcie moi, za co też wynagrodziła ich ta matka nasza największym zaszczytem, jaki dać mogła. Więc dla niej choćby ostatni grosz! choćby ostatnia kropla krwi! A gdyby przyszło i polec – pomyśl jegomość, jakaż piękniejsza śmierć, jakie większe szczęście spotkać mnie może. Raz trzeba umrzeć, a czyż nie milej na polu chwały, przy boku syna, niż na łożu – i od szabli lub kuli niż od choroby, a w dodatku przeciw poganom za wiarę i ojczyznę!...

Tu wzruszył się własnymi słowy pan Cyprianowicz i rozłożywszy dłonie, począł powtarzać: „Daj to Bóg! daj to Bóg!”, a ksiądz Woynowski wziął go w objęcia i wyściskawszy, tak mówił:

– Daj też i to Bóg, aby jak najwięcej obywateli było podobnych w tej Rzeczypospolitej do waćpana, bo tak zacnych znajdzie się niewielu, a zacniejszego to już chyba wcale nie ma. Pewnie, że przystojniej szlachcicowi w polu niż na łożu umierać i dawniej wszyscy tak myśleli, ale dziś gorsze nastały czasy. Ojczyzna i wiara to jeden wielki ołtarz, a człek to źdźbło mirry, której przeznaczeniem spalić się na chwałę ołtarza... Ale tak! dziś gorsze czasy... Wojna też waści nie nowina, prawda?

Pan Serafin pomacał się po piersiach.

– A mam ci trochę blizn od szabel i postrzałów z dawnych lat.

– Milej byłoby i mnie chorągwie oganiać, niż tu babskich grzechów słuchać!... A to niejedna byle co prawi, całkiem tak, jakby przyszła pchły przy konfesjonale wytrząsać. Chłop jak zgrzeszy, to już przynajmniej ma co wyznawać... a żołnierz tym bardziej! Już po wzięciu tej oto sukienki kapłańskiej byłem kapelanem przy usarskiej chorągwi pana Modliszewskiego... Mile sobie to wspominam... Między jednym a drugim grzechów odpuszczeniem podniosło się jeszcze czasem strzelbę do zębów albo się i szerpetyny wydobyło... Ha! kapelanów teraz pilno potrzeba. Chciałoby się też ruszyć, ale parafia wielka, roboty huk, wikary trocha niemrawy – a najgorszy to taki jeden postrzał, który dawno, dawno otrzymałem, a który mi dłużej jak godzinę nie pozwala na szkapie dosiedzieć.

– Szczęśliw byłbym mając takiego towarzysza – odrzekł pan Serafin – ale rozumiem, że choćby i nie ten postrzał, to jegomość nie mógłbyś parafii opuścić.

– A no, obaczym... Siędę przez parę dni na mierzynka i poprobuję, jak długo się na terlicy utrzymam. Może by się tam jakoś zładziło. Ale u waści któż w domu ostanie na gospodarce?

– Mam jednego borowego, który jest prostak, ale tak zacny człek, że prawie święty...

– Wiem, to ten, co za nim bestie leśne chodzą. Inni powiadają, że czarownik, waćpan wszelako wiesz lepiej. Ale to stary człek i chory.

– Mam też chęć przyjąć tego Wilczopolskiego, który poprzednio u Pałowskiego służył. Może jegomość pamiętasz? młody szlachcic, bez nogi, ale tęgą człowiek i śmiały. Krzepecki oddalił go, bo mu się hardo stawał. Był u mnie dwa dni temu, ofiarując się do służby – i dziś pewno się z nim ugodzę. Pałowski też nie bardzo go lubił, gdyż chłopak nie dał sobie w kaszę dmuchać, ale chwalił jego wierność i zaradność.

– A co tam słyhać w Bełczącce?

– Dość dawnom tam nie był. Wilczopolski oczywiście nie chwali Krzepeckich, ale tak szczegółowie nie miałem czasu go o wszystko wypytać.

– Zajrzę ja tam jutro, choć oni niezbyt radzi mnie widzą, a potem przyjadę do waszmości natrzeć uszu Bukojemskim. Każę im się stawić do spowiedzi, a za pokutę plecy będą w robocie. Niech sobie dadzą wzajemnie po jakich pięćdziesiąt kańczugów, to się im przyda.

– Pewnie, że się przyda, ale teraz muszę już jegomości z przyczyny tego Wilczopolskiego pożegnać.

To rzekłszy pan Cyprianowicz przykrócił rapci, aby mu szabla przy wsiadaniu na wasąg nie zawadzała, i w chwilę później jechał już do swojej Jedlinki, rozmyślając po drodze o przyszłej wyprawie i uśmiechając się na myśl, że będzie strzemię w strzemię ze swoim jedynakiem przeciw poganom czynił. Minąwszy Belczączkę spostrzegł dwa konie juczne i brykę z tubami, w której jechał Wilczopolski.

Kazał mu się tedy przesiąść do siebie i zapytał:

– To już z Belczączki?

A Wilczopolski wskazał na łuby i chcąc zaznaczyć, że jakkolwiek chodzi po służbie, nie jest jednak zupełnym prostakiem rzekł:

– A oto, wasza miłość: omnia mea mecum porto.

– Tak—że to już było pilno?

– Nie było pilno, ale było trzeba; dlatego też na wszystkie kondycje waszej miłości z radością przystaję i w razie wyjazdu, o którym wasza miłość wspominał, domu i majątności wiernie ustrzeżę.

Panu Serafinowi podobała się odpowiedź i dziarska, zuchowata twarz chłopca, więc po chwili namysłu rzekł:

– O wierności nie wątpię, bo wiem, żeś szlachcic, jeno niedoświadczenia i nieostrożności się boję. W Jedlinkce trzeba kamieniem siedzieć i dzień, i noc czuwać, dlatego że to prawie w puszczy, a w wielkich borach zwyczajnie i osaczników nie brak którzy czasem i na domy napadają.

– Dla Jedlinki nie życzę napadu, ale dla siebie tobym go chciał, aby przekonać waszą miłość, że mi stanie czujności i serca...

– Po prawdzie tak też wyglądasz – odrzekł pan Cyprianowicz. I umilkł, a po chwili tak znów mówić począł:

– Jeszcze jedna ważna rzecz, w której cię muszę przestrzec. Pan Pągowski na sądzie boskim i de mortuis nihii nisi bene; ale to wiadomo, że dla poddaństwa byt ciężki. Strofował go o to i ksiądz Woynowski, z czego wynikła ich niezgoda. Nie żałowano tam chłopskiego potu, a kary były ostre i sprawa zawsze krótka. Powiedzmy prawdę; był ucisk – i oficjaliści przywykli też zbyt ostro z ludźmi postępować. Otóż zapowiadam acanu, że tego u mnie nie ma. Karność musi być, ale ojcowska, wszelako zbytnią srogość uważam za ciężki grzech przeciw Bogu i ojczyźnie. Zakonotuj to sobie dobrze, że kmieć to nie twaróg i zbyt go wyciskać nie wolno. Ja ludzkimi łzami nie żyję – i o tym pamiętam, że przed Bogiem wszyscyśmy równi.

Nastała chwila milczenia, po czym Wilczopolski chwycił rękę pana Serafina i podniósł ją do ust.

A ów rzekł:

– To widzę, że mnie rozumiesz.

– Rozumiem, mój jegomość – odrzekł młodzian – i to jeno odpowiem: mało sto razy chciałem do oczu panu Pągowskiemu powiedzieć, żeby innego szukał ekonomą, mało sto razy chciałem służbę porzucić, ale cóż! nie mogłem.

– Czemu zaś? pracy po świecie nie brak.

A Wilczopolski zmieszał się i począł mówić jakby zająkliwie:

– Nie... zdarzyło się... nie mogłem... tak ot, z dnia na dzień się zostawało. Przy tym... była srogość i nie było srogości...

– Jak to?

– Że do roboty zbyt gnano – prawda, i na to nikt nie mógł zaradzić, ale co do kar, co do bicia ludzi, powiem krótko: zamiast różeg były słomiane powróśla...

– Któż był taki litościwy? acan?

– Nie. Jenom wolał anielskiej niż diabelskiej woli słuchać.

– Rozumiem, ale mów: czyjej woli?

– Panny Sienińskiej.

– A a!... Taką to ona była?

– Jako właśnie anioł. Ona się także bała nieboszczyka, którego dopiero w ostatnich czasach zaczął na jej każde słowo zważać. Ale już ją tam wszyscy miłowali, że każdy wolał się na gniew nieboszczyka narazić, niż jej prośby nie usłuchać.

– Niechże ją za to Bóg błogosławi! Takoście się tedy przeciw Pałowskiemu zmaliali?

– Tak, wasza miłość.

– I nie wydało się nigdy?

– Raz się wydało, alem panienki nie zdradził. Nieboszczyk sam mnie oćwiczył, bom mu powiedział, że jeśli kto inny to zrobi albo jeśli mi, jako szlacheicowi, kobierca nie podłożą, to dom z dymem puszcę, a jego samego zastrzeł. I tak by było, choćym potem miał do osaczników w puszczy przystać!

– Za to mi się podobasz – odrzekł pan Serafin. A Wilczopolski mówił dalej:

– Ciężko nieraz bywało z panem Pałowskim, ale był w domu – ot, po prostu – cherubin boży i dlatego chciał człowiek odchodzić – i zostawał. Później też, gdy panienka wyrosła, więcej na nią zważał nieboszczyk, a w ostatnich czasach to już całkiem. Wiedział, bywało nieraz, że to biednych zbożem ze spichrza każe wspomóc, to jako rzekłem, różgi na powróśla zmienić, to dzień pańszczyzny odpuścić – i udawał, że nie widzi. W końcu wstydził się już jej tak, że nie potrzebowała nic robić w ukryciu. Prawdziwać to była orędowniczka ludzka i dlatego niechże jej, jako wasza miłość powiedziała. Bóg błogosławi i niech ją poratuje.

– Dlaczego mówisz: „poratuje”? – zapytał pan Cyprianowicz.

– Dlatego, że jej gorzej, niż było.

– Bójże się Boga! No, co?

– Panny są jędze, a sam młody Krzepecki niby je hamuje, ale ja wiem dlaczego – i niechże się strzeże, żeby mu kto w łeb jak psu nie strzelił.

Noc już była głęboka, ale bardzo widna, bo na niebie świecił księżyc w pełni i przy jego blasku ujrzał pan Cyprianowicz, że oczy młodego ekonoma zaiskrzyły się jak wilcze.

– Cóż o tym wiesz? – zapytał z ciekawością.

– Wiem, że on nie tylko dla hardości mojej mnie wydalił, ale i dlatego, że patrzył i słuchał pilnie, co ludzie w domu mówią... Odszedłem, bom musiał, ale do Bełczączki niezbyt daleko i w razie czego...

Tu umilkł – i na drodze słycać było tylko szum sosen poruszanych nocnym powiewem.

Rozdział dwudziesty drugi

A w Belczącce było pannie nie tylko źle, ale i coraz gorzej. Upłynęło już sporo czasu od owej chwili, w której stary Pągowski spostrzegłszy, że Marcjan Krzepecki spogląda na niedoroślą jeszcze dziewczynę zbyt „koźlim wzrokiem”, wyrzucił go z domu.

Ale on widywał ją potem w kościele, a niekiedy i u sąsiadów, i zawsze jej wiośniana uroda budziła w nim na nowo żądze. Teraz zaś gdy zamieszkał pod jednym dachem, gdy widywał ją codziennie, pokochał ją po swojemu, to jest taką zapalczywą i zwierzęcą miłością, do jakiej jedynie był zdolny. Zaszły też zmiany w jego postanowieniach. Z początku zamierzał po zhańbieniu dziewczyny ożenić się z nią tylko w razie, gdyby znalazł się testament na jej korzyść. Teraz gotów był stanąć z nią przed ołtarzem w każdym razie, byle ją posiadać i posiadać na zawsze. Rozum, który gdy go żądza podbija, staje się jej usługowym poplecznikiem, mówił mu przy tym, że panna, która nosi nazwisko Sienińskich, jest, choćby bez majątku, wielką i wielce korzystną partią. Lecz gdyby nawet rozum mówił przeciwnie, Marcjan nie byłby go już słuchał, albowiem z każdym dniem tracił panowanie nad sobą. Gorzał, szalał i jeśli dotychczas powstrzymał się jeszcze od czynów przemocy, to tylko dla tej przyczyny, dla której najzapalczywsza nawet żądza chce i pragnie dobrowolnej zgody, dobrowolnego oddania się i lubuje się myślą o wzajemności, i w niej widzi rozkosz największą, a ludzi się nawet wówczas, gdy nie ma do tego żadnej podstawy. Tak łudził się Krzepecki i tak lubował się myślą o tej szczęsnej chwili, w której panna sama, rozplomieniona i chętna, pochyli się w jego objęcia.

Bał się jednakże, by postawiwszy od razu wszystko na los szczęścia – nie przegrać, a gdy czynił sobie w duszy pytanie, coby wówczas mogło nastąpić, brał go lęk i przed samym sobą, i przed grozą, jaka by nad nim zawisła, albowiem prawa Rzeczypospolitej chroniące część niewieścią były straszne a wokoło były setki szabel szlacheckich, które niezawodnie zabłysłyby nad jego głową. Lecz jednocześnie czuł, że może przyjść taka godzina, w której nie będzie już na nic zważał, że zaś w jego dziejowej i zuchwalej duszy tkwiła chęć walki i głód niebezpieczeństw, więc znów nie bez pewnej ponęty była dla niego myśl o tłumie szlacheckim oblegającym Belczączkę, o łunie pożarnej nad głową i o czerwonym kacie stojącym z toporem w ręku gdzieś tam, jakby za mgłą, w jakimś dalekim mieście.

I tak żądza, obawa, a zarazem ochota do walki miały nim jakby trzy wichry. Tymczasem, chcąc dać ujście tej burzy, a zarazem ochłodzić krew, która wrzała w nim jak ukrop, biesił się, nurzał w rozpuście po wiejskich karczmach, zajeżdżał konie, zaczepiał ludzi i pił na umor we wszystkich gospodach, jakie były w Jedlni, w Radomiu i w Przytyku. Zebrał tam sobie kompanię zawalidrogów, którzy nie pociągnęli na wojnę z powodu zbyt złej sławy lub z przyczyny niedostatku, za którą płacił i którą tyranizował. Czynił to też w mniemaniu, że taka kompania może mu się w przyszłości przydać. Jednakże nikogo z niej nie dopuszczał do poufałości i nigdy nie wymawiał wobec tych kompanionów imienia dziewczyny, a gdy raz niejaki Wysz z nie wiadomo gdzie leżącego Wyszkowa wspominał o niej w grubiański i sprośny sposób, chlasnął go szablą przez pysk i zalał krwią.

Wracał zwykle do domu o pierwszym brzasku, pędząc na złamanie karku, ale ta szalona jazda wytrzeźwiała go zupełnie. Padał wówczas w ubraniu na skórę końską, którą przykryte było łożo, i zasypiał jak kamień; spał kilka godzin, a po obudzeniu się wdziewał najpiękniejsze suknie, szedł do niewiast i starał się przypodobać pannie, z której nie spuszczał oczu ani na chwilę i pełzając wzrokiem po całej jej postaci, podniecał w sobie żądze. I nieraz gdy zostawał z nią sam na sam, wargi wysuwały mu się naprzód, potwornie długie ramiona drgały, jakby nie mogły się oprzeć chęci chwycenia jej w objęcia, głos stawał się zdławiony, słowa mętne, zuchwałe i dwuznaczne, w których na przemian wiło się pochlebstwo i głucho warczała hamowana z trudem groźba.

A panna Sienińska bała się go po prostu tak, jakby się bała hodowanego wilka lub niedźwiedzia – i z trudnością kryła w sobie wstręt, którym przepelniał ją jego widok. Mimo bowiem papuzich barw, w które rad się przebierał, mimo klejnotów błyszczących mu pod szyją i bogatego czekana, którego nigdy z rąk nie wypuszczał, wyglądał z każdym dniem gorzej i szpetniej. Bezsenne noce, rozpusta, pijaństwo i płomienne żądze wycisnęły na nim swą pieczęć: wychudł, barki mu opadły, przez co jego długie z natury ręce uczyniły się jeszcze dłuższe, tak że dłonie sięgały ponad człowiecze proporcje aż za kolana. Olbrzymi jego tułów stał się podobny do sękatego kłosa, a krótkie, pałkowate nogi wygięły się od szalonej jazdy konnej jeszcze bardziej. Przy tym skóra na twarzy nabrała jakiejś zielonawej bladości, a z powodu zapadniętych policzków wypukłe oczy i wargi wysunęły się do reszty naprzód. Zwłaszcza w chwilach, w których się śmiał, stawał się wprost straszny, albowiem spod rozbłyśniętych śmiechem źrenic przeglądała mu jakaś zapalczywa, niepoahamowana złość i groźba.

Lecz poczucie swej niedoli, głęboka tęsknota i nieszczęście wyrobiły w pannie Sienińskiej jakąś powagę, której ani śladu nie miała dawniej, a która imponowała Krzepeckiemu. Nigdyś była to szczebiotliwa dziewczyna, terkocząca po całych dniach jak młynek, teraz zaś nauczyła się milczeć i oczy jej nabrały pewnej stałości wejrzenia. Więc choć nieraz serce jej drżało z bojaźni wobec Krzepeckiego, hamowała go milczeniem i spokojnym wzrokiem, a on cofał się wówczas, jakby lękając się obrazić jaki majestat. Wydawała mu się wprawdzie tym bardziej pożądaną, ale zarazem i trudniej dostępną.

Zresztą przeczując, że grozi jej z jego strony ogromne niebezpieczeństwo, a później mając zupełną pewność, że tak jest, starała się go unikać, zostawać z nim jak najkrócej sam na sam, odwracać rozmowę od rzeczy takich, które mogłyby mu ułatwić wyznanie, a wreszcie ośmielała się czasem nadmieniać i o tym, że nie jest tak dalece opuszczoną przez wszystkich na świecie i zdaną na łaskę i niełaskę losu, jak się wydaje.

Unikała jednakże wspomnień o Jacku Taczewskim, rozumiejąc, że po tym, co między nimi zaszło, nie może on już być i nie będzie nigdy dla niej żadną obroną. Czując przy tym, że każde słowo o nim budziłoby gniew i złość w Marcjanie. Lecz zauważywszy, że Krzepeccy wystrzegają się księdza Tworkowskiego i patrzą na niego jakby z tajoną obawą, dawała często do zrozumienia, że jest pod jego szczególną opieką, wynikającą z tajnej umowy, którą na wszelki wypadek był z nim zawarł nieboszczyk pan Pagowski. Prałat zaś, który od czasu do czasu odwiedzał Krzepeckich, pomagał jej w tym znakomicie, bawił się bowiem z nimi dla własnej przyjemności w politykę, wyrażał się tajemniczo, cytował dwuznaczne sentencje łacińskie i pozwalał się domyślać Marcjanowi różnych rzeczy, które ów mógł sobie dowolnie tłumaczyć.

Lecz przede wszystkim kochała „panienkę” służba i cała wieś. Ludzie uważali Krzepeckich za intruzów, ją za prawą dziedziczkę. Marcjana bali się wszyscy z wyjątkiem Wilczopolskiego. Ale nawet po oddaleniu młodego szlachetki otaczała dziewczynę jakby niewidzialna opieka ludu i Marcjan rozumiał, że strach; jaki wzbudza, ma swoją granicę, poza którą zaczęłoby się dla niego prawdziwe niebezpieczeństwo. Domyślał się także, że Wilczopolski, któremu „zuchwale patrzyło z oczu”, daleko nie odejdzie i że w razie gdyby panna potrzebowała obrony, nie cofnie się przed

niczym – więc w duszy przyznawał, że nie jest ona istotnie tak przez wszystkich opuszczona, jak sam z początku myślał i jak o tym w swoim czasie ojca zapewniał.

– Kto się za nią ujmie? nikt – mówił wówczas ojcu, gdy ten przykazywał mu pamiętać o strasznych karach, jakimi prawa Rzeczypospolitej groziły za zamach na honor niewieści.

A teraz rozumiał, że tacy by się znaleźli.

Stanowiło to jedną trudność więcej, wszelako trudności i niebezpieczeństwa były tylko podniętą dla takiej jak Marcjanowa natury. Łudził się jeszcze, że potrafi pannę przejednać i rozkochać, przychodziły jednak chwile, w których jasno jak na dłoni widział, że nic nie wskóra – i wówczas „bisał się”, jak mówili towarzysze jego nocnych hulanek, szalał i gdyby nie jakieś przeczucie głuche, ale silne i nieprzeparte, że gdy się porwie na dziewczynę, to ją na zawsze straci, byłby od dawna rozpętał w sobie dzikiego zwierza.

I w takich to właśnie chwilach pił bez miary i upamiętania.

A tymczasem stosunki w Belczącce stały się nieznośne – zaprawne jadem i złością. Panny Krzepeckie zniecierpliwiały dziewczynę nie tylko dlatego, że była od nich młodsza i urodziwsza, ale dlatego, że kochali ją ludzie i że Marcjan ujmował się za nią z lada powodu, a nawet i bez powodu. Zapłonęły w końcu nieubłaganą nienawiścią przeciw bratu, ale spostrzegłszy, że panna Sienińska nie skarży się nigdy, dokuczały jej tym zawzięciej. Raz Agnieszka sparzyła, ją, niby niechcący, rozpalonym pogrzebaczem. Marcjan, dowiedziawszy się o tym przez służbę, poszedł przeproszać pannę i zaklinał ją, by zawsze szukała u niego obrony, lecz zarazem począł tak łapczywie i obmierzle całować jej rękę i tak przysuwać się do niej, że uciekła nie mogąc potłumić wstępu. Wówczas wpadł w wściekłość i zbił siostrę tak, iż przez dwa dni potem udawała chorą.

Obie „pannice”, jak je zwano w Belczącce, nie szczędziły dziewczynie kłujących słów, otwartych wymysłów i upokorzeń, mszcząc się w ten sposób na niej za wszystko, co musiały znosić od brata. Ale z nienawiści ku Marcjanowi ostrzegały ją przed nim, a jednocześnie posądzały ją o powolność jego żądom, spostrzegły bowiem, że niczym nie zdołają jej zranić i upokorzyć boleśniej. Więc dom stawał się dla niej piekłem, a każda przeżyta w nim godzina męką. Nienawiść do tych ludzi, którzy sami się między sobą nienawidzili, zaczęła zatruwać jej serce. Poczęła myśleć o klasztorze, ale tała się z tą myślą, wiedziała bowiem, że jej nie puszcza i że rozpętawszy gniew Marcjana, narazi się na straszne niebezpieczeństwo. Cierpienie i trwoga zamieszkały stale w jej sercu i zrodziły chęć, która nigdy w niej dotychczas nie pozostała – chęć śmierci. Tymczasem każdy dzień dolewał nowe krople goryczy do kielicha. Raz wczesnym rankiem Agnieszka spłoszyła Marcjana zaglądnącego przez dziurę od zawory we drzwiach do pokoju sieroty. On cofnął się zgrzytnąwszy zębami i pogroziwszy pięścią, lecz „pannica” zawołała zaraz siostry i obie, zastawszy dziewczynę nie ubraną, poczęły się znęcać nad nią jak zwykle.

– Wiedziałaś, że on tam stoi – mówiła starsza – bo podłoga za drzwiami trzeszczy i słyhać, gdy się kto zatrzyma, ale i tobie to widać też po myśli.

– Ba! oblizywał się na specjały, a ona mu ich nie kryła – przerwała Joanna – zali ty się Boga nie boisz, bezwstydnico?

– Przed kościołem taką do kuny wstawić!

– I z domu wyświecić. Sodoma i Gomora!

– Tfu!

– A kiedy trza będzie po niewiastę do Radomia posiać?

– A jak bęsiowi dasz na imię?

– Tfu! Ścierka!

I poczęły na nią pluć. Ale w niej wzburzyło się serce, albowiem miara była przebrana.

– Precz! – zawołała ukazując ręką na drzwi.

Lecz twarz jej pobladła jak płótno, w oczach pociemniało, przez chwilę zdało jej się, że leci gdzieś w jakąś przepaść bez dna, po czym straciła czucie, pamięć i świadomość tego, co się z nią dzieje.

Zbudziła się oblana wodą i z poszczypaną piersią. Pochylone nad nią twarze panien Krzepeckich wyrażały przestрах, lecz po chwili widząc, że dziewczyna odzyskała przytomność, uspokoiły się znowu.

– Poskarż się, poskarż! – mówiła Joanna. – Twój gach ujmie się za tobą.

– A ty mu się po swojemu wywdzięczysz...

Lecz ona, ścisnąwszy zęby, nie odpowiadała już ani słowem.

Marcjan jednak domyślił się i bez skargi, co musiało dziać się na gorze, gdyż w kilka godzin później z kancelarii, w której zamknął się z siostrami, doszły wycia, od których struchlał cały dom.

Po południu, gdy przyjechał stary Krzepecki, obie panny przypadły z krzykiem do jego kolan zaklinając go, by je zabrał z tej „jaskini rozpusty i mąk”; lecz on, o ile kochał najmłodszą córkę, o tyle nienawidził starszych, więc nie tylko się nie ulitował nad nieszczęsnymi jędzami, ale począł wołać jeszcze o batog i kazał im zostać.

Jedyną istotą w tym strasznym domu, w której Joanna i Agnieszka —gdyby chciały być dla niej dobre i przyjazne – mogły znaleźć litość, współczucie, a nawet i ochronę, była właśnie panna Sienińska. Ale one wołały dokuczać jej i pastwić się nad nią, bo z wyjątkiem Teci była to rodzina, w której każdy członek czynił wszystko, co było w jego mocy, by innym zatruć życie i powiększyć niedolę. Lecz panna Sienińska bała się miłości Marcjana bardziej jeszcze niż nienawiści jego sióstr. A on coraz bardziej się jej narzucał, coraz bezczelniej się przysuwał, coraz był natarczywszy i coraz łakomiej na nią spoglądał. Czuć było, że już przestaje całkiem panować nad sobą, że dzika żądza targa nim jak wichler drzewem i że lada chwila wybuchnie.

Jakoż chwila ta nastąpiła już wkrótce.

Raz, gdy po nastaniu ciepłych dni panna Sienińska poszła świtaniem wykapać się w ocienionej strudze, zanim zaczęła się jeszcze rozbierać, ujrzała po drugiej stronie wychylające się ze zbitej gęstwiny oblicze Marcjana. Wówczas poczęła uciekać bez tchu, a on pogonił za nią, lecz chcąc przeskoczyć strugę, nie doskoczył, wpadł w wodę, ledwo się wygrzebał i wrócił do domu przemoczony do nitki i wściekły. Przed obiadem zbił kilku ludzi do krwi, a podczas obiadu nie ozwał się do nikogo ani słowem —i dopiero pod koniec zwrócił się do sióstr i rzekł:

– Ostawcie mnie sam na sam z panną Sienińska, gdyż mam z nią o ważnych rzeczach pomówić!

Siostry, usłyszawszy to, poczęły na się znacząco spoglądać, a panna pobladła z wrażenia, gdyż dawniej starał się wprawdzie chwycić każdą chwilę, w której mógł być z nią sam na sam, ale tak otwarcie nigdy nie pozwalał sobie tego żądać.

Więc gdy siostry wyszły, wstał, zajrzał za jedno i za drugie drzwi, by się przekonać, czy go nie podsłuchują, po czym zbliżył się do dziewczyny i rzekł:

– Podaj mi waćpanna rękę... na zgodę.

A ona mimo woli cofnęła obie ręce i odsunęła się od niego. Marcjan zaś usiłował widocznie zdobyć się na spokój, podskoczył jednak dwukrotnie na swych pałakowatych nogach, albowiem od tego przyzwyczajenia nie mógł się nigdy wstrzymać – i ozwał się przyciszonym głosem:

– Nie chcesz! A ja dla waćpanny małym się rano nie utopił. Ja waćpannę przepraszam za ów przestрах, ale nie stało się to z przyczyny jakowejś sprośności, jeno że psy wściekłe włączą się od wczoraj między Bełczączką a Wyrąbkami, więcem poszedł z rusznicą czuwać nad przepiecznością waćpanny.

Pod nią kolana poczęły trochę dygotać, ale odrzekła dość przytomnie i spokojnie:

– Nie chcę ja takiej obrony, której bym się wstydzić musiała.

– A ja chciałbym waćpanny nie tylko teraz, ale i zawsze bronić, do śmierci! i bez obrazy boskiej, jeno z boskim błogosławieństwem... Rozumiesz waćpanna?

Nastąpiła chwila ciszy. Przez otwarte okna dochodził tylko z podwórza odgłos rąbania drzewa, którym stary, kulawy parobek zajęty był przy kuchni.

– Nie rozumiem – odrzekła dziewczyna.

– Bo nie chcesz – odparł Marcjan. – Widzisz to od dawna, że nie mogę bez ciebie żyć. Tak mi cię trzeba, jako tego powietrza dla oddechu. Cudnaś mi i miła nad wszystko w świecie. Nie mogę!... zgorzeję bez ciebie! szczenę! Żebym się nie hamował, byłbym cię od dawna chwycił, jako właśnie jastrzęb gołębia. W gardle mi bez ciebie schnie jak bez wody... Wszystko we mnie do ciebie drży. Nie mogę spać ni żyć... Patrz, oto i teraz...

I przerwał, bo zęby zaczęły mu szczekać jak w gorączce. Skurczył się, chwycił kościstymi rękoma za poręcz krzesła, jakby się obawiał upaść – i sapał czas jakiś rozgłośnie.

Po czym znów zaczął mówić:

– Brak ci fortuny – nic to!... Ja mam dość. Ciebie mi trzeba, nie fortuny. Chcesz być panią w tym domu? Miałaś za Pągowskiego wyjść – jam przecie nie gorszy. Jeno mi nie mów: nie! na Boga żywego, nie mów mi: nie, bo nie wiem, co się stanie. Ty cudna! ty moja!...

To rzekłszy klęknął nagle, objął rękoma jej kolana i począł je przyciskać do piersi. Lecz – nadspodziewanie dla niej samej – przestrach jej przeszedł w tej strasznej chwili bez śladu. Zagrała w niej rycerska krew, zbudziła się gotowość do walki do ostatniego tchu. Poczęła z całej siły odpychać dłońmi jego zroszone potem czoło, które tuliło się do jej kolan.

– Nie! nie! wołałabym umrzeć tysiąc razy. Nie!

Wówczas wstał blady, ze zjeżoną czupryną, pełen zimnej wściekłości; przez czas jakiś drgały mu wąsy, spod których przebłyskiwały długie, popsute zęby. Lecz jeszcze panował nad sobą, jeszcze przytomność nie odbiegła go zupełnie. Jednakże gdy panna cofnęła się nagle ku drzwiom, zaskoczył jej drogę.

– Tak? – zapytał chrapliwym głosem. – Nie chcesz mnie? Powtórz mi to jeszcze do oczu! nie chcesz?

– Nie chcę! I waćpan mi nie groź, bo się nie boję.

– Jąc nie grozę, jeno cię chcę za żonę brać – ba! jeszcze proszę: opamiętaj się! na żywy Bóg! opamiętaj się!

– W czym mam się opamiętać? Wolna mi wola, bom szlachcianka – i waćpanu do oczu powiadam: nigdy!

A on zbliżył się ku niej tak, że twarz przysunął tuż do jej twarzy, i mówił:

– To może, miast tu być panią, wolisz drwa do kuchni nosić? Też nie chcesz? To jakże będzie, szlachcianko?... Do których swoich włości stąd pojedziesz? A jeśli ostaniesz, to czyj tu chleb będziesz jeść? na czyjej będziesz łasce? W czyjej będziesz mocy?... Czyje łóżko i czyj ten alkierz, w którym sypiasz? Co będzie, jak każę odjąć zaworę? A ty pytasz, w czym się masz opamiętać? W tym: co wybrać!... albo ślub, albo bez ślubu!...

– Podły! – krzyknęła panna Sienińska.

Lecz wówczas stało się coś niesłychanego. Ogarnięty nagłą furją, Krzepecki ryknął nieludzkim głosem i schwyciwszy dziewczynę za włosy, począł ją z jakąś dziką, zwierzęcą rozkoszą bić bez miłosierdzia i pamięci. Im dłużej panował nad sobą poprzednio, tym bardziej szaleństwo jego stawało się teraz straszne i ślepe. I byłby ją zabił niechybnie gdyby nie to, że na jej krzyk o ratunek poczęli się zbiegać domownicy. Pierwszy ów stróż, który rąbał drzewo pod kuchnią, wpadł z siekierą do pokoju przez okno, za nim nadbiegli kuchenni, obie panny Krzepeckie, piwniczy i dwóch z dawnej czeladzi pana Pągowskiego.

Piwniczny, który był szlachcic z dalekiego zaścianka na Mazurach, a przy tym człek niezwyklej siły, choć stary, chwycił Marcjana z tyłu za ramiona, ściągnął je tak, że aż łokcie niemal zetknęły się ze sobą na plecach, i rzekł:

– Tak nie wolno, wasza miłość! wstyd!...

– Puszczaj! – ryczał Krzepecki.

Lecz żelazne dłonie trzymały go jakby w kleszczach i posepny, przyciszony głos ozwał mu się tuż za uszami:

– Wasza miłość, pohamuj się, bo... kości połamię! Tymczasem panny Krzepeckie porwały dziewczynę i wyprowadziły, a raczej wyniosły ją z izby stołowej.

Piwniczny mówił dalej:

– Pozwól, wasza mość, do kancelarii... odpocząć! Bardzo tak radzę... I począł go popychać przed sobą jak dzieciaka, a ów kłapał wprawdzie zębami, wywijał krótkimi nogami, wołał o powrozy i kata, lecz nie mógł się oprzeć, bo zresztą w chwilę później zesłał nagle po wybuchu do tego stopnia, że i na nogach nie mógłby się być o własnej mocy utrzymać.

Toteż gdy w kancelarii piwniczny rzucił go na końską skórę, którą pokryte było łóżko, nie próbował się nawet podnieść i legł nieruchomie jak pień drzewa, ziejąc tylko i robiąc bokami jak przesilony koń.

– Pić! – zakrzyknął.

Piwniczny uchylił drzwi, wezwał pacholka i szepnąwszy mu po cichu kilka słów, wręczył klucze, a ów wrócił niebawem, niosąc gąsior z okowitą i półkwartową szklenicę.

Szlachcic nalał ją do pełna, powąchał i zbliżywszy się do Marcjana rzekł:

– Pij, wasza mość.

Krzepecki chwycił ją obiema rękami, ale drżały mu tak, że płyn począł mu się rozlewać na piersi, więc piwniczny podniósł go na łożu, przystawił mu ją do ust i począł przechylać.

Marcjan pił i pił, przytrzymując chciwie szklanekę, gdy szlachcic próbował ją odsuwać od jego ust.

Wreszcie wypróżnił ją do dna i – padł na wznak.

– Może będzie za dużo – rzekł piwniczny – aleś waszmość zesłał bardzo.

Marcjan chciał odpowiedzieć, lecz wciągnął tylko z sykiem powietrze, jak człowiek, który poparzył usta zbyt gorącym płynem.

Szlachcic zaś mówił dalej:

– Hej! winienesz mi waszmość dobry munsztułuk, bom waszmości niemałą oddał przysługę... Niechby, broń Boże, co do czego... to za takie sprawy topór i kat, nie mówiąc już o tym, że i zaraz mogłoby się nieszczęście przygodzić. Ludzie tu okropnie pannę miłują... I przed księdzem Tworkowskim trudno będzie ukryć, choć ja służbie nakażę milczenie. Jak się waszmość czujesz?

A Marcjan patrzył na niego zbiegającymi zrenicami, łapiąc wciąż w otwarte usta powietrze. Raz i drugi chciał jakby coś przemówić, po czym chwyciła go czkawka, oczy stanęły mu w ślup, zamknął nagle powieki i począł chrapać jak konający.

A piwniczny popatrzył chwilę na niego, po czym mruknął:

– Śpij albo i zdychaj, psie plugawy.

I wyszedł z izby na folwark, po upływie jednak pół godziny wrócił do dworu, zapukał do pokoiku panny Sienińskiej i zastawszy tam obie siostry Marcjana, rzekł im:

– Waszmość panny może by trochę do kancelarii do młodego pana zajrzały, bo okrutnie zesłał. Tylko jeśli śpi, to nie trza go budzić.

Po czym zostawszy sam na sam z panną Sienińską, pochylił się do jej kolan i rzekł:

– Panienko, trzeba uciekać z tego domu. Wszystko gotowe. A ona, lubo zbita i ledwie na nogach się trzymająca, zerwała się w jednej chwili.

– Dobrze, i ja gotowa. Ratujcie mnie!

– Zaprzężony wasąg stoi za strugą. Ja panienkę przeprowadzę. Przyodziełek jeszcze dziś w nocy odwiozę, bo pan Krzepecki się spał jak bela i do jutra będzie leżał jako nieboszczyk. Weź jeno panienka jubkę i chodźmy. Nikt nas nie wstrzyma, nie bój się.

– Bóg zapłać! Bóg zapłać! – powtarzała gorączkowo. I wyszli kierując się przez sad do tej furtki, przez którą zwykle przychodził z Wyrąbek Taczewski. Po drodze piwniczy mówił:

– Dawno to Wilczopolski ułożył. Umówił się z ludźmi tak, że gdyby tu na panienkę był jaki zamach, to mają podpalić gumna.

Pan Krzepecki musiałby skoczyć do ognia, a panienka miałaby czas wymknąć się przez sad za strugę, gdzie umyślny miał czekać z wózkiem. Ale lepiej, że się bez podpalenia obejdzie – boć to zawsze kryminał. Mówię, że Krzepecki będzie do jutra leżał jako kamień, przeto i nijakiego pościgu niech się panienka nie boi.

– Dokąd mam jechać?

– Do pana Cyprianowicza, bo tam o obronę nietrudno. Jest Wilczopolski, są panowie Bukojemscy i leśnicy. Krzepecki będzie pewnikiem chciał panienkę odbierać, ale nie wskóra. A gdzie potem pan Cyprianowicz panienkę odwiezie, czy do Radomia, czy dalej, to się o tym z księżmi naradzi... Ot i wasąg. Pościgu się panienka nie bój! Do Jedlinki niedaleko —i wieczór dał Pan Bóg cudny. Ja przyodziełek dziś jeszcze przywiozę, a gdyby chcieli bronić, nie będę zważał. Niech cię prowadzi Matka Najświętsza, opiekunka i orędowniczka sierot.

To rzekłszy wziął ją jak dziecko na ręce i usadziwszy w wasagu, krzyknął na pacholika:

– Ruszaj!

Na świecie był już mrok i zorza wieczorna gasła, tylko od ostatnich jej blasków różowiły się na pogodnym niebie gwiazdy. Cichy wieczór przepojony był zapachami ziemi, liści i bzów kwitnących, a słowiki zalewały śpiewem, jakby ciepłym dżdzem wiosennym, sad, olszynę i całą okolicę.

Rozdział dwudziesty trzeci

W taki to wieczór siedział na przyzbie domu pan Cyprianowicz goszcząc księdza Woynowskiego, którego po niesporach przyjechał go odwiedzić, i czterech panów Bukojemskich stale przebywających w Jedlinie. Przed nimi stał na krzyżakach stół, na nim łągiewka miodu i szklenice, a oni słuchając cichego szumu puszczy, popijali z wolna, podnosząc oczy ku niebu, na którym błyszczał mocno sierp księżycy, i rozmawiając o wojnie.

– Dzięki Bogu i waszmości dobrodziejowi, że wkrótce znów będziemy gotowi do drogi – mówił Mateusz Bukojemski. – Co tam było, to było. I święci nawet grzeszyli, a cóż dopiero ułomny człowiek, którego bez łaski boskiej nic nie wskóra. Ale jak spojrzę na ów miesiąc, którego jest tureckim znakiem, to mnie tak zaraz ta pięść śwędzi, jakby mija komary pocięły. No! daj Bóg jak najprędzej, to sobie człek ulży.

Najmłodszy Bukojemski zamyślił się trochę i rzekł:

– Czemu to, księżę dobrodziej, Turkowie jakoweś nabożeństwo do miesiąca mają i na chorągwiach go noszą?

– A psi to nie mają nabożeństwa do miesiąca? – zapytał ksiądz.

– Pewnie, że tak, ale dlaczego Turcy?

– Właśnie dlatego, że psubraty.

– A, jak mi Bóg miły, racja! – odrzekł młodzian spoglądając z podziwieniem na księdza.

– Ale miesiąc temu nie winien – zauważył gospodarz – i miło patrzeć, kiedy tak w cichości nocnej omaści swoim światłem drzewa, jakoby je kto srebrem obsypał. Lubię ja okrutnie siedzieć sobie w taką noc, spoglądać ku niebu i wszechmocność boską podziwiać.

– A no pewnie, że dusza ludzka leci wówczas niby na skrzydłach ku swemu stwórcy – odparł ksiądz. – Bóg miłosierny stworzył tak samo miesiąc jako i słońce – i to jest wielkie dobrodziejstwo... Bo jeszcze co do słońca, no – to w dzień przecie i tak widno, ale żeby nie było miesiąca, toż by dopiero ludzie, jeżdżąc po nocy, karków nakręcili, nie mówiąc o tym, że w zupełnych ciemnościach i swawola diabelska byłaby jeszcze większa.

Na chwilę umilkli i wodzili oczyma po pogodnym niebie, po czym ksiądz zażył tabaki i dodał:

– Zakonotujcie sobie waćpanowie w pamięci, jak to dobrotliwa Opatrzność myśli nie tylko o potrzebach, ale i o wygodzie ludzkiej.

Dalszą rozmowę przerwał im turkot kół, którego w ciszy nocnej wyraźnie doleciał do ich uszu. Pan Cyprianowicz przypodniósł się z przyzby i rzekł:

– Jakiegoś gościa Bóg prowadzi, bo swoi wszyscy w domu. Ciekaw jestem, kto to może być?

– A nuż kto z wiadomościami od naszych chłopaków! – odpowiedział ksiądz.

I powstał wszyscy, a tymczasem wasąg zaprzężony w parę koni wjechał w otwarty kołowrót.

– Niewiasta jakowaś na siedzeniu! – zawołał Łukasz Bukojemski.

– Prawda!

Bryczka objechawszy pół dziedzińca zatrzymała się przed gankiem. Pan Serafin spojrział na twarz przyjezdnej niewiasty, rozpoznał ją przy blasku księżycy i zakrzyknął:

– Panna Sienińska!

I prawie na rękach wyniósł ją z wasagu, a ona pochyliła mu się zaraz do kolan i wybuchnęła płaczem.

– Sierota – rzekła – która o przytułek prosi i o ratunek!...

To rzekłszy poczęła tulić się do jego kolan, obejmować je coraz silniej i łkać coraz żałośniej. Ogarnęło wszystkich tak wielkie zdumienie, że przez chwilę nikt słowa nie mógł przemówić, wreszcie pan Cyprianowicz podniósł ją, przycisnął do serca i zawołał:

– Póki mi tchu w nozdrzach, będę ci ojcem, sierotko. Ale cóż się stało? Wypędzili cię z Belczączki czy jak?

– Krzepecki mnie zbił i hańbą groził – odrzekła ledwie dosłyszalnym głosem.

Lecz ksiądz Woynowski, który stał tuż przy panu Serafinie, usłyszał odpowiedź, więc porwał się za białą czuprynę i zakrzyknął:

– Jezusie Narazeński, królu żydowski!...

A czterej panowie Bukojemscy spoglądali z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma, nic nie rozumiejąc. Serca ich poruszył wprawdzie od razu płacz sieroty, ale z drugiej strony pamiętali, że panna Sienińska uczyniła srogą krzywdę ich przyjacielowi Taczewskiemu, pamiętali również nauki księdza Woynowskiego, że przyczyną wszelkiego złego na świecie bywa mulier; więc poczęli następnie patrzeć na się pytającym wzrokiem, jakby w nadziei, że jeśli nie jednemu, to drugiemu przyjdzie jakowaś wyraźniejsza myśl do głowy.

Wreszcie Marek rzekł:

– A no, już ci Krzepeccy... to my tego Marcjana w każdym razie... czy co?

I chwycił się za lewy bok, a za jego przykładem pozostali trzej bracia poczęli także macać rękojeści szabel.

Tymczasem pan Cyprianowicz wprowadził panienkę do pokoi i polecił gospodyni, pani Dzwonkowskiej, osobie czułego serca i niepohamowanej wymowy, aby się nią zajęła jak najznakomitszym gościem. Rozkazał oddać jej własną sypialną komnatę, naniecić światła w domu, ognia w kuchni, wyszukać driakwi uspokajającej spazmy i smarowideł na sińce, nagotować polewki winnej i różnych specjałów, samej zaś dziewczynie radził, by położyła się do łóżka, dokąd wszystko miało jej być podane – i wypocząć, odkładając szczegółową rozmowę do jutra.

Lecz ona chciała otworzyć zaraz serce przed tymi ludźmi, u których szukała ratunku. Chciała od razu wyrzucić z duszy cały ten ból, który się w niej nagromadził od dawna, i tę niedolę, i wstyd, i upokorzenia, i mękę, w której żyła w Belczączce. Więc zamknąwszy się z księdzem Woynowskim i —z panem Serafinem, mówiła jakby ze spowiednikiem i z ojcem. Wyznała wszystko: i swój żal za Jackiem, i to, że chciała wyjść za opiekuna tylko dlatego, iż sądziła, że Jacek nią pogardził, i że słyszała od Bukojemskich, jakoby miał zenić się z panną Zbierchowską; wreszcie opowiedziała, jakie było jej życie, a raczej jaka męka w Belczączce, więc i dokuczliwą złość panien Krzepeckich, i straszne zaloty Marcjana, i to, co zaszło w dniu ostatnim i co było ostatecznym powodem jej ucieczki.

A oni brali się za głowy słuchając. Ksiądz Woynowski, dawny żołnierz, mimo woli sięgał ręką wzorem Bukojemskich do lewego boku, choć już dawno przy nim szabli nie nosił, a zacny pan Serafin co chwila obejmował drżącymi ze wzruszenia dłońmi skronie dziewczyny i powtarzał:

– A niech spróbują cię odebrać. Miałem jeno syna, a teraz Bóg mi dał córkę...

Lecz księdza Woynowskiego uderzyło najbardziej to, co dziewczyna mówiła o Jacku. Pamiętając wszystko, co zaszło, nie mógł się w tym teraz połapać.

Więc myślał, myślał, gładził całą szerokością dłoni mleczną czuprynę, wreszcie zapytał:

– Czyś waćpanna wiedziała o liście, jaki nieboszczyk Pągowski napisał do Jacka?

– Samam uprosiła opiekuna, aby go napisał.

– To już nic nie rozumiem. Czemu tak?

– Bom chciała, by wrócił.

– Jakoż miał wrócić? – zawołał z pewnym gniewem ksiądz. – List był taki, że właśnie po nim Jacek wyjechał z rozdartym sercem na kraj świata, aby zapomnieć i ten afekt, któryś waćpanna podeptała, wyrzucić z serca.

A ona poczęła mrugać ze zdziwienia oczyma i złożyła jak do modlitwy ręce.

– Opiekun mi mówił, że to był ojcowski list... Matko Najświętsza! co w nim było?

– Wzgarda, obelgi i deptanie po ubóstwie i czci, rozumiesz? Na to z ust dziewczyny wyrwał się krzyk tak bolesny i prawdziwy, że w księdzu zadrżało uczciwe serce. Zbliżył się do dziewczyny, rozchylił jej dłonie, którymi zakryła sobie twarz, i zawołał:

– Toś nie wiedziała?

– Nie wiedziałam, nie wiedziałam!

– I chciałaś, by Jacek wrócił?

– Tak!

– Na Boga! czemu tak?

Wówczas poczęły się jej znów spod przymkniętych powiek sypać łzy, prędkie i obfite, a duże jak perły; twarz jej spłonęła dziewczęcym wstydem; poczęła łowić w rozchylone usta powietrze, serce biło w niej jak w schwytanym ptaku i wreszcie wyszeptała z wysileniem:

– Bo go... Kocham!...

– Bójże się Boga, dziecko! – zakrzyknął ksiądz.

Lecz głos załamał mu się w piersi, bo go też dławili łzy. Ogarnęła go zarazem i radość, i niezmierna litość dla dziewczyny, i zdumienie, że mulier nie jest w tym razie przyczyną wszelkiego złego, ale niewinnym jagnięciem, na które Bóg wie dlaczego spadły takie cierpienia.

Więc chwycił ją w ramiona, przycisnął do serca i począł powtarzać raz po raz:

– Dziecko moje! dziecko moje!

A panowie Bukojemscy przenieśli się tymczasem wraz ze szklenicami i z łagiewką do stołowej izby, wypili sumiennie do dna miód i czekali na księdza i pana Serafina w nadziei, że za ich przybyciem będzie podana wieczerza.

Owi wrócili wreszcie ze wzruszeniem w obliczach i ze zroszonymi oczyma. Cyprianowicz odetchnął głęboko raz i drugi, po czym rzekł:

– Pani Dzwonkowska kładzie teraz do łóżka niebożatko... Prawdziwie uszom się nie chce wierzyć... Jest i nasza wina, ale Krzepeccy – to już po prostu hańba! wstyd! i tego bezkarnie puścić nie można.

– A to i owszem – odpowiedział Marek. – Pogadamy o tym z „Pniakiem”. Oj, oj! Po czym zwrócił się do księdza Woynowskiego:

– Szczerze nam jej żal, ale tak przecież myślę, że ją Bóg za Jacka pokarał. Nieprawda? A na to ksiądz:

– Głupiś waćpan!

– No to jakże? Co?

Więc staruszek, który miał pełne piersi żalu, począł mówić prędko i zapalczywie o niewinności i męce dziewczyny, jakby chcąc w ten sposób wynagrodzić jej za tę niesprawiedliwość, jakiej się względem niej dopuścił; lecz po upływie pewnego czasu przerwało mu opowiadanie przybycie pani Dzwonkowskiej, która wpadła nagle jak bomba do forticy.

Pani Dzwonkowska miała twarz tak zalaną łzami, jakby ją zanurzyła w pełnym wiadrze, i zaraz od proga poczęła krzyczyć z wyciągniętymi przed się rękoma:

– Ludzie, kto w Boga wierzy! pomsty, sprawiedliwości! Na Boga! pleczyki całe w sińcach, bieluchne pleczyki jak opłatek... włoski ma garściami powyrywane, złociste włoski... gołąbek mój najmilszy, kwiatusek taki kochany! owieczka moja niewinna...

Co usłyszawszy, wzruszony już opowiadaniem księdza, Mateusz Bukojemski kiedy nie ryknie, kiedy nie zawtórzą mu Marek, Łukasz i Jan... aż służba zleciała się do izby, a psy poczęły szczekać w sieni. Lecz Wilczopolski, który w chwilę potem powrócił z objazdu nocnego stogów, trafił już na inny humor braci. Czupryny ich był zjeżone, oczy zbieleły z wściekłości, prawice gniotły rękojeści szabel.

– Krwi! – wołał Łukasz.

– Dawajcie sam takiego syna!

– Bij!

– Na szable!

I ruszyli jak jeden mąż ku wyjściu, lecz pan Cyprianowicz zaskoczył im ode drzwi.

– Stój! – krzyknął – kata, nie szabli, on godzien!

I długo musiał pan Serafin uspokajać rozsierdzonych braci. Tłumaczył im, że gdyby zaraz usiekli Marcjana Krzepeckiego, nie byłby to szlachecki, ale zbójcecki uczynek. – Wpierw – mówił – trzeba sąsiedztwo objechać, porozumieć się z księdzem Tworkowskim, mieć za sobą opinię szlachty i duchowieństwa, pościągać świadectwa służby z Bełżączki, następnie wnieść sprawę do trybunału, a dopiero gdy wyrok zapadnie, siłą go poprzeć. – Gdybyście (mówił) zaraz Marcjana na szablach roznieśli, nie omieszkałby ojciec Krzepecki rozgłosić, żeście to uczynili w zмовie z panną Sienińską, przez co reputacja jej mogłaby ucierpieć, a was by stary pozwał i zamiast na wyprawę iść, musielibyście po sądach się włóczyć, bo nie będąc jeszcze pod inkwizycją hetmańską, nie moglibyście się od terminów uchylić. Ot, co jest.

– Jakże? – pytał z żalem Jan. – To mamy płazem puścić krzywdę tego gołąbka?

– Zaś myślicie – zauważył ksiądz – że Marcjanowi Krzepeckiemu mile będzie życie, gdy nad nim infamia albo i topór katowski zawiśnie, a do tego, gdy go wzgarda powszechna otoczy? Gorsza to męka niż prędka śmierć i nie chciałbym ja za wszystkie srebro olkuskie siedzieć teraz w jego skórze.

– A jeśli się wykręci? – spytał Marek. —Ojciec jego stary frant, któren już niejednen proces wygrał.

– Jeśli się wykręci, to mu Jacek po powrocie do ucha słówko szepnie... Wy jeszcze Jacka nie znacie! dziewczynskie on ma oczy, ale przezpieczniej spod niedźwiedzicy niedźwiadki wyciągać, niżli jemu do żywego dojąc.

Na to Wilczopolski, który dotychczas milczał, ozwał się ponurym głosem:

– Pan Krzepecki już na się wyrok napisał i kto wie, czy powrotu pana Taczewskiego doczeka. Ale inną rzecz powiem: będzie on pewnikiem chciał zbrojną ręką pannę na powrót brać i wtedy...

– Wtedy obaczmy! – przerwał pan Cyprianowicz. – A niech jeno spróbuje! To co innego!

I trzasnął groźnie szablą, a Bukojemscy poczęli wraz zgrzytać i powtarzać:

– Niech spróbuje! niech spróbuje!

Lecz Wilczopolski rzekł:

– Jeno że waszmościowie na wojnę wyjeżdżacie...

– To się zaradzi! – odpowiedział ksiądz Woynowski. Dalszą rozmowę przerwało przybycie piwniczego. Przywiózł on łuby z rzeczami panienki, co, jak mówił, nie przyszło mu bez trudności. Panny Krzepeckie usiłowały bronić i chciały nawet budzić brata, by też nie dawał. Ale dobudzić się go nie mogły, szlachcic zaś wmówił w nie, że trzeba to uczynić i dla ich własnego, i dla braterskiego dobra, inaczej bowiem oskarżone będą o grabież cudzego mienia i wzięte na męki w sądzie. Złękły się tedy, jako niewiasty nie znające się na prawie, i przyzwoliły. Piwniczny

mniemał także, że Marcjan będzie usiłował koniecznie odzyskać pannę, ale nie przypuszczał, by od razu uciekł się do przemocy.

– Powstrzyma go od tego – mówił – stary pan Krzepecki, który rozumie, czym pachnie raptus puellae! Nic on jeszcze nie wie, co się stało, ale ja stąd wprost pojedę i całą sprawę mu przedstawię, a to z dwóch przyczyn: raz dlatego, by pohamował pana Marcjana, a po wtóre, że nie chcę być jutro w Bełczączce w chwili, w której pan Marcjan się przebudzi i dowie się, że ja ułatwił panience wyjazd. Porwałby się na mnie niechybnie i wówczas jednemu z nas mógłby się casus paskudeus przytrafić.

Pan Serafin i ksiądz Woynowski pochwalili roztropność piwniczego i widząc, że człowiek jest życzliwy, a przy tym doświadczony, którego z niejednego pieca chleb jadał i któremu nawet i prawo jest nieobce —zaprośili go do wspólnego sprawy rozważania. Uczyniły się tedy dwie narady, bo drugą złożyli w oficynie panowie Bukojemscy na własną rękę.

Pan Cyprianowicz wiedząc, w jaki sposób najłatwiej można pohamować ich mężobójcze zamiary i zatrzymać ich w domu, podesał im do oficyny spory gąsior zacnego zieleniaka, który też zaraz radzi obsiedli i poczęli wzajem do siebie przepijać. Serca mieli wzruszone, a na myśl mimo woli nasuwały im się wspomnienia owej nocy, w której panna Sienińską po raz pierwszy przestąpiła progę domu w Jedlinie. Jęli sobie teraz przypominać, jak to się w niej natychmiast zakochali i jako się przez nią skłócili, a potem unanimitate przeznaczili ją Stanisławowi Cyprianowiczowi, czyniąc z własnych żądz ciężką dla przyjaźni ofiarę.

Wreszcie Mateusz pociągnął wina, wsparł głowę na dłoni, westchnął i rzekł:

– Jacek tej nocy na drzewie jako wiewórka siedział. Któż się mógł wówczas domyślić, że to jemu właśnie ją Pan Bóg przeznaczył?

– A nam w sieroctwie trwać kazał – dodał Marek.

– Pamiętacie – zapytał Łukasz – jak to wtedy pojaśniało od niej we wszystkich izbach? Nie uczyniłoby się jaśniej od stu świec jarzących. A ona to ci sobie wstała, to ci sobie siadła, to ci się uśmiechnęła... A co na cię spojrzała, to ci się tak ciepło w dołyszku robiło, jako byś się grzanego wina napił... Napijmy się i teraz na tę naszą tęskność okrutną.

Napili się znów, po czym Mateusz uderzył pięścią w stół i zakrzyknął:

– Ej! żeby ona tak tego Jacka nie miłowała!

– To i co? – zapytał oburkliwie Jan – to myślisz, żeby się zaraz w tobie zakochała. Patrzcie, jaki mi gładyz!

– Dobrze, żeś ty nie kostropaty! – odparł Mateusz. I poczęli na się niezyczliwie spoglądać. Lecz Łukasz, choć zwykle do zwady wielce pochopny, począł ich godzić.

—Ni dla cię, ni dla cię, ni dla każdego z nas – rzekł. – Inszy ją dostanie i do ołtarza powiedzie.

– A nam jeno żal i łzy – rzekł Marek.

– To się przynajmniej wzajem kochajmy. Nikt nas na świecie nie kocha! nikt...

– Nikt! nikt! – powtarzali na przemian, mieszając wino ze łzami.

– A ona tam sobie śpi – ozwał się nagle Jan.

– Śpi niebożatko! – przywtórzyl Łukasz – leży jako ten kwiatusek kosą podcięty, jako ta owieczka od bezecnego wilka podarta. Bracia rodzeni, zali tego wilka nikt nawet i za kudły nie wytarga?

– Nie może być! – zawołali Mateusz, Marek i Jan. I poczęli znów się burzyć, a im więcej pili, tym częściej zazgrzytał to jeden, to drugi albo też pięścią w stół uderzył.

– Mam myśl! – zawołał nagle najmłodszy.

– Mów! miej Boga w sercu!

– Ono, widzicie tak! Przrzeklim panu Cyprianowiczowi, że „Pniaka” nie rozsiekamy, prawda?

– Prawda, ale ty gadaj, nie pytaj!
– Wszelako pomścić się za naszą panienkę trzeba. Przyjedzie tu, jako mówili, stary Krzepecki próbować, czy mu pan Cyprianowicz dobrowolnie panny nie wyda. Ale my wiemy, że nie wyda! co?

– Nie wyda! nie wyda!

– Owóż, jak myślicie? nie wyskoczy—li Marcjan na spotkanie wracającego ojca, żeby obaczyć i rozpytać, czy co wskórał?

– Jak Bóg na niebie, tak wyskoczy.

– A no jest na w pół drogi między Belczączką a Jedlinką smolarnia tuż przy gościńcu. A żebyśmy tak zaczekali na Marcjana w tej smolarni?...

– Dobrze! Ale po co?

– Jenó sza! cicho!

– Sza!...

I poczęli oglądać się po izbie – choć wiedzieli, że prócz nich nie ma w niej żywego ducha – a potem szeptać. Szeptali długo, to głośniejsze, to cichsze, wreszcie rozpromieniły im się oblicza, dopili duszkiem wina, uściskali się wzajemnie i po cichu, gęsiego, jeden za drugim wynieśli się z izby. Posiadłali w największej ciszy konie i wyprowadzili je za uzdy z podwórza. Minawszy kołowrót siedli i jechali strzemię w strzemię aż do wielkiego gościńca; tam dopiero Jan, który lubo najmłodszy, objął tym razem komendę nad braćmi, rzekł:

– To ja z Markiem zaraz ruszamy do smolarni, a wy tamtą beczkę przywieźcie jeszcze przed dniem.

Rozdział dwudziesty czwarty

Stary Krzepecki, zgodnie z przewidywaniem piwniczego, przyjechał do Jedlinki zaraz następnego dnia po południu, ale nad wszelkie spodziewanie przyjechał z tak wesołym i dobrodusznym obliczem, że pan Cyprianowicz, który mając zwyczaj drzemać po obiedzie, był trochę senny, aż roztrzeźwił się ze zdziwienia na ów widok. Stary lis począł też od samego niemal progu mówić o sąsiedzkiej przyjaźni i o tym, jaką pociechą byłyby dla jego starości częstsze odwiedziny wzajemne; dziękował za gościnne przyjęcie i dopiero po skończonej wymianie grzeczności przystąpił do samej sprawy.

– Sąsiedzie dobrodzieju – rzekł – przyjechałem z powinnym pokłonem, ale zarazem – jak to musieliście się już domyślić – i z prośbą, której, ze względu na mój wiek, tuszę, że zechcecie łaskawie wysłuchać.

– Rad uczynię zadość każdemu słusznemu żądaniu waszmości – odpowiedział pan Serafin.

A stary począł zacierać ręce:

– Wiedziałem!... z góry wiedziałem! – rzekł. – Bodaj to mieć z kimś rzetelnie mądrym do czynienia! Od razu człek trafi do ładu. Powiedziałem też mojemu synowi tak: „Zdaj to na mnie! Już (powiadam) jak z panem Cyprianowiczem sprawa, to wszystko pójdzie dobrze, bo nie tylko tak rozumnego, ale i tak zacnego obywatela nie masz drugiego w całej okolicy.”

– Zbyt mi waszmość pochlebiasz.

– Nie, nie! za mało jeszcze mówię!... Ale przystąpmy do sprawy.

– Przystąpmy.

Stary Krzepecki przez chwilę milczał, jakby szukając słów, i tylko poruszał szczękami, tak że broda schodziła mu się z nosem, wreszcie uśmiechnął się wesoło, przyłożył dłoń do kolan pana Serafina i rzekł:

– Dobrodzieju... oto wiecie, że uciekł nam szczygieł z klatki.

– Wiem. Pono się kota przeląkł.

—Nie miłoś to z takimi rozmawiać!—zawołał zacierając ręce stary—a to dowcip! Ksiądz Tworkowski pęknie z inwidii, jak mi Bóg miły!

– Słucham waszmości...

– Owóż, ad rem i prosto z mostu: chcielibyśmy onego szczygiełka wziąć z powrotem.

– Czemu by nie?

Pan Krzepecki poruszył raz i drugi brodą w stronę nosa, bo zaniepokoiło go to, że sprawa idzie zbyt gładko. Jednakże klasnął w dłonie i zawołał z udaną radością:

– No, to i rzecz skończona! Bodaj się tacy ludzie na kamieniu rodzili!

– Ze mną skończona – odrzekł pan Serafin. – Trzeba by się tylko tej ptaszyny spytać, czy zechce wrócić, a to dziś jest niepodobna, bo ją waszmościu syn tak przydusił, że ledwo tchnie...

– Chora jest?

– Chora, leży w łóżku.

– A nie udaje?

Oblicze pana Serafina zasepiło się nagle i rzekł:

– Mój mości panie, mówmy poważnie. Niegodnie, nie po ludzku, nie po ślachecku i zgoła haniebnie sobie waścin Marcjan z panną Sienińską postąpił– a i waszmość ciężko zawiniłeś przed Bogiem i ludźmi, żeś sierotę w takie ręce oddał i takiemu bezwstydnemu okrutnikowi ją powierzył.

– Nie ma i ćwierci prawdy w tym, co ona mówi! – zawołał stary.

– Jak to? przecie waśc nie wiesz, co ona mówi, a już przeczysz. Nie ona mówi, jeno sińce i ślady razów za nią mówią, które moja klucznica na jej młodym ciele widziała, a co do Marcjana – widziała cała służba w Bełczącce jego zaloty, a potem jego okrucieństwo, i świadczyć w razie potrzeby gotowa. Jest u mnie Wilczopolski, który dziś jeszcze wyjedzie do Radomia opowiedzieć księdzu Tworkowskiemu, co się stało.

– Aleś waszmość mi obiecał, że dziewczkę oddasz.

—Nie! mówiłem jeno, że nie będę wstrzymywał. Zechceli wrócić, dobrze! Zechce u mnie zamieszkać – drugie dobrze! Tego jednak waćpan ode mnie nie wymagaj, abym ja sierocie srodze pokrzywdzonej dachu i kawałka chleba odmawiał.

Żuchwy starego Krzepeckiego poczęły się poruszać raz po raz. Przez chwilę milczał, po czym rzekł:

– Waćpan masz słuszność – i nie masz słuszności. Sierocie dachu i chleba wzbronąć – niegodny byłby to uczynek, ale jako człek roztropny, rozważ sobie, że co innego jest gościnności nie odmawiać, a co innego rebelię przeciw powadze rodzicielskiej popierać. Szczerze ja miłuję moją najmłodszą córkę, Teckę, ale przecie zdarzy się, że jej czasem dam szturchańca.

Więc jakże? To gdyby, skarcona przeze mnie, uciekła do waszmości – nie pozwoliłbyś mi jej zabrać albo zdałbyś to na jej zgodę? Pomyśl waćpan... Jakież to byłby porządek na świecie, gdyby białogłowy chciały mieć własną wolę? Przecie i ta, która jest zamężna, choćby i stara, musi mężowi ulegać i jego rozkazów słuchać, a cóż dopiero nieletnia dziewczka rozkazów ojca albo opiekuna?

– Panna Sienińska nie jest waszmości córką ani nawet krewną.

– Aleśmy opiekę nad nią po panu Pągowskim odziedziczyli. Gdyby pan Pągowski był dziewczynę pokarał, pewnie byś waćpan nie miał ni słowa do powiedzenia; więc też to samo jest i co do mnie, i co do mego syna, któremu rządy w Bełczącce zwierzyłem. To trudno! ktoś musi rządzić, ktoś musi mieć prawo kary! Nie przeczę, że Marcjan, jako młody a porywczy, może i przebrał miarę, zwłaszcza gdy go niewdzięcznością nakarmiła. Ale to moja rzecz! Obaczę, osądzę i ukarzę – ale dziewczkę z powrotem zabiorę, i tak myślę, że z przeproszeniem waszmości, nawet i sam król jegomość nie miałby prawa w tym mi jakowychś przeszkód czynić.

– Waćpan mówisz jak w trybunale – odrzekł pan Cyprianowicz – i nie neguję, że masz za sobą pozory. Ale pozór co innego, a co innego istna prawda. Ja waszmości nie chcę w niczym przeszkadzać, jeno powiem szczerze, jaka jest ludzka opinia, z którą i wam radzę się liczyć. Waćpanu nie chodzi o pannę Sienińską ani o opiekę nad nią, jeno podejrzewasz, że u księdza Tworkowskiego może się znaleźć testament z zapisem dla dziewczyny, przeto boisz się, aby ci się razem z nią i Bełczączka nie wymknęła. Niedawno jeszcze słyszałem, jako jeden z sąsiadów mówił tak: „Żeby nie ta niepewność, pierwsi by oni sierotę z domu wygnali, bo ci ludzie Boga w sercu nie mają.” Okrutnie mi to ciężko mówić waćpanu takie rzeczy w moim domu, ale trzeba, żebyś to wiedział.

W oczach starego Krzepeckiego zabłyśły płomienie gniewu, ale przemógł się jeszcze i odrzekł spokojnym, lubo nieco przerywanym głosem:

– Złość ludzka! podła złość – nic więcej, a w dodatku i bezrozum. Jakże? To niby mielibyśmy wypędzać z domu dziewczkę, z którą Marcjan chce się żenić? Zastanów się waćpan, na miły Bóg! Dyć to się jedno drugiego nie trzyma.

– Powiadają tak: jeśli się pokaże, że Belczączka dla niej, to się Marcjan z nią żeni, a jeśli nie – to ją jeno pohańbi. Jać nie jestem niczym sumieniem, więc jeno powtarzam, co mówią, z tym wszelako własnym dodatkiem, że syn waszmościów groził dziewczynie hańbą. To wiem pewnie, i waćpan, który Marcjana i jego sprośne żądze znasz, wiesz także, że tak było...

– Wiem ci ja to i owo, ale nie wiem, do czego waćpan zmierzasz.

– Do czego zmierzam? Ot, do tego, com już waści rzekł. Jeśli panna Sienińska zgodzi się wrócić do was, tedy nie mam żadnego prawa ani waszej, ani jej woli się przeciwzić, ale jeśli nie, to jej z domu nie wypędzę, bom jej to już obiecał.

– Nie o to idzie, byś ją waćpan wypędzał, jeno o to, byś ją wziąć dozwolił, tak samo jakbyś dozwolił, gdyby chodziło o którą z moich córek. O to tylko proszę, byś nam w poprzek nie stawał.

– Tedy powiem wyraźnie: na żaden gwałt nie pozwolę! W domu moim ja pan, i waszmość, któryś o królu wspominał, powinienes rozumieć, że tego prawa nawet król jegomość negować mi nie może.

Usłyszawszy to pan Krzepecki zacisnął pięści tak, że aż paznokcie wbiły mu się w dłonie i rzekł:

– Gwałt? Tego Właśnie się boję. Ja, jeśli miał co przeciw ludziom (a któż nie miał do czynienia ze złością ludzką?), tom przeciw nim prawem, a nie gwałtem zawdy czynił. Ale to nieprawda, co przysłowie mówi, że jabłko niedaleko pada od jabłoni... Czasem pada daleko... Ja dla dobra i dla przepieczeństwa waszmości chciałem zgodnie załatwić sprawę... Waćpan tu bezbronny w lesie siedzisz, a Marcjan... – ciężko ojcu o synu to mówić – nie całkiem wdał się we mnie... Wstyd mi wyznać, ale ja ręczyć zgoła za niego nie mogę... Boi się cały powiat jego zapalczywości – i słusznie, bo on na nic gotów nie zważać, a ma z pięćdziesiąt szabel na zawołanie... Waćpan zaś... waćpan bezbronny, repeto, w lesie siedzisz... i z tym radzę się policzyć... Ja sam się boję...

Na to wstał pan Cyprianowicz i zbliżywszy się do Krzepeckiego, spojrział mu w same białka oczu.

– Waś chcesz mnie przestraszyć? – zapytał.

– Ja sam się boję... – powtórzył stary Krzepecki.

Lecz dalszą rozmowę przerwały im nagłe krzyki z podwórza od strony lamusa i kuchni, więc skoczyli do otwartego okna i w pierwszej chwili skamienieli ze zdumienia. Oto wśród opłotków biegł ze strasznym impetem w stronę kołowrotu i dziedzińca jakiś nadzwyczajny potwór, niepodobny do żadnego ze stworzeń na ziemi widywanych, a za nim na rozhukanych koniach pędzili czterej Bukojemscy krzycząc i wywijając w powietrzu harapami. Potwór pierwszy wpadł w podwórze, a za nim zwalili się podobni do piekielnych szczwaczy bracia i poczęli go gnać wokół wirydarza.

– Jezusie, Mario! – krzyknął pan Cyprianowicz. I wypadł na ganek, a za nim podążył w te pędy stary Krzepecki. Wówczas dopiero mogli się lepiej przypatrzeć. Potwór miał pozór olbrzymiego ptaka, ale zarazem i jeźdźca na koniu, biegł bowiem z jakowąś postacią na grzbiecie, i na czterech nogach. Ale i jeździec, i koń byli do tego stopnia puchem pokryci, że głowy ich wyglądały jakby dwa kłęby pierzaste. Nie było zresztą możliwości nic dokładnie rozeznąć, bo bachmat biegł jak wichur w krąg dziedzińca, a panowie Bukojemscy dojeżdżali go z bliska, nie szczędząc razów, od których odrywały się puchy i spadały na ziemię lub też krążyły na kształt śniegowych płatków w powietrzu.

Przy tym potwór ryczał jak ranny niedźwiedź, bracia również, i w ogólnym wrzasku ginęły głosy pana Cyprianowicza i starego Krzepeckiego, którzy wołali ile sił w płucach:

– Stójcie! na rany boskie, stójcie!

Lecz tamci pędzili, jakby ogarnęło ich szaleństwo, i obiegli z pięć razy dziedziniec. Jednakże z kuchni, z oficyn, ze stajen, od strony stodół i gumna zbiegła się liczna służba, która słysząc okrzyk: „stójcie”, powtarzany jakby z desperacją przez pana Serafina, skoczyła ku koniom panów Bukojemskich i poczęła je hamować chwytając za uzdy i wędzidła. Osadzono wreszcie bachmaty braci, lecz z pierzastym koniem była trudność największa. Bez uzdy, ocięty batożkami, zhukany i przerażony wspinał się na widok ludzi lub błyskawicznym ruchem zawracał w bok, tak że zatrzymano go dopiero wówczas, gdy zebrał się w sobie, gotował się do przeskoczenia płotu. Jeden z czeladzi porwał go za chmyza między uszami, drugi za chrapy, kilku za grzywę: nie mógł z takim ciężarem przeskoczyć i padł na przednie nogi; zerwał się wprawdzie zaraz, ale już nie próbował się wyrwać, tylko począł drzeć na całym ciele.

Zdjęto wówczas jeźdźca, który dlatego, jak się pokazało, nie zleciał, że miał nogi silnie pod końskim brzuchem skrępowane, i obtarto mu twarz z puchu. Ale pod puchem okazała się twarz całkiem pokryta gęstą smołą, tak że rysów niepodobna było rozeznaczyć. Jeździec dawał zresztą słabe życia oznaki, więc dopiero gdy przyniesiono go na ganek, poznał go stary Krzepecki, poznał także pan Serafin i obaj krzyknęli z przerażeniem:

– Marcjan!

– A ten ci to paskudnik jest! – rzekł na to, dysząc, Mateusz Bukojemski —skaraliśmy go coś niecoś i przygnali tutaj, aby panna Sienińska wiedziała, że są jeszcze czułe dusze na świecie.

A pan Cyprianowicz aż porwał się za głowę:

– Jechał was sęk z takimi czułymi duszami! zbójce jedni! Po czym zwróciwszy się do pani Dzwonkowskiej, która nadbiegłszy wraz z innymi, zegnała się raz po raz krzyżem świętym, zawołał:

– Wódki mu do gęby nalać, otrzeźwić – i do łóżka!

Uczyli się ruch i zamieszanie. Jedni skoczyli gotować łoże, inni po grzaną wodę, inni po wódkę, kilku obdzierało puch z Marcjana, w czym pomagał im stary Krzepecki zgrzytając zębami i powtarzając:

– Żyje?... nie żyje? Żyje! Pomsty! pomsty... Po czym zerwał się nagle, przyskoczył do pana Serafina i zakrzywiwszy palce na kształt szponów przed samymi jego oczyma, począł krzyczeć:

– Byłeś w znowie! zabiłeś mi syna, zbroju ormiański! A Cyprianowicz pobladł bardzo i chwycił za szablę, lecz w tej samej chwili wspomniał, że jest gospodarzem, a Krzepecki gościem; więc puścił rękę, a natomiast podniósł dwa palce w górę i rzekł:

– Na tego Boga, który jest nad nami, przysięgam, że o niczym nie wiedział – i na krzyżu gotowem zaprzysiąc – amen!

– My świadkami – zawołał Marek Bukojemski.

Cyprianowicz zaś dodał:

– Bóg waści skarał, boś to waść mi groził, jako bezbronnemu starcowi, zapalczywością swego syna. Ot, masz jego zapalczywość!

– Kryminał! – ryczał stary – kat na was i pod miecz wasze głowy! Pomsty! Sprawiedliwości!...

– Ot, czegoście narobili! – rzekł pan Serafin zwracając się do Bukojemskich.

– Mówilim, że lepiej od razu usiec – ozwał się Łukasz.

Lecz tymczasem nadbiegła pani Dzwonkowska z wódką gdańską i poczęła ją lać z faszki w otwarte usta Marcjana, ów zakrzuszył się i zaraz otworzył oczy. Ojciec przypadł ku niemu.

– Żyjesz! żyjesz? – zawołał z wybuchem dzikiej radości.

Lecz Marcjan nie mógł jeszcze dać odpowiedzi i leżał jak wielki puchacz, który postrzeleń z rusznicy, padnie na grzbiet i dyszy na rozłożonych skrzydłach. Jednakże przytomność mu wracała, a z nią i pamięć. Wzrok jego przeszedł z twarzy ojca na oblicze pana Serafina, a potem

zatrzymał się na Bukojemskich i stał się tak straszny, że gdyby w sercach braci było choćby najmniejsze miejsce na bojaźń, byłby ich dreszcz przeszedł od stóp do głów.

Ale oni postąpili tylko jeszcze krokiem ku niemu, na kształt czterech byków bóć gotowych, a Mateusz zapytał:

– Czego? Mało ci?

Rozdział dwudziesty piąty

Kilka godzin później stary Krzepecki zabrał Marcjana do Belczączki, lubo ten nie mógł się jeszcze trzymać na nogach i nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Poprzednio służba wykapała go, wymyła z wielkim trudem i przebrała w świeżą bieliznę, ale właśnie po ukończeniu tych wszystkich czynności przyszło nań osłabienie tak wielkie, że kilkakrotnie zemdłał i że dzięki tylko wódkom pani Dzwonkowskiej, nalewanym na dzięgiel i na kufrze ziele, przyprowadzony był do przytomności. Pan Serafin radził położyć go do łóżka i czekać z wyjazdem tak długo, póki całkiem nie wydobrzeje, lecz rozwścieczony w sercu stary Krzepecki nie chciał się na to zgodzić, aby nie zaciągać długu wdzięczności względem człowieka, przeciw któremu zamierzał z powodu zatrzymania panny Sienińskiej prawem czynić. Kazał tedy wymościć skarbniczek sianem i ułożywszy Marcjana na kilimie jak na łożu, ruszył, wśród pogróżek na Bukojemskich i na samego gospodarza, do Belczączki. Było przy tym aż śmieszne, że mówiąc ciągle o pomście, musiał jednak przyjmować pomoc Cyprianowicza, i zapożyczać od niego szat, bielizny i siana; ale zaślepiony gniewem, wcale tego nie czuł, a panu Serafinowi było też nie do śmiechu, albowiem uczynek czterech braci wielce go skłopotał i zaniepokoił.

Tymczasem nadjechał wezwany umyślnie listem ksiądz Woynowski. Bukojemscy, wielce skonfundowani, siedzieli w oficynie, nie pokazując nosa, więc pan Cyprianowicz sam musiał opowiadać wszystko, co zaszło, a ksiądz słuchał, słuchał, od czasu do czasu uderzał się dłońmi po połach sutanny, ale nie gorszył się tak bardzo, jak pan Serafin przypuszczał.

A wreszcie rzekł:

– Jeżeli Marcjan umrze, to Bukojemskim będzie bieda, ale jeśli, jak mniemam, się wylize, w takim razie prędzej bym przypuścił, że będzie się mścił prywatnie, niż żeby miał im sprawę wytaczać.

– Czemu zaś tak? – zapytał pan Serafin.

– Bo to niemiła rzecz na śmiech się całej Rzeczypospolitej podawać. Przy tym musiałyby wyjść na jaw i jego proceder z panną Sienińską, a to też nie przyczyniłoby mu dobrej sławy. Niechwalebne on życie pędził, przeto lepiej mu nie narażać się na to, aby świadkowie coram publice musieli wyznawać wszystko, co o nim wiedzą.

– To może i słusznie – rzekł Cyprianowicz – ale przecie Bukojemskim trudno wybaczyć taką swawolę. A ksiądz machnął tylko ręką.

– Bukojemscy jak to Bukojemscy!

– Cóż? – zapytał ze zdziwieniem pan Serafin – myślałem, że jegomość bardziej się zgorszysz.

– Mój mości panie – odparł starszek – wać służywałeś wojskowo, ale nie tak długo jak ja. A jam się przez cały bieg żywota tylu żołnierskim swawolom napatrzył, że mnie już byle jaka nie zadziwi. Źle jest, że tak jest, i zganię ja ci to Bukojemskim, ale widywałem rzeczy gorsze, tym bardziej, że tu chodziło o sierotę. Ba! powiem szczerze, iż bardziej bym się gorszył, gdyby Marcjanowi uszły całkiem płazem jego uczynki. Pomyśl waśc, żeśmy starzy, ale gdybyśmy byli młodzi, toby nam też zawrzały serca. Oto, dlaczego nie mogę całkiem potępić Bukojemskich.

– Zapewne, zapewne – wszelako Marcjan może i jutra nie dożyje.

– W boskim to ręku, ale mówiłeś waćpan, że nie ranny?.

– Nie, jeno jak jeden siniec – i ciągle mdłał.

– To się i wyliże, a mdłał z fatygi. Ale trzeba pójść do Bukojemskich i rozpytać, jak co było.

I poszedł. Bracia przyjęli go z radością, albowiem mieli nadzieję, że wstawi się za nimi do pana Cyprianowicza. Poczęli się też zaraz kłócić o to, który ma zdawać relację – i przestali dopiero wówczas, gdy ksiądz przyznał pierwszeństwo Mateuszowi.

Więc ów zabrał głos i tak prawił:

– Ojcie dobrodzieju, Bóg patrzył na naszą niewinność!... Bo kiedyśmy się dowiedzieli od pani Dzwonkowskiej, że sierotka całe ciałeczko ma w sińcach, przyszedliśmy do tej tu oficyny w takiej żalości, że gdyby nie dzbaniec wina, którego gospodarz nam podesłał, chybaby nam się były serca rozpuły. To mówię jegomości – pilim i płakalim, pilim i płakalim!... A i to też mieliśmy na pamięci, że to nie byle dziewczka, ale panna z senatorskiego rodu... Dyć wiadomo, że na ten przykład: koń – im większej krwi, tym na nim skóra cieńsza. Smagnij batem zwykłego podjezdka, to ledwie poczuje, a na szlachetnym rumaku zaraz ci pręga wyskoczy... Pomyślcie tedy, ojcie dobrodzieju, jaką to musi mieć skóreczkę i na plecach, i wszędy takie paniątko? czy nie jak opłatek? – sami powiedzcie?

– A co mnie tam do jej skóry – odrzekł opryskliwie ksiądz Woynowski. —Mówcie lepiej, jakeście Marcjana przyłapali.

– Przysięgliśmy panu Cyprianowiczowi, że go nie rozsiekamy, aleśmy wiedzieli, że stary Krzepecki tu przyjedzie i wraz przyszło nam do głowy, że Marcjan wyskoczy naprzeciw. Tedy, wedle umowy, dwóch z nas przytaszczyło jeszcze do dnia wielką solówkę z dartym pierzem od jednej leśnikowej do smolarni, a dwóch wybrało na miejscu beczkę co gęstszej smoły – i czekaliśmy przy chałupie. Patrzym – jedzie stary Krzepecki, nic to! niech jedzie! Czekamy, czekamy, aż nam się przykrzy i już myślimy, czyby nie jechać do Bełczączki, a wtem pacholek od smolarza daje znać, że nadjeżdża Marcjan gościńcem. Wyjechalim i my, stanęlim w poprzek na drodze: – Czołem! – Czołem! – A dokąd to? – Przed siebie (powiada), prosto borem. – A na czyją szkodę? – Na szkodę (powiada) czy na korzyść, odczepcie się! – I do szabli. A my go za kark. O! nie może być! W mig ściągaliśmy z konia, którego Jan pochwycił, i wleczem. Począł krzyczeć, wywijać nogami, kasać, zgrzytać, a my go piorunem do beczek, które stały jedna przy drugiej, i prawim: – O! taki synu! to sieroty będziesz krzywdził, panienkom hańbą groził, na wielką krew nie zważał, na pleckach smagał i myślisz, że nikt się za nimi nie ujmie: poznaj, że są litościwe serca. I buch go łbem na dół w smołę. Wydobyli i znów: – Poznaj, że są czule dusze! —I buch go w pierze! – Poznaj kawalerską fantazję! – buch go drugi raz w smołę! – Poznaj Bukojemskich! – buch go znów w pierze! Chcielim i trzeci raz, ale smolarz począł krzyczeć, że się zatknie, a on też oblepił się godnie, tak że mu ni nosa, ni oczu nie było widać. Wtedy posadziliśmy go na terlicę i przywiązali nogi ciasno pod brzuchem, żeby nie zleciał. Konia pomalowaliśmy kwaczem i posypali też puchem, a potem dość dzikiego z przyrodzenia bachmata wysmagaliśmy batogami i zdjąwszy mu uzdę, pognali przed się.

– I przygnaliście go tu?

– Jako osobliwego zwierza, bo chcieliśmy choć trochę panienkę pocieszyć i pokazać jej nasze braterskie afekta.

– A ładnieście ją pocieszyli! Ujrzawszy go przez okno, mało ze strachu nie umarła.

– No, ale jak ochłonie, to przecie wdzięcznie o nas pomyśli. Sierocie zawsze miło czuć nad sobą opiekę.

– Więcej wyście jej złego niż dobrego uczynili. Kto wie, czy jej teraz Krzepeccy nie odbiorą.

– Jako—że? na miły Bóg! Albo to my damy!

– A kto będzie dziewczki bronił, gdy was do wieży zamkną?

Usłyszawszy to bracia stropili się wielce i poczęli spoglądać na się frasobliwymi oczyma. Wreszcie jednak Łukasz uderzył się w czoło i rzekł:

– Do wieży nie zamkną, bo pierwszej na wyprawę ruszymy, ale jeśli tak, jeśli o bezpieczeństwo panny Sienińskiej chodzi, to i na to znajdzie się rada.

– Oj, oj! – zawołał Marek.

– Jaka rada? – zapytał ksiądz.

– Poślemy parol Marcjanowi, jak tylko ozdowie. Nie wyjdzie żyw z naszych rąk!

– A jeśli zaraz umrze?

– Tedy zaradzi Bóg.

– Ale wy gardłem przyplaciecie!

– Przedtem Turków nałuszczymy, za co Pan Jezus nam nagrodzi. Niech tylko jegomość wstawi się za nami do pana Cyprianowicza, bo żeby Stach tu był, toby też kapał Marcjana razem z nami.

– A Jacek to niby nie? – zapytał Mateusz.

– Jacek sprawi mu lepszą łaźnię! – zawołał jakby mimo woli ksiądz.

– A widzi jegomość.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie pana Cyprianowicza, który widocznie przychodził z jakimś ważnym i gotowym już postanowieniem, albowiem ozwał się z wielką powagą:

– Myślałem o tym, co nam czynić należy – i wiesz jegomość, com obmyślił? Oto trzeba nam wszystkim do Krakowa wraz z panną Sienińską jechać. Nie wiem, czy tam obaczym naszych chłopaków, bo nikt nie wie, gdzie chorągwie będą i wedle jakiej dyspozycji w pole ruszą, ale trzeba dziewczynę pod opiekę króla albo królowej jejmości oddać lub gdyby się to nie udało, to choćby w jakowymś klasztorze ją na czas ubezpieczyć. Postanowiłem, jako jegomości wiadomo, zaciągnąć się na stare lata, aby razem z synem służyć albo, jeśli taka wola boska, razem i zginąć. Podczas naszej nieobecności nie byłoby dziewczynie bezpiecznie nawet i w Radomiu, pod opieką księdza Tworkowskiego... Tym ichmościom (tu wskazał na Bukojemskich) trza też prędko znaleźć się pod inkwizycją hetmańską. Tu nie wiadomo, co się stanie... Mam znajomych na dworze: pana Matczyńskiego, pana Gnińskiego, pana Grothusa – i myślę, że potrafię ich protekcją dla sieroty pozyskać, co gdy się stanie, rozpytam o chorągiew Zbierzchowskiego i prosto do syna ruszę, gdzie też i jegomościę Jacka zobaczę. Co?

– Dla Boga! – zawołał ksiądz Woynowski – to jest arcyprzednia myśl. I ja z wami! i ja z wami!... do Jacka!... A co do panny Sienińskiej —jużci! Siła Sobiescy Sienińskim powinni! Będzie jej w Krakowie bezpiecznie – i bliżej... Bo i Jacek—jestem pewien—nie zapomniał... A po wojnie, co Bóg da, to będzie... Dadzą mi tu zastępcę z Radomia do parafii – a ja z wami!...

– Wszyscy razem! – huknęli z radością Bukojemscy – do Krakowa!

– I na pole chwały! – zakończył ksiądz.

Rozdział dwudziesty szósty

Nastały narady o wyprawie, nie tylko bowiem żaden głos nie odezwał się przeciw niej, ale nawet i ksiądz Woynowski począł starać się o drugiego wikarego w Radomiu. Zresztą było to postanowienie dawniejsze, zmienione tylko o tyle, że obecnie przyłączył się do niego zamiar odwiezienia panny Sienińskiej do Krakowa i zabezpieczenia jej przed pościgiem Krzepeckich za pomocą opieki królewskiej lub klasztornej. Przewidywał pan Cyprianowicz, że królowi, zajętemu wojną, nie pora będzie mówić o sprawach prywatnych, ale pozostawała królowa, do której łatwo było znaleźć wstęp przez znajomych dygnitarzy, spokrewnionych po największej części z domami Sienińskich i Taczewskich.

Były obawy również, aby na Jedlinkę nie napadli po wyjeździe gospodarza i Bukojemskich Krzepeccy i nie zrabowali wielkich dostatków w sprzętach i srebrach, znajdujących się we dworze. Ale Wilczopolski zaręczał, że się z czeladzią i z borowymi obroni i niczego tknąć nie da. Srebra wywiózł jednakże pan Serafin do Radomia i w depozycie w klasztorze bernardynów zostawił, gdzie już i poprzednio ulokował był znaczne sumy, nie chcąc ich trzymać w domu leżącym wśród rozległej Puszczy Kozienickiej.

Tymczasem nadstawiał pilnie ucha pan Serafin na wieści z Bełżączki, dużo bowiem od nich zależało. Gdyby Marcjan umarł, spadłaby na Bukojemskich ciężka odpowiedzialność; w przeciwnym razie była nadzieja, że nawet i procesu nie będzie, trudno bowiem było przypuścić, aby Krzepeccy chcieli dobrowolnie wystawiać się na pośmiewisko. Za pewniejszą jeszcze rzecz uważał pan Cyprianowicz, że i stary Krzepecki nie zostawi go z powodu panny Sienińskiej w spokoju; myślał jednak, że gdy sierota raz znajdzie się pod opieką królewską, to tym samym zbraknie treści do sprawy.

Wiedzieli tedy przez piwniczego, że Krzepecki ojciec jeździł do Radomia i do Lublina, ale jakoś krótko tam bawił.

Co do Marcjana, przez pierwszy tydzień po wypadku chorzał ciężko i była obawa, że smoła, której napił się obficie, zadławi go albo całkiem pozatyka mu wnętrzności. Lecz w drugim tygodniu uczyniło mu się lepiej. Nie opuszczał wprawdzie łoża, albowiem nie mógł trzymać się na nogach, kości bolały go okrutnie i czuł się in summo grado fatigatus, ale począł już zionąć przekleństwa na Bukojemskich i rozkoszować się myślą o pomście. Jakoż po upływie dwóch niedziel poczęła się zjeżdżać do niego jego „radomska kompania”: rozmaici obwiesie z szablami na konopnych rapciach, w dziurawych butach i z zapadłymi brzuchami, wiecznie głodni i spragnieni. A on uradzał z nimi i coś knował, nie tylko przeciw Bukojemskim i panu Cyprianowiczowi, ale także przeciw panie Sienińskiej, o której bez zgrzytania nie wspominał i takie potwarze na nią wymyślał, że aż ojciec musiał go przestrzegać, iż to już kryminałem pachnie.

Echa tych knowań i gróźb dochodziły do Jedlinki i rozmaite na różne osoby czyniły wrażenie. Pan Serafin, człowiek odważny, ale i rozważny, trochę się nimi niepokoił, zwłaszcza gdy przychodziło mu na myśl, że ta nieprzyjaźń ludzi złych i niebezpiecznych spadnie także i na jego syna. Ksiądz Woynowski, który miał gorętszą krew w żyłach, oburzał się wielce i prorokował, że

Krzepeccy źle skończą, a zarazem, lubo już całkiem przejednany dla panienki, zwracał się jednakże od czasu do czasu to do pana Cyprianowicza, to do Bukojemskich i mówił:

– Kto wznicił wojnę trojańską? mulier! Kto zawdy przyczyną bitew i kłótni? mulier! I tym razem tak jest! Winna czy niewinna, ale mulier!

Lecz Bukojemscy lekce sobie ważyli niebezpieczeństwo grożące wszystkim od strony Marcjana, a nawet różne sobie obiecywali z tej przyczyny uciechy. Ostrzegano ich jednak z wielu stron bardzo poważnie. Panowie Sulgostowscy, panowie Silniccy, Kochanowscy i inni, wszyscy wielce oburzeni przeciw Marcjanowi, przyjeżdżali kolejno do Jedlinki z wiadomościami, że ów kupę zbiera i pono osaczników z puszczy nawet zaciąga. Ofiarowali też pomoc, ale bracia nie chcieli pomocy i Łukasz, który najczęściej w imieniu wszystkich przemawiał, tak raz odpowiedział Rafałowi Silnickiemu, który zaklinał ich, by się mieli na baczności:

– Oj jej! Nie zawadzi przed wojną przypomnieć sobie proceder i ręce, które nam już porzewiały trochę, rozprostować i wprawić. Belczączka nie żadna forteca, przeto niech Marcjan o własnym bezpieczeństwie myśli, bo któż wie, co go może jeszcze spotkać, a jeśli nas chce niewdzięcznością nakarmić, to owszem! niech spróbuje!

Spojrzał na to z pewnym zdziwieniem po braciach pan Silnicki i odrzekł:

– Niewdzięcznością nakarmić? No! jużci wdzięczności on chyba waćpanom nie winien. Lecz Łukasz oburzył się szczerze:

– Jak to nie winien? Zali to nie mogliśmy go rozsiekać? Któż go urodził? Raz pani Krzepecka, a drugi raz nasza dyskrecja, ale jeśli ciągle będzie na nią liczył, to powiedz mu waćpan, że się pomyli.

– I dołóż, że tyle pannę Sienińską zobaczy, ile własne uszy – dodał Marek.

A Jan zakończył:

– Dlaczego nie? Nietrudno obcięte uszy obaczyć.

I na tym skończyła się rozmowa. Bracia powtórzyli ją panie Sienińskiej, aby ją uspokoić; co jednakże było zbyteczne, albowiem panienka nie była z natury bojaźliwa, a przy tym, o ile bała się Krzepeckich, a w szczególności Marcjana, w Belczączce, o tyle była przekonana, że w Jedlinie nic jej już nie grozi. Ujrzawszy przez okno na drugi dzień po przybyciu do Jedlinki Marcjana w pierzu, w postaci jakby jakiegoś szkaradnego zwierza gnanego batami przez Bukojemskich, po pierwszych chwilach okrutnego przerażenia, pomieszanego ze zdumieniem, a nawet litością, nabrała takiej ufności w potęgę i moc braci, że nie umiała sobie nawet wyobrazić, jak ktokolwiek mógł ich się nie bać. Marcjan uchodził przecie za człowieka groźnego i za zabijakę, a oto, co oni z nim zrobili. Wprawdzie poszczerbił ich wszystkich w swoim czasie Jacek – ale Jacek przerastał całkiem teraz w jej oczach zwykłych ludzi i w ogóle pokazał się jej przed ostatnią rozłąką ze strony tak nieznannej, że wcale nie wiedziała, jaką go mierzyć miarą. Wzmianki, jakie czynili o nim sami Bukojemscy i pan Cyprianowicz, wraz ze słowami księdza, który najczęściej o nim wspominał, utwierdziły w niej tylko podziw dla tego przyjaciela lat dziecińczych, który niegdyś był jej tak bliskim, a teraz stał się tak dalekim i odmiennym. Utwierdziły one w niej i tęsknotę za nim, i to słodsze jeszcze uczucie, z którego raz wypowiedawszy się w chwili uniesienia księdzu Woynowskiemu, zamknęła się znów w głębi serca, jak bywa zamknięta perła w muszli.

Miała przy tym jakąś niezachwianą niczym pewność w duszy, że musi się z nim spotkać i że go nawet wkrótce zobaczy. Że zaś wyrwała się z domu Krzepeckich, że czuła nad sobą potężną opiekę ludzi życzliwych, więc ta pewność stała się otuchą i radością jej życia. Wróciło jej zdrowie, wróciła wesołość – i zakwitła znów jak kwiat na wiosnę. Stało się od niej jaśniej w całym tak dotychczas poważnym dworze jedlińskim. Pozbađła zupełnie panią Dzwonkowską, pana Cyprianowicza i Bukojemskich. Było jej wszędzie pełno, a gdzie pokazał się jej zadarty

nosek i zaświeciły jej młode, wesole oczy, tam radość i uśmiechy pojawiały się na wszystkich twarzach. Bała się tylko trochę księdza Woynowskiego, albowiem zdawało się jej, że on trzyma w ręku losy i jej, i Jacka. Patrzyła też na niego jakby z pewną pokorą, ale i on, mając serce litościwe i w ogóle jak wosk dla wszelkiego bożego stworzenia miękkie, polubił ją szczerze, a co więcej, poznawszy ją bliżej, choć czasem przezywał ją kraską i wiewiórką, że to, jak mówił: „tu jest, tu jej nie ma” – coraz więcej cenił jej czystą duszę.

Po owym pierwszym wyznaniu nie mówili jednak, jakby na skutek jakowejś wspólnej umowy, o Jacku. Oboje czuli, że to zbyt „delikatna materia”. Pan Serafin nie mówił o nim z nią także nigdy przy ludziach, natomiast we cztery oczy wcale się nie krępował i gdy pewnego razu zapytała go, czy zaraz w Krakowie spotka się z synem, odpowiedział również pytaniem:

– A czy waćpanna nie życzyłabyś też sobie z kimś się tam spotkać? I myślał, że wykręci się żartem, lecz na jej jasnej twarzy ukazał się cień smutku i odrzekła poważnie:

– Komum uczyniła krzywdę, tego bym rada przeprosić jak najrychlej...

Więc popatrzył na nią z pewnym wzruszeniem, ale po chwili inna widać myśl przyszła mu do głowy, bo pogładził ją po różanym policzku i rzekł:

– Ej! masz ty czym nagrodzić, że i sam król lepiej nie potrafi, no!

A ona usłyszawszy to, spuściła oczy i stała przed nim cudna i rumiana jak zorza ranna.

Rozdział dwudziesty siódmy

Przygotowania do wyprawy szły szparko. Czeladź wybrano starannie, ludzi silnych, zdrowych i trzeźwych. Broń, konie, wozy i bryki były gotowe. Nie przepomniano, ówczesnym zwyczajem, nawet i o chartach, które w czasie pochodu szły pod wozami, a którymi na postojach szczwano liszki i zające. Wielość przygotowań i zapasów dziwiła pannę Sienińską, która nie spodziewała się, że wyprawa wojenna tylu wymaga zachodów – i przypuszczając, że wszystko to czyni się może dla jej bezpieczeństwa, poczęła rozpytywać o te rzeczy pana Serafina.

On zaś, jako człowiek roztropny i doświadczony, tak na jej pytania odpowiedział:

– Pewnie, że i osobę twoją mamy na względzie, gdyż tak myślę, że ze strony Marcjana nie obejdzie się bez jakowegoś gwałtu. Słyszałaś, że zabijaków zbiera, zmawia się z nimi i pije. Jużci hańba byłaby to dla nas, gdybyśmy pozwolili, aby cię nam z rąk wydarł. Co będzie, to będzie, ale choćbyśmy mieli jeden na drugim paść, musimy odwieźć cię przezpiecznie do Krakowa.

Na to panna pocałowała go w rękę, mówiąc, że niewarta jest, by dla niej zdrowie narażali, a on machnął tylko ręką:

– Już byśmy też nie śmieli oczu ludziom pokazać – rzekł – a przy tym tak się składa, że jedno da się doskonale z drugim pogodzić, bo na wojenną wyprawę nie dość jest iść, ale trzeba ją i roztropnie przygotować. Ty się dziwujesz, że na każdego z nas po trzy i cztery konie wraz z czeladzią wypada, ale to wiedz, że koń na wojnie grunt. Wiele ich pada przez same pochody, przez przeprawy po rzekach i błotach albo z różnych przygód obozowych. A potem co? Kupisz w prędkości innego konia, który ma rozmaite vitia i narowy, i ten cię w nacięższej chwili zawiedzie. Dlatego, chociaż sowite poczy, a w nich zacne konie powiedli ze sobą i mój syn, i Jacek Taczewski, jednakże na wszelki wypadek pomyśleliśmy, żeby jeszcze po jednym rumaku dla każdego z nich przyprowadzić; a ksiądz Woynowski, nad którego nie masz większego znawcy, kupił za tanie pieniądze u starego pana Podlodowskiego takiego turka dla Jacka, że i hetman nie powstydziliby się na nim pokazać.

– Któżże jest przeznaczon dla syna waszmości? – zapytała panna. Pan Cyprianowicz popatrzył na nią, ruszył głową, uśmiechnął się i rzekł:

—Wszelako ksiądz Woynowski ma rację w tym, co o niewiastach mówi. Choćby to lichy było najpoczciwsze, to i takie będzie chytre. Pytasz, któren koń jest dla mego syna? Tedy ci odpowiem tak: dla Jacka jest ten cisawy ze strzałką na czole i białą zadnią lewą pęcina.

– Waćpan mi dokuczasz! – zawołała panienka.

I prychnąwszy na niego jak kotka, zakreśliła się na miejscu i znikła. Lecz tego samego dnia poginęły ośrodki z bułek i sól z solniczek, a na drugi dzień zobaczył pan Łukasz Bukojemski rzecz wielce ciekawą: oto przy studni na podwórzu cisawy rumak trzymał nozdrza ukryte w białych rączkach panny Sienińskiej, a gdy następnie odprowadzano go do stajni, oglądał się za nią raz po raz, wyrażając krótkim urywanym rzeniem swoją tęsknotę. Pan Łukasz nie mógł wówczas zapytać o przyczynę tej „konfidencji”, gdyż wielce był ładowaniem wozu zajęty, więc dopiero po południu zbliżył się do dziewczyny z oczyma pełnymi zachwyty i rzekł:

– Czyś waćpanna zauważyła jedną rzecz?

– Jaka? – spytała panienka.

– Że nawet i bydlę pozna się na tym, co jest prawdziwy specjał... A ona zapomniawszy, że ją rano widział, i widząc ów zachwyty w jego oczach, podniosła ze zdumieniem swe śliczne brwi i spytała:

– Kogo waćpan ma na myśli?

– Kogo? – powtórzył Bukojemski. – Jackowego konia.

– Ach, konia!...

To rzekłszy parsknęła śmiechem i uciekła z ganku do pokoju, on zaś został, zdziwiony i trochę zmieszany, nie rozumiejąc, dlaczego uciekła i skąd jej się wzięła tak nagle wesołość.

Upłynął jeszcze tydzień – i przygotowania dobiegły końca, ale panu Cyprianowiczowi jakoś niepilno było w drogę. Odkładał z dnia na dzień, poprawiał rozmaite drobiazgi, narzekał na upały, a w końcu stał się całkiem frasobliwy. Panienka tęskniła do wyjazdu. Bukojemscy poczęli się całkiem niecierpliwić, a wreszcie i ksiądz Woynowski uznał, że dalsza zwłoka byłaby tylko próżną stratą czasu.

Lecz pan Serafin tak im na ich przynaglania odpowiedział:

—Mam wiadomość, iż króla jegomości nie masz jeszcze w Krakowie i nie zaraz tam będzie; tymczasem wojska tam mają ściągnąć, ale nie wszystkie i nie wiadomo kiedy. Przykazałem Stanisławowi, aby co miesiąc przysłał mi pachołka z listem i z dokładnym wskazaniem, gdzie chorągiew stoi, którędy pójdzie i pod czyją komendą. Owóz upłynęło już siedem niedziel bez nijakiej wieści. Listu spodziewam się lada dzień i dlatego zwłoczę, a powiem waćpaństwu, że i trochę się niepokoję. Bo nie wyobrażajcie sobie, abyśmy ich koniecznie mieli zastać w Krakowie. Ba! może się zdarzyć, że ich tam wcale nie będzie.

– Jak to? – spytała z niepokojem panna Sienińska.

– Tak, że chorągwie wcale niekoniecznie potrzebują przez Kraków przechodzić. Gdzie która stoi, stamtąd może iść prosto, jako sierpem rzucił, a gdzie znajduje się teraz pan Zbierzchowski – nie wiem. Nuż go wysłano gdzieś nad śląską granicę albo do wojsk hetmana wielkiego, które od strony Rusi ciągną. Często tak bywa, że przed wojną przerzucają chorągwie z jednego miejsca w drugie, choćby dlatego, by je do pochodów wdrożyć. W ciągu siedmiu niedziel rozmaite mogły przyjść rozkazy, o których powinien mnie być Stanisław zawiadomić, a że nie zawiadomił, przeto się i troskam, bo i to też wiadomo, że w obozach częste bywają zwady i pojedynki. Nuż się co stało! Ale choćby i nie, trzeba nam przecie wiedzieć, gdzie jest chorągiew i skąd wyruszy.

Zasmucili się tymi słowy wszyscy, lecz ks. Woynowski rzekł:

—Chorągiew przecie nie śpilka ani też nie guzik, który jeśli się od kapoty oberwie a w trawę wpadnie, to go i odnaleźć trudno. Już się też waszmość nie troszcz! W Krakowie prędzej się o niej dowiemy niż w Jedlinie.

– Ale się mozem z listem zminąć.

– To ostawić Wilczopolskiemu rozkaz, by list za nami posłał. Ot, co jest! a przez ten czas w Krakowie obmyślemy przezpieczne schronienie dla panny Sienińskiej i gdy przyjdzie ruszyć, będziemy już mieli wolną głowę.

– Racja! Racja!

– Tedy tak radzę. Jeśli do jutra nic nie będzie, to wieczorem ruszymy chłodkiem do Radomia, a potem dalej na Kielce, Jędrzejów i Miechów.

– A może by do Radomia pojutrze świtaniem, żeby zaś przez lasy nocą nie przejeżdżać i zasadzki ze strony Krzepeckich uniknąć.

– O nie wadzi nic! Lepiej chłodkiem! – zawołał Mateusz Bukojemski. —Jeżeli mają napaść, to tak samo napadną w dzień jak i w nocy, a noce teraz widne.

To rzekłszy począł zacierać z zadowoleniem dłonie, a trzech pozostali bracia poszli zaraz za jego przykładem.

Lecz ksiądz Woynowski innego był zdania. Wątpił on bardzo, aby Krzepeccy odważyli się na publiczną napaść. „Marcjan – może, ale stary Krzepecki zbyt jest na to mądry i nadto dobrze wie, czym taka sprawa pachnie i jak już niejedyn gwałtownik przypłacił raptus puellae. Wreszcie wobec ich siły i Marcjan nie mógłby liczyć na zwycięstwo, a natomiast mógłby w każdym razie liczyć na pomstę ze strony Jacka i Stanisława.”

Bukojemskim bardzo popsuły radość słowa księdza, ale pocieszył ich Wilczopolski, który począł zaprzeczać, trząść głową, stukać swoją drewnianą nogą w podłogę, a wreszcie rzekł:

– Choćby do Radomia, ba, do Kielc i do Miechowa nie spotkała waszmościów żadna przygoda, radzę aż do samych bram krakowskich żadnej ostrożności nie poniechać, bo bory wszędy po drodze są, a ja, jako najlepiej młodego Krzepeckiego znający, zupełnie jestem pewien, że ten diabeł coś obmyśli.

Rozdział dwudziesty ósmy

Nadszedł wreszcie dzień odjazdu. Orszak wyruszył z Jedlinki świtaniem, o cudnej pogodzie, w okazałej liczbie ludzi i koni. Prócz kolaski obitej blachą i skórą, przeznaczoną dla panny Sienińskiej z panią Dzwonkowską i dla księdza Woynowskiego na wypadek, gdyby dawny postrzał zbyt mu na koniu dokuczał, szło trzy bryki mocno ładowne, zaprzężone w cztery konie; przy każdej, licząc z woźnicą, trzech czeladzi. Za panem Serafinem Cyprianowiczem sześciu konnych pachołków, przybranych w turkusową barwę, powodowało konie zapaśne. Ksiądz miał dwóch, panowie Jelo—Bukojemscy po dwóch, prócz jednego leśnika, który pilnował wózka z łubami, razem więc trzydziestu czterech ludzi dobrze zbrojnych w szable i bandolety ruszyło w daleką drogę. Wprawdzie w razie jakowegoś napadu kilkunastu spomiędzy nich nie mogłoby wziąć udziału w obronie, albowiem musieliby pilnować wozów i koni, ale i tak panowie Bukojemscy byli przekonani, że w takiej liczbie mogliby świat przejechać i że niezdrowo byłoby ich zaczepić choćby trzykroć i czterekroć liczniejszej kupie. Serca ich rozpieęła radość tak wielka, że ledwie mogli usiedzieć na koniach. Czynili oni swego czasu mężnie przeciw Tatarom i Kozakom, ale były to lada jakie wojny, potem zaś, gdy osiedli w puszczy, młodość schodziła im jeno na lustracjach ostępów, na niedbałym pilnowaniu borowych, na biciu niedźwiedzi, których obowiązani byli strzec dla króla, i na pijaństwie w Kozienicach, w Radomiu i w Przytyku. I teraz dopiero, gdy jeden drugiego trącał strzemieniem, gdy szli na wielką wojnę z całą niezmierną potęgą turecką, czuli, że to właśnie jest ich prawdziwe przeznaczenie, że dawne życie było marne i liche, a ninie zaczyna się prawdziwe i cne, i iście takie, do jakiego Bóg Ojciec szlachcica polskiego stworzył. Syn Boży odkupił, a Duch Święty oświecił. Nie umieli tego sobie jasno pomyśleć ani wyrazić słowy, albowiem w tym nie byli nigdy zbyt mocni, ale chciało im się aż krzyknąć z radości. Pochód wydawał im się zbyt wolny. Ot! wypuścić by im konie wichrem i lecieć ku temu wielkiemu przeznaczeniu, ku wielkiej bitwie Polaków z pogany, ku tryumfowi przez polskie ręce krzyża nad półksiężycem, ku chwalebnej śmierci, ku wiekopomnej sławie. Czuli się jacyś wyżsi, czystszy, zacniejsi i jeszcze bardziej w swym szlacheństwie uszlachceni. O Marcjanie Krzepeckim i o jego hultajskiej kompanii, o zawadach i przeszkodach na drodze prawie że nie myśleli. Wydawało im się to jakieś maluchne, marne i niewarte uwagi. A toć, gdyby im całe zastępy stanęły na drodze, przeszliby po nich jak burza, przejechaliby im jakby mimochodem po brzuchach i poszli dalej. Rozbudziły się w nich przyrodzone lwie żądze i bojowa rycerska krew poczęła w nich grać z taką siłą, że gdyby kazano im skoczyć we czterech na całą gwardię sułtańską, nie zawahaliby się ani chwili.

A podobne i w dodatku jeszcze osnute na dawnych wspomnieniach uczucia napełniały serca i pana Serafina, i księdza Woynowskiego. Ksiądz kwiat życia spędził w polu z szablą albo kopią w ręku. Pamiętał całe szeregi klęsk i zwycięstw. Pamiętał straszliwą rebelię Chmielnickiego, Żółte Wody, Korsuń, Piławce, przesławny Zbaraż i olbrzymią bitwę berestecką. Pamiętał najście szwedzkie z nieskończoną ilością walk i napad Rakoczego. Był w Danii, gdy zwycięski naród, nie kontentując się pogromem i wygnaniem Szwedów z ojczyzny, posłał za nimi niezwyciężone pułki Czarnieckiego aż hen, nad dalekie morza; brał udział w rozgromię Chowańskiego i

Dołgorukiego, znał największych mężów i największych rycerzy, był uczniem nieśmiertelnego Wołodyjowskiego, kochał się w bitwach, rzeziach, szturmach i przelewach krwi, ale wszystko to póty trwało, póki nie złamała na duszy prywatna niedola i póki nie został księdzem. Od tego czasu zmienił się do gruntu i gdy zwracając się sprzed ołtarza do ludu, mówił: „Pokój z wami!” to mniemał, że wypowiada największe Chrystusowe przykazanie i że wszelka wojna, jako temu przykazaniu przeciwna, jest jednak „dyzgustem” Bogu i grzechem przeciw miłosierdziu, i zakałą dla ludów chrześcijańskich. Dla jednej wszelako czynił wyjątek: dla wojny z Turczyńcem. „Bóg posadził na koniu naród polski – mawiał – i zwróciwszy go piersią ku wschodowi, tym samym mu jego przeznaczenie i swoją wolę oznajmił. Wiedział, dlaczego nas wybrał, a innych za plecami naszymi umieścił, przeto jeśli chcemy naszą misję jak również jego rozkaz godnie spełnić, to wiecznie nam tam sterczeć skałą ku temu morzu i plugawe jego fale piersią rozbijać.” Sądził też ksiądz Woynowski, że Bóg umyślnie posadził na tronie takiego króla, którego już jako hetman tyle krwi pogańskiej wytoczył, aby przez jego ręce ostateczny cios tej strasznej potędze zadać i raz na zawsze zgubę od chrześcijańskiego świata odwrócić. Zdawało mu się, że właśnie teraz wielka godzina przeznaczeń i spełnienia woli bożej nadeszła, więc patrzył na tę wojnę jak na świętą wyprawę krzyżową i radował się myślą, że wiek, trudy i rany nie tak jeszcze zupełnie przycisnęły go do ziemi, aby nie mógł w niej wziąć udziału.

Potrafi jeszcze chorągwie oganiać, potrafi jeszcze, dawny żołnierz na Chrystusowym ordynansie, wspiąć konia i skoczyć z krzyżem w rękę w największą gęstwę bitwy, z tą pewnością w sercu, że w ślad za nim i za krzyżem tysiąc kopii wrazi się w ciała pogan lub tysiąc szabel zazgrzyta na ich czerepach. Wreszcie poczęły mu nadlatywać do głowy i bardziej osobiste, zgodne z dawną naturą myśli. Krzyż przecie można trzymać w lewej ręce, a w prawej szablę. Nie podniósłby jej już, jako kapłan, przeciw żadnemu narodowi chrześcijańskiemu, ale przeciw Turkom! godzi się! godzi!... Otóż dopiero pokaże młodym, jako się gasi pogańskie świece, jako się goli, jako się kosi, jacy to byli dawniej żołnierze. Ba! podziwiano go tam niegdyś na niejednym polu, może się teraz i sam jegomość król zadziwi! I ta myśl tak wielką przejęła go uciechą, że począł się mylić w różańcu:

„Zdrowaś Maria... bij! morduj!... Łaskiś pełna – w nich!... Pan z Tobą —rznij!” Aż się wreszcie opamiętał: „Tfy! do licha! sława dym... Czy mnie ta giez ukąsił? Non nobis! non nobis, sed nomini tuo...” I jął uważniej przesuwając paciorki.

Pan Serafin odmawiał także poranne pacierze, ale od czasu do czasu spoglądał wesołymi oczyma to na księdza, to na panienkę, to na panów Bukojemskich, którzy obok niej toczyli końmi, to na drzewa i polanki leśne skąpane w rosie. Wreszcie, gdy skończył ostatnią zdrowaśkę, zwrócił się do staruszka i odetchnąwszy głęboko, rzekł:

– Jegomość wydajesz się mi jakoś dobrej myśli?

– I waszmość także – odrzekł ksiądz.

– Bo pewnie. Póki człek nie wyruszy, to się krząta, zabiega i troska; dopiero gdy go wiatr w polu obwieje, zaraz mu lekko na sercu. Pamiętam, że jakieśmy dziesięć lat temu szli pod Chocim, to taka jakaś dziwna ochota była we wszystkich ludziach, że choć to działo się w listopadzie i w srogie niepogody, niejedni i opończę z siebie zrzucił z przyczyny tej gorącości, która mu szła od serca. No – i Bóg, który dał wówczas tak wielką Wiktorię, dają chyba i teraz, bo przecie wódz ten sam, a wigor i męstwo nie mniejsze.

Chwałą, wiem ci ja, ludzie to szwedzkie wojska, to francuskie, ba, nawet i Niemców, ale przeciw Turkom nie masz nad naszego żołnierza!

– Słyszałem, jak król jegomość raz to samo mówił – odpowiedział ksiądz. – „Niemcy (mówił) cierpliwie w ogniu stoją, ale atakując mrużą oczy, a moich (powiada) byłem nos w nos doprowadził, to już jestem spokojny, bo mi tak wygoła, jak żadna jazda nie wygoli.” I prawda.

Hojnie nas Pan Jezus co do tego obdarzył, a nawet nie tylko szlachtę, ale i chłopów. A na przykład nasze łańcowe piechoty? Jak spluną w garści, a pójdą z muszkietami naprzód, to im i najteższe janczary nie dostoją. Widzieliśmy to obaj nieraz.

– Byle Bóg Stacha i Jacka w zdrowiu zachował, to rad jestem, że w pierwszym polu przeciw Turkom będą czynili. Ale jak też jegomość miarkujesz, przeciw komu Turczyn największą potęgę obróci?

– Wedle mego mniemania przeciw cesarzowi, bo z nim już wojuje wspierając rebelizantów węgierskich, ale Turczyna stać na dwie i trzy armie i dlatego nie wiadomo, gdzie się nam z nim ostatecznie spotkać przyjdzie.

– Z tego też zapewne powodu nie masz u nas dotychczas generalnego obozu, a chorągwie, stosownie do wieści, jakie nadchodzą, ciągle przenoszą się z jednego miejsca na drugie. Stoją pułki z panem Jabłonowskim pod Trembowlą; inne ciągną ku Krakowu, inne jak któremu wypadnie. Nie wiem, gdzie jest w tej chwili wojewoda wołyński i gdzie chorągiew Zbierchowskiego. Czasem myślę, że Stach dlatego tak dawno nie pisał, że może pułk zbliża się w te strony.

– Jeśli ma rozkaz pójść ku Krakowowi, to pewnie, że niedaleko musi przeciągać: zależy gdzie przedtem stał i skąd wyruszy. Może w Radomiu zasięgniemy jakich wieści. Wszakże w Radomiu pierwszy nocleg?

– Tak jest. Chciałbym też, by prałat Tworkowski dziewczynę zobaczył i ostatecznej rady udzielił. Ma nam dać listy w jej sprawie do Krakowa.

Rozmowa urwała się na chwilę, po czym pan Cyprianowicz podniósł znów oczy na księdza Woynowskiego i zapytał:

– A co też jegomość myślisz, co będzie, jeśli się oni z Jackiem w Krakowie spotkają?

– Nie wiem: spotkają się albo i nie spotkają... Będzie, jak Bóg zechce. Jacek mógłby tam z czasem przez małżeństwo fortunę rodową restaurować, a ona goła jak święta turecka... Bogactwo samo w sobie furda, jeno że o splendor rodu chodzi...

– Ale i ona familiantka. I nie mówiąc już o tym, że dziewczka jak złoto, to przecie wiadoma rzecz, że oni się na umor kochają.

– O! zaraz na umor!...

I widocznie niezbyt chętnie mówił o tej materii, bo począł o czym innym:

– Ot – rzekł – lepiej pamiętajmy o tym, że na to złoto czyha rabuś. Pamiętasz waszmość, co mówił Wilczpolski?

Pan Serafin rozejrzył się na wszystkie strony po głębiach leśnych i rzekł:

– Nie ośmiela się Krzepeccy, nie ośmiela! Kupa nas grzeczna – i patrz jegomość, jak naokół wszystko spokojnie. Chciałem, by dziewczyna siadła dla bezpieczeństwa do kolaski, ale się wypraszała... Nic się nie boi...

– No! krew bo w niej dobra – mruknął ksiądz. – Ale też uważam, że waćpana to już ona całkiem pozbadła.

– E! trochę i jegomości – odparł Cyprianowicz – ale co do mnie, to po prostu przyznaję. Jak zacnie o co prosić, to tak jakoś osobliwie umie ślepkami mrugać, że ani rusz odmówić. Różne sposoby mają niewiasty, a czyś jegomość zauważył, że ona ma właśnie to mruganie, przy którym ręce składa? W pobliżu Bełczączki każe jej wleźć do kolaski, ale tymczasem chciało jej się koniecznie jechać na podjezdku, że to (powiada) zdrowiej.

– I na taki czas pewnie, że zdrowiej.

– Patrz; jegomość, jaka to już różowa – jak wilcze łyko.

– A co mnie po jej różowości?! – rzekł ksiądz – ale że dzionek piękny, to prawda.

Jakoż pogoda była istotnie cudna, a ranek świeży, rosisty. Pojedyncze krople na igłach sosen błyszcząły tęczą jak diamenty. Wnętrze lasu było jasne od leszczyny przetykanej promieniami rannego słońca. W głębinach gwizdały wesoło wiwilgi. Naokół pachniało igliwem – i cała ziemia zdawała się radować słońcu i powietrznemu błękitowi bez chmurki.

Tak posuwając się naprzód, dotarli nareszcie do owej smołami, przy której Bukojemscy pojмали niedawno Marcjana Krzepeckiego. Obawy jednakże, że w tym miejscu będzie urządzona jakaś zasadzka, okazały się płonne. Wedle studni stało tylko dwa wózki chłopskie ładowne smołą i zaprzężone w liche konięta ze łbami poukrywanyymi w torbach z obrokiem.

Woźnice stali obok koni, pożywiając się chlebem i serem, ale na widok okazałego orszaku pochowali czym prędzej żywność i pozdejmowawszy czapki przypatrywali się z ciekawością przejeżdżnym. Na pytanie, czy nie widzieli zbrojnych ludzi, odrzekli, że od rana czekał tu jakiś jeździec, który przed chwilą, ujrawszy z dala orszak, puścił się co koń wyskoczy w przeciwną stronę. Wiadomość ta zaniepokoiła pana Serafina, sądził bowiem, że był to człowiek wysłany na zwiady przez Krzepeckich. Więc, jako dowódca, podwoił baczność. Dwom pachółkom kazał zjechać na boki, aby zbadać bór ciągnący się po obu stronach gościńca, dwóch wysłał naprzód z rozkazem, aby jeśli dostrzegą jakąś kupę zbrojną, dali ognia z bandoletów i wracali co najspieszniej ku wozom. Uplęnęła jednak godzina bez żadnego alarmu. Orszak posuwał się wolno naprzód, pilnie spoglądając przed się, za się i na boki, ale w boru było cicho. Fiukały tylko wciąż wiwilgi, a tu i owdzie odzywało się pukanie pracowitych kowalików leśnych, dzieciółów. Wysunęli się wreszcie na obszerną polanę, przed którą pan Cyprianowicz i ksiądz kazali koniecznie panience zleść z podjezdka i wsiąść do kolaski, albowiem mieli przejeżdżać teraz niedaleko Belczączki, której drzewa, a nawet i ukryty między nimi dwór można było dojrzeć gołym okiem. Panna Sienińska spoglądała ze wzruszeniem na ów dom, w którym upłynęło tyle lepszych i gorszych lat jej życia. Chciało jej się też popatrzeć przede wszystkim na Wyrąbki, ale zasłaniały je lipy belczączkie, tak że z powozu nie można było nic zobaczyć. Przyszło jej jednakże na myśl, że może tych miejsc nigdy w życiu już nie zobaczy, więc westchnęła cicho i posmutniała.

Panowie Bukojemscy poczęli spoglądać bystro i wyzywająco na dwór, na wieś i na okolicę – ale wszędy panował spokój największy. Po przestronnych, zatopionych w świetle słonecznym ugorach pasły się owce i krowy pilnowane przez kupki dzieci i psy; gdzieś tam bielały stadka gęsi, które gdyby nie upał letni, można było z dala poczytać za szmaty śniegu leżące na pochyłościach; zresztą okolica wydawała się nawet pusta. Pan Cyprianowicz, któremu nie brakło kawalerskiej fantazji, chcąc pokazać Krzepeckim, jak mało sobie z nich robi, nakazał umyślnie w tym miejscu pierwszy postój, aby „dać oddech” koniom. Stał więc orszak wśród przyginanych wiatrem, szeleszczących lekko łańców żyta i wśród ciszy polnej, maconej tylko parsaniem koni.

– Zdrow! zdrow! – odpowiadali im czeladnicy.

Jednakże najmłodszy z braci Bukojemskich, Jan, któremu wcale nie w smak był ten spokój, zwrócił się w stronę dworu i począł, wymachując ręką, wołać nieobecnych Krzepeckich.

– A pójdźcie tu ino, tacy synowie! pokaż no ino Pniaku, swoją psią mordę, wnet ci tu ją szablami okrzyszem!

Po czym pochylił się do kolaski:

– Widzisz, waćpanna – rzekł – nieśpieszno było na nas napadać ni Marcjanowi ze swoją kompanią, ni osacznikom w puszczy.

– To i osacznicy napadają? – zapytała panienka.

—Oj! oj! ale nie na nas. Małoż to ich w Kozienickiej Puszczy i w lasach ku Krakowu. Żeby tak król jegomość darowanie win ogłosił, starczyłoby samych tutejszych na dwa grzeczne regimenty piechoty.

– Wolałabym spotkać osaczników niż tę kompanię pana Marcjana Krzepeckiego, o której tyle razy w Bełczączce straszne rzeczy ludzie rozpowiadali. Nie słyszałam, żeby osacznicy napadli kiedy na jaki dwór.

– Bo zbój ma ten sam rozum co wilk. Uważ waćpanna, że wilk nigdy nie zarżnie owcy albo bydłęcia w tej wsi, w której ma gniazdo.

– A jakże! dobrze mówi! – zawołali inni bracia.

Jan zaś, rad z pochwały, tłumaczył dalej:

– Zbój też nigdy nie napada na wsie i dwory w tej puszczy, w której żywie, a to z tej przyczyny, że gdyby się miejscowi ludzie na niego zawzięli, to – jako świadomi borów i wszelkich w nich kryjówek – łatwiej by go wytropili. Przeto osacznicy albo w dalsze strony wyprawy czynią, albo też na przejezdnych następują, nie zważając, czy większa, czy mniejsza kupa idzie.

– Nie boją się?

– Boga się nie boją, —a mieliby się ludzi bać?

Lecz panna Sienińska myślała już o czym innym, więc gdy pan Serafin zbliżył się do kolaski, zaczęła mrugać po swojemu i prosić:

– A po co ja w kolasce, skoro żadna napaść nie grozi? Możli na podjezdka? można mi?

– A po co? – odpowiedział pan Serafin – słonko wysoko i opaliłoby liczko waćpanny. Nuż by kto z tego był nierad?

Usłyszawszy to panienska cofnęła się nagłym ruchem w głąb kolaski, a pan Cyprianowicz zwrócił się do braci:

– Czy nieprawda?

Lecz oni, nie mając nad miarę bystrych umysłów, nie zrozumieli, o co chodzi, i poczęli pytać:

– Kto? kto?

Więc pan Cyprianowicz wzruszył ramionami i rzekł:

– Ksiądz biskup krakowski, cesarz niemiecki i król francuski.

Po czym dał znak i kawalkada ruszyła dalej.

Minęli Bełczączkę i jechali znów wśród pól uprawnych, ugorów, łąk i rozległych powietrznych przestrzeni obramowanych na widnokręgu siną wstęgą lasu. W Jedlni zatrzymali się na drugi postój, w czasie którego piwowarowie miejscowi oraz mieszczanie i chłopci żegnali się z księdzem Woynowskim – i przed wieczorem stanęli na pierwszy nocleg w Radomiu.

Marcjan Krzepecki nie dał najmniejszego znaku życia. Dowiedzieli się, że poprzedniego dnia był w Radomiu i pił z kompanią, ale na noc wrócił do domu; więc ksiądz i pan Cyprianowicz odetchnęli swobodniej, sądząc, że żadne już niebezpieczeństwo nie zagraża im po drodze.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Prałat Tworkowski zaopatrzył ich w listy do księdza Hackiego, do podkanclerza Gnińskiego, o którym wiedział, że całą chorągiew własnym kosztem na przyszłą wojnę zaciąga, i do pana Matczyńskiego. Był też wielce rad i pannie Sienińskiej, i księdzu Woynowskiemu, dla którego wiele miał przyjaźni, i panu Cyprianowiczowi, w którym cenił dobrego łacinnika, rozumiejącego wszelkie cytaty i maksymy. Słyszał i on o groźbach Marcjana Krzepeckiego, ale niewiele z nich sobie robił sądząc, że gdyby ów miał istotnie zamiar napaść na orszak, to byłby napadł zaraz w Puszczy Kozienickiej, która lepiej się nadawała do tego rodzaju przedsięwzięcia niż lasy leżące za Radomiem ku Kielcom. „Młody was nie napadnie – mówił panu Cyprianowiczowi – a stary waćpana nie pozwie, albowiem miałby ze mną do czynienia, wie zaś, że ja prócz cenzur duchownych mam i inne na niego sposoby.” Gościł ich tedy przez cały dzień, a puścił dopiero przed wieczorem. Ponieważ zaś wszelkie niebezpieczeństwo zdawało się być stanowczo usunięte, więc pan Cyprianowicz zgodził się na nocną podróż, tym bardziej że rozpoczęły się srogie upały.

Jednakże pierwszą milę ujechali jeszcze za dnia. Nad rzeką Oronką, tworzącą gdzieniegdzie bagna, zaczynały się znów w owych czasach rozległe sosnowe bory, otaczające Orońsk, Suchą, Krogulczą i ciągnące się aż do Szydłowca i dalej – do Mroczkowa i Bzina, aż hen, ku Kielcom. Posuwali się z wolna, albowiem stary gościniec szedł miejscami wśród wydm i piachów, miejscami zaś, zniżając się znacznie, zmieniał się w groble błotniste i wymoszczone wśród trzęsawisk, przez które ni wóz, ni konny człowiek nie mógł przedostać się nigdy, a pieszy tylko w lata bardzo suche. Te okolice nie cieszyły się też dobrą sławą, ale oni, czując się w mocy, nie bardzo o to dbali, radzi, że jadą chłodkiem, gdy upał nie dokucza ludziom, a śleپaki koniom.

Noc zaskoczyła ich niebawem, ale pogodna i jasna. Była pełnia. Sponad boru podniósł się ogromny, czerwony księżyc, którego zmniejszał się i bladł w miarę tego, jak coraz wyżej wzbijał się ku górze, po czym zbielawszy całkiem, płynął jak srebrny łabędź po granatowej toni nocnego nieba. Wiatr ustał. Nieruchomy bór pogrążony był w zupełnej ciszy, którą przerywały tylko głosy bąków, dochodzące z odległych stawów, i derkaczy grających wśród traw na bliższych łąkach.

Ksiądz Woynowski zaintonował: „Zawitaj, Panno mądra, domie Bogu miły”, na co cztery basy panów Bukojemskich i głos pana Cyprianowicza odpowiedziały mu zaraz: „który złoty stół i siedm kolumn ozdobiły”; do chóru przyłączyła się panna Sienińska, za nią czeladź i przez czas jakiś brzmiał bór pieśnią pobożną. Lecz gdy odśpiewali całe godzinki i odmówili wszystkie zdrowaśki, zapadła znów cisza. Ksiądz, bracia i pan Serafin rozmawiali jeszcze czas jakiś zniżonymi głosami, następnie poczęli drzemać, a w końcu posnęli na dobre.

Nie słyszeli też ani przyciszonych: „wio! wio!” woźniców, ani parskania koni, ani cmoktania błota pod kopytami na długiej grobli, idącej przez grząskie, pokryte sitowiem i tatarakiem trzęsawisko, na którą wkrótce przed północą wjechali. Zbudził ich dopiero krzyk pacholka jadącego na przedzie:

– Stój! stój!

Wszyscy pootwierali oczy. Panowie Bukojemscy wyprostowali się na kułbakach i żywo poskoczyli przed się.

– A co tam?

– Droga zagrodzona! Rów w poprzek, a za rowem zasiek! Szable braci zazgrzytały w pochwach i rozbłyły przy świetle miesiąca.

– Do broni! zasadzka!

Pan Cyprianowicz w jednej chwili znalazł się przed przeszkodą i zrozumiał: nie było się co ludzi! grobla była przekopana szerokim rowem, za rowem zaś leżały w poprzek całe sosny wraz z konarami, spiętrzone w olbrzymi zawal. Ludzie, którzy zamknęli w ten sposób drogę, mieli widocznie zamiar wpuścić orszak na groblę, z której nie było zjazdu na boki, a następnie napaść go z tyłu.

– Do rusznic! do bandoletów! – zagrzmiął głos księdza Woynowskiego. —Idą!...

Jakoż o sto kroków za nimi jakieś ciemne postacie, dziwne, kwadratowe, całkiem do ludzkich niepodobne, poczęły pojawiać się na grobli i biec szybko ku wozom.

– Ognia! – skomenderował ksiądz.

Rozległ się huk i jaskrawe rzuty płomienia rozdarły nocną pomrokę. Jedna tylko postać potoczyła się na ziemię, inne natomiast poczęły biec tym prędzej ku taborowi, a za nimi pokazywały się coraz gęstsze kupy.

Doświadczony przez całe lata wojen, ksiądz Woynowski domyślił się zaraz, że ludzie ci niosą przed sobą pęki trzciny, łożyny lub słomy i że dlatego pierwsza salwa wywarła tak mały skutek.

– Ognia! Kolejno! po czterech! i w kolana! – zakrzyknął. Dwóch pachołków miało gardłacze ponabijane siekańcami. Ci gdy, zrównawszy się z innymi, plunęli po kolanach napastników, rozległ się krzyk bóleści i tym razem cały pierwszy szereg pęków runął w błoto na groblę, lecz następny przeskakując przez leżących, zbliżył się jeszcze bardziej ku wozom.

– Ognia! – rozległa się po raz trzeci komenda.

I znów zagrzmiiała salwa, tym razem jeszcze skuteczniejsza, albowiem atak został na chwilę powstrzymany, a w gromadzie uczyniło się zamieszanie.

Ksiądz nabrał ducha, zrozumiał bowiem, że napastnicy przemądrowali w wyborze miejsca. Wprawdzie, w razie ich zwycięstwa, żywa dusza z taboru nie zdołałaby się im wymknąć, i to głównie mieli na uwadze, ale natomiast nie mogąc otoczyć taboru ze wszystkich stron zmuszeni byli atakować tylko przez groblę, zatem wąskim szeregiem, co znowu nadzwyczajnie ułatwiało obronę. W ten sposób pięciu lub sześciu ludzi mężnych i silnych mogło bronić przystępu choćby przez całą noc.

Napastnicy poczęli także strzelać, ale z powodu lichych widocznie strzelb nie przyczynili wielkiej szkody. Po pierwszym ogniu postrzelili tylko konia i jednego pachołka glutem w udo. Wówczas panowie Bukojemscy jęli prosić, aby wolno im było skoczyć na nieprzyjaciela, uręczając, że zmiotą wszystkich na prawo i lewo w bagno, a kogo nie zmiotą, to go wtrącają w błotnistą groblę. Ksiądz jednakże, zachowując sobie ów sposób na ostatni wypadek, nie chciał na to zezwolić, kazał im natomiast, jako wybornym strzelcom, prażyć napastników z daleka, a panu Cyprianowiczowi pilnować dobrze od strony rowu i zasieku.

– Jeśli z tej strony nas nie napadną – rzekł – to nic nam nie uczynią, ale i tak tanio nas nie kupią.

Po czym pośpieszył na chwilę do kolaski, w której siedziała z panią Dzwonkowską panna Sienińska. Obie odmawiały głosem pacierz, ale bez wielkiego strachu.

– Nic to! – rzekł – nie bójcie się!

– Nie boim się – odpowiedziała dziewczyna. – Chciałabym jeno przesiąść...

Strzały zagłuszyły dalsze jej słowa. Zmieszani chwilowo napastnicy parli znów groblą z dziwną i wprost ślełą odwagą, jasnym bowiem było, że z tej strony niewiele będą mogli wskórać.

– Hm! – pomyślał ksiądz – gdyby nie niewiasty, można by ku nim skoczyć.

I począł zastanawiać się, czyby nie puścić czterech braci Bukojemskich z taką ilością dobrych pachołków, gdy wtem spojrział na boki i zadrżał.

Oto z obu stron na trzęsawie pojawiły się gromady ludzi i skacząc z kępy na kępę lub po wiązkach trzciny, umyślnie gęsto powrzucającymi zawczasu w bagno, poczęły biec ku taborowi.

Ksiądz zwrócił ku nim co prędzej dwa szeregi pachołków, lecz pojął zarazem cały ogrom niebezpieczeństwa. Tabor otoczony został teraz z trzech stron. Czeladź była wprawdzie dobrana, złożona z ludzi, którzy bywali już nieraz w różnych okazjach, ale nie dość liczna, tym bardziej że część musiała pilnować koni zapaśnych. Stawało się więc widocznym, że po pierwszym, niedostatecznym ze względu na liczbę napastników, wydaniu ognia, zanim broń zostanie powtórnie nabitą – przyjdzie do walki ręcznej, w której słabsi ulegną.

Pozostawało zatem jedno: otworzyć sobie drogę z powrotem przez groblę, to się znaczy wozy zostawić, kazać Bukojemskim zmieść wszystko przed sobą i przedrzeć się tuż za nimi, mając niewiasty w środku między końmi. Więc podczas gdy z boków dawano jeszcze ognia na obie strony, kazał ksiądz przesiąść się niewiastom na podjezdki i sformował szyk do ataku. W pierwszym szeregu stanęło czterech braci, za nimi sześciu pachołków, potem panna Sienińska i pani Dzwonkowska, a po bokach ksiądz i pan Serafin, tuż za nimi znów ośmiu pachołków, po czterech w rzędzie. Po uderzeniu i przedostaniu się za groblę, miał zamiar staruszek dopaść do pierwszej wsi, zebrać wszystkich chłopów i powrócić z nimi dla odzyskania wozów.

Wahał się jednak jeszcze przez chwilę i dopiero gdy napastnicy byli już po obu stronach na kilkanaście kroków od grobli i gdy niespodzianie ozwały się dzikie wrzaski i z zasięku – zakrzyknął:

– Bij!

– Bij! – huknęli panowie Bukojemscy i ruszyli jak huragan, który w pędzie niszczy wszystko przed sobą. Dobiegłszy wspięli konie i runęli w zbitą kupę zabijaków tratując ludzi, spychając ich w bagno, obalając całe szeregi i tnąc szablami bez miłosierdzia, bez wytchnienia. Uczynił się krzyk i ciężki pluskot ciał padających w kałuże przy grobli, a oni parli naprzód, machając ramionami na kształt śmig wiatraka, które coraz większy podmuch coraz szybciej rozpędza. Niektórzy z napastników dobrowolnie skakali na boki w bagno, by się przed strasznymi jeźdźcami uchronić; inni zastawiali się im widiami i drągami. Pałki i oszczepy wznosiły się przeciw Bukojemskim, lecz oni znów wspinali konie i łamiąc wszystko przed sobą, szli naprzód, jak idzie wichur przez miody las.

I gdyby nie wąskość drogi, gdyby nie to, że rąbani ludzie nie mieli gdzie pierzchać, i gdyby stojący z tyłu nie popychali przodowych, byłiby panowie Bukojemscy przeszli groblę. Lecz że niejednym ze zbójów wolał się bić niż topić w bagnie, przeto opór trwał i co większa, czynił się coraz zaciętszy. Rozpaliły się serca i u napastników. Poczęli walczyć nie tylko już dla łupu lub dla porwania kogokolwiek, ale i z wściekłości. W chwilach gdy milkły okrzyki, słychać było zgrzytanie zębów i przekleństwa. Pęd Bukojemskich został wreszcie wstrzymany. Przyszło im wówczas na myśl, że może i zginąć przyjdzie.

A gdy nagle rozległ się przed nimi tętent koni, a zaś gromkie okrzyki ozwały się na całym okręgu zarośli otaczających trzęsawiska, byli już pewni, że chwila zguby nadchodzi, więc poczęli tym okropniej łomotać, aby przynajmniej tanio życia nie sprzedać.

Lecz nagle stało się coś dziwnego. Oto z tyłu za opryszkami rozległy się liczne głosy: „Bij!”; szable zamigotały w blasku miesiąca. Jacyś jeźdźcy poczęli łamać i ciąć z przeciwnej strony

napastników, których wobec niespodziewanego ataku w jednej chwili ogarnęło przerażenie. Tylne ujście grobli było zamknięte, nie pozostało im więc nic innego, jak chronić się na boki. Toteż niektórzy tylko dawali jeszcze rozpaczliwy opór, liczniejsi skakali jak kaczki na obie strony w torfowisko, które przerywało się pod ich ciężarem. Więc czepiali się szuwarów, sitowia, trzciny, przyczajali za kępami lub kładli na brzuchach, by się od razu nie zapaść.

Jedna tylko mała gromadka, zbrojna w osadzone sztorcem kosy, broniła się czas jakiś zaciekle, wskutek czego kilku jeźdźców zostało rannych, ale wreszcie i owa garstka widząc, że nie masz dla niej żadnego ratunku, rzuciła broń i padła na kolana żebrząc łaski. Wzięto ich żywcem dla zeznań.

Wówczas jeźdźcy z obu stron stanęli naprzeciw siebie i zaraz podniosły się głosy:

– Stój! stój! Co za ludzie?

– A wy kto?

– Cyprianowicz z Jedlinki.

– Dla Boga! nasi!

I dwóch jeźdźców wysunęło się nagle z szeregów. Jeden pochylił się ku łękowi pana Cyprianowicza i chwyciwszy jego dłoń, począł ją okrywać pocałunkami, drugi rzucił się w ramiona księdza.

– Stanisław! – zawołał pan Serafin.

– Jacek! – zakrzyknął ksiądz.

Chwilę trwały uściski i powitania, po czym pan Cyprianowicz pierwszy odzyskał mowę:

– Dla Boga, skąd wyście się tu wzięli?

– Chorągiew nasza idzie do Krakowa. My z Jackiem mieliśmy już permisję, żeby jechać do Jedlinki, tymczasem w Radomiu na popasie dowiedzieliśmy się, że i ojciec dobrodziej, i ksiądz Woynowski, i Bukojemscy ruszyli przed godziną gościńcem ku Kielcom...

– Ksiądz Tworkowski wam mówił?

– Nie! Żydzi w Radomiu. Księdzaśmy nie widzieli. Jak tedy nam to powiedzieli, nie jechaliśmy już do Jedlinki, jeno razem z chorągwią, w tej myśli, że nijak się z wami nie zmiem. Aż tu po północy słyszym nagle strzały... Więc skoczyliśmy wszyscy na pomoc myśląc, że osacznicy jakichś podróźnych napadli. Nie przyszło do głowy, że to was. Bogu dzięki, Bogu dzięki, że nie przybyliśmy za późno!

– Nas nie osacznicy napadli, jeno Krzepeccy. Chodziło o Sienińską, która tu jest.

– Na Boga! – zawołał Stanisław – to chyba z Jacka dusza wyjdzie!...

– Pisałem ci o niej, ale widać list cię nie doszedł.

– Bośmy już od trzech niedziel w pochodzie: dlatego i ja w ostatnich czasach nie pisałem, że miał sam przyjechać...

Okrzyki tryumfu panów Bukojemskich, pachołków i żołnierzy przerwały dalszą rozmowę. W tej chwili nadbiegli też czeladnicy z pozapalanymi pochodniami, których cały zapas kazał wziąć pan Cyprianowicz, aby w ciemne noce było czym świecić. Na grobli uczyniło się widno jak w dzień – i wśród tych jasnych blasków ujrzał Taczewski siwego podjezdka, a na nim pannę Sienińską.

I oniemiał na ten widok; ksiądz Woynowski zaś widząc zdumienie młodzieńca rzekł:

– Tak jest. I ona z nami.

Wówczas Jacek posunął konia i stanął przed dziewczyną, po czym odkrył głowę i stał tak przed nią – zapatrzony – bez słowa, niemal bez oddechu w piersi, z białą jak kreda twarzą.

I po chwili czapka wysunęła mu się z dłoni na ziemię, oczy przymknęły się, a głowa pochyliła ku grzywie końskiej.

– Dy on ranny! – zawołał Łukasz Bukojemski.

Rozdział trzydziesty

Jacek– ranny był rzeczywiście. Jeden z broniących się do ostatka napastników zaciął go osadzoną sztorcem kosą w lewe ramię, że zaś żołnierze byli w pochodzie bez pancerzy i naramienników, przeto sam koniec żeleźca przedarł mu dość głęboko rękę od barku aż do łokcia. Skaleczenie nie było zbyt ciężkie, ale krwawiło ogromnie, skutkiem czego młodzian zemdłał. Doświadczony ksiądz Woynowski kazał go ułożyć na wozie i opatrzwszy mu ranę, polecił go opiece niewiast. Zaraz też potem otworzył Jacek oczy i począł znów patrzeć jak w tęczę w pochyloną nad nim twarz panny Sienińskiej.

Tymczasem czeladź w mig zasypała rów i rozebrała zasiek. Tabor i chorągiew przeszły za groblę na suchą drogę, gdzie zatrzymano się dla odpoczynku, dla wprowadzenia ładu w obozie i wybadania jeńców. Ksiądz od Taczewskiego udał się do panów Bukojemskich, aby zobaczyć, czy nie ponieśli jakiegoś szwanku. Lecz nie! Konie mieli podrapane, a nawet i pokłute, lubo nieszkodliwie, widłami, sami zaś byli nie tylko zdrowi, ale i w wyborynych humorach, albowiem podziwiano powszechnie ich męstwo, że „natłukli jeszcze przed wojną tylu ludzi, ilu niejedyn żołnierz przez całe lata wojaczki nie nabije”.

– Nuż byście waćpanowie zaciągnęli się pod pana Zbierzchowskiego —mówili ci i owi z towarzystwa – z dawna wiadomo, a Bóg da, że znów się pokaże, iżę nasza chorągiew nawet między usarskimi prym dzierży, toteż nie byle kogo i niełatwo do niej pan Zbierzchowski przyjmuje, ale tak godnych kawalerów i on chętnie przygarnie, i my radzi z serca waćpanom będziemy.

Panowie Bukojemscy wiedzieli, że nie mogło to być, gdyż nie stać ich było ani na odpowiednie poczty, ani na „wyprawę” konieczną do chorągwi tak górnej; jednakże z rozkoszą słuchali namów i gdy manierki poczęty chodźć z rąk do rąk, nie dali się i na tym polu nikomu przewyższyc.

Kiedy to się działo, żołnierze wyciągali za łby z błota i przyprowadzali przed pana Zbierzchowskiego, pana Cyprianowicza i przed księdza pochwytych napastników. Nie uszedł z nich po prostu żaden, albowiem w potężnej chorągwi liczącej prócz trzystu towarzystwa, dziewięćset pocztowych. dość było ludzi do otoczenia całego trzęsawiska i obu wylotów grobli. Widok jeńców zdziwił jednak wielce pana Serafina. Spodziewał się znaleźć pomiędzy nimi, jak zapowiedział synowi, Marcjana Krzepeckiego i jego radomską kompanię szlachecką, tymczasem miał przed sobą umazaną w błocie i cuchnącą torfem, obdartą gromadę zbójów, złożoną —jak wszystkie podobne – ze zbiegów z wybranieckiej piechoty, z wyrzutków, z prywatnej czeladzi, z poddaństwa, słowem: z wszelkiego rodzaju dzikich i złowrogich hultajów trudniących się rozbojem w puszczech i borach. Grasowało takich kup dużo, zwłaszcza w lesistym województwie sandomierskim, a ponieważ zaciągali się do nich ludzie gotowi na wszystko i którym w dodatku groziły w razie ujęcia straszne kary, więc i napady ich były nadzwyczaj zuchwałe, i bitwy z nimi szczególnie zacięte.

Przez jakiś czas trwało jeszcze poszukiwanie po trzęsawiskach, poczym pan Cyprianowicz zwrócił się do Zbierzchowskiego i rzekł:

– Mości pułkowniku, myśleliśmy, że to całkiem kto inny, a to zwyczajni osacznicy i zwykły napad zbójceki. Niemniej wszelako wdzięcznym sercem dziękujemy waszmości i całemu towarzystwu za skuteczną pomoc, bo bez niej nie oglądalibyśmy już może dzisiejszego wschodu słońca.

A pan Zbierzchowski uśmiechnął się i odpowiedział:

– Bogdaj to nocne pochody! I upał nie dokuczy, i przysługę można komu oddać. Chcesz waszmość zaraz badać tych ludzi?

– Jakem się im z bliska przyjrzał, to niekoniecznie. Sąd ich i tak w grodzie zbada, a kat im poświęci.

Na to wysoki kościsty chłop o posepnej twarzy i jasnych kudłach wysunął się z szeregu jeńców i pochyliwszy się do strzemiesia pana Cyprianowicza, rzekł:

– Wielmożny panie, darujcie nas zdrowiem, to powiemy prawdę. My zwyczajni osacznicy, ale napaść nie była zwyczajna.

Usłyszawszy to ksiądz i pan Serafin spojrzeli po sobie z zaciekawieniem.

– Kto ty jesteś? – zapytał ksiądz.

– Starszy. Było nas dwóch, bo i kup było połączonych dwie, ale drugi zabit. Darujcie nam, wielmożni panowie, to powiem wszystko. Ksiądz zastanowił się przez chwilę, po czym rzekł:

– Prawu nie możemy was odjąć, ale i tak lepiej wam dobrowolnie wyznać prawdę, niż żebyście ją mieli na mękach wyznawać. Może też w takowym razie i ludzki, i boski sąd będzie dla was łaskawszy.

Chłop począł spoglądać po swoich, niepewny, czy ma mówić, czy milczeć, a tymczasem ksiądz dodał:

– I jeśli prawdę szczerą wyznacie, to jeszcze jedno możemy dla was uczynić, mianowicie wstawić się za wami do króla i jego miłosierdziu was polecić, któren ponieważ grzecznych pachółków do piechoty potrzebuje, przeto często teraz sądom łaskawość poleca.

– Jak tak, to powiem wszystko – odrzekł chłop. – Ja się zwę Obuch, a starszym drugiej kupy był Kos, i obu nas najął jeden szlachcic, abyśmy wasze miłości napadli.

– A wiecie, jako się ów szlachcic zowie?

– Jam go przedtem nie znał, bom z dalszych stron, ale Kos go znał i mówił, że się zowie Wysz.

Ksiądz i Cyprianowicz znów spojrzeli na się ze zdziwieniem.

– Wysz, powiadasz?

– Tak jest.

– A nie było z nim nikogo?

– Był drugi, cienki, chudy, młody.

Pan Serafin zwrócił się do księdza i szepnął:

– To nie oni...

– Ale może być Marcjanowa kompania. Po czym głośno do chłopca:

– Cóż wam przykazali?

– Powiedzieli nam tak: „Co z ludźmi uczynicie, to wasza rzecz; wozy i łup wasze. Ale w taborze jest panna, którą macie chwycić i manowcami między Radomiem i Zwoleniem ku Policznej prowadzić. Za Policzną napadnie na was nasza kompania i pannę odbije. Wy jej niby brońcie, ale tak, by szkody nijakiej w ludziach nam nie przyczynić. Dostaniecie za to po talarze na głowę prócz tego, co w wozach znajdziecie”.

– To już jako na dłoni! – rzekł ksiądz.

I po chwili znów pytał:

– To tylko ci dwaj z wami gadali?

– Przyjechał później z nimi trzeci w nocy, który dał nam po złotemu zadatku, ale choć ciemno było jak w piwnicy, poznał go jeden mój człowiek, bo był z jego poddanych, i mówił, że to pan Krzepecki.

– Ha! otóż i on! – zawołał pan Cyprianowicz.

– A ten człowiek jest tu, czyli też legł? – pytał ksiądz.

– Jestem! – ozwał się opodal jakiś głos.

– A pójdz ino bliżej. Tyś poznał pana Krzepeckiego? A to jakim sposobem, skoro tak było ciemno, że choć w pysk bij?

– Dy ja go od małości znam. Poznałem i po pałakowatych nogach, i po głowie, co mu jakoby w dole między garbami siedzi, i po głosie.

– To gadał do was?

– Mówił i z nami, a potem słyszałem, jak gadał do tych, co z nim przyjechali.

– Cóż im powiedział?

– Powiedział tak: „żeby wam można było pieniądze zawierzyć, to ja bym tu nie przyjeżdżał, choćby noc była jeszcze ciemniejsza...”

– I zeznasz to przed burmistrzem albo przed starostą w grodzie?

– Zeznam.

Usłyszawszy to pan Zbierzchowski zwrócił się do pocztowych:

– Tego człowieka mi osobiwie strzec.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Po czym jęli radzić. Bukojemscy byli tego zdania, by przebrać w szatki panieńskie pierwszą lepszą spotkaną babę, wsadzić na podjezdka, otoczyć czeladzią i pocztowymi poprzebieranymi za osaczników i iść na umówione z Marcjanem miejsce, a gdy ów uczyni wrzekomy napad, otoczyć go i albo zaraz pomsty nad nim dokonać, albo też do Krakowa go wziąć i tam sądom oddać. Sami ofiarowali się z wielką ochotą poprowadzić wyprawę i przysięgali, że rzucą związanego Marcjana pod nogi pannie Sienińskiej. Zamiar ów podobał się w pierwszej chwili wielce, gdy jednak poczęto go pilniej rozważać, wykonanie jego okazało się trudne, a spełnienie niekonieczne. Pan Zbierzchowski mógł i miał prawo ratować w niebezpieczeństwie ludzi spotkanych wypadkowo w pochodzie, ale nie miał prawa i nie chciał wysłać żołnierzy na prywatne ekspedycje. Z drugiej strony, skoro znalazł się między napastnikami człowiek, który znał i gotów był wskazać sądom głównego sprawcę napaści, to owego sprawcę można było w każdej chwili pociągnąć do odpowiedzialności i uzyskać nań wyrok hańbiący. Z tego powodu i pan Serafin, i ksiądz Woynowski doszli do przekonania, że dość będzie na to czasu po wojnie, albowiem nie było obawy, aby Krzepeccy, posiadający znaczne majątności, opuścili je i zbiegli. Nie podobało się to tylko panom Bukojemskim, mieli bowiem żywą chęć załatwić sprawę od razu. Oświadczyli też nawet, że skoro tak, to sami pojedą ze swymi pachołkami po Marcjana, ale nie pozwolił im na to pan Cyprianowicz, a powstrzymał ostatecznie Jacek, któren zaklął ich na wszystkie świętości, aby jemu wyłącznie pozostawili Krzepeckiego.

– Ja tam – mówił – prawem przeciw niemu nie będę czynił, ale po tym, co tu od waszmościów słyszałem, jeśli na wojnie nie legnę, to go, jako Bóg na niebie, odnajdę – i dopieroż się pokaże, czyby kondemnata nie była mu lżejsza i miłsza.

I jego „dziewczyńskie” oczy zaświeciły przy tym tak strasznie, że panów Bukojemskich, lubo kawalerowie byli nieustraszeni, aż dreszcz przeszedł; wiedzieli bowiem, w jak dziwny sposób splata się w duszy Jackowej łagodność z zapalczywością i ze złowrogą pamięcią doznanych krzywd.

A on jeszcze powtórzył kilka razy: „gorze mu! gorze mu!” – i znów pobladł z poprzedniej utraty krwi. Jeszcze przedtem rozedniało już zupełnie. Zorza poranna pomalowała świat różaną i zieloną barwą i roziskrzyła się w kropłach rosy wiszących na trzcinach, na sitowiu i na liściach drzew, a także na igłach karłowatych sosen rosnących tu i ówdzie po brzegach trzęsawiska. Pan Zbierzchowski kazał jeszcze jeńcom pochować ciała poległych, co prędko poszło, albowiem torf łatwo ustępował pod łopatami – i gdy na grobli nie pozostał żaden ślad bitwy, pochód ruszył dalej, ku Szydłowcu.

Pannie Sienińskiej radził pan Cyprianowicz, aby znów przesiadła do kolaski, w której może zażyć smacznego snu przed popasem, ale oświadczyła tak stanowczo, że nie odstąpi Jacka, iż nawet ksiądz Woynowski nie próbował odwieść jej od tego przedsięwzięcia. Jechali tedy razem i prócz woźnicy we dwoje tylko, gdyż panią Dzwonkowską morzył sen tak okrutnie, że po małej chwili przeniosła się do kolaski.

Jacek leżał na wznak na wiązki siana poukładanych po jednej stronie wzdłuż wozu, a ona siedziała po drugiej, pochylając się co chwila ku jego zranionej ręce i bacząc, czy krew nie przedostaje się na opatrunek. Chwilami przykładła rannemu do ust bukłak ze starym winem, które widocznie działało wybornie, gdyż po pewnym czasie sprzykrzyło mu się leżeć i kazał woźnicy powyciągać wiązki siana, na których wspierał nogi.

– Wolę jechać siedzący – rzekł – bo już się całkiem czuję na siłach.

– A rana? nie będzie tak waćpanu bardziej dolegać? Jacek zwrócił oczy ku jej różanej twarzy i począł mówić głosem cichym i smutnym:

– Odpowiem waćpannie tak, jak dawno, dawno temu odpowiedział pewien rycerz, którego go król Łokietek ujrzał na pobojuwisku przebodzonego krzyżackimi włóczyniami i zapytał, czy bardzo cierpi, pokazał na swe rany i rzekł: „To mniej boli”.

Panna Sienińska spuściła powieki.

– A co więcej boli? – szepnęła.

– Więcej boli stęsknione serce i rozłąka, i pamięć krzywd doznanych.

Przez chwilę panowało milczenie, tylko serca zaczęły bić w obojgu z coraz większą mocą, albowiem zrozumieli, że nadchodzi chwila, w której mogą i powinni wypowiedzieć wszystko, co przeciw sobie mają.

– Prawda – rzekła panienska – pokrzywdziłam waćpana wówczas, gdy go po owym pojedynku przyjęła z gniewną twarzą i nieludzko... Ale to było raz jedyny, i choć Bóg jeden wie, jakom potem tego żałowała, to przecie mówię: moja wina! i przepraszam waćpana z całej duszy.

A Jacek przyłożył zdrową dłoń do czoła.

– Nie to – odpowiedział – było mi cierpieniem, nie to największą boleścią!

– Wiem: nie to, jeno list pana Pągowskiego... Jak to? więc waćpan mogłeś mnie posądzić, że ja o nim wiedziałam albo przyczyniłam się do niego?

I zaczęła opowiadać przerywanym głosem, jak wówczas było: jak błagała pana Pągowskiego, by krok do zgody uczynił, jak jej obiecał, że napisze list ojcowski i serdeczny, napisał zgoła przeciwny, o którym dopiero później dowiedziała się od księdza Woynowskiego, a z którego pokazało się, że pan Pągowski, mając już inne zamiary, chciał właśnie rozdzielić ich raz na zawsze.

Przy czym, ponieważ słowa jej były poniekąd wyznaniem, a zarazem odnową wspomnień przykrych i bolesnych, więc z przymusu i ze wstydu jasne rumieńce rozkwitały co chwila na jej policzkach, a oczy ćmiły się łzami.

– Zali ksiądz Woynowski – spytała w końcu – nie napisał waćpanu, że ja o niczym nie wiedziałam i że nie mogłam nawet zrozumieć, dlaczego za moje szczere serce taką otrzymałam zapłatę?

– Ksiądz Woynowski – odrzekł Jacek – doniósł mi jeno, że waćpanna za mąż za pana Pągowskiego wychodzi.

– Ale nie doniósł, że ja się na to zgodziłam z bólu, z sieroctwa, w opuszczeniu – i jeno z wdzięczności dla pana Pągowskiego... Bom wówczas jeszcze nie wiedziałam, jak on z waćpanem postąpił, a wiedziałam to jedno, że mną wzgardzono i że o mnie zapomniano...

Usłyszawszy to Jacek przymknął oczy i tak począł mówić z wielkim smutkiem:

– Że cię zapomniano?... Bogdaj tak!... Byłem w Warszawie, byłem na dworze królewskim, jeździłem z chorągwią po kraju, ale cokolwiek mi czynić wypadło i wszędy, gdzie byłem, ani na chwilę nie schodziłaś mi z pamięci i z serca... Szłaś za mną, jako idzie cień za człowiekiem... I nieraz w strapieniu, w boleści, po prostu z umęczeniem wołałem do cię wśród bezsennych nocy: „Zlituj się! pofolguj! daj o sobie zapomnieć!” Aleś ty nie odstępowała nigdy: ni w dzień, ni w

nocy, ni w polu, ni pod dachem... Ażem wreszcie zrozumiał, że tylko wtedy mógłbym cię wyrwać z serca, gdybym i samo serce wyrwał z piersi...

Tu przerwał, gdyż głos zdławiło mu wzruszenie, ale po chwili mówił dalej:

– ... Więc potem nieraz mówiłem przy pacierzu: „Daj, Boże, polec, bo sam widzisz, że mi i do niej nie lża, i bez niej nie lża...” I już anim się spodziewał tej łaski, że cię jeszcze w życiu zobaczę... ty jedyna w świecie... ty umiłowana!

To rzekłszy pochylił się ku niej i oparł skroń o jej ramię.

– Tyś – szeptał – jako ta krew, która daje życie, tyś jak to słońce na niebie... Miłosierdzie boże jest nade mną, że cię jeszcze widzę... umiłowana! umiłowana!...

A jej wydało się, że Jacek śpiewa jakąś pieśń cudną. Oczy jej zalała fala łez, a serce fala szczęścia. Uczyniło się między nimi znów milczenie, tylko dziewczyna płakała długo tak słodkim płaczem, jakim nie płakała dotychczas nigdy w życiu.

– Jacku – rzekła wreszcie – po cośmy się tak namartwili oboje?

A on odrzekł:

– Bóg nagroził stokrotnie.

I po raz trzeci zapadła między nimi cisza, jeno wóz skrzypiał posuwając się z wolna po piachach szerokiego gościńca. Za borem wyjechali na obszerne, skąpiane w słońcu pola, szumiące żytem, utkane bogato kraśnymi makami i modrym chabrem. Był wielki spokój. Nad zżętymi już gdzieniegdzie poletkami tkwiły w górze nieruchome, rozśpiewane skowronki, na krańcach pól migotały w oddali sierpy, z dalekich, zielonych grudzi dochodziły pokrzyki i pieśni pastusze. A im obojgu zdało się, że dla nich szumi to żyto, dla nich migocą maki i chabry, dla nich dzwonią skowronki, pokrzykują pastusi i że cały ów słoneczny spokój polny i wszystkie te głosy wtórują tylko ich szczęściu i upojeniu.

Z zapamiętania rozbudził ich dopiero ksiądz Woynowski, który przysunawszy się niepostrzeżenie do wozu, zapytał:

– Jako—że ci tam, Jacuś?

Jacek drgnął i spojrzał na niego błyszczącymi oczyma, jakby zbudzony ze snu:

– Co, dobrodzieju?

– Jako—że ci jest?

– Ej! już i w rajy nie będzie lepiej!

Ksiądz popatrzył uważnie naprzód na niego, potem na pannę.

– Tak?... – rzekł.

I pocwałował z powrotem do kompanii.

Lecz ich objęła na powrót radosna rzeczywistość: poczęli spoglądać na się i tonać sobie wzajem w źrenicach.

– Ty... nienapatrzona!... – rzekł Jacek.

Ona zaś spuściwszy oczy jęła uśmiechać się kącikami ust, tak że aż dołki utworzyły się na jej różowych policzkach.

– A panna Zbierzchowska zali nie gładsza? – spytała cicho.

Jacek spojrzał na nią ze zdumieniem:

– Jaka panna Zbierzchowska?...

Wówczas nie odrzekła nic, tylko poczęła się śmiać w piąstkę dzwiecznym jak srebrny dzwonek śmiechem.

Tymczasem, gdy ksiądz przycwałował do kompanii, towarzysze, którzy lubili Jacka, poczęli o niego dopytywać:

– No, co tam? jakoż nasz ranny?

– Już go na świecie nie ma! – odrzekł ksiądz.

– Na Boga! co się stało? jak to go nie ma?

– Bo powiada, że już w raju. Mulier!!!...

Panowie Bukojemscy, jako ludzie pomiernie z natury przywykli do prędkiego pojmowania tego, co słyszą, nie przestali spoglądać na księdza z przerażeniem i zdjawszy czapki, już, już, mieli rozpocząć „wieczny odpoczynek”, gdy wtem ogólny wybuch śmiechu pomieszał im te pobożne myśli i zamiary. Ale w tym śmiechu towarzystwa była szczerza życzliwość i szczerze współczucie dla Jacka. Wiedzieli już niektórzy od Stanisława Cyprianowicza, jak „czuły był to kawaler”, domyślali się wszyscy, jak srodze musiał być utrapion, więc słowa księdza uradowały wszystkich wielce. Zaraz też ozwały się głosy:

– Dlaboga! widzieliśmy przecie, jako się z afektem borykał, jako na pytania nie do rzeczy odpowiadał, jako sprzączek na sobie nie dopinał, jako się przyjadle, a nawet i picciu zapamiętywał i jako nocami na księżyc oczy przewracał: niezawodne to były nieszczęsnej miłości signa!

Inni zaś mówili:

– Wiera, że mu teraz jak w raju, bo jeśli żadne rany gorzej od ran przez Amora zadanych nie bolą, to natomiast nie masz słodsze nad wzajemność specjału.

Takie to i tym podobne uwagi czynili towarzysze Jacka. Niektórzy wszakże dowiedziawszy się, przez jakie terminy przeszła panna i jak haniebnie obszedł się z nią Krzepecki, poczęli trzaskać szablami i wołać:

„Dawajcie go sam!”; niektórzy rozczulali się nad dziewczyną, niektórzy dowiedziawszy się, co spotkało Marcjana od Bukojemskich, wynosili pod niebiosa ich przyrodzony dowcip i męstwo.

Lecz po chwili ogólna uwaga skupiła się znowu na dwojgu zakochanych.

– Nuże! – wołano – zakrzyknem im na zdrowie, na cześć et felices rerum successus! – i wraz ruszono końmi tłumnie i hałaśliwie ku bryce.

W mig cała niemal chorągiew otoczyła Jacka i pannę Sienińską. Zagrzmiały gromkie głosy: „vivant! floreant!”, inni zaś przed czasem jeszcze wołali: „crescite et multiplicamini!”

Czy panna Sienińską naprawdę była tymi krzykami przełęczniona, czy też, jako mulier insidiosa, udawała tylko przestach – tego by i ksiądz Woynowski nie zdołał odgadnąć, dość że przytuliwszy swą jasną główkę do zdrowego ramienia Jacka, zaczęła pytać zawstydzona i pomieszana:

– Co to, Jacku? co to się dzieje?

A on otoczył ją ramieniem i odrzekł:

– Ludzie mi cię dają, a ja cię wezmę, kwiatuszku mój najmilejszy.

– Po wojnie?...

– Przed wojną.

– Dlaboga, czemu tak prędko?

Lecz Jacek widocznie nie dosłyszał pytania, albowiem zamiast na nie odpowiedzieć, rzekł:

– Pokłońmy się i podziękujmy miłym towarzyszom za życzliwość. Więc poczęli się kłaniać na obie strony, co wzbudziło jeszcze większy zapał wśród rycerzy. Widząc tedy splonioną i śliczną jak zorza ranna twarz dziewczyny, żołnierze aż bili się dłońmi z podziwu po udach.

– Na miły Bóg! – wołali – dy to olśnać można po prostu!

– Anioł by się zakochał, a cóż dopiero człek grzeszny.

– Nie dziw, że z żalu po niej marniał!

I znów setne głosy huknęły jeszcze potężniej:

– Vivant! crescant! floreant!...

Wśród tych okrzyków i w obłokach złotej kurzawy wjechali do Szydłowca.

Złękli się w pierwszej chwili mieszkańcy i porzuciwszy stojące przed domami warsztaty, na

których wykrawali z piaskowca oselki, pouciekali do izb. Lecz wkrótce poznawszy, że są to okrzyki wesela, nie gniewu, wylegli hurmem na ulice i połączyli się z wojskiem. Uczynił się tłum ludzi i koni. Ozwały się husarskie kotły, trąby i krzywuły. Ochota stała się powszechną. Nawet Żydkowie, których strach najdłużej zatrzymał w izbach, krzyczeli: wiwajt!, choć wielu nie wiedziało dobrze, o co chodzi.

A Taczewski mówił do panny Sienińskiej:

– Przed wojną! przed wojną, choćby w godzinę później zginąć przyszło!

Rozdział trzydziesty drugi

Jakże to – mówił ksiądz Woynowski na uczcie, którą dla Jacka wyprawilo towarzystwo. – Za pięć albo sześć dni ruszamy, możesz na wojnie zginąć; zali tedy opłaci ci się brać ślub przed wyprawą, zamiast szczęśliwego końca jej doczekać i dopiero potem spokojnie się ożenić?

Lecz towarzysze, usłyszawszy te roztropne słowa, nuż w śmiech; niektórzy aż brali się za boki, inni zaś poczęli chórem wołać:

– Oj! opłaci się, dobrodzieju! a właśnie dlatego, że może zginąć, tym więcej się opłaci!

Ksiądz gniewał się nieco, lecz gdy trzystu družbów spod chorągwi, nie wyłączając pana Cyprianowicza, nalegało, a Jacek ani chciał słyszeć o zwłoce, musiało tak być, jak sobie życzył. Odnowione stosunki z dworem i łaska obojga królestwa ułatwiły wielce sprawę; królowa jejmość oświadczyła bowiem, że przysłała pani Taczevska zostanie przez cały czas wojny pod jej opieką i przy jej boku, a sam jegomość obiecał być z asystencją na ślubie i o grzecznym wianie przy wolniejszej głowie pomyśleć. Pamiętał on, ile majątkości Sienińskich przeszło swego czasu do Sobieskich i jak przodkowie jego na tym wyrosli, czuł się więc zobowiązany względem sieroty, która prócz tego ujęła go swą urodą, a zarazem wzbudziła w nim litość niedolą i nieszczęściami, przez które przeszła.

Pan Matczyński, przyjaciel z dawnych lat księdza Woynowskiego, a zarazem i królewski, obiecał też często dziewczynę panu przypominać, ale po wojnie, gdyż teraz, gdy na barkach Jana III spoczywały losy całej Europy i całego chrześcijaństwa, nie wolno go było żadną prywatą zajmować. Ksiądz Woynowski ucieszył się jednak z tej obietnicy tak, jakby Jacek już „zacne starostwo” otrzymał, wiedziano bowiem powszechnie, że na każdym słowie pana Matczyńskiego można było polegać jak na słowie Zawiszy. On też, właściwie mówiąc, był sprawcą wszelkiego tego dobra, które pannę Sienińską w Krakowie spotkało, on przypomniał księdza Woynowskiego królestwu, on wreszcie zjednał dla dziewczyny królowę, która lubo w upodobaniach zmienna i kapryśna, od pierwszej chwili poczęła okazywać jej szczególną, aż prawie zbyt nagłą przyjaźń i łaskę.

Otrzymanie indultu od zapowiedzi poszło przy protekcji dworu i łasce księdza biskupa krakowskiego łatwo. Przedtem jeszcze pan Serafin wystarał się dla przyszłych państwa młodych o piękną kwatere u pewnego kupca krakowskiego, którego dziadowie handlowali swego czasu z Cyprianowiczami, gdy ci jeszcze mieszkali we Lwowie i sprowadzali bławaty ze Wschodu. Piękna też to była kwatere, jakiej przy natłoku cywilnych i wojskowych dygnitarzy w mieście nie miał niejeden wojewoda. Stanisław Cyprianowicz, który postanowił sobie, aby tych kilka dni przed wyprawą przyjaciel Jacek spędził tak właśnie jakoby w prawdziwym niebie, ozdobił ją nadzwyczajnie makatami i świeżym kwieciem; inni zaś towarzysze pomagali mu w tym gorliwie, wypożyczając co kto miał najlepszego z tyfteków, kobierców i tym podobnych kosztownych rzeczy, które w bogatych chorągwiach husarskich zabierano nawet w pochód ze sobą.

Jednym słowem, wszyscy okazywali młodej parze jak największą życzliwość i pomagali jej, jak kto mógł i w czym był mocen, z wyjątkiem tylko czterech panów Bukojemskich. Ci w pierwszych dniach po przybyciu do Krakowa przychodzili czasem i po dwa razy na dobę do

Cyprianowiczów, do Jacka i pod wiechy do kupców, u których piło towarzystwo spod chorągwi królewicza Aleksandra, ale potem jak w wodę wpadli. Ksiądz Woynowski myślał, że piją po przedmieściach, gdzie ich istotnie czeladź pewnego wieczora widziała – gdzie miody i wina były tańsze niż w samym mieście – ale właśnie zaraz potem słuch o nich zaginął. Ksiądz i panów Cyprianowiczów gniewało to ich postępowanie, mieli bowiem dla pana Serafina obowiązki wdzięczności, o których nie powinni byli zapominać.

– Żołnierze mogą być z nich dobrzy – mówił ksiądz – ale to lekkoduchy, na których stateczność wcale liczyć nie można. Znaleźli pewnie jakąś hultajską kompanię, w której im lepiej niż między nami.

Posądzenie to okazało się jednak niesłuszne, gdyż właśnie w wigilię ślubu Jacka, gdy w kwaterze pełno było znajomych, którzy przychodzili składać życzenia i podarki, czterej bracia pojawili się przybrani w najpiękniejsze, jakie mieli, szaty, uroczyście i z twarzami spokojnymi, ale pełnymi tajemniczości.

– Cóż się takiego z wami działo? – zapytał pan Serafin.

– Szlakowaliśmy zwierza! – odrzekł Łukasz.

Lecz Mateusz dal mu w tej samej chwili sojkę w bok i rzekł:

– Cicho! nie powiadaj przed czasem.

Po czym spojrzął na księdza, na obu Cyprianowiczów, wreszcie zwróciwszy się do Jacka, począł odchrząkiwać jak człowiek, który zamierza dłużej przemówić.

– Nuże! poczynaj wraz! – zachęcali go bracia.

Lecz on spojrzął na nich osowiałymi oczyma i zapytał:

– Jakże miało być?...

– Cóżże to? zapomniał?...

– Zacięło mi się...

– Czekaj... już wiem – zawołał Jan – zaczynało się: „Przezacny nasz...” Dalej!

– Przezacny nasz Piłacie... – począł Mateusz.

– Dlaczego: „Piłacie”? – przerwał ksiądz – może było: „Pyladzie”?

– W sednoś dobrodziej utrafił! – krzyknął Jan – było: „Pyladzie”, jako żywo!...

– Zacny nasz Pyladzie! – zaczął z otuchą ponownie Mateusz. – Choćby nie żelazny Borysten, ale sam złotoonośny Tagus przez rodzinne nasze ziemie przepływał, to jako exulowie spod najścia barbarorum, nic prócz serc naszych gorejących przyjaźnią ofiarować byśmy ci nie mogli, ni też żadnym wdzięcznym upominkiem nie zdołalibyśmy dnia dzisiejszego uczcić należycie...

– Tak ci gada, jakby orzechy gryzł! – zawołał z zapałem Łukasz. Lecz Mateusz powtórzył jeszcze kilka razy: „należycie... należycie... należycie...” – i właśnie zaciął się, począł więc spoglądać na braci, wzywając oczyma ich ratunku, ale i oni zapomnieli w ząb, co miało być dalej.

Towarzysze poczęli się śmiać, a panowie Bukojemscy marszczyć, co widząc pan Serafin postanowił im przyjść z pomocą.

– Kto wam tę mowę ułożył? – zapytał.

– Pan Gromyka spod chorągwi pana Szumlańskiego – odrzekł Mateusz.

– Otóż to. Cudzy koń najłatwiej dęba stanie i na miejscu się zatnie; uścińnijcie tedy Jacka i powiedzcie po prostu, co macie powiedzieć.

– Pewnie, że tak najlepiej.

I poczęli kolejno brać Taczewskiego w objęcia, po czym Mateusz rzekł:

– Jacuś! nam wiadomo, żeś nie żaden Piłat, a tobie wiadomo, że po odpadnięciu Kijowszczyzny chude z nas pacholki, a krótko mówiąc, golcy. Maszże! przynosim ci, na co nas stać, a ty przyjmij choć i to wdzięcznym sercem.

To rzekłszy wręczył mu jakiś przedmiot zawinięty w kawałek czerwonego atlasu, a przez ten czas trzej młodzi bracia powtarzali z rozrzewnieniem:

– Przyjmij, Jacusiu! przyjmij! przyjmij!

– Przyjmuję i Bóg wam zapłaci! – odpowiedział Jacek. Tak mówiąc położył przedmiot na stole i począł odwijać atlas; nagle cofnął się i zakrzyknął:

– Dlaboga! ucho ludzkie!

– A wiesz czyje? Marcjana Krzepeckiego! – zagrzmiełi bracia.

—Ha!

Obecni zdumieli się tak okrutnie, że nastąpiła chwila milczenia.

– Tfu! – zakrzyknął wreszcie ksiądz Woynowski. I przemierzywszy jednego po drugim surowym wzrokiem, nabrał ich z góry.

– Cóżecie to, Turcy, abyście mieli uszy pobitych nieprzyjaciół prezentować? Wstyd czynicie temu chrześcijańskiemu wojsku i wszystkim szlachcie. Choćby Krzepecki sto razy na śmierć zasłużył, choćby nawet heretykiem albo zgoła poganinem był, jeszcze byłaby niewypowiedziana hańba taką rzecz czynić. O, toście Jacka udelektowali, że aż spluwa tę ślinę, która mu do gęby napłynęła! Ale ja wam powiadam, że za takowy uczynek nie żadnej wdzięczności, jeno wzdargy się spodziewajcie, a w dodatku hańby; bo nie masz takiej chorągwi w całej jeździe, ba, nawet takiego regimentu w piechocie, który by podobnych barbarusów jako komilitonów przyjąć zechciał!

Na to Mateusz wystąpił przed braci i płonąć wielkim gniewem, tak mówić począł:

– Oto wdzięczność, oto zapłata, oto sprawiedliwość ludzka i sąd ludzki, którego gdyby kto świecki wypowiedział, toby się pewnie i drugie ucho znalazło z pierwszym do pary, ale gdy osoba duchowna tak mówi, to niechże ją Pan Jezus sędzi i za niewinnością się ujmie! Pytasz, jegomość: „cożecie to, Turcy?“, a ja spytam: cóż to jegomość myślisz, że myśmy trupowi ucho obcieli?... Bracia rodzeni! sieroty wy niewinne, na toż wam przyszło, żeby z was Turków, nieprzyjaciół wiary, czyniono!... Co?

Tu głos mu zadrżał, albowiem żalność gniew przemogła, pozostali zaś bracia, wzruszeni niesłusznym posądzeniem, poczęli wołać również żalnością:

– Turków z nas uczyniono!

– Nieprzyjaciół wiary!

– Pogan bezecznych!...

– To powiadajcie, u licha, jako było! – rzekł ksiądz.

– Łukasz obciął Marcjanowi ucho w pojedynku.

– Skąd się Krzepecki tu wziął?

– Przyjechał. Od pięciu dni już tu był... Za nami przyjechał...

– Niech jeden mówi.

Tu ksiądz zwrócił się do najmłodszego, Jana:

– Mów ty, jeno do rzeczy!

– Znajomek nasz, towarzysz z chorągwi ks. biskupa sandomierskiego —począł Jan — powiedział nam przypadkiem przed trzema dniami, że widział w winiarni na Kazimierzu jakoweś dziwo: „Ślalcic – powiada —jak pień, z ogromną głową, tak wciśniętą w kadłub, że mu ramiona do uszu sięgają, na krótkich (powiada), krzywych nogach, a pił jak smok.

Bezeczniejszej małpy (powiada) w życiu nie widziałem!” A my, jakoże nam Pan Jezus to już z urodzenia dał, iż w lot wszystko pomiarkuję, zaraz spojrzelim po sobie: Nuż to to Krzepecki? Dopiero ja do towarzysza: „Zaprowadzisz do winiarni?” – „Zaprowadzę.” I zaprowadził. Ciemno już było, ale patrzmy, aż tu czerni się coś w jednym kącie za stołem. Łukasz podszedł i nuż krzesać iskry przed samymi ślepiami temu, co się tam krył: „Krzepecki!” – krzyknie – i cap go za

kark! My do szabel, ale ów się wyrwał i widząc, że nie ma rady, bośmy byli od strony drzwi, kiedy to nie zacznie skakać przed nami! To tak ci podskakiwał raz po raz jak kogut! – „Cóż (powiada) zabijaki, myślicie, że się boję?! W pojedynkę jeno ze mną, nie kupą! chyba żeście zbójcy, nie szlachta?”

– Szelma! – przerwał ksiądz – a sam to cóż lepszego z nami chciał uczynić?

– Tak mu też rzekł Łukasz. „O! takiej matki synu – powiada – któż to całą watahę zbójów na nas najął? Katu (powiada) warto by cię za to oddać, jeno że krócej będzie tak!...” To powiedziawszy zaraz natarł – i poczęli się ścinać. Za trzecim czy czwartym złożeniem kiedy to nie zajedzie mu w bok głowy! Patrzym, aż ucho na ziemi. Podniósł je zaraz Mateusz i krzyczy: „Nie obcinaj drugiego, ostaw nam. To (powiada) będzie dla Jacka, a tamto dla panny Sienińskiej.” Ale Marcjan opuścił szablę, bo go krew okrutnie zaczęła uchodzić – i omdlał. Leliśmy mu na łeb wodę, a w gębę wino, myśląc, że się ocknie i następnemu stanie, wszelako nie mogło to być! Ocknął ci się wprawdzie i powiedział tak: „Skoroście sami sprawiedliwość uczynili, to innej szukać wam nie wolno” – potem znów omdlał. Myśmy też poszli żałując drugiego ucha. Łukasz powiada, że mógł go zabić, ale nie uczynił tego umyślnie, żeby się dla nas, a w końcu i dla Jacka zostało... I nie wiem, czyby kto potrafił postąpić polityczniej, bo nie grzech to taką gadzinę zgnieść, ale widać – nie płaci teraz polityka, skoro za nią jeszcze cierpieć musimy i słuchać, jak nas poganami nazywają.

– Prawda! słusznie mówi! – wołali inni bracia.

– No! – rzekł ksiądz —jeśli tak, to co innego, ale zawsze niesmaczne to jest donum. Bracia poczęli spoglądać na się ze zdziwieniem.

– Jak to niesmaczne? – zapytał Marek – dyć my nie do zjedzenia Jackowi to ucho przynieśli.

– Dziękuję wam z duszy za waszą życzliwość – odpowiedział Taczewski – gdyż tak mniemam, że nie przynieśliście tego i do schowania.

– Jużci, że trochę pozieleniało; chybaby w dymie uwędzić!

– Niech je pacholek zaraz zagrziebie – rzekł surowo ksiądz – bo zawdy chrześcijańskie to ucho.

– Lepsze my rzeczy w Kijowszczyźnie widzieli – mruknął Mateusz.

– Krzepecki niechybnie po to przyjechał – rzekł Jacek – aby nowy jaki zamach na Anulkę uczynić!

– Z dworu królowej jejmości przecie jej nie porwie – odpowiedział roztropny pan Serafin – ale nie myślę, żeby on po to tu przyjeżdżał. Napaść mu się nie udała, więc suponuję, że chciał się tylko przekonać, czy wiemy, że to on ją urządził, i czyśmy go już oskarżyli, czy nie. Stary Krzepecki może o imprezie synowskiej nie wiedział, ale może i wiedział, a jeśli tak, to wielce obaj muszą być teraz niespokojni i wcale mi to nie dziwno, że się Marcjan na zwiady tu wybrał.

Stanisław Cyprianowicz począł się śmiać.

– No – rzekł – ale że nie ma on szczęścia do Bukojemskich, to nie ma!

– Bóg z nim! – zawołał Taczewski – bo jam mu dziś gotów wszystko przebaczyć.

Więc Bukojemscy i Stanisław Cyprianowicz, którzy znali zawziętość młodego kawalera, spojrzeli na niego ze zdziwieniem, a on, jakoby w odpowiedzi im, dodał:

– Bo Anulka wraz będzie moja, a jutro rycerzem będę chrześcijańskim i wiary obrońcą, który serce powinien mieć wszelkich nienawiści i prywat próżne.

– To cię za to Bóg pobłogosławi – zawołał ksiądz.

Rozdział trzydziesty trzeci

Nadszedł wreszcie dla Jacka Taczewskiego dawno upragniony dzień szczęścia. W Krakowie między mieszczaństwem jeszcze poprzednio rozeszła się wieść, powtarzana ze zdziwieniem, że znajduje się w wojsku pewien rycerz, którego jednego dnia się żeni, a drugiego siada na koń. Gdy zaś się rozniosło, że oboje królestwo mają asystować przy ślubie, tłumy poczęły się od rana zbierać w kościele i pod kościołem. Przyszło w końcu do tego, że trabanci królewscy musieli czynić na miejscu porządek, aby dla weselników pozostał przejazd wolny. Koledzy Taczewskiego zebrali się jak jeden człowiek, co uczynili zarówno z życzliwości i przyjaźni dla niego jak i dlatego, że miło było każdemu być widzianym w orszaku, w którym uczestniczył sam król, i należeć do jego jakby prywatnej kompanii. Stawiło się też i wielu dygnitarzy, nawet takich, którzy nigdy o Jacku Taczewskim nie słyszeli, albowiem wiadomo było, że królowa proteguje to małżeństwo – dużo zaś zależało na dworze od jej przychyłności i łaski.

Lecz niektórym z panów wydawało się to nie mniej dziwne niż mieszczaństwu, że król, na którego barkach spoczywały w tej chwili losy niemal całego świata i do którego dzień w dzień przylatywali na spienionych koniach kurierowie zagraniczni, znajduje jednak czas, aby być na ślubie prostego towarzysza. Więc jedni tłumaczyli to sobie dobrocią pańską i chęcią ujęcia wojska, drudzy czynili przypuszczenia, że może pomiędzy jegomością a Taczewskim istnieją jakieś bliskie, a trudne do wyznania węzły rodzinne; inni na koniec śmieli się z tych przypuszczeń, słusznie mówiąc, że w takim razie królowa, tak mało pobłażliwa, że nawet i za kawalerskie grzechy musiał nieraz król przed nią odpowiadać, nie zajęłaby się tak gorliwie połączeniem kochanków.

Ludzie zapomnieli już trochę o Sienińskich, więc by zapobiec wszelkim potwarzom i plotkom, przypomniał król umyślnie, ile Sobiescy byli temu rodowi winni. Wówczas poczęto zajmować się panną Sienińską i jak to bywa na dworach, to litować się nad nią, to rozczulać się jej przygodami, to wychwalać jej cnotę i piękność. Wieści o jej urodzie rozchodziły się szeroko wśród mieszczan i mieszczek, ale też gdy ją wreszcie ujrano, nikt nie doznał zawodu.

Przybyła ona do kościoła wraz z królową, więc w pierwszej chwili wszystkie spojrzenia zwróciły się na panią, której wdzięki świeciły jeszcze całym blaskiem przedwieczornego słońca; gdy jednak skierowały się na oblubienicę, wszędy – między dygnitarzami, między wojskowymi, szlachtą i mieszczaństwem – ozwały się szept, a nawet i głośnie uwagi:

– Cudna, cudna! Wiele oczom powinien, kto taką raz w życiu obaczył.

I była to prawda. Nie zawsze w owych czasach ubierano dziewczyny białe do ślubu, ale ją panny z fraucymeru przybrały białe, bo taka była najlepsza jej suknia – i takie życzenie. Więc w bieli, z zielonym wianuszkim na złotych włosach, z twarzą trochę zmieszaną i pobladałą, ze spuszczonej oczyma, cicha, smukła, wyglądała jak śnieżny łabędź albo po prostu jak lilia biała.

Zdumiał się jej widokiem i sam Jacek Taczewski, któremu wydała się jakaś inna niż zwykle.

– Dlaboga! – rzekł sobie – jakoż ja do niej przystąpię! Toż to istne królewiatko albo i zgoła anioł, do którego grzech inaczej niż na kolanach gadać.

I zląkł się prawie w duszy. Lecz gdy wreszcie klęknął z nią przed ołtarzem, gdy usłyszał wzruszony głos księdza Woynowskiego, którego zaczął przemowę od słów: „Dziećmi was znałem oboje”, gdy stukała związała im ręce, gdy usłyszał ciche wyrazy: „Biorę ciebie sobie za małżonka”, a w chwilę potem buchnęła z chóru pieśń: *Veni, Creator*, wtedy zdawało się Jackowi, że chyba szczęście rozsądzi mu piersi, i to tym łatwiej, że nie miał na nich pancerza. Kochał ją od dawna, od pacholących lat, i wiedział, że kocha, ale teraz dopiero zrozumiał, jak bez miary i bez granic ją miłuje. I znów począł sobie mówić:

– Chyba polegnę, bo gdyby człowiek za życia był tak szczęśliwy, to cóż by było w niebie?

Ale pomyślał, że nim polegnie, musi się przedtem Panu Bogu odwdziaczyć i nagle przeleciały mu przed oczyma duszy tłumy Turków, brody, turbany, zawoje, krzywe szable, chorągwie, buńczuki. Więc z serca wyrwał mu się ku Bogu okrzyk:

– Odwdzięczę się! odwdzięczę!

I uczuł, że dla tych nieprzyjaciół krzyża i wiary stanie się lwem—niszczycielem.

Trwało to widzenie tylko przez mgnienie oka, po czym zalała mu na nowo piersi niezmierna fala szczęścia i kochania.

Tymczasem ceremonia była skończona; orszak ruszył do mieszkania przygotowanego dla państwa młodych przez Cyprianowiczów, a ozdobionego przez towarzyszków spod chorągwi. Na chwilę tylko mógł tam Jacek przycisnąć młodą panią Taczewską do serca, albowiem wnet musieli oboje wybiec naprzeciw królestwa, którzy nadjechali z kościoła. Dwa wyższe krzesła były przygotowane dla nich za stołem, więc po błogosławieństwie, przy którym oboje państwo młodzi przyklękli przed majestatem, prosił Jacek miłościwego pana i panią na ucztę weselną, lecz król odmówił.

– Miły towarzyszu – rzekł – rad bym z tobą pogwarzyć, ba, i z tobą, krewniaczko (tu zwrócił się do pani Taczewskiej), o przyszłym wianie pogadać, ale mi nijak. Chwilę ostanę i zdrowie wasze wypiję, siadać wszelako nie mogę, bo tyle mam na głowie, że mi każda godzina droga.

– A wiera! – zawołało kilkadziesiąt głosów.

Taczewski podjął pod nogi pana, a on wziął ze stołu nalany kieliszek.

– Mości panowie! – zawołał – zdrowie państwa młodych!

Uczył się krzyk: „*vivant, crescant! floreant!*”, po czym król znów głos zabrał:

– Używajże wczasu i szczęśliwości swojej – rzekł do Taczewskiego – bo warto, a długo tego nie będzie. Już ci trzeba ci kilka dni zostawić, ale potem pilnie nas musisz gonić, bo my tu na ciebie nie będziem czekać.

– Łatwiej jejmość wytrzyma bez ciebie niż Wiedeń bez nas – rzekł śmiejąc się pan Marek Matczyński.

– A przecie kawaler Lubomirski już tam Turków łuszczy – zauważył jeden z towarzyszków usarskich.

– I mam dobre o naszych wiadomości – rzekł król – które kazałem Matczyńskiemu wziąć ze sobą, aby je umyślnie waszmościom przeczytać, na pociechę dla żołnierskich serc. Oto, co mi pisze o bitwie pod Presburgiem książe Lotaryński, cesarski generalissimus.

I począł czytać, trochę powoli, gdyż czytał dla szlachty po polsku, a list był pisany po francusku:

„Kawaleria cesarska szła dzielnie i z zapalem, ale akcji dokonali tylko Polacy, którzy Niemcom nic nie zostawili do roboty. Nie mogę znaleźć dość słów pochwały dla dzielności, siły i zachowania się pana Lubomirskiego, oficerów i żołnierzy, którymi dowodzi.”⁴

⁴ Carolus Dux Lotharingiae Joanni III Poloniae Regi etc. Julius 31 1683.

„Toute la Cavalerie de l'Empereur allait avec fermeté et joie, mais l'action s'est passé seule entre les Polonais, qui

- Oto, co pisze książę Lotaryński. Bitwa była wielka i chwała naszych niemała!
- Popiszemy się i my niezgorzej – wołali żołnierze.
- Wierzę i ufam, jeno trzeba pośpiechu, bo późniejsze listy źle wróżą. Wiedeń ledwie już dysze, a całe chrześcijaństwo ma oczy na nas zwrócone: nadażym czy nie nadażym.
- Niewiele tu zostało chorągwi, a główne wojska, jako słyszałem, czekają już pod hetmanami w Górach Tarnowskich – rzekł książę Woynowski —ale pod Wiedniem, choć i potrzebne nasze ręce, ale nie tyle, ile obecność takiego wodza, jak wasza królewska mość.
- Uśmiechnął się na to król i rzekł:
 - Słowo w słowo pisze mi to samo.książę Carolus. Trzymajcie tedy waćpanowie cugle w rękę, bo lada godzina każę trąbić przez munsztuk!
 - Kiedy, miłościwy panie? – spytało kilka głosów. A król spoważniał nagle.
 - Jutro ruszam te chorągwie, które jeszcze przy mnie zostały. Po czym spojrział bystro na Taczewskiego, jakby go chcąc wybadać, i rzekł:
 - Ale że i królowa jejmość odprowadzi nas aż do Tarnowskich Gór, gdzie będzie rewia, przeto jeśli nie będziesz nas prosił o zgoła inną funkcję, to możesz tu jeszcze przyzostać, byleś nas prędko dogonił.
 - A Jacek otoczył żonę ręką, przysunął się wraz z nią o krok do króla i rzekł:
 - Miłościwy panie! Żeby mi za nią cesarstwo niemieckie albo nawet i królestwo francuskie ofiarowali. Bóg, który patrzy w serce moje, widzi, że nie oddałbym jej za żadną koronę ni za żadne na świecie klejnoty. Ale żebym miał dla szczęśliwości mojej służby zaniechać, okazję stracić, wojny za wiarę poniechać, wodza odstąpić – nie daj tego Bóg, bo sam bym sobą wzgardził i ona, jako ją znam, także by mną wzgardziła. Nuż by, miłościwy panie, trafiła się jaka przygoda, jakowaś napaść, która by mi przecięła drogę, chybabym zgorzał ze wstydu i boleści...
 - Tu oczy zaćmiły mu się łzami, na policzkach wykwitły rumieńce i tak dalej mówił drgającym ze wzruszenia głosem:
 - Jam dziś przed ołtarzem pobлуźnił, bom rzekł Bogu:„odwdzięczę się!” A czym? zali zdrowiem, zali życiem, zali krwią można się wywdzięczyć za takie szczęście, jakie mnie spotkało?... Ale właśnie dlatego o żadną inną funkcję nie będę prosił i gdy ty wyruszysz, miłościwy królu i wodzu mój, nie ostanę ani na jeden dzień, jeno pójdę z tobą, choćby mi jutro lec przyszło. I klęknął u nóg pana, a ów pochylił się i uściskawszy go za głowę, rzekł:
 - Takich mi więcej, a zagrzmi na świat imię polskie!
 - Książę Woynowski miał łzy w oczach, Bukojemscy płakali jak bobry, wzruszenie i zapal ogarnęły wszystkich obecnych.
 - Na pogan! za wiarę! – zagrzmiały liczne głosy. I poczęło się trzaskanie szablami.
 - A gdy uciszyło się trochę, pani Taczewska pochyliła się do ucha męża i poczęła szeptać zbladłymi ustami:
 - Nie dziwuj się moim łzom, Jacku, bo gdy pójdiesz, może cię nie zobaczę więcej, ale idź.

Rozdział trzydziesty czwarty

Jednakże dwa dni pozostali jeszcze ze sobą razem. Dwór wyruszył wprawdzie następnego dnia, ale że królowa z całym fraucymerem i mnóstwo dygnitarzy świeckich i duchownych odprowadzało króla do obozu, do Gór Tarnowskich, gdzie zapowiedziany był wielki przegląd wojsk, przeto tak liczny orszak, którego z konieczności musiał poruszać się powoli, łatwo było dogonić. Następny pochód samych wojsk z królem na czele, od granicy aż po Wiedeń, miał zadziwić świat pośpiechem, zwłaszcza że król nadał w przedzie przed główną armią, ale do Gór Tarnowskich wlokła się królowa jejmość z dworem przez dni sześć. Państwo Taczewscy dogonili więc orszak drugiego dnia, po czym młoda pani przesiadła się do karoc królewskich, a Jacek skoczył na noc do obozu, by połączyć się ze swoją chorągwią. Chwila rozstania zbliżała się. Dwudziestego drugiego sierpnia król pożegnał się uroczyście ze swą ukochaną Marysieńką i wczesnym rankiem wsiadł na koń, aby przed jej oczyma sprawić wojsko, a następnie ruszyć na jego czele do Gliwic.

Zauważono, że jakkolwiek rozstawał się z nią zawsze z największą przykrością, miłując ją bowiem jak źrenicę oczu, bolał nawet nad krótkim rozstaniem, tym razem miał twarz promienną. Więc świeckim i duchownym dygnitarzom, którzy wiedzieli, jak straszna jest wojna z tym nieprzyjacielem, który przy tym nigdy dotychczas nie wystąpił z taką potęgą, przybyło zaraz serca. „Poruszyli wprawdzie Turcy (mówiono sobie) trzy części świata, ale jeśli pan nasz, największy ich pogromca i niszczyciel, z taką radością idzie na tę wojnę, to już i my nie mamy się o co troszczyć”. I otucha napęłała piersi, a widok wojsk powiększał ją jeszcze bardziej i zmieniał w zupełną pewność zwycięstwa. Wojska wraz z pełnym czeladzi taborem wydawały się bardzo znaczne. Jak wzrok mógł sięgnąć, widać było rozbłyski słońca na hełmach, na pancerzach, szablach, na lufach muszkietów i dział. Blask był tak mocny, że oczy mrużyły się pod jego nadmiarem. Nad wojskiem grała w błękitnym powietrzu tęcza chorągwi i chorągiewek. Warczenie bębnow po pułkach pieszych mieszało się z odgłosem trąb, kotłów, krzywul, z piekielnym hałasem kapeli janczarskich i ze rzeniem koni. Zaraz z początku rewii ruszył bokiem sam tabor, by nie tamować ruchów wojsk, i dopiero potem rozpoczął się właściwy przegląd. Powozy królewskie stały na niezbyt wyniosłej równinie, nieco w prawo od drogi, którą miały przechodzić pułki. W pierwszym siedziała królowa, przybrana w pióra, koronki i aksamity, błyszcząca od klejnotów, piękna i okazała, z pełną majestatu twarzą kobiety, która posiadała w życiu wszystko, czego tylko w najśmielszych zamysłach mogła pożądać, bo koronę i niewypowiedzianą miłość najślawniejszego ze współczesnych monarchów. Równie jak dygnitarze z najbliższego otoczenia królewskiego, była i ona pewna, że gdy król — jej małżonek — raz siądzie na koń, to w ślad za nim pójdzie, jak dotychczas zawsze szło, zwycięstwo i pogrom. I czuła, że w tej chwili oczy całego świata, począwszy od Carogrodu aż do Rzymu, Madrytu i Paryża, są na niego zwrócone, że całe chrześcijaństwo wyciąga do niego ręce i w nim jeno i w tych żelaznych jego wojskach widzi ratunek, więc serce jej wzbierało dumą niewieścią. „Potęga nasza wzrośnie, a sława wyniesie nas nad wszystkie inne króle” — mówiła sobie w duszy — i dlatego, choć ów małżonek prowadził zaledwie dwadzieścia kilka tysięcy ludzi przeciw

nieprzeliczonym zastępom tureckim, pierś jej zalewała radość i żadna chmura obawy lub niepokoju nie zasepiała jej białego czoła. „Patrzcie na zwycięzcę, patrzcie na króla—ojca – mówiła do dzieci wypełniających tak powóz, jak pisklęta wypełniają gniazdo – gdy wróci, świat uklęknie przed nim w podziękę”.

W samych powozach widać było to wdzięczne twarze panien dworskich, to infuły biskupie, to poważne i surowe oblicza senatorów, którzy zostawali w domu, by sprawować rządy w zastępstwie pana. Sam król był już przy wojsku, ale widać go było dobrze opodal na wzgórzu, wśród hetmanów i jenerałów, między którymi czynił wrażenie siedzącego na koniu olbrzymia. Wojska miały przechodzić poniżej, jakby u jego stóp.

Więc przetoczyła się naprzód z głuchym turkotem i ze zgrzytem łańcuchów artyleria pana Marcina Kąckiego. Po niej szły regimenty piesze z muszkietami na ramionach, pod wodzą oficerów zbrojnych w szable, w bandolety i w długie trzciny, którymi ład czynili wśród szeregów. Szły te pułki w czworobokach, do ruchomych fortec podobne, krokiem pod miarę, równym i grzmiącym. Każdy przechodząc wedle powozu królowej witał ją gromkim okrzykiem i zniżał chorągiew na znak czci. Były między nimi niektóre lepiej od innych przybrane i dość okazałą czyniącą postać, lecz najokazalej przedstawił się regiment kaszubski, w błękitnych koletach z żółtymi ładownicami, złożony z tęgich na schwał chłopów, rosnących i tak dobranych, że jeden wydawał się być drugiemu bratem. Ciężkie muszkiety poruszały się w ich potężnych dłoniach jak trzciny. Na głos piszczałki stanęli przed królem jak jeden mąż i sprezentowali broń tak sprawnie, że król uśmiechnął się z zadowoleniem, a dygnitarze poczęli do się mówić:

„Ej! z tymi to i gwardii sułtańskiej niezdrowo się będzie spotkać! Lwy to prawdziwe, nie ludzie!”.

Lecz zaraz za nimi poczęły przeciągać chorągwie lekkiej jazdy polskiej! Rzekłbyś, hipocentaury, tak każdy człowiek i koń jedną stanowili całość: nieodrodni synowie owych elearów, którzy swego czasu stratowali całe Niemcy, roznosząc na szablach i kopytach pułki, ba, nawet i całe armie wyznawców Lutra. Najcięższa obca jazda nie mogła się im w równej sile oprzeć, najlżejsza – uciec przed nimi. O nich to po Chocimiu mówił sam król: „Byle doprowadzić, to wytną wszystko jako kosiarze trawę”. I choć w tej chwili przeciągali wolno przed powozami, każdy, nawet wcale nieobyty z wojną człowiek łącznie odgadywał, że w danym razie, chyba wicher jeden mógł szybciej od nich pędzić, zwracać się i uderzać. Krzywule i kotły grzmiąły przed nimi, a oni szli, chorągiew za chorągwią, z gołymi szablami, które w drgającym blasku słonecznym wydawały się jak miecze ogniste. Minawszy powozy dworskie zakołysali się nagle jak fala i ruszyli ryścią, potem cwałem i zatoczywszy olbrzymie koła przeszli znów, ale już jak huragan, koło królowej z przeraźliwym okrzykiem: „bij, morduj!”, z szablami w wyciągniętych prawicach jak do ataku, na koniach o rozdętych chrapach, rozwianych grzywach i jakoby oszalałych od pędu. I przeszli tak jeszcze raz drugi, a dopiero za trzecim nawrotem zatrzymali się prawie nagle, nie łamiąc szeregów, tak równo, zgodnie i dokładnie, że cudzoziemcy, których wielu było przy dworze, a zwłaszcza ci, którzy po raz pierwszy widzieli w polu jazdę polską, poczęli spoglądać na się ze zdumieniem, jakby oczom własnym nie wierząc.

Po czym zamigotało i zakwitło jakby kwieciami całe pole od dragonów. Niektóre ich pułki przyszły pod panem Jabłonowskim spod Trembowli, niektóre wystawili magnaci, a jeden – sam król, z własnej szkatuły, którym pan de Maligny, brat królowej, dowodził. Służył w dragonach po większej części lud prosty, ale do konia od dziecka zaprawny, ćwiczony w różnych bojach, w ogniu uporczywy, wręcz mniej od szlachty straszny, ale karny i na trudy wojenne najwytrzymalszy.

Lecz największa rozkosz dla dusz i oczu poczęła się dopiero wówczas, gdy ruszyły się chorągwie usarskie. Posuwały się one spokojnie, jak na tak górne pułki przystało. Trzymane w

górze kopie sterczały nad nimi jak las, a w górze drgała poruszana lekkim powiewem, tęcza chmura proporców. Konie ich, większe niż w innych chorągwiach, zbroje stalowe nabijane złotem, na plecach skrzydła, w których pióra czyniły nawet w spokojnym pochodzie taki szum, jaki słyszeć można między gałęziami w głębi boru, wielka bijąca od nich powaga i jakby duma – wszystko to czyniło takie wrażenie, że królowa, damy dworskie, senatorowie, a zwłaszcza zagraniczni goście aż powstali w powozach, by im się lepiej przypatrzeć. Było coś groźnego w tym ich powolnym pochodzie, mimo woli bowiem przychodziło każdemu na myśl, że gdy taka ławica żelazna runie przed siebie – wówczas zmiążdży, rozniesie, zetrze wszystko przed sobą i że nie masz siły ludzkiej, która by się jej oprzeć mogła. I była to prawda. Nie tak to dawne były czasy, gdy trzy tysiące takiej jazdy starło na proch pięć razy liczniejsze zastępy szwedzkie; jeszcze mniej dawne, gdy jedna taka chorągiew przeszła jak duch zniszczenia przez całą armię Karola Gustawa, a całkiem świeże, gdy pod Chocimiem ta sama husaria, pod wodzą tegoż samego króla, stratowała gwardie janczarskie tak łatwo jak łan zboża. Wielu z tych, którzy brali udział w owym pogromie chocimskim, służyło dotychczas pod dawnymi znakami i ci szli teraz pod mury obcej stolicy, dumni, pewni siebie, spokojni – na nowe żniwo.

Siła i groza zdawała się być duszą tych chorągwi. Wstał nagle za nimi południowy wiatr, zafurkotał w proporce, zwał ku przodowi trefione grzywy końskie i uczynił szum tak mocny w skrzydłach, że aż andaluzy w powozach zaczęły przysiądać na zadach. Chorągwie zbliżyły się na kroków dwadzieścia do karoc, po czym zwróciły się w bok i szwadronami poczęły przechodzić mimo.

Wówczas to pani Taczewska ujrzała męża po raz ostatni przed wyprawą. Jechał z brzegu, w drugim szeregu, cały w żelazie, ze skrzydłem na zbroi i w hełmie, którego nausznicę zakrywały mu całkiem policzki.

Rosły, złotogniady natolski koń niósł go lekko mimo ciężkiej zbroi, rzucając głową, dzwoniąc wędzidłem i parszcząc rozgłośnie, jakby na dobrą wróżbę dla rycerza.

Jacek zwrócił swą okrytą żelazem głowę w stronę żony i poruszył ustami, jakby szepcząc, lecz choć żadne wyraźne słowo nie doszło do jej uszu, odgadła przecie, że mówi jej ostatnie „bądź zdrowa!” – i taki poryw miłości i tęsknoty chwycił ją za serce, że gdyby była mogła za cenę życia zmienić się na przykład w jaskółkę, usiąść na jego ramieniu lub na proporcju jego kopii i towarzyszyć mu w drogę, nie byłaby się wahała ani chwili.

– Bądź zdrow, Jacku! niech cię Bóg strzeże... – zawołała wyciągając ku niemu ramiona.

I oczy jej zrosiły się łzami, a on przejechał – błyszczący w słońcu, jakiś uroczysty i jakby uświęcony tą służbą, którą miał odsłużyć.

Za chorągwią królewicza Aleksandra nadciągnęły i przeszły inne, równie świetne i równie straszne, po czym, śladem innych pułków, zatoczywszy wielki krąg, ustawiły się na równinie prawie na tych samych miejscach, z których wyruszyły w czasie rewii, ale już w szyku pochodowym.

*

Z powozów, stojących na wyniesieniu, wzrok mógł ogarnąć całe niemal wojsko. W pobliżu i w dali widać było błyszczące zbroje, kraśne mundury, błyskania mieczów, sterczące lasy dzid, chmury proporców, a nad nimi wielkie chorągwie na kształt olbrzymich kwiatów. Od stojących bliżej pułków powiew donosił zapach potu końskiego – i dochodziły krzyki komendantów, głucho odgłosy kotłów i świst piszczałek. A w tych odgłosach, w tych okrzykach, w tej radości i

ochocie bojowej było coś zwycięskiego. Zupełna pewność zwycięstwa krzyża nad półksiężycem spłynęła na wszystkie serca.

*

Król zabawił jeszcze przez mgnienie oka przy powozie królowej, po czym ruszył w skok do wojska, żegnany krzyżem z relikwiami przez biskupa krakowskiego. Po chwili przeraźliwy dźwięk trąb targnął powietrzem i masy ludzi i koni zakolebały się i poczęły z wolna wydłużać, a wreszcie ruszyły przed się ku zachodowi. Na przedzie widać było znaki lekkich chorągwi, za nimi szły husarie, pochód zamykali dragoni.

*

Książdz biskup krakowski podniósł obiema rękoma krzyż z relikwiami jak najwyżej nad głową:
– Boże Abraamów, Boże Izaaków, Boże Jakubów, zmiłuj się nad ludem twoim!

*

A w tej chwili z przeszło dwudziestu tysięcy rycerskich piersi zabrzmiała pieśń, którą podobno pan Kochowski umyślnie na tę wyprawę ułożył:

*Dla Ciebie, Panno Czysta,
Matko Niepokalana,
Idziemy bronić Chrysta,
Naszego Pana.
Dla cię, Ojczyzno droga,
I dla cię, Orle biały,
Idziemy gromić wroga
Na polu chwały.*